



**DOM  
WSCHODZĄCEGO  
SŁOŃCA**

**Chuck Hustmyre**

Replika

Chuck Hustmyre

Dom Wschodzącego Słońca

Tłumaczyła  
Katarzyna Sawicka

Replika: 2012

Jest w Nowym Orleanie takie miejsce  
Zwie się Domem Wschodzącego Słońca  
Przyniosło zgubę niejednemu chłopcu  
I wiem, że jestem jednym z nich  
O matko, ostrzeż swe dzieci  
By nie skończyły tak jak ja  
Marnując swe dni w nieszczęsnym Domu  
Sięgając grzechu samego dna

/amerykańska piosenka ludowa/

Książkę tę dedykuję mojemu ojcu,  
Charliemu Hustmyre 'owi  
(1943-2011)  
Tato, dobranoc

# Rozdział pierwszy

Ray Shane odwrócił się i ze zdumieniem spostrzegł, że w jego twarz wymierzony jest pistolet. Zionący czernią wylot lufy, wielki jak popielniczka, niemal dotykał jego nosa.

- Nie ruszaj się, skurwysynu - dobiegł go szept.

Ray pilnował wejścia do lokalu, zwanego Domem Wschodzącego Słońca. Był to należący do mafii klub ze striptizem, który znajdował się we French Quarter <sup>[1]</sup>, na parterze dawnego, trzypiętrowego hotelu. Taka była legalna część interesu. To, co działo się na piętrach było... mniej legalne.

Ray zwykle nie obstawiał drzwi wejściowych. Zastępował właśnie stałego bramkarza Hectora, meksykańskiego dzieciaka o pryszczatej twarzy, który musiał się wysikać i poprosił go, by chwilę za niego postać. Czekać na Hectora, Ray zabijał czas, odpalając jednego lucky strike'a od drugiego i obserwując paradę dziwolągów sunącą Bourbon Street.

Z okazji Halloween ulice wypełniły się przebierańcami, ale robiło się już późno i tłum zaczął się przersedzać. Większość turystów zmęczona położyła się spać. Zostały jedynie dzieciaki, zbyt głupie, żeby wiedzieć, kiedy przestać, i kilku pijaczków, którzy przestać nie byli w stanie.

Po dwudziestu minutach zabawy w bramkarza Ray zerknął na zegarek - była trzecia nad ranem. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął krótkofalówkę i spróbował połączyć się z Hectorem. Chłopak nie odbierał i Ray pomyślał, że pewnie kręci się przy scenie, gapiąc na striptizerki. Jeszcze jeden papieros - tyle czasu postanowił mu dać. Stojąc na chodniku, zapalił kolejnego lucky strike'a. Zaciągnął się głęboko, zamknął oczy i przetarł dłonią twarz. Prawie zasypiał ze zmęczenia. Jeszcze tylko trzy godziny, a potem pójdzie do domu i walnie się do łóżka.

Opierając się o metalowy słupek podtrzymujący wiszącą nad drzwiami płócienną markizę, Ray zauważył przechodzącego ulicą mężczyznę w kostiumie hot doga. Towarzysząca mu osoba (kobieta? mężczyzna?) tkwiła od stóp do głów w bułce z piankowej gumy. Czas Hectora dobiegł

końca. Ray zaciągnął się ostatni raz, wyrzucił niedopałek na ulicę i odwrócił się w stronę drzwi. Właśnie wtedy stanął oko w oko z lufą pistoletu. Dzielilo ich dwanaście cali. W dłoni wciąż trzymał krótkofalówkę.

Nie był w stanie dostrzec twarzy tego, który do niego mierzył - nie mógł oderwać oczu od wielkiego czarnego otworu. Kaliber był za duży jak na 9 milimetrów, musiał mieć 0,40 może 0,45 cala. Pistolet samopowtarzalny, z nierdzewnej stali, prawdopodobnie smith & wesson. Nie pierwszy raz ktoś przystawił Rayowi do głowy spluwę, ale do tego akurat nie można się przyzwyczać.

- Rzuć krótkofalówkę - usłyszał.

Z trudem oderwał wzrok od wielkiego pistoletu i spojrzał na dłoń, która go trzymała. Była biała, z wytatuowaną na wierzchu pajęczyną. Kciuk odbezpieczył broń.

- Rzuć to!

Krótkofalówka wyslizgnęła się Rayowi z dłoni i z łoskotem upadła na chodnik. Coś poruszyło się z lewej strony. Kątem oka Ray dostrzegł, jak ktoś podchodzi do ciężkich drewnianych drzwi i otwiera je.

Mężczyzna z pistoletem syknął:

- Do środka!

Na twarzy miał gumową maskę kościotrupa. Przez dwa otwory zerkąta para nabiegłych krwią oczu, a w wycięciu na usta widać było zepsute zęby. Zniecierpliwiony oczekiwaniem, kościotrup ponaglił:

- No, już - i szturchnął Raya lufą pistoletu w czoło.

Ray powoli zrobił krok w stronę drzwi. Ręce trzymał w górze, na wysokości ramion, a palce rozłożył szeroko - chciał, by było jasne, że nie stanowi zagrożenia.

Obok drzwi stał kolejny mężczyzna, tym razem w masce goryla pokrytej grubym czarnym futrem. W dłoniach trzymał obrzyn - starą dubeltówkę ze skróconą i spiłowaną kolbą, oklejoną czarną taśmą.

Za kościotrupem Ray dostrzegł jeszcze George'a Busha i wampira - dwóch pajaców w plastikowych maskach przymocowanych gumką z tyłu głowy. Każdy z nich trzymał w jednej ręce broń, a w drugiej płócienny sportowy worek. Ray wszedł do budynku pierwszy. Za nim kościotrup z zepsutymi zębami i lufą smith & wessona, przystawioną do głowy Raya. Pozostała trójka za nimi. Kiedy byli w środku, drzwi zamknęły się, gasząc zewnętrzne światło latarni. Na parterze mieścił się bar i klub ze striptizem. Scena znajdowała się dokładnie naprzeciwko drzwi, tak żeby przechodnie mogli zerknąć na to, co tracą. Dobiegający z głośników głos

Jonny'ego Langa śpiewał Lie to me, podczas gdy naga dziewczyna wiła się na scenie, kręcąc biodrami w rytm piosenki. W pomieszczeniu znajdowało się około czterdziestu osób, prawie samych mężczyzn. Wszyscy gapili się na scenę.

Ręka na ramieniu Raya pchnęła go w prawo, w kierunku schodów. Przy nich, obok baru, stał pusty stół. To tutaj Ray spędzał większość czasu, siedząc na tyłku, paląc papierosy, popijając taną whisky i pilnując, żeby hołota nie weszła na górę. Od ponad dwudziestu minut, czyli od kiedy Hector poszedł się wysikać, stół był pusty.

Kościorup stanął tuż za Rayem i przesunął pistolet niżej, wbijając mu łufę w nasadę kręgosłupa. Kiedy przemierzali pomieszczenie, nikt nie zwracał na nich uwagi. Prowadzące na pierwsze piętro schody zakręcały na półpiętrze. Ray wchodził na górę powoli, czując jak broń wbija mu się w plecy. Kiedy znaleźli się na półpiętrze, powiedział:

- Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? Wiesz, kto jest właścicielem tego lokalu?

- Zamknij się i idź!

- Przed tobą już byli tacy, co grozili mi spluwą. Chcę tylko, żebyś to przemyślał. Jeszcze możesz się wycofać, a ja zapomnę o wszystkim i nie będę miał do ciebie żalu.

Ray skrzywił się, kiedy pistolet dźgnął go w plecy.

- Powiedziałem, żebyś się zamknął - warknął kościorup.

- O czym on mówi? - zapytał wampir.

- O niczym - odpowiedział kościorup - po prostu trzymaj się planu.

Na piętrze kolejne szarpnięcie nakazało Rayowi skrócić w prawo.

- Tędy - rozkazał kościorup, popychając go w kierunku kasy, znajdującej się w odległym kącie pomieszczenia.

Na pierwszym piętrze znajdowało się kasyno, które zajmowało około dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych. Wzdłuż całej prawej ściany, tak jak na parterze, ciągnął się bar. Resztę pomieszczenia wypełniały stoły do gry - w kości, ruletkę, blackjacka i pokera. Przy każdym było mnóstwo graczy, próbujących wykorzystać dobrą passę albo odwrócić tę złą. W powietrzu wyczuwało się ogromne napięcie. Za niecałą godzinę zamykano lokal. Każdy chciał odzyskać stracone pieniądze albo pomnożyć wygraną. Byli tak zajęci, że nikt nawet nie spojrzął na pięciu mężczyzn idących niespiesznie w stronę kasy. Dwóch pijaczków siedzących przy barze nawet nie podniosło wzroku, gdy Ray i czterej zamaskowani mężczyźni przeszli obok. W dalszej części baru kelner schylił się, żeby coś podnieść - widać było tylko jego plecy.

Ray dokonał szybkiej kalkulacji. Nocny utarg ze wszystkich trzech pięter wynosił zazwyczaj około stu kawałków. O tej porze prawie cała forsa, nie licząc tej ze stołów i z barów, znajdowała się za kasą, w licznarni. Były tam nawet pieniądze z burdelu na górze, ponieważ co kilka godzin przynoszono je dla bezpieczeństwa właśnie tutaj.

Jeśli miało się jaja - a faceci w maskach już udowodnili, że je mają - to biła na głowę skoki na sklepy spożywcze dla pięćdziesięciu dolców. Ale przecież nikt nie musi zginąć. Niech zabierają pieniądze i się wynoszą. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była strzelanina rodem z Dzikiego Zachodu.

- Kiedy będziemy na miejscu - mężczyzna szepnął Rayowi do ucha - powiedz dziewczynie, żeby otworzyła bramkę.

Ray kiwnął głową. Nikt nie musi zginąć.

Rolę kasy pełnił drewniany kontuar z drucianą siatką, zamocowaną pomiędzy krawędzią blatu a sufitem. W siatce wycięto dwa otwory, każdy wielkości tosterka. To tędy pieniądze wędrowały od i do graczy. Obok kontuaru znajdowała się zamknięta teraz bramka, wykonana z tego samego rodzaju siatki. Tylko przez nią można było dostać się do środka. W tylnej części kasy widniały masywne drewniane drzwi z wizjerem, prowadzące do licznarni. Choć na drzwiach była zasuwa, Ray wiedział, że nie są zamknięte - dziewczyny pracujące przy kontuarze musiały przez nie ciągle przechodzić, nosząc pieniądze.

W Domu nie było żadnych wymyślnych zabezpieczeń, które spotyka się w legalnych kasynach. Właściciele mieli własny sprawdzony sposób ochrony - nikt po prostu nie ośmieliłby się ich wkurwić. Najwyraźniej ktoś zapomniał uprzedzić kościotrupa i jego kolegów, że z mafią się nie zadziera.

Kasę obsługiwała teraz tylko jedna dziewczyna - właśnie spieniężała zetony. Na twarzy miała narysowane kocie wąsy, a na głowie przymocowaną parę kocich uszu. Była młoda i ładna. Ray nie pamiętał jej imienia. W środku był też Bobby. Oparty o kontuar, pożerał dziewczynę wzrokiem i ignorował wszystko dookoła.

Miał dwadzieścia parę lat i kupę mięśni. Wyglądał jak zapaśnik i chętnie demonstrował, że jest twardzielem. Ray wiedział, że pod kontuarem ukryta jest strzelba powtarzalna z odpiłowaną lufą. Miał tylko nadzieję, że Bobby nie jest na tyle głupi, by po nią sięgnąć.

Zbliżając się do kasy, Ray usłyszał końcówkę dowcipu, który Bobby opowiadał dziewczynie:

- ...a stary komik, Żyd, mówi na to: „Myślicie, że to wy macie problemy. Ale to mój gag nie śmieszy już od lat...”.



Dziewczyna zignorowała go i wróciła do żetonów.

Kilka stóp przed kasą kościotrup pchnął Raya. Ten stracił równowagę i musiał ratować się przed upadkiem, chwytając się kontuaru. Dziewczyna zerknęła na niego.

- Świątujemy?

Potrząsnął głową.

- Otwórz - powiedział - muszę coś sprawdzić.

Odwracając się w kierunku zamkniętej bramki, zawahała się i posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Dobrze wiedział, o czym myśli. Nigdy nie przychodził o tej porze. Zjawiał się dopiero po zamknięciu Domu, kiedy nie było już klientów. Dziewczyna rzuciła okiem na mężczyznę w maskach. Potem znowu spojrzała na Raya.

- Dzisiaj Halloween. Dlaczego nie jesteś przebrany?

Ray nie odpowiedział.

- Smutas - rzuciła, przekręcając zamek.

- Czekaj ! - Bobby wreszcie wyrwał się z otępienia. Ale było już za późno.

Kościotrup wepchnął Raya do środka z takim impetem, że ten wpadł na dziewczynę. Krzyknęła i musiał ją podtrzymać, żeby nie upadła. Bobby stał osłupiały. Po chwili sięgnął po broń. Był duży, ale powolny. Kościotrup rzucił się w jego kierunku i zdzielił go w głowę, jakby chciał ogłuszyć zwierzę. Bobby runął jak kłoda na podłogę i zmarł w bezruchu. Kościotrup, Bush i wampir rzucili się do licznicy. Goryl został na zewnątrz i pilnował Raya i dziewczyny, mierząc do nich z dubeltówki. Kobieta odsunęła się od Raya.

- Może coś z tym zrobisz? - spytała, wbijając w niego pełen wyrzutu wzrok.

- Na przykład co? - wzruszył ramionami.

- Spróbujesz ich powstrzymać?

Wskazał głową goryla z bronią:

- Jak?

Patrzyła przez moment na Raya, a potem z odrazą pokręciła głową. Odwróciła się do goryla:

- Już nie żyjecie. Wiesz o tym? - warknęła.

Goryl milczał.

Z licznicy dobiegły strzały, potem głuchy trzask, jakby uderzono kogoś pistoletem. Przy kasie pojawił się jeden z graczy. Wsunął w otwór pojemnik wypełniony żetonami. Kiedy nikt do niego nie podszedł, stał przez chwilę zdezorientowany. W końcu zauważył goryla z dubeltówką i

zapominając o żetonach, wycofał się powoli, z rękoma w górze.

Kolejny strzał, kolejny trzask. Tym razem brzmiało to tak, jakby ktoś upadł.

Po chwili rozległ się głos kościotrupa, wrzeszczący:

- Szybciej!

Ludzie zaczęli orientować się, że coś się dzieje. Co najmniej kilkunastu graczy i krupierów przerwało grę i wbiło wzrok w kasę. Goryl kiwał głową w przód i tył, zerkając na przemian to na podłogę kasyna, to na Raya, to na drzwi, za którymi zniknęli jego kumple. Ray nie musiał widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że facet jest przerażony.

Po około minucie, choć wydawało mu się, że minęła raczej pełna godzina, Ray usłyszał dudnienie kroków i trzech uzbrojeni mężczyźni wybiegli z liczarni. Kościotrup miał w ręku tylko swoją wielką spluwę. Wampir i Bush trzymali pistolety i worki wypchane, jak nietrudno było zgadnąć, gotówką.

Kościotrup wskazał głową bramkę i pozostała trójka, z gorylem na przedzie, wyszła na zewnątrz. Ray ani drgnął, mając nadzieję, że nie jest już im potrzebny. Kościotrup pozbawił go złudzeń, ponownie przystawiając mu do głowy smith & wessona.

- Ruszaj się - rozkazał, wskazując lufą bramkę.

Kiedy Ray zrobił krok naprzód, sunący za nim kościotrup chwycił go jedną ręką za koszulę, szarpiąc do tyłu. W kasynie słychać było szmer. Ray zauważył, że nikt już nie gra. Wszystkie oczy zwrócone były w ich stronę. Trójka zamaskowanych zbirów czekała przy kasie. Stali odwróceny plecami do kontuaru, trzymając broń wycelowaną w ludzi. Kościotrup minął goryla, osłaniając się Rayem jak tarczą. Pozostali ruszyli za nim, kierując się w stronę schodów.

W połowie drogi na dół Ray potknął się. Mocne szarpnięcie za koszulę uchroniło go przed upadkiem.

- Wolniej - szepnął mu do ucha kościotrup.

W głowie Raya pulsowała jedna myśl: „Nikt nie musi zginąć! Niech te skurwysyny tylko stąd wyjdą, a wszystko będzie w porządku”.

Dotarli na parter. Do drzwi wejściowych zostało około trzydziestu stóp.

Ray rozejrzał się po sali. Wyglądało na to, że nikt nie ma pojęcia, co się dzieje. Wszyscy wciąż wpatrywali się w scenę, na której do pierwszej dziewczyny dołączyła druga. Błyszczące od oliwki piersi tancerek ocierały się o siebie.

Ray spojrział na drzwi. Jeszcze tylko trzydzieści stóp i będzie po

wszystkim. Zrobił kilka kroków naprzód. Idący tuż za nim mężczyzna w masce kościotrupa wciąż trzymał go za koszulę i przyciskał do jego głowy pistolet.

Drzwi na zaplecze znajdujące się za barem otworzyły się gwałtownie i głośno uderzyły w ścianę. Ray odwrócił się w ich stronę i zobaczył, jak ze środka wyłania się Peter Messina. Niósł butelkę szampana i dwa kieliszki. Miał na sobie džinsy, koszulkę i biały fartuch zawiązany wokół szyi.

Peter skinął mu na powitanie i zaczął iść w kierunku drzwiczek, na końcu baru.

- Jak leci, Ray? - spytał. Po chwili zamarł w bezruchu, wbijając wzrok w pistolet, przystawiony do głowy przyjaciela.

Ray odpowiedział, opanowanym głosem:

- Wszystko w porządku, Peter, wszystko...

Butelka szampana wyslizgnęła się Peterowi z ręki i trzasnęła o podłogę. Ray spróbował się ruszyć, ale powstrzymał go lewy prosty. Kątem oka zobaczył, jak mężczyzna w masce goryla schodzi ze schodów, unosi dubeltówkę i wodzi lufą po sali. Chciał powiedzieć temu facetowi, że to nic takiego, że Peter nie był groźny - tylko wyglądał jak dorosły. Miał co prawda dwadzieścia lat, ale umysł dziecka. Ray krzyknął w myślach: „Nikt nie musi zginąć!”. Kiedy już otwierał usta, ogłuszył go huk wystrzału. Peter oberwał w głowę, wygiął się jak akrobata wykonujący przewrót i runął na podłogę. Zamarł w bezruchu - bez podrygiwania, bez najmniejszego spazmu.

Rozległy się krzyki. Część ludzi zerwała się na nogi, część rzuciła na podłogę. Ray spojrzał na scenę. Jedna z tancerek stała pochylona, patrząc na krew sączącą się z rany na swoim udzie. Coś trzasnęło Raya w głowę, tak że osunął się na kolana. Ogłuszony wciąż patrzył na scenę. Tancerka z dziurą w udzie upadła na tyłek. Druga uklękła obok i czule objęła jej głowę.

Do uszu Raya dobiegł stłumiony wrzask kościotrupa. Po chwili kopnięcie w plecy zważyło go na podłogę. Kolejny huk. Ray dostrzegł dubeltówkę wycelowaną w sufit. Z kolorowego szynowego oświetlenia posypały się odłamki szkła. Znowu krzyki. Teraz przynajmniej wiedział, że broń była już pusta.

Tuż nad jego głową rozległ się głuchy trzask. Fala ciepła zalała mu kark i coś walnęło w drewnianą podłogę obok jego twarzy. Ledwo widział, ale zdołał jeszcze dostrzec mijające go cztery pary stóp zmierzające ku wyjściu.

Cieszył się, że w końcu poszli, ale potrafił skupić swoją uwagę jedynie

na tym, jak bardzo potrzebuje papierosa. Przypomniał sobie paczkę lucky strike'ów w kieszeni koszuli. Przesunął ręką po podłodze, próbując po nie sięgnąć, ale był zbyt zmęczony. Coś ciepłego spłynęło mu do lewego oka.

## Rozdział drugi

- Chyba sobie, kurwa, żartujesz? - Tony Zello wrzasnął Rayowi prosto w twarz, opryskując go kropelkami śliny.

Znajdowali się na zapleczu baru na pierwszym piętrze. Tony i jego kumpel Rocco wciągnęli tu Raya po schodach, jak tylko czterej uzbrojeni mężczyźni wyszli z budynku. Tony chciał dowiedzieć się z pierwszej ręki, co dokładnie zaszło. Na razie to co słyszał nie bardzo mu się podobało.

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli - powiedział Tony. - Czterej goście z gnatami wchodzą tutaj, jak gdyby nigdy nic, okradają nas, zabijają syna Vincenta, a ty tylko rozkładasz się na ziemi jak jakaś dziwka?

Tony odwrócił się zniesmaczony i przycisnął zwinięte dłonie do oczu, jakby obawiał się, że zaraz wyskoczą z oczodołów. Nagle obrócił się, wyrzucając do przodu pięść. Ray próbował zrobić unik, ale nie był dość szybki. Pięść trafiła go tuż nad lewym okiem, odbijając jego głowę od ściany. Prostując palce, Tony wpatrywał się w Raya.

- Tak właśnie zrobiłeś? Idę o zakład, że wypiąłeś się i pozwoliłeś wydymać się w tyłek, tak było?

Ray wodził wzrokiem od Tony'ego do Rocca, dusząc w sobie wzbierającą wściekłość. Nie miał zamiaru prowokować Tony'ego, nie tutaj. Tony stał przed nim, ubrany w antracytowy ręcznie wykończony włoski garnitur z jedwabiu, założony na kremową koszulę z bordowym krawatem. Na stopach miał parę miękkich mokasynów marki Bruno Magli.

Całość była warta nie mniej niż tysiąc pięćset dolców. Tony Zello (wszyscy nazywali go Tony Z.) miał czterdzieści lat, czyli trochę więcej niż Ray, a przed sobą świetlaną przyszłość - był prawą ręką właściciela Domu, Vinniego Messiny.

Tony splunął Rayowi pod nogi i odwrócił się, jakby zawiedziony, że Ray nie spróbował go uderzyć. Spojrzał na Rocca.

- Dasz wiarę, jaka z tego faceta pieprzona cipa? - syknął.

Rocco, wielki i głupi facet, który rzadko się odzywał, tylko kiwnął głową. Mimo, że ubrany w drogi gustowny garnitur, nie prezentował się

tak dobrze, jak Tony. Rocco zawsze wyglądał, jakby miał o rozmiar za małe ubranie, w które ledwo się wcisnął. Ci dwaj mężczyźni wszędzie pojawiali się razem, na wypadek gdyby Tony Z. potrzebował złamać komuś nogę albo rozbić łeb.

Drzwi na zaplecze były otwarte i Ray dostrzegł pracowników, którzy kręcąc się przy barze, podglądali i podsłuchiwali, co się dzieje. Tony lubił publiczność.

Ktoś zawołał:

- Tony! Gliny chcą, żebyś zszedł na dół!

Tony Z. spojrział na Rocca, mówiąc:

- Idziemy. Niedobrze mi się robi, jak patrzę na tego śmiecia.

Następnie kazał wszystkim zejść na parter. Kiedy już nikogo nie było, Ray wyszedł z zaplecza. Za barem znalazł ręcznik, zawinął w niego trochę lodu i przyłożył sobie do głowy. Krew już nie leciała, ale czuł, jak lewe oko zaczyna mu puchnąć. W kasynie nie było żywego ducha.

Wcześniej, gdy tylko uzbrojona czwórka zniknęła, Tony i Rocco wyprowadzili wszystkich graczy tylnymi drzwiami i kazali im zapamiętać, że tak naprawdę nigdy ich tutaj nie było. To samo zrobili na drugim piętrze. Trwało to trochę dłużej, bo większość klientów była rozebrana. Dziewczynom rozkazali siedzieć cicho w pokojach. Dopiero wtedy wezwano gliniarzy.

- Shane! - krzyknął ze schodów. Ray podszedł do nich i spojrział w dół. W połowie drogi na górę stał oparty o poręcz Rocco.

Przy ustach trzymał dłoń złożoną w trąbkę.

- Tak? - powiedział Ray.

- Chcą z tobą rozmawiać.

- Kto?

Rocco zrobił kilka kroków w jego kierunku.

- Gliny - szepnął, wystarczająco głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Ray zszedł na dół, podążając za tym pokaźnych rozmiarów głupkiem.

Cały parter roił się od gliniarzy - policjantów w mundurach, oficerów, techników kryminalistycznych i fotografów.

Przy wejściu dwaj asystenci koronera stali oparci o wózek do transportu zwłok. Ray miał wrażenie, że wyglądają jak dwa przycupnięte na gałęzi sępy, czekające aż lwy i hieny skończą i same będą mogły uszczknąć kawałek trupa.

Działalność prowadzona na parterze Domu była w przeważającej części zgodna z prawem, dlatego klientom baru pozwolono zostać. Policjanci ustawili w jednym kącie kilka krzeseł, tworząc prowizoryczną

poczekalnię, i tam zebrali świadków. Paru funkcjonariuszy krążyło między nimi i notowało wstępne zeznania.

Stojąc na ostatnim stopniu schodów, Ray zerknął za kontuar baru. Ciało Petera wciąż leżało na podłodze, tam gdzie upadł, ale teraz okalał je krąg policyjnej taśmy. Była to charakterystyczna plastikowa żółta taśma, szeroka na trzy cale, z powtarzającym się w nieskończoność wielkim czarnym napisem: MIEJSCE ZBRODNI - NIE WCHODZIĆ.

Raya zawsze dziwiła kredowobiała barwa świeżych zwłok. Wydawały się sztuczne jak figury woskowe. Peter oberwał w twarz i odrzuciło go do tyłu. Nogi miał nienaturalnie powykręcane - bolałyby, gdyby wciąż był w stanie odczuwać ból. Strzał padł z bliska, więc nie było dużego rozrzutu. Striptizerka musiała dostać jakąś kulką śrutu, która nie trafiła w Petera. Twarz chłopaka nie była podziurawiona, wyglądała za to, jakby ktoś wygarnął szuflę jej środek. Widać było tylko krwawy krater, który zaczynał się pod jedną z brwi, wędrował przez nos na drugą stronę twarzy, poniżej oka, które wciąż tkwiło w oczodole, a następnie biegł z powrotem pod ustami i w górę - pomiędzy kością policzkową a uchem.

Ray wyczytał gdzieś, że ciało ludzkie zawiera około galona <sup>[2]</sup> krwi. Jeśli była to prawda, to cała krew Petera, znajdowała się na podłodze i już zaczynała krzepnąć.

- A czy to przypadkiem nie jest sam Ray Shane? - spytał ktoś donośnie.

Ray nie miał problemu z rozpoznaniem tego głosu. Odwrócił się i ujrzał stojącego kilka stóp dalej oficera Carla Landry'ego, ubranego w tani wymięty garnitur. Że też właśnie Landry'emu musiała trafić się ta sprawa... Był to ostatni gliniarz na ziemi, z którym Ray chciał mieć do czynienia.

Ray skinął głową na powitanie.

- A co tutaj robi PIB <sup>[3]</sup>? - spytał Ray, mając w pamięci, że PIB, czyli policyjny wydział wewnętrzny, zajmuje się tylko gliniarzami.

- Już tam nie pracuję - odpowiedział Landry.

- A co się stało? - spytał Ray. - Miałeś dość udupiania gliniarzy i pakowania ich do pudła?

Landry zignorował zaczepkę.

- Jestem teraz w wydziale zabójstw dystryktu ósmego.

Dołączyło do nich dwóch młodych funkcjonariuszy o chłopięcych twarzach, którzy wyglądali, jakby dopiero co wyszli z radiowozu. Ray nie

znał żadnego. Przycisnął mocniej do oka okład z barowego ręcznika.

Landry w obstawie młodych policjantów wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki notes i długopis, który wycelował w Raya:

- Nie wiem, czy znacie tego tutaj, Raya Shane'a. Był w obyczajówce, zanim trafił do więzienia federalnego.

Obaj policjanci utkwili w nim wzrok.

Landry pstryknął długopisem i spojrzał na notes, jakby miał zamiar zacząć robić notatki. Po chwili namysłu dodał:

- Ray właśnie wyszedł - podniósł wzrok. - Jesteś na warunkowym, prawda?

Ray skinął głową. Jednym z warunków zwolnienia więźnia - federalni określali to mianem „zwolnienia pod nadzorem” - była współpraca z policją, gdyby przyszło im go przesłuchiwać. Ray nie zdziwiłby się, gdyby Landry powiadomił jego kuratora sądowego, że odmówił współpracy.

Landry zmarszczył czoło, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

- Ile dostałeś, pięć lat?

Ray przytaknął. Zdawał sobie sprawę, że były funkcjonariusz PIB próbuje zrobić z niego dupka, popisując się przed swoją dwuosobową widownią. Wiedział też, że nic nie może na to poradzić.

- Przesiedziałem pięćdziesiąt jeden miesięcy.

Landry gwizdnął.

- Czyli co, około czterech i pół roku?

- Około - odpowiedział Ray.

- Na pewno było ci ciężko, co? Taki chudy, biały chłoptaş. Pewnie skończyłeś jako czyjaś dziwka.

Ray miał już dość.

- Nie było tak źle, Carl. Twój tatuś dotrzymywał mi towarzystwa.

Landry'emu opadła szczeka, a twarz zalała się purpurą. Upuścił długopis i notes. Ruszył w jego stronę, a Ray natychmiast podniósł ręce do góry i zaczął się cofać. Ostatnią rzeczą, jaką jego kurator powinien usłyszeć, było, to, że wdał się w bójkę z policjantem. Ale ręka Landry'ego już zacisnęła się na jego gardle.

- Zamknij tę plugawą mordę, śmieciu! - wrzasnął, przyciskając Raya do baru. Ten upuścił ręcznik z lodem i chwycił Landry'ego obiema rękoma za nadgarstek. Kiedy próbował uwolnić swoje gardło z uścisku, Landry walnął go z całej siły hakiem w brzuch.

Ray zgiął się wpół, a dwaj młodzi gliniarze odciągnęli od niego Landry'ego.

- Wszystko w porządku, nic mi nie jest - powiedział, wyrывая im



się, Landry. Spokojnie poprawił marynarkę i krawat, następnie pochylił się nad Rayem i szepnął mu prosto do ucha:

- Jeszcze jedno słowo o moim ojcu, a nie żyjesz.

Ray oparł się ręką o bar, żeby odzyskać równowagę. Wszyscy przyglądali mu się z zainteresowaniem - i gliniarze, i klienci. Wziął parę głębszych wdechów i wyprostował się.

- Coś ci powiem - zwrócił się do Landry'ego.

- Co jeszcze? - głos policjanta brzmiał zaczepnie.

- Twój tatuś naprawdę dobrze ciągnie druta.

Landry znowu rzucił się w jego stronę, ale tym razem dwójka młodych gliniarzy chwyciła go w porę i przytrzymała. Jeden zerknął przez ramię na ludzi zgromadzonych w barze i powiedział:

- Nie tutaj.

Policjanci puścili Landry'ego dopiero, kiedy przestał się szarpać. Zanim wyszedł z budynku z dwoma młokosami, zdążył rzucić:

- Jeszcze się policzymy.



O piątej trzydzieści nad ranem praca policji dobiegała końca. Zaczęli od klientów, spisując nazwiska, adresy i pobieżne zeznania. Potem przesłuchali kolejno wszystkich pracowników. Oficer, na szczęście nie Landry, kazał Rayowi spisać odręcznie zeznanie.

Następnie spytał:

- Byłbyś w stanie kogoś zidentyfikować?

- Mieli maski - odpowiedział Ray.

- Zauważyłeś coś szczególnego?

- Na przykład?

- Znaki szczególne, blizny, tatuaże...

Ray zawahał się, przypominając sobie wytatuowaną pajęczynę.

- ...cokolwiek - dodał policjant.

- Nie - odparł Ray. - Nic.

Oficer wzruszył ramionami i odszedł.

Ray stał samotnie przy schodach, obserwując, jak dwóch koronerów ładuje ciało Petera Messiny do plastikowego worka, przenosi go na wózek do transportu zwłok i wywozi na zewnątrz.

- Wszystko w porządku?

Ray podskoczył, zaskoczony. Odwrócił się i ujrzał Jenny Porter.

Gapił się na nią przez chwilę i zastanawiał się, jak mogła podejść tak blisko, nie zwracając jego uwagi. Żałował, że nie zauważył jej wcześniej i

nie zwał, zanim podeszła. Trzeba jednak przyznać, że prezentowała się dobrze w stroju kelnerki: czarnym kostiumie z króciutką spódnicą, topem bez rękawów z głębokim dekoltem i parą szpilek typu „przeleć mnie”. Nie miała na sobie pończoch - nie musiała. Jej nogi były opalone i gładkie.

Ale na jej widok zrobiło się Rayowi niedobrze, bo zobaczył w myślach, jak obściskuje się z Tonym. Kiedy wyciągnęła rękę w kierunku jego spuchniętego oka, odsunął się gwałtownie.

- Słyszałam, że oberwałeś - powiedziała.

- Mówisz o tym, że koleś w masce i z pistoletem mnie złał czy o tym, że Tony podbił mi oko? A może o tym, że Landry przywalił mi w brzuch?

Uśmiechnęła się.

- Słyszałam, że miałeś ciężką noc.

- Dobrze wieści szybko się rozchodzą.

- Martwię się o ciebie - uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Niepotrzebnie - burknął. - Jesteś ostatnią osobą na świecie, od której tego oczekuję.

Wyglądała, jakby ją to zabolalo.

- Dlaczego jesteś do mnie tak wrogo nastawiony?

- Dobrze wiesz, dlaczego.

- Co zaszło między tobą a Tonym?

- Nie twój interes.

- Ray - wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia. Odsunął się.

- Twój facet to dupek - powiedział głośno.

Jenny rozejrzała się nerwowo.

- Tony nie jest moim facetem - zaprzeczyła ściszym głosem.

- Słyszałem co innego.

- To już przeszłość. Mówiłam ci przecież tyle razy.

Ray milczał.

- Powiedz, co się stało, Ray. Może mogę ci jakoś pomóc?

- Już ci powiedziałem, co się stało. Tony zachował się jak dupek - stwierdził donośnie.

Jenny znowu się rozejrzała.

- Mów ciszej.

- Boisz się, że zaraz wyjawię jakąś tajemnicę na jego temat. Mam dla ciebie nowinę... - Ray podniósł ręce i obrócił się twarzą do gliniarzy i kryminalnych, którzy jeszcze tu byli i nielicznych klientów, których jeszcze nie wypuszczono, i krzyknął: - I teraz wszyscy już wiedzą, że Tony Zello to dupek!

Jenny spuściła wzrok, zażenowana. Po chwili znów patrzyła na Raya.

- Dlaczego on tak się na ciebie wściekł?  
- Uważa, że powinienem być nie dopuścić do tego, aby temu upośledzonemu umysłowo dzieciakowi odstrzelili głowę.

- Nie mów tak.

- Nie mów jak?

- Nie mów... nie mów tak o Peterze.

- Upośledzony umysłowo?

Przytaknęła.

- Czemu nie? - spytał. - Tak to się przecież medycznie określa, nie?

- Był twoim przyjacielem. Podziwiał cię.

Ray wzruszył ramionami. To prawda, Peter rzeczywiście był jego przyjacielem, jego jedynym przyjacielem w całym Domu, ale nie o to chodziło w tej rozmowie. Chodziło o to, żeby odegrać się na Jenny, w jakikolwiek sposób.

- Chcesz, żebym mówił o nim z większym szacunkiem, na przykład dzieciak z zaburzeniami psychicznymi albo niepełnosprawny intelektualnie?

Wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Zresztą, nie sądzę, żeby Petera to obchodziło - stwierdził. - On nie żyje. Poza tym, takie są fakty, prawda? Był opóźniony w rozwoju. Kiedy masz iloraz inteligencji sto pięćdziesiąt, jesteś geniuszem. Jeśli wartość twojego IQ jest równa temperaturze pokojowej, jesteś debilem.

- Jesteś jeszcze większym gnojkiem niż Tony.

- To wzruszające, że tak bronisz swojego faceta. Naprawdę, wzruszające.

Tupnęła nogą i krzyknęła:

- Do cholery, on nie jest moim facetem!

- Pieprzyłaś się z nim cały czas, kiedy byłem w więzieniu.

Nie odeszła, nawet nie wyglądała na wściekłą, po prostu wydawała się zawiedziona.

- To nie tak.

Pulsowało mu w głowie. Pod palcami wyczuł guz po uderzeniu pistoletem.

- Tak słyszałem.

Usta Jenny zadrżały. Ray spodziewał się łez. Może na ich widok poczułby się lepiej. Ale niespodziewanie twarz Jenny zmieniła się. Teraz malowała się na niej arogancja.

- Nie masz żadnego pojęcia, o czym mówisz. Nigdy nie miałeś. I na twoim miejscu nie pyszniłabym się tak.

Skoro chciała zachowywać się jak suka - nie ma sprawy, on też może pobawić się w tę grę.

Spojrzał na jej nogi, błędząc wzrokiem po gładkich udach. Powoli, tak żeby na pewno zauważyła. Kiedy był pewien, że zaczęła czuć się nieswojo, stwierdził:

- Idź na górę - tam, gdzie twoje miejsce.

Odwróciła się i już miała odejść, ale rzuciła jeszcze przez ramię.

- Jesteś gnojkiem, Raymond.

- Nie mów do mnie Raymond! - krzyknął w kierunku jej pleców, patrząc, jak odchodzi.



Jenny Porter nie miała zamiaru pozwolić, żeby ten dupek Ray Shane widział jak płacze. Kosztowało ją to mnóstwo wysiłku, ale dała radę utrzymać emocje na wodzy do czasu, gdy znalazła się sama w łazience. Jak tylko drzwi za nią zatrzasnęły się, wybuchnęła łzami, które powstrzymywała od sześciu miesięcy.

Kiedy się uspokoiła, spojrzała na swoje odbicie w lustrze - na przekrwione oczy, na dwa strumyki tuszu do rzęs spływające po policzkach i na smarki ciągnące się z nosa. Nalała do umywalki ciepłej wody, zamoczyła w niej chusteczkę i zaczęła wycierać twarz.

Ray był na wolności od sześciu miesięcy i od sześciu miesięcy pracował w Domu. Ale przez cały ten czas odezwał się do niej tylko jeden raz, kiedyś na parkingu. Powiedział wtedy coś naprawdę okrutnego. Zachowywał się tak, jakby się nie znali. Nie, jeszcze gorzej - mężczyźni, których nie знаła, cały czas do niej zagadywali. On zachowywał się tak, jakby nie chciał jej znać, jakby budziła w nim obrzydzenie.

Każdej nocy siedział przy barze i mijala go wiele razy, kursując w górę i w dół po schodach. Zawsze odwracał wzrok. Kiedy inni mężczyźni na nią patrzyli, czuła, że rozbierają ją wzrokiem, czasem nawet gwałcą w myślach. Kiedy Ray na nią patrzył, wyglądał tak, jakby właśnie odkaslnął coś obrzydliwego, co zalegało mu w głębi gardła. Jakby musiał splunąć.

Wiedziała, że tak naprawdę nie był okrutny, przynajmniej zanim trafił do więzienia. Gdy tylko wyszedł, pobiegła do niego, chciała wytłumaczyć, co się stało, ale ją odtrącił.

- Wiem, że potrzebujesz trochę czasu, żeby wszystko sobie poukładać - powiedziała i dodała, że poczeka, aż Ray przyzwyczai się znowu do normalnego życia. Wtedy będą mogli spokojnie porozmawiać i wszystko

sobie wyjaśnić.

Ale ten moment nie nastąpił. Czekala, ale on nigdy się nie odezwał. Kiedy próbowała sama, po prostu odchodził. Kiedy dzwoniła, rozłączał się.

Wróciła myślami do tamtego dnia. Szósta rano. Dwa miesiące od kiedy wyszedł. Dom Wschodzącego Słońca właśnie zamknięto. Czekala na niego na parkingu przy Decatur, dwie przecznice od Domu, zdeterminowana, żeby w końcu szczerze z nim porozmawiać. Tamtej nocy spotkała go tylko raz. Około północy stał przy liczniku, kiedy zeszła z drugiego piętra. Spojrzył na nią wtedy wzrokiem pełnym nienawiści - bez wątpienia wiedział, że była na gorze z klientem.

Na parkingu starała się mu wyjaśnić, co się stało, kiedy trafił do więzienia. Powiedziała mu o chorobie matki - miała raka i było z nią tak źle, że trzeba było wynająć pielęgniarkę do całodobowej opieki. Co miesiąc dwa tysiące dolarów szło na leki. Zanim nastąpił koniec, matka spędziła osiem miesięcy w szpitalu. Nie była ubezpieczona. Czy zdawał sobie sprawę, ile to wszystko kosztowało?

- Zrobiłaś dobry użytek z mojego mieszkania? - spytał tylko, a spojrzenie jego niebieskich oczu było tak mroźne, że przeszedł ją dreszcz. - To tam obściskiwałaś się z Tonym? Czy może ty chodziłaś do niego? Właziłaś mu do łóżka, kiedy jego żona była na zakupach?

W końcu oboje zaczęli na siebie krzyczeć.

- A czego, do cholery, się spodziewałeś? - wrzasnęła. - Zamiast być przy mnie, siedziałeś pięć lat w pieprzonym więzieniu. Nigdy w życiu nie byłabym w stanie zarobić pieniędzy na leczenie matki, podając drinki w tym barze dla turystów we French Quarter. Więc zwolniłam się i zatrudniłam w Domu. Liczyłam się z tym, co to za praca, ale dzięki niej mogłam zaopiekować się mamą.

- Ale skoro ona już nie żyje, to co ty ciągle tutaj robisz? - spytał wtedy.

Tak, dobrze pamiętała tamtą kłótnię o poranku. Jakby wszystko to stało się zaledwie wczoraj, a nie cztery miesiące temu. Wtedy też łzy stanęły jej w oczach.

- Długi - odpowiedziała. - Mama nie żyje, ale zostały długi.

Jenny zadbała o matkę tak dobrze, jak tylko się dało, ale ciągle za to płaciła.

Kłócili się tak głośno, że zwrócili uwagę parkingowego. Kiedy do nich podszedł, Ray nie odezwał się ani słowem, posyłając mu tylko pełne wściekłości spojrzenie. Stary odszedł, powłócząc nogami.

W końcu Ray zacisnął dłoń w pięść, jakby miał zamiar ją uderzyć, ale nigdy wcześniej nie podniósł na nią ręki i tamtej nocy też tego nie zrobił. Zrobił za to coś gorszego.

- Jesteś zwykłą dziwką - rzucił, a potem wszedł do samochodu i odjechał. Od tamtej pory nie zamienili ani jednego słowa. Aż do dzisiaj, kiedy powiedział prawie to samo.



Ray stał na krawędzi dachu, z twarzą skierowaną na wschód. Pierwsze różowe promienie porannego słońca muskały wierzchołki drzew na Esplanade Avenue. Lubił tutaj być, czuł się wtedy czysty.

Nie wiedział czemu - może za sprawą rześkiego porannego powietrza albo wschodzącego słońca, a może czegoś zupełnie innego. Cokolwiek by to nie było, podobało mu się to uczucie i dlatego przychodził tutaj prawie każdego ranka.

Wytrząsnął z prawie pustej paczki lucky strike'a. Potem parę razy pstryknął zapalniczką Zippo - cholerstwo nie działało. W końcu po kilku próbach udało mu się wykrzesać płomyk. - Zaciągnął się dymem i nagle zaczął kaszleć tak mocno, że przechylił się przez gzyms dachu. Przed upadkiem z trzeciego piętra uchroniła go tylko antena satelitarna, której udało mu się w porę chwycić. „Cholerne papierosy - pomyślał - a ostrzegają, że palenie zabija”.

Spojrzał w dół, tam, gdzie przed chwilą mógł spaść, na obrzydliwie brudną aleję, pomiędzy Domem a sąsiednim budynkiem. Dwóch meneli leżało na kartonach obok śmietnika. Wciągnął nosem powietrze tak głęboko, że poczuł parujący z uliczki smród. Zdał sobie sprawę, że to chwilowe uczucie czystości, którego tutaj doświadczał było jedynie złudzeniem, bo przecież wciąż otaczało go gównno. Iluzja - iluzją, a on i tak każdego ranka z utęsknieniem czekał na tę chwilę samotności. Wyrzucił teraz ze swojej głowy wszystko, co zdarzyło się tego pieprzonego dnia: Petera Messinę, Tony'ego Zello, Carla Landry'ego, Jenny Porter, dwóch meneli leżących na dole. Obmywało go rześkie powietrze, a promienie słońca migotały w koronach drzew, malując szkarłatem chmury. Ten widok przywołał wspomnienia z dzieciństwa Raya, sprzed wielu lat, zanim matka umarła a ojciec rozpił się na dobre. Przypomniał sobie coś, co tato powiedział mu pewnego ranka. Jak to szło? Poranne czerwone słońce... Nie, to nie tak. Zastanowił się chwilę. „Czerwone niebo, zapada noc - w marynarzu radości moc. Właśnie tak! Czerwone niebo, zaczyna się dzień - marynarzu pilnuj się”. Teraz niebo było krwistoczerwone. Zbierało się

na deszcz.

„Cholerna Jenny! Co za tupet! Podchodzi i pyta mnie jak się czuję, jak gdyby nigdy nic. Udaje, że przejmuje się guzem na mojej głowie i podbitym okiem. Dlaczego niby miałyby ją to obchodzić, po tym jak wbiła mi nóż w serce? Pieprzyć ją, pieprzyć wszystkich! Nie potrzebuję jej współczucia. W ogóle jej nie potrzebuję. Nikogo nie potrzebuję”.

Ray zaciągnął się mocno papierosem, gapiąc się na dwóch pijaczków, pogrążonych we śnie na swoich tekturowych łózkach. Pstryknął niedopałek w ich stronę, obserwując jak opada, wirując leniwie i pozostawiając w powietrzu drobinki gorącego popiołu.

Prawie trafił. Pet uderzył w bok śmietnika, odbił się i wylądował na ziemi, około czterech stóp od jednego ze śpiących. Ray spojrzał w niebo na zbierające się chmury i pomyślał, że ci dwaj nieźle zmokną, kiedy zaskoczy ich deszcz.

## Rozdział trzeci

Jenny dotarła z trudem do swojego mieszkania i zamknęła drzwi. Zegar na kuchence wskazywał siódmą dwadzieścia pięć rano. Rozbierała się w łazience, rzucając ubranie na podłogę i patrząc jak co dzień na swój strój kelnerki, który traktowała jak strój dziwki. Była ciekawa, czy Ray jest zły, że ciągle zajmuje to mieszkanie, jego mieszkanie, które kiedyś dzielili.

Najpierw mieszkał tutaj sam, potem wprowadziła się do niego. Kiedy trafił do więzienia, chciała się stąd wynieść, ale w końcu została. Czemu nie? Nie było przecież łatwo znaleźć mieszkanie we French Quarter, a to znajdowało się blisko baru, w którym wtedy pracowała. Do Wschodzącego Słońca było stąd nawet bliżej, więc kiedy zatrudniła się w Domu, miała jeszcze lepszy powód, żeby zatrzymać mieszkanie.

Odkręciła kurki nad wanną. Poczekwała aż woda zrobi się naprawdę gorąca, a wtedy przełączyła strumień wody na prysznic. Ostrożnie weszła do wanny i zaciągnęła za sobą zasłonę. W środku było bezpiecznie i ciepło, czuła, że cały ten cholerny świat nie ma tutaj wstępu.

Każdego ranka zaraz po powrocie z Domu do mieszkania brała prysznic. Stała pod gorącą wodą tak długo, aż nie zaczynała płynąć zimna.

Przez pełnych dziesięć minut Jenny tkwiła pod prysznicem, pochylona do przodu, z dłońmi opartymi o ścianę. Woda spadała kaskadą na jej głowę, dzieląc włosy na grube pasma, okalające twarz z obu stron. Pochyliła się jeszcze bardziej, tak żeby strumień uderzał jej w kark.

Kiedy woda częściowo zmyła z niej napięcie, Jenny zaczęła się szorować. Drewnianą ostrą szczotką z długą rączką wymyła plecy, ramiona i ręce. Potem usiadła i zrobiła to samo z nogami i stopami. Tarła ciało niemal aż do zdartej skóry, ale nawet wtedy nie poczuła się czysta. Wstała i pozwoliła ostatnim strużkom ciepłej wody obmyć jej ciało, wyobrażając sobie, że zmywa się z niej cały brud.

Jak tylko woda zrobiła się zimna, Jenny zakręciła kurki. Odsunęła zasłonę prysznica i wyszła z wanny. Sięgnęła po gruby ręcznik leżący na półce obok. Wycierając się, myślała o Rayu.



Po ich porannym spotkaniu widziała go jeszcze raz, tuż po szóstej, zaraz po tym, jak gliniarze w końcu poszli. Stała właśnie na pierwszym piętrze, próbując ukryć się przed wszystkimi na dole, gdy dostrzegła Raya, opuszczającego budynek wyjściem awaryjnym. Już wcześniej widziała, jak wychodzi przez te drzwi. Zdawała sobie sprawę, że ma zamiar wejść na dach po zewnętrznych schodach pożarowych. Pomyślała, że pójdzie za nim, że znowu spróbuje z nim porozmawiać, ale jednak nie zrobiła tego.

Nie było sensu. Zbyt wiele się między nimi wydarzyło, żeby mogli kiedykolwiek wrócić do tego, co było kiedyś.

Kilka minut po tym, jak Ray udał się na dach z zamiarem zrobienia cholera wie czego (jak zresztą każdego poranka), zobaczyła Tony'ego Zello pędzącego w dół schodami. Domyśliła się, że właśnie był w mieszkaniu Vincenta Messiny na trzecim piętrze.

Patrząc, jak szczerzy zęby w triumfalnym uśmiechu, domyśliła się też, iż udało mu się przekonać szefa, że w napadzie nie było żadnej jego winy.

Na widok Jenny stojącej przy barze Tony zwolnił. Zszedł ze schodów i zbliżył się do niej.

- Shane naprawdę wszystko spieprzył tym razem.

- To znaczy? - spytała, siłąc się na obojętny ton.

- Żarty sobie robisz? - Tony oparł się łokciem o bar, niebezpiecznie blisko jej ramienia. Wkurzyło ją to, ale nie poruszyła się. Często tak robił. Skoro kiedyś ze sobą sypiali, to Jenny straciła prawo do własnej przestrzeni osobistej, którą on może naruszać, kiedy tylko chce.

- Zrobiliśmy temu dupkowi przysługę - powiedział. - Daliśmy mu robotę, miał odpowiadać za bezpieczeństwo. A on pozwolił czterem facetom wejść tu i nas opędzłować.

- Czterem facetom z bronią, Tony.

- Prowadzimy ten interes od dwudziestu lat i wiesz, ile razy nas okradli?

Nie miała pojęcia, ale coś jej mówiło, że zaraz się dowie. Tony podniósł dłoń i złączył palec wskazujący z kciukiem w kształt okręgu.

- Zero, właśnie tyle.

Jenny wyprostowała się, czując jak narasta w niej gniew.

- A co miał zrobić?

- To, za co mu płacimy. - Tony również się wyprostował. - Gdyby miał jaja, powstrzymałby tych skurwysynów.

- A niby jak? Patrząc na nich groźnie?

Tony odwrócił się do niej i wzruszył ramionami.

- Kiedy Stary do mnie zadzwoni, powiem mu wprost, że to Shane nawalił.

Wiedziała, że Tony pieprzy głupoty i próbuje jej zaimponować, udając ważniaka.

- A czemu Carlos miałby do ciebie dzwonić?

- Interesy. Stary dzwoni do mnie prawie codziennie.

Wskazała na schody.

- A czy przypadkiem nie byłeś właśnie na trzecim piętrze, upewniając się, że Vincent nie pomyśli, że to twoja wina?

Oczy Tony'ego zwięziły się w szparki.

- Nikogo nie obchodzi, co myśli Vincent. To Carlos jest szefem. Pozwala Vinniemu prowadzić ten biznes tylko dlatego, że są braćmi i żeby nie miał szansy spieprzyć niczego innego.

- Mogę cię cytować?

- Vinnie jest jak pieprzona królowa Anglii.

- Nazywasz Vinniego królową <sup>[4]</sup>?

Tony prychnął i potrząsnął głową.

- A co ona tak naprawdę robi? To znaczy, królowa Anglii. Nic. Jest tylko figurantką, dokładnie tak jak Vinnie.

Stuknął palcem w swoją pierś:

- To ja prowadzę Dom.

- To będzie dla Vinniego duża niespodzianka, jak dowie się, że jest ciotą i że dla ciebie pracuje.

Tony wycelował w Jenny palec.

- Lepiej siedź cicho albo skończysz na ulicy, handlując swoją cipką na Tulane Avenue, jak te wszystkie inne zaćpane dziwki.

Wsunął jej rękę między nogi. Jenny ją odepchnęła.

- Trzymaj łapska przy sobie.

Tony przysunął się jeszcze bliżej.

- Kiedyś mówiłaś coś innego - zmienił barwę głosu na, jak mu się wydawało, aksamitny, seksowny baryton. - A może tak pójdziesz do domu i wymyjesz się do czysta, a ja później wpadnę?

Jenny spojrzała Tony'emu prosto w oczy.

- Jak chcesz kogoś przelecieć, to idź do domu i przeleć swoją żonkę.

Odwróciła się i odeszła w kierunku schodów.

Jenny знаła Tony'ego od lat i wiedziała jak rozumuje jego chytry mózdzek. Jako dupowłaz pierwszej klasy miał zamiar wyjść z tego napadu czysty. Najpierw podliże się Vincentowi, potem za plecami Vinniego

pójdzie do jego brata, Carlosa i obrobi mu tyłek subtelnie, ale skutecznie. Nastawianie dwóch braci przeciwko sobie to niebezpieczna zabawa i jeśli jakiegś gnidzie miało się to udać, to właśnie Tony'emu Z.

Jenny wytarła się do sucha, owinęła głowę ręcznikiem i podeszła do umywalki. Chciało się jej płakać na widok nagiego odbicia, które wpatrywało się w nią z lustra wiszącego na ścianie. Z zewnątrz, wyglądała mniej więcej tak, jak wtedy, kiedy Ray trafił do więzienia: pięć stóp i siedem cali wzrostu, szczupła talia, delikatne krągłości. Miała ciało, którego mężczyźni pożądali i za które dobrze płacili. Mimo to pod krągłymi biodrami i pełnymi piersiami czuła wielką pustkę, upodlenie, do którego sama się sprowadziła.

Nie chciała się nad sobą uzalać. Potrząsnęła owiniętą ręcznikiem głową, próbując zebrać myśli. Skupiła się znowu na Rayu i skoku. Powinna go ostrzec, że Tony będzie próbował zrzucić na niego całą winę. Żeby Ray mógł się bronić, musi wiedzieć, co się dzieje. Ale czy ten uparty irlandzki sukinsyn w ogóle będzie chciał jej słuchać? A nawet jeśli wysłucha i zrozumie, jakie niebezpieczeństwo mu grozi, czy cokolwiek z tym zrobi? Od kiedy Ray wyszedł z więzienia, wydawało się, że nic go już nie obchodzi, a zwłaszcza on sam.

Jenny ściągnęła ręcznik i osuszyła nim włosy. Potem rzuciła go na umywalkę i wciągnęła różowe majtki. Następnie narzuciła męską, za dużą szarą koszulkę, na której widać było ciemnoniebieską gwiazdę i półksiężyc - symbol nowoorleańskiej policji.

W sypialni usiadła na łóżku i wbiła wzrok w telefon stojący na nocnym stoliku. Wtedy zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, jak może skontaktować się z Rayem. Słyszała, że mieszka gdzieś przy marinie, w jednych z tych mieszkań w hangarze, ale nie znała jego numeru telefonu ani nie wiedziała, czy w ogóle go ma. Zresztą, brak telefonu byłby w jego stylu - Ray nie był zbyt towarzyski.

Wystukała numer Domu, ot tak dla draki, i zdziwiła się, gdy ktoś odebrał. Jeden z barmanów wciąż czekał na dostawę. Po kilku minutach udało mu się znaleźć numer telefonu komórkowego Raya.

Zapisała go w notatniku leżącym przy telefonie. Rozłączyła się i spojrzała na budzik. Był kwadrans po ósmej rano. Jej wzrok powędrował na notatnik, potem na telefon i znowu na budzik.

Było zbyt wcześnie, żeby dzwonić do Raya. Pewnie dopiero kładł się spać. Sama też potrzebowała snu. „W południe - zdecydowała - obudzę się i zadzwonię w południe”. To mogło poczekać.

A Tony gadał pewnie tylko po to, żeby posłuchać swojego własnego

głosu.

↓

Jenny obudziła się z myślą, że poprzednia noc była tylko złym snem. Po chwili przypomniała sobie jednak, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Czterech uzbrojonych bandytów obrabowało Wschodzące Słońce. Jeden z nich walnął Raya w głowę i prawie go zastrzelił. Ray oberwał od Tony'ego, potem od gliniarza. Tony próbuje zrzucić całą winę na Raya. Jenny usiadła. Musiała do niego zadzwonić. Zielone cyfry budzika wyświetlały pięć po dwunastej.

↓

Wzięła do ręki telefon, zerknęła na notatnik na stoliku nocnym i wystukała numer Raya. Ostry dźwięk telefonu wyrwał Raya z koszmaru. Śniło mu się, że wisi związany w chłodni, a kilku oprychów z nożami rzeźnickimi zamierza się nim zająć. Nie miał pojęcia, dlaczego to się dzieje ani czym ich wkurzył. Oprawcy milczeli. Nie byli w stanie. Zamiast twarzy mieli pozbawioną rysów gładką skórę naciągniętą na czaszki.

Przez kilka sekund po pierwszym dzwonku Ray był zawieszony gdzieś pomiędzy jawą a snem, ale przytomny na tyle, by dotarło do niego, że znajduje się w domu w łóżku, a nie w chłodni. Odetchnął z ulgą.

Ponownie rozległ się dźwięk telefonu. Rozejrzał się za komórką, ale nigdzie jej nie było. Po kolejnym dzwonku zauważył telefon na odwróconej skrzynce po piwie, która służyła mu jako stolik. Sięgnął po komórkę, ale stracił ją tylko na podłogę, właśnie, gdy znowu zadzwoniła.

W końcu chwycił telefon. Przez chwilę wahał się, czy odebrać.

Nieczęsto do niego dzwoniono. Telefon miał właściwie tylko po to, żeby czasem zamówić pizzę. Kiedy usłyszał kolejny dzwonek, odebrał i przyłożył telefon do ucha.

- Tak?

Cisza.

Już miał się rozłączyć, kiedy głos Jenny Porter spytał:

- Ray?

Głowa pękała mu z bólu.

- Czego chcesz?

- Jak się czujesz?

- Spałem, póki nie zadzwoniłaś - nie wspomniał nic o śnie ani o tym, jak bardzo ucieszył się, kiedy telefon go obudził.

- Myślałam, że o tej porze będziesz już na nogach. Nie sądziłam, że

jeszcze śpisz.

Spojrzał na zegarek. Było po dwunastej.

- Teraz już nie śpię...

Kilka sekund ciszy.

- O której wróciłeś?

Oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy.

- O dziesiątej.

- Czemu tak późno?

Ray położył wolną rękę na czole. Ból był niezwykle silny - miał wrażenie, że Jenny słyszy huk jego pękającej głowy.

- A jak ci się wydaje?

Znowu cisza. Po chwili Jenny odezwała się:

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać.

- Nie chcę o niczym rozmawiać.

- Ale Ray...

- Jenny, jestem zmęczony i boli mnie głowa. Pracuję dzisiaj wieczorem i muszę się przespać.

- Ja też pracuję, do diabła. Zadzwoiłam, bo muszę ci coś powiedzieć.

- Ja pracuję, stojąc, a ty - leżąc.

Rozłączyła się.

Ray sięgnął w kierunku odwróconej skrzynki po piwie, chwycił prawie pustą paczkę lucky strike'ów i zippo. Znowu musiał pstryknąć zapalniczką kilka razy, zanim zadziałała. Musi pamiętać, żeby kupić nowy knot. Odpalił papierosa i zamknął oczy, czekając na nikotynowego kopa. Zamiast tego zaniósł się kaszlem. Minęła dobra minuta, zanim był w stanie złapać oddech. Kiedy w końcu dał radę odetchnąć świeżym powietrzem, poczuł w płucach ogień. Po kilku oddechach odkaslnął flegmę i splunął do śmietnika stojącego przy łóżku. Potem znowu się zaciągnął. Dobrze mieć już za sobą poranny atak kaszlu.

„Czego ona u diabła chce? Dlaczego koniecznie chce ze mną porozmawiać?” - zastanawiał się. Zresztą, co by to nie było, nie zamierzał jej słuchać. Nie miał jej nic do powiedzenia i nie obchodziło go, co ona chce powiedzieć jemu. Co było, minęło i nie ma żadnego wpływu na przyszłość, chyba że się postanowi inaczej.

Siedział pogrążony w sztucznej ciemności. Pałac papierosa, wsłuchiwał się w deszcz dudniący o blaszany dach hangaru. Wygramolił się z łóżka i podszedł do okna, po drodze strzepując popiół na drewnianą podłogę. Pracował w nocy i spał w dzień, więc jedną z niewielu zmian, jakich musiał dokonać w domu, było zastąpienie cienkich jak pajęczka nici

zasłonek grubym kocem. Żeby zasnąć, potrzebował ciemności.

Odsunął koc na bok i wyjrzał przez okno. Lało jak z cebra. Spojrzał na wzburzoną, brązową wodę jeziora Pontchartrain, potem na szare niebo. Daleko na horyzoncie stapały się tak idealnie, że nie sposób było rozróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Kiedy kładł się spać, wciąż było słonecznie, a burzowe chmury dopiero się zbierały. „Ojciec miał rację” - pomyślał. „Czerwone niebo, zaczyna się dzień - marynarzu pilnuj się”.

Tuż poniżej okna znajdowała się tylna część hangaru. Blaszany, lekko pochyły dach ciągnął się na długości piętnastu stóp w kierunku jeziora. Ray wpatrywał się w deszcz stukający o falistą blachę. Strużki wody spływały w równych odstępach, a potem spadały z jego krawędzi i znikwały w nowoorleańskiej marinie, dziesięć stóp niżej.

Wyjął szklanekę z szafki we wnęce kuchennej. Wrzucił trochę lodu i dopełnił whisky z prawie pustej butelki Jamesona stojącej na stole. Wiedział, która jest godzina - tuż po dwunastej, czyli pora powszechnie uważana za nieodpowiednią, by rozpocząć picie.

Ray pociągnął łyk. Irlandzka whisky spłynęła mu żarem do żołądka. Dwie godziny to zdecydowanie za mało, żeby się wyspać, ale zaczynał dzisiaj pracę dopiero o dziesiątej wieczorem. Miał więc mnóstwo czasu na obejrzenie meczu, parę głębszych i drzemkę. Atmosfera w Domu na pewno będzie napięta przez jakiś czas, ale w końcu wszystko się uspokoi. Mafijni twardziele na pewno dorwą tych, którzy dokonali napadu. Do cholery, nie można okraść mafii i ująć z tego cało. Pewnych rzeczy po prostu się nie robi.

Ray miał teraz pilniejszy problem: pilot do telewizora gdzieś przepadł. Po kilku minutach poszukiwań na kolanach, znalazł go pod łóżkiem. Może i mieszkał w norze, ale telewizor miał przyzwoity. Trzydziestodwucalowa plazma z wbudowanym odtwarzaczem DVD ustawiona była przy drzwiach na skrzynce po piwie. Nie był zwolennikiem stolików pod telewizor. W końcu ogląda się telewizję, a nie stolik.

Praca dla mafiosów miała swoje dobre strony. Telewizor dostał nowiutki, w pudełku, za sto dolców. Była to jedna z tych rzeczy, które - jak to się mówi - spadły z ciężarówki. Co innego kablówka - Raya nie było na nią stać, ale jego sąsiada - już tak. Kumpel, który pracował kiedyś dla Radio Shack, podłączył Rayowi konwerter cyfrowy własnej produkcji. Wystarczyło już tylko podpiąć kabel sąsiada do rozdzielacza sygnału i Ray mógł cieszyć się wszystkimi kanałami w jakości HD, również tymi z

pakietu premium.

Wrócił z powrotem do łóżka, postawił na skrzynce już prawie pustą szklankę i wetknął w usta kolejnego papierosa. Tym razem płomień błysnął za pierwszym razem. Rzucił zapalniczkę i włączył pilotem telewizor.

Wtedy zadzwonił telefon. Ray zerknął na niego z nadzieją, że zaraz przestanie, ale wciąż dzwonił. Czego ona znowu chciała?

Chwycił telefon i krzyknął, nawet nie sprawdzając wyświetlacza:

- Nigdy więcej się ze mną nie rozłączaj!

Głos Tony'ego Z. wrzasnął mu do ucha.

- Zamknij mordę, Ray.

Ray zamknął mordę.

- Vincent chce cię zobaczyć.

Ray wyłączył dźwięk w telewizorze.

- Teraz?

- Nie. Wtedy, kiedy uda ci się jakoś go wcisnąć w swoim kalendarzu.

- Co? - Ray nie załapał sarkazmu.

- Oczywiście, że teraz, ty pieprzony kretynie!

Włosy zjeżyły się Rayowi na karku (sygnał ostrzegawczy, który pozostał z czasów jaskiniowców). Był w niebezpieczeństwie. Vincent Messina raczej nie wzywał go po to, żeby pogratulować dobrze wykonanej roboty.

- Gdzie? - spytał Ray.

- W jego biurze.

Ray nie odpowiedział.

- Jesteś tam, dupku?

- Już jadę.

# Rozdział czwarty

Młody łamacz gnatów o posturze futbolisty prowadził Raya do biura Vincenta na trzecim piętrze. Strój chłopaka był niedbały, ale Ray uznawał to za znak czasów. Kiedy pracował w obyczajówce, każdy mafioso nosił garnitur. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Nowe pokolenie nie szanowało tradycji. Ubrany w spodnie khaki i koszulkę polo, rosły chłopak wyglądał jak pospolity gangster. Po otwarciu drzwi stanął z boku i wpuścił Raya pierwszego.

Ogromne biurko Vinniego znajdowało się naprzeciwko drzwi, na samym końcu długiego, prostokątnego biura. Pokój przypominał Salę Wielką na jakimś zamku, a Vincent Messina - pana feudalnego siedzącego na tronie, który mierzy groźnym wzrokiem swoich pokornych poddanych. Całą powierzchnię zewnętrznej ściany stanowiły okna z widokiem na French Quarter.

Mięśniak położył rękę na plecach Raya i poprowadził go w kierunku kompletu skórzanych sof ustawionych ukosem przed olbrzymim biurkiem. Tony Z. siedział na fotelu obok, odpicowany we włoski garnitur. Jego wypomadowane, idealnie gładkie włosy nasunęły Rayowi pytanie: czy Tony Z. w ogóle kładzie się spać?

W biurze byli jeszcze dwaj mężczyźni. Na krześle, w odległym kącie pokoju, pomiędzy biurkiem a oknem siedział kolejny osiłek.

Ubrany był tak jak jego partner - w spodnie khaki i trykotową koszulkę. Drugim mężczyzną był Charlie Liuzza, na którego wszyscy wołali Charlie Królik. Miał ponad sześćdziesiąt lat, ale widać było, że dba o formę. Siedział na brzegu sof, ubrany w garnitur.

Nie był to drogi, włoski garnitur w stylu Tony'ego, a raczej taki, który można było znaleźć na wieszaku w przyzwoitym centrum handlowym.

„Charlie nie ma z Domem nic wspólnego, więc co on tutaj robi?” - pomyślał Ray.

Siadając zastanawiał się, co on sam tutaj robi. Czuł się nieswojo. Podłoga pokryta była kilkoma dużymi dywanami, w które z łatwością można by zawinąć ciało. Osiłek, który przyproceedził Raya, zajął miejsce



w bliższym rogu pomieszczenia. Razem ze swoim niemal lustrzanym odbiciem wyglądali jak podpórki pod książkę, z Vincentem tkwiącym pośrodku.

- Czekał na ciebie, Ray - powiedział Vinnie, cienkim, nosowym głosem. Miał około pięćdziesiątki i nadwagę, a łysinę starał się ukryć pod idiotycznym zaczesaniem.

Ray nie miał pojęcia, czy jest to reprimenda, za to, że nie przybył wystarczająco szybko czy po prostu uprzejma uwaga, która miała zacząć rozmowę. Zaraz po telefonie Tony'ego wziął prysznic, ubrał się, wychylił jeszcze jedną szklaneczkę Jamesona na uspokojenie, narzucił na siebie sportową marynarkę i wyszedł. Piętnaście minut i dwa papierosy później wjechał swoim ośmioletnim mustangiem na parking przy Decatur, dwie przecznice od Domu.

- Zjawiłem się tak szybko, jak się dało - powiedział.

Ciemne oczy Vinniego, osadzone głęboko w kwadratowej twarzy, świdrowały Raya lodowatym spojrzeniem. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek wyjdzie stąd żywy. Spojrzał na dwóch młodych goryli. Siedzieli wciśnięci w swoje krzesła i nie wyglądali na takich, którzy mają zamiar cokolwiek mu zrobić. A nawet gdyby, miałby co najmniej kilka sekund, żeby jakoś zareagować. Ray rozluźnił się trochę.

Vinnie wskazał na Charliego Liuzzę.

- Znasz Charliego, prawda? Pracuje dla mojego brata. Jest tutaj na jego prośbę i ma się upewnić, że nic nie spieprzymy.

Ray nie wiedział co powiedzieć, więc tylko skinął Charliemu głową na powitanie.

- Ale ja zamierzam zająć się tym po swojemu - stwierdził Vinnie, patrząc na Charliego z ukosa - i posługując się swoimi ludźmi.

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Ray spróbował ją przerwać:

- Zająć się czym?

Vinnie zbył go gestem ręki.

- Chcę, żebyś wiedział, że w żaden sposób nie obarczam cię odpowiedzialnością za to, co się stało dziś rano - spojrzał na Tony'ego - nieważne, co niektórzy mówią.

- Dziękuję, panie Messina - odpowiedział Ray. - Chciałbym panu powiedzieć, jak bardzo przykro mi z powodu...

- Ale chcę, żebyś ich znalazł - dokończył Vinnie.

Cisza.

W końcu, Ray spytał:

- Znalazł kogo?

- Ludzi, którzy zastrzelili mojego syna.

Ray rozejrzał się po pokoju. Musi się jakoś stąd wydostać. Oczy wszystkich były w niego wpatrzone.

- Panie Messina... - zaczął - ja nie mogę tego zrobić.

Tony klasnął w dłonie, patrząc na Vincenta.

- A nie mówiłem!

Ray wtrącił się.

- Nie chodzi o to, że nie chcę. Zrobiłbym wszystko, żeby panu pomóc. Peter był dla mnie jak młodszy brat. Ale ja po prostu nie mogę. Nie mam... możliwości.

Vinnie zmroził go surowym wzrokiem.

- Co to znaczy, że nie masz możliwości? Do cholery, byłeś policjantem! Z pewnością wiesz, jak znaleźć ludzi, którzy nie chcą być znalezieni - pochylił się do przodu, nie odrywając oczu od Raya. - Proszę cię tylko o to, żebyś znalazł skurwysynów, którzy zamordowali mojego chłopca - ostatnie słowo wypowiedział zdławionym głosem. Zakasłał, starając się ukryć emocje. Był grubą rybą w mafii, ale jednocześnie tylko człowiekiem, który stracił jedyne syna.

Ray poczuł ścisk w gardle. Spojrzał w stronę najbliższego okna. Peter był dobrym dzieciakiem, niezbyt bystrym, ale kochanym. I niewinnym. Przełknął ślinę, rozluźniając gardło. „Ta gra toczy się o dużą stawkę - pomyślał - i nie ma co się rozczulać nad martwym półgłówkiem”. Zwrócił się do Vinniego Messiny:

- Kiedyś byłem policjantem. Teraz jestem tylko byłym więźniem.

- To jeszcze lepiej - stwierdził Vinnie. - Nie rozumiesz? Znasz obie strony ulicy. Oprócz tego nie jesteś już ograniczony żadnymi prawnymi bzdurami. Nie proszę cię, żebyś ich zabił. Proszę cię tylko, żebyś wykorzystał swój uliczny spryt oraz kontakty w policji i znalazł ich. My zajmiemy się resztą.

Ray odchrząknął.

- Nie mam już żadnych kontaktów. Siedziałem prawie pięć lat. Na Tulane i Broad powitaliby mnie tak ciepło, jak wita się wrzód na dupie.

- Mówiłem ci - wpadł mu w słowo Tony. - To pieprzony tchórz.

Ray zignorował go. Wciąż wpatrywał się w Vinniego.

- Żeby załatwić to jak glina, trzeba mieć dostęp do informacji - ekspertyz laboratoryjnych, badań balistycznych, kartotek, danych o prawach jazdy - takich rzeczy nie zdobędę.

Tony wskazał Raya palcem.

- Straciliśmy te pieniądze przez ciebie, Shane. Albo znajdziesz

facetów, którzy to zrobili i oddasz nam trzysta patyków, albo...

- Trzysta!? - krzyknął Ray, odwracając się w stronę Tony'ego.

- Słyszałeś.

- Nigdy nie trzymamy takiej kasy w...

Vinnie huknął swoim wielkim łapskiem w blat biurka.

- Gówno mnie obchodzą te pieniądze. Chcę dorwać sukinsynów, którzy zastrzelili mi syna.

„Robi się niebezpiecznie - pomyślał Ray - bardzo niebezpiecznie” i zwrócił się znowu do Vinniego:

- Rozumiem, czego pan chce, ale jestem na warunkowym. Tylko coś spieprzę, a wrócę do więzienia.

- Więc mi nie pomożesz? - spytał Vinnie niskim głosem, w którym czaiła się groźba.

- Ma pan w dystrykcie ósmym ludzi, którzy są w stanie dotrzeć do każdej informacji, jaka będzie potrzebna.

Tony prychnął.

- Gliniarze zawsze wiedzą najmniej o tym, co się dzieje. Drani, którzy to zrobili, nie znajdzie się w pieprzonym komputerze, trzeba ich szukać na ulicy. Ulica wszystko wie. Trzeba tylko wiedzieć, jak zapytać.

Vinnie otarł ręką twarz, nie spuszczać z Raya wzroku.

- Ja nie chcę, żeby to policja dorwała tych bydlaków.

- Może i rządymy połową dystryktu ósmego, ale gliniarze nie posuną się za daleko - wciął się Tony. - Muszą dbać o emerytury.

- I dlatego musimy to zrobić sami - dokończył Vinnie.

Ray zerknął na Charliego Królika, starego wygę o reputacji bezwzględnego zabójcy i na dwóch napakowanych osiłeków, siedzących jak kamienne posągi zapaśników sumo. Serce wyrywało mu się z piersi, a strach skręcał mu kiszki.

- Wciąż uważam, że mogą zrobić więcej, niż ja... To znaczy, gliny z dystryktu ósmego. Ale jeśli ja w to wejdę, mogą nie mieć ochoty z wami pracować.

Tony znowu wycelował palcem w Raya.

- To on narobił tego syfu i on musi go posprzątać. Gdyby nie był takim cykorem i zrobił, co do niego należy, nic by...

- Vinnie ma rację - przerwał mu Charlie Liuzza. - Nie liczą się pieniądze, nie liczy się, kto zawinił. Przynajmniej nie teraz - wskazał na Vinniego - Ten człowiek stracił syna, Carlos stracił bratanka. Krew za krew. A potem Carlos zajmie się resztą.

Krew napłynęła Vinniemu do twarzy. Pochylił się nad biurkiem,

przysłaniając jego krawędź swoim opastym brzuszyskiem.

- Powiedz mojemu bratu, że to ja prowadzę Wschodzące Słońce i to ja podejmuję tutaj decyzje.

Charlie wykonał pokojowy gest, podnosząc ręce, a dłonie zwracając na zewnątrz.

- On chce tylko, żeby znaleźć tych ludzi i ukarać ich za to, co zrobili twojemu synowi. Nic więcej. Pieniądze zawsze można zarobić.

Vincent nieco udobruchany znowu rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Przekaż bratu moje podziękowania.

Charlie skinął głową.

- A co z nim? - Tony wskazał kciukiem na Raya.

- Jak to co z nim? - spytał Charlie.

- Vinnie poprosił go o pomoc.

Charlie wziął głęboki oddech.

- Słyszałem o Rayu dużo dobrego. Dajmy mu czas na zastanowienie. Z pewnością wpadnie na coś, co nam pomoże.

- Czas na zastanowienie - powtórzył, prychając Tony. - To teraz już pozwalamy naszym ludziom zastanawiać się czy...

Vinnie znów walnął łapą w biurko.

- Tony!

Oczy Tony'ego zwęziły się ze złości, ale zamknął usta. Dwaj goryle poruszyli się na krzesłach. Po raz pierwszy wyglądali na zaniepokojonych.

- Wszyscy są zdenerwowani - próbował rozładować napięcie Charlie.

- Wszyscy są zmęczeni. Dokończmy tę rozmowę jutro. Jestem pewien, że do tego czasu Ray coś wymyśli, wykorzystując swoje wieloletnie doświadczenie w pracy śledczej. Albo przynajmniej poda jakieś ogólne wskazówki.

Tony pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Wbił wzrok w Charliego.

- A ty, jaki masz w tym udział? - spytał zaczepnie.

Starszy mężczyzna nie dał się sprowokować. Jego odpowiedź była taka, jak on sam: powolna i opanowana.

- Wydarzyła się tragedia, która dotknęła każdego z nas. Przyszliśmy tu wszyscy, żeby zrobić to, co najlepsze dla rodziny. Jak zawsze.

Vinnie spojrzał na Raya.

- Masz czas do jutra - zabrzmiał tak, jakby ogłaszał tymczasowe odroczenie egzekucji.

Ray kiwnął głową.

- Sprytnie to rozegrałeś - stwierdził Charlie.

- To znaczy? - spytał Ray, zastanawiając się, czemu Charlie Królik chciał z nim porozmawiać. Może zanim go zabije, chciał mu postawić ostatniego drinka? Tak jak skazańcowi daje się ostatniego papierosa tuż przed rozstrzelaniem.

Kiedy spotkanie w biurze Vinniego dobiegło końca, Charlie stuknął Raya w łokieć i głową wykonał gest „chodź za mną”. W milczeniu zeszli na dół, potem wyszli na zewnątrz i dotarli do Hog's Breath Saloon po drugiej stronie ulicy.

- Mówię o tym fiucie, Tonym - odpowiedział Charlie. - Nie dałeś mi się sprowokować. I dobrze.

Ray zaciągnął się papierosem i napił się whisky, ciekaw, dlaczego się tutaj znalazł.

- Gdzie siedziałeś? - kontynuował Charlie.

- W Terre Saute.

- Jak było?

- Długo - odpowiedział Ray, potrząsając szklanką i obserwując wirujący taniec kostek lodu.

- Odsiedziałeś jakieś cztery lata, tak?

Ray podniósł wzrok.

- Cztery lata i trzy miesiące.

Charlie zapalił papierosa.

- Wiem, o czym mówisz. Sam siedziałem dwa razy.

- Gdzie? - Ray poczuł nutę sympatii do starszego mężczyzny.

„Oby tylko ta sympatia nie skończyła się dla mnie kulką w głowie...”  
- pomyślał.

- Pierwszy wyrok odsiedziałem w więzieniu stanowym w Luizjanie. Najgorsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem. Ale miałem szczęście - dostałem dychę, ale wygrałem apelację i udało mi się wyjść po trzech latach. Później odsiedziałem dziewięć lat w federalnym, w Atlancie.

Ray zduśił niedopałek w popielniczce.

- Chyba nie dałbym rady przesiedzieć dziewięciu lat.

- Mówiłem tak samo po trzech latach w Angoli<sup>[5]</sup>, ale wszystko jest względne - Charlie upił łyk swojego drinka. - Wiesz, jak najlepiej odsiedzieć długi wyrok?

- Jak? - Ray pstryknął zapalniczką trzy razy, żeby zadziałała.

Następnie odpalił kolejnego lucky strike'a.

- Tak samo, jak krótki... - Charlie uniósł szklanę. Ray uśmiechnął się i podniósł swoją. - Jeden pierdolony dzień za drugim - powiedzieli jednocześnie i dopili alkohol.

Barman przyniósł drugą kolejkę. Charlie przesunął po barze dwudziestodolarowy banknot. Kiedy barman oddalił się, spytał Raya:

- Wiesz, jaki dzisiaj jest z nami problem?

- O czym mówisz?

- O nas, o rodzinie.

Ray potrząsnął głową.

- Wszystko przychodzi zbyt łatwo - odpowiedział Charlie. - Weź takiego kolesia, jak Tony. Młody piękniś z żelazem na włosach. Wygląda jak aktor, udający mafiosa w telewizji. Wystarczy na niego spojrzeć i wiadomo od razu, że nigdy nie siedział. Może był w pace na wycieczce, żeby wpłacić za kogoś kaucję.

- W ciągu tygodnia skończyłby jako czyjaś dziwka.

- Właśnie o tym mówię - odpowiedział Charlie. - Ale słusznie postąpiłeś.

- To znaczy?

- Nie dając mu w mordę.

- Mówisz o sytuacji dzisiaj, w biurze Vinniego, to jest pana Messiny?

- Do cholery, to nie papież. Możesz na niego mówić Vinnie. A chodzi mi o sytuację z wczoraj czy dzisiaj rano, czy kiedykolwiek to było. W każdym razie, wtedy, kiedy Tony i jego kumpel Rocco poturbowali cię za barem.

- Ty też już o tym wiesz?

- Muszę mieć wszystkich na oku, dla Starego.

- O ile mi wiadomo, nie tylko to robisz.

- Pozbywam się problemów - powiedział Charlie.

- A czy ja jestem problemem? - spytał Ray, starając się aby jego głos nie zdrzął.

- Jeszcze nie - odparł z uśmiechem Charlie. - Mówię poważnie, dobrze sobie poradziłeś z tamtą sytuacją.

Ray skinął głową w odpowiedzi na komplement.

- Szczerze mówiąc, on bije się jak dziewczynka.

Charlie wybuchnął śmiechem.

- Ale jest oficjalnym członkiem rodziny <sup>[6]</sup>. Nie twierdzą, że powinno tak być. Za moich czasów byłoby to nie do pomyślenia. Jednak fakty są faktami. Postąpiłeś najlepiej, jak mogłeś.

- Czemu on jest na mnie taki cięty? Ja mam pilnować, żeby pijani kolesie nie obmacywali dziewczyn i żeby nikt obcy nie dostał się na górę. Pilnowanie pieniędzy to robota Bobby'ego.

- Ponieważ Tony to pieprzony dupek. Chroni swój tyłek i Bobby'ego. Bobby jest w jego ekipie, tak jak tych dwóch mięśniaków. To Tony wyznaczył Bobby'ego do pilnowania kasy, więc jeśli Bobby zostanie obciążony winą, odpowiedzialność spadnie i na niego. A na to Tony nie pozwoli.

Ray zwilżył gardło whisky i powiedział:

- Tony zrzuca winę na mnie, a Vinnie ufa mi na tyle, żeby prosić mnie o pomoc? Czegoś tu nie rozumiem.

- To, co powiedziałaś w biurze Vinniego, to prawda. Szefa policji dystryktu ósmego mamy w kieszeni. Właściwie to posłaliśmy jego dzieciaki na studia.

- Więc dlaczego Vinnie potrzebuje mojej pomocy?

- Ponieważ nasz przyjaciel, policjant, nie może nam pomóc.

- Jest komendantem. Może robić, co tylko chce.

Charlie potrząsnął głową.

- PIB zaczyna dobierać mu się do tyłka. Boi się.

- Dobrze go rozumiem - odpowiedział Ray. - Dobrali się też do mojego tyłka i wylądowałem w więzieniu na cztery lata.

- Więc kazał Tony'emu się bujać.

- Tony na pewno bardzo się ucieszył.

Charlie wzruszył ramionami.

- A co mógł zrobić? Facet jest komendantem policji.

- Więc rozumiem, że teraz stawiają na mnie, tak?

- Możesz nie wierzyć, ale Vinnie ma słabość do glin. Gdyby nie był w mafii, sam prawdopodobnie zostałby gliną, jednym z tych obżerających się pączkami gliniarzy-grubasów. To on namówił brata, żeby zatrudnił ciebie, kiedy wyszedłeś z pudła. Poza tym gliniarze są lepiej wyedukowani niż przeciętny mafioso, więc Vinnie pewnie uważa, że masz większe szanse na złapanie tych śmieci niż którykolwiek z jego ludzi.

- Ale ja już nie jestem gliną - odpowiedział Ray. - Próbowałem mu to wyjaśnić. Jestem byłym więźniem. To oznacza, że znalazłem się na czarnej liście. Jestem jak trędowaty - gdziekolwiek się pojawię, inni gliniarze uciekają, żeby tylko czegoś ode mnie nie złapać. Teraz jestem tylko nieuzbrojonym ochroniarzem. Nie mogę ruszyć za bandą uzbrojonych morderców bez broni. A jeśli tylko zbliżę się do pistoletu,

złamię warunki zwolnienia warunkowego.

- Nikt nie każe ci do nich strzelać. Masz nam tylko pomóc.

Ray zebrał się w sobie:

- A... jeśli odmówię?

Twarz Charliego stężała:

- Wtedy staniesz się problemem.

Zamówili jeszcze jedną kolejkę. Tym razem zapłacił Ray.

Kiedy wychodzili z baru, Charlie wsunął mu w dłoń serwetkę.

- Masz tutaj mój numer. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zadzwoń.

Zobaczę, co będę mógł zrobić.



- Myślisz, że ten dupek się zgodzi? - spytał Tony, opierając się o ścianę obok jednego z wielkich okien w biurze Vincenta Messiny na trzecim piętrze.

Vinnie chrupał orzeszki ziemne z puszką, zapadnięty w sofę.

Kiwnął głową, ładując do ust kolejną garść.

- Zgodzi się.

Tony zmierzył wzrokiem pusty fotel za biurkiem Vinniego. Odepchnął się od ściany, podszedł do niego i usiadł, wsłuchując się z przyjemnością w dźwięk skrzypiącej skóry uginającej się pod ciężarem jego ciała. Kółka fotela toczyły się gładko po drewnianej podłodze, kiedy przysunął się do biurka i oparł łokciami o lakierowany blat.

- Nie widziałeś go wtedy na górze z tym gliniarzem. Raczej nie ściemniał, kiedy mówił, że w policji nie ma już przyjaciół.

Vinnie opróżnił puszkę, wysypując z niej resztki orzeszków wprost do ust. Kiedy skończył chrupać, powiedział:

- Jeśli nie zlecę Shane'owi tej roboty, mojemu bratu wyda się to dziwne.

Tony wiedział, że Vinniemu takie rozwiązanie nie leży, ale nie jest wystarczająco twardy, żeby się postawić starszemu braciszkowi, w którego cieniu żył. Stary Carlos znosił do pewnego stopnia pozerstwo młodszego brata, ale nic ponadto. Vinniemu brakowało charakteru i z pewnością nigdy nie będzie w stanie zastąpić brata - ktoś inny będzie musiał to zrobić.

- Więc dlaczego zmieniłeś zdanie? Przez tego fiuta, Charliego Królika?

Vinnie postawił pustą puszkę po orzeszkach na stole.

- Nie zmieniłem. Zgodziłem się tylko, żeby Shane zastanowił się do jutra.



- A od kiedy to dajemy naszym ludziom czas, żeby zastanowili się, czy zrobią, to co im każemy?

- Nie my, tylko ja - poprawił go Vinnie ze złością. - Ja im każę. I to nie są nasi ludzie. To moi ludzie.

„To nie jest dobra pora, by się kłócić. Cierpliwość, muszę uzbroić się w cierpliwość” - pomyślał Tony a głośno powiedział:

- Właśnie o to mi chodziło.

- Wiem, że doszło między wami do spięcia o tę laskę z dołu, ale...

- Ona mnie gównie obchodzi - krzyknął Tony. - To tylko kolejna dupa.

Vinnie przyglądał mu się uważnie.

- Kiedy pozwalasz sobie na emocje, łatwo jest stracić kontrolę.

Tony Z. zbył go machnięciem ręki.

- Po prostu nie lubię tego faceta.

- A ja go lubię, mój brat również. Pracuje dla nas już pięć lat.

- Jeszcze nie pięć - burknął Tony, który miał już dość wysłuchiwanie, jaki to niby twardzielem jest Ray Shane. Wszystko, co ostatnio usłyszał na temat Shane'a tylko utwierdziło go w przekonaniu, że to tchórzliwy kutas.

- Prawie pięć - odpowiedział Vinnie. - Ale najważniejsze - przynajmniej dla mojego brata - jest to, że nie puścił farby.

- Dobrze wie, co robimy z kapusiami.

Vinnie z trudem podniósł z sofy swoje wielkie cielsko.

- Chodzi o to, że Carlos ceni lojalność Shane'a. I ja też. Poza tym, jako były glina jest idealny do tej roboty.

Tony przypatrywał się Vinniemu, zastanawiając się, czy grubas będzie chciał odzyskać swój fotel. Ale ten tylko dotoczył się do najbliższego okna. Spoglądając na brudne ulice French Quarter, powiedział:

- Lojalność jest tym, co mój brat podziwia w ludziach najbardziej.

Tony obrócił się na fotelu w stronę okna, patrząc na plecy Vinniego.

- Jakim cudem pięć lat spędzonych w pudle może świadczyć, że jest taki lojalny? To tylko pokazuje, jaki jest głupi, skoro dał się nagrać FBI.

Wciąż odwrócony plecami, Vinnie spytał:

- Wiesz, dlaczego Charlie Królik był tutaj dzisiaj?

- Powiedział, że przyszedł pomóc. Cokolwiek to oznacza.

- Chodzi o coś więcej - odparł Vinnie. - Mój brat liczy się z opinią Charliego bardziej niż kogokolwiek innego. Jeśli nie spodoba mu się to, jak według Charliego radzimy sobie z obecną sytuacją... wiele osób może zapłacić za zeszłą noc.

Tony rozsiadł się wygodnie w wielkim fotelu.

- Nie ufam Shane'owi.

Vinnie odwrócił się od okna i wbił wzrok w Tony'ego. Ku swojemu zdziwieniu, Tony poczuł, że spojrzenie człowieka, którego na co dzień uznawał za zwykłego durnia, wzbudza w nim niepokój. W oczach Vinniego dostrzegł jakiś złowrogi żar, którego nie widział nigdy wcześniej na twarzy tego spasionego głupka.

- Carlos nas pilnuje, więc upewnij się, że Shane zrobi to, co mu każę.

## Rozdział piąty

Ray wyszedł z Hog's Breath Saloon wprost w rześistą ulewę. Biegając do Wschodzącego Słońca, chronił się przed deszczem, trzymając nad głową gazetę, którą zwędził z baru. Gdy dotarł do Domu, schował się pod markizą, czekając aż ulewa zelżeje i będzie mógł pobiec do samochodu zaparkowanego dwie dzielnice dalej, na Decatur Street.

Po dziesięciu minutach czekania i palenia przez Raya papierosa wciąż lało jak z cebra. Wyrzucił niedopałek na ulicę, znowu posłużył się przemoczoną gazetą jako parasolem i pobiegł w stronę samochodu. Kiedy znalazł się na parking, był pewien, że umiera. Paliło go w płucach, a w boku kłuło tak, jakby ktoś dźgnął go nożem. Przy wejściu na parking, pomiędzy bramką wjazdową i wyjazdową, znajdowała się niewielka budka. Ray wpadł do niej, wbijając strażnika w ścianę.

- Przepraszam, Shorty - wydyszał. - Muszę tylko złapać oddech.

Shorty był starszym, czarnoskórym mężczyzną. Był łysy, pulchny i niski - miał nie więcej niż pięć stóp i dwa cale wzrostu. Pilnował parking, odkąd Ray sięgał pamięcią.

- W porządku, panie Ray - odpowiedział Shorty. - Proszę się nie spieszyć, nie wygląda pan za dobrze.

Ray nabrał w płuca wilgotnego powietrza. Ledwo stłumił kaszel, a mimo to był ciekaw, czy w tej puszcze po sardynkach znajdzie się dość miejsca, by mógł sięgnąć po papierosa.

- Nie widać tego teraz - wychrypiał do Shorty'ego - ale kiedyś biegałem pięć mil dziennie, w słońce czy w deszcz.

- Och, wierzę, panie Ray. Wciąż wydaje się pan być w dobrej formie. Ale niech pan posłucha. Wiem, że to, co tutaj robicie, to nie moja sprawa, ale...

Ray odwrócił się i spojrzał na niego.

- Tak?

- Chwilę temu było tu dwóch mężczyzn, pytali o pana.

Ból w boku i ogień w płucach nagle znikły, jak ręką odjął.

- Kto to był?

Shorty odwrócił wzrok.

- To naprawdę nie moja sprawa...

- Kto?

- Pan Tony i ten drugi... ten wielki koleś. Nie pamiętam imienia.

- Rocco?

Shorty przytaknął.

- Czego chcieli?

- Nie mówili, chcieli tylko wiedzieć, który samochód jest pana.

Ray spojrział na koniec parkingu i zobaczył swojego mustanga. Wciąż tu stał, zaparkowany w tym samym miejscu, co zawsze. Poziom zero, przy ścianie po lewej stronie. Parking Shorty'ego wciśnięto pomiędzy parę osiemnastowiecznych budynków z cegły. Po obu jego stronach znajdowały się hydrauliczne windy, tak żeby można było ustawiać samochody przy ścianie, jeden nad drugim. Połowa tutejszych samochodów należała do pracowników Wschodzącego Słońca.

- Co im powiedziałeś?

- Nic im nie powiedziałem.

- Słuchaj, Shorty, nie będę mieć o nic pretensji - uspokoił go Ray. Był zaprzyjaźniony ze staruszką. - Muszę tylko wiedzieć, co im powiedziałeś.

- Ja... ja... musiałem im pokazać.

Okienka budki zaparowały. Ray przetarł szybę ręką. Uważnie rozejrzał się po całym parkingu. Ciągle lało. Nikogo nie było widać.

- Gdzie poszli?

- Tutaj już ich chyba nie ma.

- Nie jesteś pewien?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Shorty. - W którymś momencie wjechał jakiś samochód żeby zaparkować. Kiedy się odwróciłem, już ich nie było.

Na ścianie wisiał kawałek kwadratowej, pomalowanej na czarno sklejki. Z połowy przytwierdzonych do niej ponumerowanych haczyków zwisały kluczyki. Shorty trzymał je, żeby móc przestawiać zaparkowane samochody, wjeżdżać i zjeżdżać nimi z hydraulicznych wind. Samochody Wschodzącego Słońca stały na ziemi na wypadek, gdyby trzeba było szybko się ulotnić. Ray zdjął swoje kluczyki z jednego z haczyków, następnie poklepał Shorty'ego po ramieniu i wsunął mu do ręki pięć dolców.

- Dzięki - powiedział, wychodząc z budki i oddalając się w kierunku samochodu.

Kiedy znalazł się na miejscu, gazeta zmieniła się w rozmokłą pulpę. Rzucił ją na maskę zaparkowanego obok lincolna, otworzył drzwi mustanga i usiadł za kółkiem. Pochylił się do przodu, celując kluczykami w stacyjkę i ciągnąc drzwi za klamkę, gdy nagle ktoś szarpnięciem otworzył samochód. Ray odwrócił się i ujrzał Rocca trzymającego w prawej dłoni wielki czarny pistolet, sądząc po wyglądzie glock, kaliber 0,45 cala.

- Powiedz: pa, pa, Raymond - Rocco wyszczerzył zęby w uśmiechu. Czterdziestkapiątka zniknęła, a pojawiła się lewa ręka, z małym czarnym pistoletem, którego Ray nie potrafił zidentyfikować.

Reszta potoczyła się jak na filmie oglądanym w zwolnionym tempie. Rocco zacisnął palec na spuście i pociągnął Raya do siebie. Nie było możliwości ucieczki ani nawet czasu, żeby zrobić unik. Było też pewne, że Rocco z takiej odległości nie chybi. „To już koniec” - przemknęło Rayowi przez głowę. „Koniec wszystkiego: zmartwień, poczucia winy, wszystkiego”. Prawie się ucieszył. Wtedy uświadomił sobie, że głupia wyszczerzona gęba Rocca będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczą jego oczy. Już otwierał usta, żeby przekląć swój okrutny los, gdy nagle coś wystrzeliło z końca lufy. Nie był to pocisk, a strumień jakiegoś płynu, który wypełnił Rayowi usta, zalał oczy, wtrysnął do nosa. Ray zakrzuszył się nim i prawie zwymiotował. Instynktownie zamknął oczy. Było już jednak za późno, by uchronić je przed piekącym płynem. Chociaż nic nie widział, czuł jego zapach. Nie było trudno rozpoznać ostry smród - uryna. Właśnie oberwał z wypełnionego szczykami pistoletu na wodę.

Ray zaczął gorączkowo wycierać rękoma twarz, starając się odzyskać ostrość widzenia. Znajomy głos powiedział:

- I jak to smakuje, Raymond? Nie wiedziałem, że kręci cię złoty deszcz.

Znowu to imię, Raymond. Boże, jak on go nienawidził.

Nim Ray zdołał otworzyć oczy, Rocco odsunął się nieco, uniósł glocka i wymierzył go w jego głowę. Za jego plecami Tony Z. wysiadł z przedniego siedzenia lincolna i otworzył parasolkę, by ochronić się przed deszczem.

Wpatrywali się teraz obaj w Raya. U stóp Rocca leżał plastikowy pistolet na wodę. Tony trzymał parasol nad głową, nie dzieląc się nim ze swoim głupkowatym pomagierem, który po prostu stał na deszczu, moknąc. Ray czekał, z rękoma zaciśniętymi na kierownicy tak mocno, że miał wrażenie, jakby jego kłykcie miały za chwilę wybuchnąć.

- Spodobał ci się nasz mały żarcik? - Tony uśmiechnął się szeroko.

Rocco zachichotał. Ray milczał.

- Chciałem przyciągnąć twoją uwagę, Raymond.

- Mam na imię Ray.

- Nieważne - Tony wzruszył ramionami.

- Osiągnąłeś już swój cel: przyciągnąłeś moją uwagę. Czego jeszcze chcesz?

- Kiedy pan Messina o coś prosi, nie zastanawiasz się nad tym, tylko to robisz.

Ray poczuł, jak kropla moczu spływa mu po policzku. Chwytał papierowy ręcznik wetknięty przy siedzeniu kierowcy i otarł nim twarz.

- Wydawało mi się, że od tego ma koleś - takich jak ty.

- On chce, żebyś ty się tym zajął.

Ray rzucił ręcznik na siedzenie pasażera. Spojrzał na Rocca stojącego w przemoczonym ubraniu, z ociekającą deszczem czterdziestkąpiątką w rękę. Zwracając się znowu do Tony'ego, powiedział:

- Czemu ja?

Pomimo ulewy, Tony wciąż prezentował się dobrze, chroniąc pod parasolem przygładzone żelem włosy i jedwabny garnitur.

- Ty narobiłeś tego syfu, więc to chyba normalne, że ty go posprzątasz.

- Ale to nie ja jestem tym idiotą, który zostawił tam trzysta patyków.

- Ty pozwoliłeś trzem złamasom z gnatami we...

- No właśnie: z gnatami. A co miałem, do cholery, zrobić? Wycelować do nich z palca w kieszeni i powiedzieć: nie ruszać się?

- Nie przyszedłem tutaj, żeby się kłócić. Przyszedłem przekazać wiadomość. Albo znajdziesz tych kretynów, albo zginiesz zamiast nich - syknął Tony.

Rocco ponownie zachichotał.

- To nie czterech frajerów, którzy chcieli obrobić spożywczak - usiłował przemówić mu do rozumu Ray. - Oni dokładnie wiedzieli co robią, i nie będą się teraz kręcić w pobliżu. Już dawno się ulotnili.

- Módl się, żeby tak nie było.

- Niby dlaczego uważasz, że poradzę sobie lepiej niż ty?

- Wcale tak nie uważam - Tony potrząsnął głową.

- Więc dlaczego...

- Już ci mówiłem: tego chce pan Messina.

Ray wpatrywał się w Tony'ego, w jego idealnie gładkie włosy, włoski garnitur, drogie mokasyny: „Czemu mafia miałaby chcieć, żeby były gliwarz, który stoczył się na dno i siedział w więzieniu, odwalił za nich

brudną robotę? Chyba że...” - nagle go olśniło:

- To ty nawaliłeś Tony, prawda? Ty zostawiłeś wszystkie pieniądze w liczniku. Co się stało? Pukałeś wtedy na górze jakąś dupę, zamiast zajmować się...

- Zamknij się! - krzyknął Tony. Zerknął na Rocca, wskazując Raya głową. Rocco zareagował błyskawicznie, opuszczając pistolet i zamierzając się lewą pięścią w twarz byłego gliniarza. Ray w samą porę wyrzucił ręce w górę i odsunął się. Jedną ręką zdołał zablokować cios na chwilę i zmniejszyć jego siłę, ale nie udało mu się go uniknąć: wielka jak cegła pięść Rocca trafiła go w usta.

Ray odsunął się i podkurczył nogi, na wypadek gdyby goryl miał zamiar wejść po niego do środka. Ten jednak schylił się i podniósł tylko pistolet na wodę. Wymierzył go w Raya i nacisnął spust trzy razy, zanosząc się śmiechem, gdy strumień moczu tryskał Rayowi w twarz. Za czwartym razem wyciekła tylko strużka.

Rocco rzucił w Raya pusty pistolet i trzasnął drzwiami mustanga.

Tony przycisnął twarz do zamkniętego okna i wrzasnął:

- Ktoś musi zapłacić, Raymond: albo ty, albo oni!

Następnie podszedł do lincolna, zamknął parasol i zniknął na siedzeniu pasażera. Rocco podreptał za nim jak wierny pies i wcisnął się za kierownicę. Rozległ się dźwięk silnika i po chwili koła lincolna potoczyły się po mokrej od deszczu nawierzchni parkingu.

## Rozdział szósty

Ray zadzwonił trzy razy, zostawiając za każdym razem wiadomość, jednak Jimmy nie oddzwonił. Ray postanowił wybrać się do niego osobiście. Nowoorleańska policja miała główną siedzibę między więzieniem a sądem miejskim, w brzydkim czteropiętrowym gmachu z cementu i szkła dymnego, wybudowanym jeszcze w latach sześćdziesiątych. Przechodząc przez plac znajdujący się przed rozpadającym się budynkiem, Ray minął wyschniętą, zarośniętą zielskiem fontannę i tablicę pamiątkową, na którą starał się nie patrzeć.

Znajdujący się w rogu Sirgo Plaza pomnik poległych oficerów był jedynym nowoczesnym elementem w całym kompleksie budynków sądu, policji i więzienia. Wysoka na siedem stóp tablica pamiątkowa wykonana została ze szklanej szyby, oprawionej w prostokątną betonową ramę. Na szkle wygrawerowano nazwiska wszystkich oficerów policji w Nowym Orleanie, którzy zginęli na służbie. Jako policjant-żółtodziób, Ray zawsze przystawał przed tablicą i wpatrywał się w nazwiska poległych bohaterów, oniemiały ze wzruszenia. Tym razem przemknął koło niej w pośpiechu, czując zbyt wielki wstyd, by na nią spojrzeć, choćby przelotnie.

W wejściu do siedziby głównej policji, po lewej stronie, znajdowała się recepcja. Obsługiwana była przeważnie przez policjanta, który nie mógł odbywać normalnej służby, przechodzącego rekonwalescencję po jakimś urazie. Do recepcji wiódł czerwony dywan, otoczony dwoma sznurami, ale kiedy tylko Ray znalazł się w środku, przemknął na prawo. Policjant akurat kimś się zajmował i nie zauważył nawet, jak Ray minął windę i udał się w kierunku tylnych schodów.

Na drugim piętrze Ray otworzył drzwi oznaczone napisem Kryminalne Biuro Śledcze. Jedną ze ścian malutkiej poczekalni stanowiła kuloodporna szyba. Przymocowane było do niej małe, okrągłe urządzenie wyglądające na aluminiowy głośnik. W pomieszczeniu nie było nikogo, więc Ray zadzwonił leżącym przed szybą staromodnym, metalowym dzwonkiem.



Kilkanaście sekund później po drugiej stronie szyby pojawiła się gruba pracownica cywilna policji. Obrzuciła Raya znudzonym spojrzeniem i spytała:

- Tak?

- Czy zastałem oficera LaGrange'a? - spytał Ray.

Młasnęła kilka razy gumą do żucia, mierząc go wzrokiem.

- Proszę poczekać - powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła.

Czekając, Ray oglądał plakaty na ścianach poczekalni - wykonane w tanie ramki policyjne obrazki mające podnosić świadomość społeczną. Jedno czarno-białe zdjęcie przedstawiało kontur ciała narysowany kredą na ulicy. W jego prawym dolnym rogu widniało zbliżenie dłoni młodego człowieka, trzymającej bryłki kraku [7]. Na dole plakatu widoczny był wielki drukowany napis „Kruk zabija”.

Na kolejnym obrazku widniały dzieci na placu zabaw. Napis na dole głosił: „Dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć”, przy czym słowo „słyszeć” przecinała czerwona linia, a nad nią czerwone przypominające graffiti litery, układały się w słowo „zabijać”. Bez wątplenia w budynku policji można było radośnie spędzić czas...

Rozległ się brzęczący dźwięk. Ray odwrócił się do szyby i ujrzał tę samą grubą pracownicę, wskazującą na drzwi. Otworzył je pchnięciem, zanim brzęczenie ustało i wszedł do środka. Oficer Jimmy LaGrange wyszedł mu naprzeciw. Około czterdziestoletni policjant miał jeszcze więcej w pasie i jeszcze mniej na głowie, niż kiedy Ray widział go po raz ostatni. Ubrany był w koszulę z krawatem i właśnie nakładał sportową marynarkę.

- Cześć Jimmy - powiedział Ray, wyciągając rękę.

Policjant minął go, nawet się nie witając.

- Domyśliłem się, że to ty - wskazał wyjście. - Wyjdźmy stąd.

Ray nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi, gdy LaGrange już przez nie wyszedł. Ray obrócił się i podążył za nim na korytarz. Dogonił gliniarza przy windzie i spytał:

- Co jest, Jimmy? Nie masz chwili dla starego kumpla?

Policjant rozejrzał się po korytarzu. Byli sami.

- Co ty tutaj robisz? - wyszeptał donośnie.

Drzwi windy otworzyły się. W środku stali dwaj policjanci: umundurowany porucznik i sierżant. Ray wszedł za LaGrange'em do windy. Żaden nie odezwał się ani słowem. Gdy znaleźli się na parterze, Ray podążył za LaGrange'em na zewnątrz budynku. Skręcili w lewo,

przeszli przez ulicę znajdującą się pomiędzy policją a sądem i zatrzymali przy kontenerze na śmieci.

- Jimmy, co się, do cholery, z tobą dzieje? - odezwał się Ray.

- Ze mną? - LaGrange wyglądał na zszokowanego. - Odpieprzyło ci?

- Nie oddzwoniłeś ani razu.

Policjant zerknął na zegarek.

- Wydawało mi się, że się domyślisz.

- Domyśle się? Czego?

- Że nie mogą nas zobaczyć razem.

- Mam kłopoty, potrzebuję pomocy.

- Mówisz o pomocy policji?

Ray skinął głową.

- To zadzwoń na policję - odwrócił się i zaczął odchodzić.

Ray krzyknął za nim.

- Jesteś mi coś winien, Jimmy.

LaGrange szedł dalej. Ray krzyknął jeszcze głośniej.

- Pamiętaj obyczajówkę?

LaGrange odwrócił się i wrócił do Raya w mgnieniu oka.

- Mów ciszej.

- Proszę cię o pomoc, a ty się po prostu na mnie wypinasz - powiedział Ray. - Jak powiedziałem, jesteś mi coś winien.

- Przykro mi z powodu tego, co ci się przydarzyło. Źle się z tym czuję, ale to nie była moja wina. Nic nie jestem ci winien - zbył go LaGrange.

- Zastanów się - Ray oparł się o śmietnik. - Chcieli dorwać każdego z nas.

Jimmy LaGrange rozejrzał się nerwowo.

- Nie chcę o tym mówić.

Ray odskoczył od kontenera.

- Gównu mnie obchodzi, o czym chcesz rozmawiać.

Oficer cofnął się. Ray zrobił krok naprzód.

- PIB, FBI, okręgowy prokurator federalny - wszyscy chcieli się ze mną dogadać. W zasadzie zaoferowali mi wolność. Musiałbym tylko zeznawać przeciwko naszym chłopakom. Chodziło im o machlojki. Żądali nagłówków w gazetach, takich o gliniarzach, którzy dostają dożywocie.

- Ray, doceniam to, co zrobiłeś...

- Doceniasz to?! - parsknął Ray. - Nawet nie wiesz, co zrobiłem.

LaGrange wpatrywał się w niego.

- Fitz, Conner i Two-Gun dogadali się - Ray czuł, że zaczynają mu puszczać nerwy. - Conner i Fitz dostali osiemnaście miesięcy. Two-Gun

tylko dwanaście miesięcy. Ale sierżant i ja nie poszliśmy na żadne ugody. Trzymałem język za zębami i przesiedziałem prawie pięć lat.

- Przykro mi Ray, ale już mówiłem, to nie moja...

- Sierżant dostał sto dwadzieścia miesięcy. To dziesięć pieprzonych lat! Wychodzę i co słyszę? Że ty ciągle jesteś oficerem policji. Jak gdyby nigdy nic się nie stało.

- Jestem oficerem, ale tylko z nazwy. Wsadzili mnie do Sekcji Analizy Kryminalnej, żebym przeglądał akta i poszukiwał schematów przestępstw.

- Chcesz się dowiedzieć, gdzie mnie wsadzili? Byłeś kiedyś w Terre Haute? Wiesz jak zimno potrafi być w Indianie?

La Grange potrząsnął głową.

- A teraz, kiedy przychodzę i mówię, że potrzebuję pomocy, traktujesz mnie jak jakiegoś śmiecia z ulicy.

LaGrange spuścił głowę.

- Przepraszam. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Mam drugą żonę i trzyletnią córeczkę - wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i otworzył go.

Ray dostrzegł przegródki na zdjęcia i uniósł dłoń.

- Nie chcę oglądać zdjęć twojej rodziny. Powiedziałem ci - mam kłopoty i potrzebuję pomocy.

LaGrange wsunął portfel z powrotem do kieszeni spodni.

- Jasne, Ray - wziął głęboki oddech. - Czego potrzebujesz?

- Chodzi o morderstwo Petera Messiny.

- O, cholera - LaGrange opuścił ramiona. - Słyszałem, że dla nich pracujesz.

- Potrzebna mi była jakaś robota.

- Podobno zwinęli wam dużo szmalu?

Ray skinął głową.

- W raporcie z dystryktu ósmego napisano, że była to nieudana próba rabunku ze skutkiem śmiertelnym - powiedział LaGrange.

- Próba rabunku... to bajeczka Tony'ego Zello.

- Jakim cudem udało mu się zataić to, co dzieje się na górze?

- Nikogo nie wpuścił na górę, nawet gliniarzy z wydziału zabójstw. Upierał się, że kolesie od napadu cały czas byli na dole. A kiedy jeden z nich zastrzelił Petera, przestraszyli się i zwiali.

- I żaden z policjantów nawet nie próbował wejść na górę?

Ray zaprzeczył ruchem głowy.

- Tony zeznał, że na pierwszym i drugim piętrze są tylko magazyny, a trzecie - to prywatne mieszkanie.

LaGrange uniósł brwi w zdumieniu.

- I to im wystarczyło?

- Tony wykonał telefon do ich szefa.

- Ile wynieśli?

- Trzysta tysięcy.

LaGrange zagwizdał cicho.

- A jaki ty masz z tym związek?

- Ja mam ich znaleźć.

- Sprawców?

Ray skinął głową.

- I jak niby masz to zrobić?

- Vinnie ubzdurał sobie, że skoro byłem gliną, to dam sobie radę.

- Brzmi sensownie.

- Dla kretyna.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę.

- Czego oczekujesz ode mnie? - spytał LaGrange.

- Jakiegoś tropu. Żebym mógł gdzieś zacząć.

- Mówiłem ci, nie zajmuję się już prawdziwą robotą. Ja tylko przekładam papierki.

- Ale masz dostęp do raportów, prawda?

LaGrange przytaknął.

- Więc skopiuj dla mnie wszystko, co napisano odnośnie zajścia w Domu.

- Chryste Panie. Wiesz w ogóle, o co ty mnie prosisz? - obruszył się LaGrange.

- Proszę cię o pomoc, partnerze.

LaGrange miał już coś powiedzieć, ale zmienił nagle zdanie i tylko spojrzął za siebie. Kiedy znowu odwrócił się do Raya, oznajmił:

- Zobaczą, co da się zrobić.

↓

- Muszę znaleźć Hectora - oznajmił Ray.

Tony zerknął na niego znad trzymanej przed nosem gazety.

- Że co?

- Szukałem, ale nigdzie go nie ma.

Tony wyciągnął rękę na bok i uniósł ją na wysokość trzech stóp, dłoń w dół.

- Mówisz o tym kurduplu przy drzwiach?

- Tak - potwierdził Ray. Hector nie miał oczywiście trzech stóp

wzrostu, raczej pięć stóp i pięć cali. Pochodził albo z Meksyku, albo z Ameryki Środkowej. W każdym razie był jakimś tam Latynosem, choć próbował uchodzić za Włocha. - Nie pojawił się w pracy od napadu - kontynuował Ray. - Właśnie wracam z jego mieszkania. Jego dziewczyna mówi, że nie widziała go od tamtej pory.

- A co mnie obchodzi, czy jego dziewczyna wie, gdzie on jest? - spytał Tony, rozparty wygodnie na miękkim fotelu, tuż przy biurze Vinniego. Na końcu korytarza znajdował się jeszcze jeden komplet foteli i drzwi prowadzące do apartamentu państwa Messinów. Gazeta Tony'ego była otwarta na rubryce sportowej.

Ray nie miał ochoty wracać do Domu. Tony dał mu jasno do zrozumienia, że nie musi już zajmować się swoją dawną robotą. Teraz miał za zadanie znaleźć czterech zamaskowanych typków od skoku. Nic więcej. Wcześniej, przez telefon, Tony oznajmił:

- Był z ciebie gówniany pożytek w trakcie napadu. Zobaczymy, jak ci pójdzie wyjaśnienie kto za nim stoi.

Czekając, aż Jimmy LaGrange skombinuje kopie policyjnych raportów, Ray zdecydował się zrobić to, co zrobiłby, gdyby wciąż był policjantem, czyli przesłuchać świadków. Pierwszą osobą, z którą chciał porozmawiać, był właśnie Hector. Musiał dowiedzieć się, czemu ten meksykański gnojek zabrał stamtąd swój tyłek dokładnie w czasie napadu. Ale Hector nie pojawił się kolejnego dnia w pracy.

Chłopak mieszkał na przedmieściach. Kiedy Ray tam dotarł, okazało się, że mieszkanie kurdupla znajduje się w sporym jednopiętrowym domu przy Magazine Street. Pokoje niegdyś eleganckiego budynku teraz w całości wynajmowano. Na parterze i pierwszym piętrze mieściło się pięć malutkich kawalerek. Rayowi udało się znaleźć dziewczynę Hectora, ale nie jego samego.

Bez żadnego innego tropu Ray udał się do Domu, ale rozmowa z Tonym sprawiła, że zaczął żałować swej decyzji.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, co mówię? - spytał Ray. - Nie widziałem Hectora, od kiedy poszedł się odlać i poprosił, żebym za niego warował przy drzwiach.

- I co z tego? - burknął Tony. - A czego innego można się spodziewać po tych cholernych Meksykanach? Całe miasto się od nich roi. Ale tylko oni są chętni do roboty. Problem jest taki, że połowę czasu nie ma ich w pracy.

- Wiem, że nie jesteś zbyt bystry, Tony, więc może dobrze, że Vinnie zlecił to zadanie mnie, a nie tobie. Ale jeśli masz jakiegokolwiek pojęcie,

gdzie jest Hector...

Tony rzucił gazetę na bok i zerwał się na nogi.

- Zamknij się, póki nie jest za późno, Ray. Po co tutaj ciągle sterczysz, zamiast wyjść na ulicę i naprawdę szukać tego robola? Pewnie wydaje ci się, że to tylko zbieg okoliczności, że wyparował?

- W co jak w co, ale w zbiegi okoliczności nie wierzę - odparł Ray.

Tony wskazał kciukiem na schody.

- Więc zabieraj stąd dupę i szukaj go.

- Żel do włosów wyżarł ci mózg? Czy w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię? Hector zniknął. W mojej dawnej robocie mówiliśmy na to trop.

Oczy Tony'ego zwężyły się w szparki, ale nie odgryzł się. Ray uznał to za nietypowe. Zastanawiał się, gdzie podziewa się Rocco. Tony zwykle nie ruszał nigdzie tyłka bez swojego wielkiego goryla. Ray miał ochotę założyć mu dźwignię na szyję, a potem poczochrąć go trochę - tak jak robią to chłopcy, kiedy jeden szoruje knykciami po łbie drugiego, aż ten podnosi wrzask. Ray był pewien, że Tony rozdarłby się jak dziewczynka.

- Czego ty chcesz, Shane?

Ray wskazał na zamknięte drzwi biura Vinniego.

- Chcę porozmawiać z Vinnim i dowiedzieć się, co on wie na temat Hectora. Nie spodziewam się, że prowadzicie akta osobowe, ale ktoś musi znać tego chłopaka. Ktoś go przecież wynajął.

- Nie będę Vinniemu zawracał głowy pierdołami - Tony szturchnął Raya w pierś. - Jesteś ciekaw, gdzie jest Hector? Idź i go znajdź!

Wskazując głową na zamknięte drzwi, Ray odparł:

- Co się stało, Tony? Vinniego zmęczyło już, że ciągle siedzisz mu w dupie? Odesłał cię, żebyś pobawił się sam?

Tony poczerwieniał ze złości, zaciskając z całej siły usta. Zrobił krok naprzód.

Ray uniósł ręce.

- Uważaj Tony, twój przydupas cię teraz nie obroni. Jesteśmy tu tylko ty i ja.

Tony zatrzymał się. Patrzył Rayowi prosto w oczy. Twarz miał purpurową, na czole pulsowała żyła. Ale nie zamachnął się. Zamiast tego syknął cicho:

- To tylko kwestia czasu, Shane.

Ray uśmiechnął się szeroko.

- Tu akurat masz rację.

# Rozdział siódmy

Ray nienawidził takich miejsc: kawiarni, które nie sprzedawały prawdziwej kawy. Ulubiona miejscówka japiszonów i gówniarzy na Canal Boulevard była częścią sieciówki, w której zwykłą czarną kawę traktowano jak specjalne zamówienie. Cappuccino, mokka i latte z posypką - te napoje w różnych wariantach tutaj serwowano.

Ray dostrzegł Jimmy'ego LaGrange'a przy stole z tyłu, obok toalet. Policjant wydawał się cholernie zdenerwowany. Ray przeszedł przez kawiarnię, mijając kilku amatorów późnych śniadań i gika [8] z pomarańczowymi włosami i laptopem, chrupiącego owsiane ciastko.

- Masz raporty? - spytał Ray, siadając naprzeciw byłego partnera.

LaGrange zerknął Rayowi przez ramię, w kierunku drzwi.

- Nie powinni nas widzieć razem.

- Sam wybrałeś to miejsce.

Oficer rozglądał się jeszcze przez chwilę.

- Muszę uważać. Ktoś mógł mnie śledzić.

Może chodziło o brak porządnej kawy, może o LaGrange'a który zachowywał się jak ostatni kutas, a może o gika z laptopem - w końcu jaki facet farbuje się na pomarańczowo i je owsiane ciastka? W każdym razie, zaledwie po kilku sekundach pobytu w tej kawiarnianej dziurze Ray zdążył się wkurzyć.

- Skończ z tą paranoją, Jimmy. Jakoś nie martwiłeś się, czy ktoś za tobą idzie, kiedy Vinnie wciskał ci koperty w kieszeń.

LaGrange wybałuszył oczy, przechylił się przez stół i powiedział szorstkim szeptem:

- Mów ciszej do cholery! Już tego nie robię. Mówiłem ci, mam nową żonę i małe dziecko...

Przebiegł wzrokiem po szpanerskiej kawiarni, a po chwili znów spojrzał na Raya.

- Z tamtym skończyłem - przeciął powietrze otwartą dłonią. - Skończyłem.

Ray miał ochotę spytać dawnego partnera, jakim cudem - skoro nie ma już nic na sumieniu - stać go na utrzymanie nowej rodziny i wykładanie kasy na starą (byłą żonę i dwójkę dzieci). Ale ugryzł się w język. Potrzebował jego pomocy.

- Co znalazłeś?

Kelnerka z szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy przerwała im, przedstawiając się jako Brandy. Rayowi wydała się nawet urocza na swój tryskający radością i zdrowiem, wypucowany do czysta sposób. Domyślił się, że jest studentką. W rzeczywistości ludzie nie są aż tak szczęśliwi. Zamówił coś najbardziej przypominającego czarną kawę. LaGrange poprosił o espresso i babeczkę z otrębów.

- Otręby? - zdziwił się Ray, kiedy kelnerka się oddaliła.

- Cholesterol - LaGrange wyglądał na zażenowanego.

Kilka minut później dziewczyna przyniosła zamówienie.

Gdy znowu zostali sami, LaGrange rozsiadł się wygodnie. Wyglądał na trochę bardziej zrelaksowanego - zapewne dzięki swojej babeczce i kawie.

- Wiesz, że jesteś szczęściarzem? - spytał.

Ray jakoś nie czuł, żeby szczególnie dopisywało mu szczęście.

- Niby dlaczego?

- Sprawa jest w trybie przyspieszonym.

Ray uniósł brwi zdumiony.

- Jak to?

- Landry się nią zajmuje.

- Czemu on?

- Wiesz, jaki on jest - odpowiedział LaGrange. - Coś mi się zdaje, że chce z tego zrobić kolejne dochodzenie w sprawie nieuczciwych gliniarzy.

- Powiedział mi, że nie pracuje już w PIB.

- Rozmawiałeś z nim? - zdziwił się LaGrange.

- Tak jakby - odpowiedział Ray. - Przywalił mi.

Policjant wyprostował się.

- Co takiego?

- Wspomniałem o jego tatusiu.

LaGrange kiwnął głową.

- W takim razie nic dziwnego. Landry może i jest sztywny jakby miał kij w dupie, ale dostaje świra, kiedy ktoś wspomni jego starego.

- Pieprzyć Landry'ego.

- To jak się miewa jego stary? - spytał LaGrange, bębniąc palcami po



blacie stołu Ray pociągnął łyk kawy. Smakowała jak ciepłe gówno.

- Zachorował, gdzieś na rok przed moim wyjściem. Przenieśli go do szpitala więziennego w Springfield. Nie wiem, co się z nim później stało.

- Rak?

Ray skinął głową:

- Okrężnica.

LaGrange wpatrywał się przez kilka sekund w swój kubek.

- Kiedy wniesiono przeciwko wam oskarżenie i zostaliście aresztowani, też się pochorowałem, wymiotowałem chyba co pół godziny. Ale co miałem zrobić? Oddać się im? Pójść i powiedzieć federalnym: hej, zapomnieliście o mnie?

- Każdy ponosi konsekwencje swoich decyzji, Jimmy.

Milczeli przez chwilę. LaGrange ugryzł babeczkę, chcąc wypełnić czymś ciszę. Kiedy skończył przeżuwać, powiedział:

- Całe to dochodzenie toczy się naprawdę szybko: raporty uzupełniające, analizy laboratoryjne, IBIS<sup>[9]</sup> ...

- IBIS? A co to takiego?

LaGrange westchnął głęboko.

- Naprawdę długo cię nie było.

- Siedziałem w więzieniu - odparł Ray. - Sam byś tam skończył, gdybyś nie walnął wtedy tego pijaka na Bourbon Street.

Oficerowi Jimmy'emu LaGrange poszczęściło się bardziej, niż gdyby wygrał los na loterii. Traf chciał, że złamał rękę i trafił na sześćdziesięciodniowe zwolnienie dokładnie w momencie, gdy FBI zaczęło ich podsłuchiwać. Jako jedyny z ich sześciuosobowego oddziału policji obyczajowej nie został aresztowany.

- Ray, gdybym tylko był wtedy w stanie coś zrobić... cokolwiek. Rozmawiałem nawet z prawnikiem, powiedziałem, że chcę pomóc, ale stwierdził, że nic nie mogę poradzić - LaGrange upił łyk cappuccino. - Spodziewałem się, że lada moment przyjdą i po mnie. Ale najciężej mi było, kiedy prowadzili ciebie i pozostałych chłopaków w kajdankach do więzienia.

Ray też pamiętał ten dzień. Pamiętał go tak dobrze, jakby to było wczoraj. Wyciągnął lucky strike'a z kieszeni i odpalił go od zippo.

LaGrange wędrował właśnie wzrokiem po kawiarni, gdy nagle przez jego twarz przemknął cień paniki.

- Nie wolno ci tego robić.

Ray zaciągnął się głęboko, potrzymał chwilę dym w płucach, a

następnie dmuchnął nim prosto w twarz LaGrange'a.

- Nie wolno mi robić czego?

- Palić - oznajmił LaGrange, kasłając. - Tutaj nie wolno palić.

Ray rozejrzył się.

- To kawiarnia, tak?

Obsługująca ich kelnerka przydreptała do stolika, już nie tak radosna jak wcześniej.

- Proszę pana, tutaj nie wolno palić.

Ray spojrział na nią, pytając:

- Dlaczego?

Oparła ręce na biodrach.

- To strefa wolna od dymu - odparła tonem sugerującym, że Ray musi być idiotą, skoro tego nie wie.

Zbył ją ruchem ręki.

- Idź i przynieś mi popielniczkę.

Wysunęła podbródek do przodu.

- Tu nie ma popielniczek, proszę pana. Tutaj nie wolno palić.

- Ray, zgaś to - nalegał LaGrange. - Daj jej spokój.

Już nie tak radosna kelnerka splotła ręce na piersi.

- Jeśli pan tego nie zgasi, będę zmuszona wezwać menedżera.

- Lepiej przynieś mi tę popielniczkę albo zgaszę papierosa na waszej podłodze.

Kelnerka obróciła się na obcasie i odeszła szybkim krokiem.

Ray ponownie zaciągnął się papierosem.

- Więc co to takiego, ten IBIS? Jakies nowe urządzenie do zbierania odcisków palców?

LaGrange wyglądał na zdenerwowanego, odprowadzając kelnerkę wzrokiem. W końcu spojrział na Raya.

- Nie, nie do odcisków palców, a do śladów pocisków. IBIS to skrót od...

Wbił wzrok w sufit, jakby spodziewał się, że nazwa jest zapisana gdzieś tam na górze, ale najwyraźniej nic nie znalazł, bo po kilku sekundach odparł:

- Nie pamiętam dokładnie, ale to jakiś tam system identyfikacji balistycznej.

- I do czego on służy?

- To komputerowa baza danych, którą dostaliśmy od ATF <sup>[10]</sup>.

- I?

- Znajduje się w nowym laboratorium kryminalistycznym na Tulane. Przy każdym zabójstwie z udziałem broni palnej, w zasadzie przy każdym przestępstwie z użyciem broni laboratorium zabiera pociski i łuski i umieszcza je w tej maszynie.

Ray wyobraził sobie faceta w białym kitlu, wrzucającego setki łusek do wielkiej maszyny.

LaGrange najwyraźniej czytał mu w myślach.

- To znaczy, nie same pociski i łuski. Laboratorium fotografuje je i przetwarza zdjęcia w cyfrowy kod zrozumiały dla komputera.

Ray słuchał LaGrange'a z narastającą niecierpliwością.

- I jak to ma mi pomóc?

LaGrange uniósł rękę.

- Już mówię. Maszyna porównuje pociski i łuski z każdej strzelaniny. I określa, które odbyły się przy użyciu tej samej broni - położył dłoń na stole. - A teraz najlepsze: wydział wprowadza do bazy również próbne strzały z każdej skonfiskowanej broni. Komputer dokonuje porównania automatycznie, więc jeśli natknie się na broń, która została użyta, zostaje ona automatycznie rozpoznana.

Ray był pod wrażeniem. Pomyślał o dubeltówce, którą odstrzelono twarz Peterowi Messinie.

- Co ze strzelbami?

LaGrange pokręcił głową.

- Mówi się, że następna generacja IBIS zajmie się też strzelbami, ale na razie obsługuje tylko pistolety i karabiny.

- Więc po co mi o tym wszystkim mówisz? W Domu użyli właśnie strzelby.

LaGrange potrząsnął głową.

- Nie tylko.

- Przecież tam byłem.

LaGrange wyciągnął spod stolika czarną skórzaną aktówkę i położył ją sobie na kolanach. Wyjął ze środka plik dokumentów - kilkadziesiąt kartek spiętych szczipionym spinaczem.

- Co to? - spytał Ray.

LaGrange położył papiery na stole. Przejrzał parę pierwszych kartek.

- To raport wstępny i kilka uzupełniających.

Przestał kartkować, na chwilę zatrzymał wzrok na jednej ze stron i wskazał na coś mniej więcej w jej połowie.

- O, właśnie tutaj miałeś szczęście.

- Już drugi raz to słyszę. Nie uważam się za szczęściarza, więc może

powiesz mi wreszcie, co znalazłeś.

LaGrange stuknął palcem w kartkę.

- Technicy kryminalistyczni wydobyli z podłogi kulę, kaliber czterdzieści.

Ray zaprzeczył, ruchem głowy.

- Nikt nie oddał strzału z pistoletu w...

Nagle przez myśl zaczęły mu przemykać obrazy z tamtej nocy: tancerka z dziurą w nodze po strzale z dubeltówki. Z dziury tryska krew. Po kilku sekundach kolejny strzał. A później coś innego, jakiś trzask, ledwo słyszalny po huku wystrzału z dubeltówki. I na koniec fala ciepła zalewająca mu tył głowy.

Ray spojrzał na LaGrange'a, pocierając ręką kark.

- Gdzie ją znaleźli?

Były funkcjonariusz obyczajówki przejrzał kolejne kartki, prześlizgując się wzrokiem po każdej stronie, zanim znalazł to, czego szukał. Odwrócił plik dokumentów, tak żeby Ray mógł na nie sam zerknąć. Na kartce widniał starannie rozrysowany plan, który, jak się okazało, przedstawiał parter Wschodzącego Słońca.

LaGrange wskazał palcem niewielką, ręcznie napisaną liczbę „15” pomiędzy dołem schodów a drzwiami wyjściowymi.

- Obiekt numer piętnaście to kula - powiedział. - Była wbita w drewnianą podłogę, dwadzieścia pięć stóp od drzwi.

Ramiona Raya pokryły się gęsią skórką.

- Ten skurwysyn próbował strzelić mi w głowę.

- Już ci mówiłem, masz szczęście Irlandczyka [\[11\]](#).

Ray ujrzał w myślach maskę kościotrupa, przekrwione oczy, zepsute zęby, ale najbardziej wyraźny był obraz tatuażu - pajęczej sieci utkanej na wierzchu dłoni i ciągnącej się aż do nasady kciuka. Gdzieś już, tylko nie był pewien gdzie, widział ten tatuaż.

- I co z tego, że znaleźli kulę? - spytał Ray. - Przecież nie mają pasującej broni.

LaGrange wyciągnął z aktówki jeszcze jeden plik papierów.

- Twój przyjaciel Landry już sprawdził tę kulę w IBIS i otrzymał wynik pozytywny.

- Pozytywny?

- Okazuje się, że strzelano już z tego pistoletu sześć miesięcy temu. Kulę wydobyto z ciała na Frenchman Street - wyjaśnił LaGrange, trzymając w ręku drugi stos kartek.

- Aresztowano kogoś?

Oficer skinął głową.

- Dwa tygodnie później wydział zabójstw zatrzymał faceta o nazwisku Cleo Harris, ksywa Winky.

- No, ale na pewno nie znaleźli broni, której użył, skoro zasraniec z wytatuowaną pajęczą siecią próbował mnie z niej zastrzelić.

LaGrange kiwnął głową.

- Znaleźli dubeltówkę, ale nie pistolet.

- Nawet gdybym się dostał do pierdła, żeby pogadać z tym, jak mu tam, Harrisem, on nigdy nie powiedziałby mi, co zrobił z pistoletem.

- Harris nie siedzi w pierdłu.

- Wywinął się z zarzutów o morderstwo?

Policjant pokręcił przecząco głową.

- Prokurator okręgowy odstąpił od oskarżenia.

- Dlaczego?

- Jedyne świadek nagle doznał amnezji.

- Nie ma świadków, nie ma sprawy - odpowiedział Ray.

LaGrange kiwnął głową.

- Ten Harris jest biały czy czarny?

LaGrange powiódł palcem wskazującym po początkowej stronie raportu.

- Cleo Harris. Czarny, mężczyzna, dwadzieścia trzy lata. Pięć stóp, osiem cali, sto sześćdziesiąt funtów.

- Wszyscy kolesie od napadu, którzy pojawili się w Domu, byli biali.

- Może sprzedał tę broń - LaGrange ponownie rzucił okiem na raport.

- A tak w ogóle, to był smith & wesson, czterdziestka.

- Skąd wiesz, że to smith?

Oficer przekartkował plik aż do ostatniej strony. Po kilku sekundach lektury odrzekł:

- Jest tutaj jakiś naukowy bełkot o skręcie pocisku i odległości między polami a bruzdami. W każdym razie w laboratorium udało się ustalić, że to był smith & wesson. Podają nawet prawdopodobne numery modelu, wszystkie ze stali nierdzewnej.

Ray wyciągnął dłoń nad blatem stołu.

- Muszę mieć ten raport.

LaGrange odsunął plik papierów.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

Oficer wskazał palcem na górny margines.

- To ja go wyszukałem w komputerze, więc moje nazwisko zostało wydrukowane na każdej stronie.

- Odetnij nagłówek.

- Nie mogę tego zrobić.

- Potrzebuję tych informacji, Jimmy.

- Już ci je dałem - odparł LaGrange obojętnym głosem. - Nie mogę dać ci raportu.

Ray nie był w stanie naciskać mocniej. Prawda była taka, że LaGrange wciąż był gliną, a Ray byłym skazańcem, który właśnie wyszedł na wolność.

- Jimmy, ja naprawdę mam kłopoty. Ten raport to jedyna rzecz, na której mogę się oprzeć.

- Dlaczego w ogóle pomagasz tym dupkom?

Ray ostatni raz zaciągnął się papierosem i wrzucił niedopałek do prawie pustej filiżanki. Kelnerka najwyraźniej zdecydowała się nie informować menedżera, a może zrobiła to, a on wezwał policję. Ray spojrzał na swego dawnego partnera.

- Nie mam wyboru.

- To znaczy?

- Przynajmniej zapisz mi zamiary tego Harrisa, żebym mógł go znaleźć.

Jimmy LaGrange przypatrywał się Rayowi przez chwilę. Potem jego oczy powędrowały w dół, a ręka sięgnęła do kieszeni po długopis.

## Rozdział ósmy

- Wysadź mnie tutaj - rozkazał Tony, kiedy Rocco dojeżdżał lincolnem do Messina Seafood Company na North Rampart Street.

Lało jak z cebra. Budynek znajdował się na wschód od French Quarter, w dystrykcie handlowym. Mieściły się tu głównie niewielkie firmy, w większości chylące się ku bankructwu. Wzdłuż alei ciągnął się szereg blaszanych bud pokrywanych łuszczącą się farbą i wyblakłymi napisami. Chodniki tonęły pod rozmokłymi śmieciami przyklejonymi do bruku z powodu nieustającego deszczu.

Pod okapami i markizami paru narkomanów, dilerów i prostytutek czekało, aż się przejaśni i znowu będzie można zabrać się do pracy. Tony dobrze znał to miejsce. W końcu tu się wychował. Podobnie jak inne tutejsze firmy, Messina Seafood Company mieściła się w starym blaszanym budynku okraszonym odpadającą warstwą farby i spłowiałym szyldem. Boki i tył były niegdyś ciemnoniebieskie, ale z biegiem lat słońce znacznie je rozjaśniło. Ceglana fasada usytuowana była na tyle daleko od ulicy, że wystarczyło jeszcze miejsca na chodnik. Przednią - mniejszą część budynku - stanowiło jednopiętrowe biuro. Resztę zapełniał wysoki parterowy magazyn-chłodnia do przechowywania ostryg, krewetek i ryb, które dostarczano każdego dnia z Zatoki Meksykańskiej.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał Rocco.

Drzwi samochodu były otwarte, więc krople deszczu spadały na Tony'ego.

- Nie, nie chcę. Po prostu zaparkuj gdzieś i czekaj na mnie.

Kiedy zobaczysz, że wychodzę, podjedź po mnie, żebym nie zmókł, do kurwy nędzy.

Tony przebiegł od samochodu do drzwi wejściowych, omijając kałuże. Stał chwilę pod okapem nad wejściem, wpatrując się w swoje odbicie w podwójnych szklanych drzwiach. Z kieszeni marynarki wyciągnął haftowaną jedwabną chusteczkę i delikatnie usunął z garnituru kropelki wody. Gdy skończył, poprawił wąski supeł krawata. Następnie przecesał

grzebieniem włosy, strzepując z nich wodę i upewniając się, że każde pokryte żelazem pasmo jest na swoim miejscu.

Z szyby patrzyła na niego twarz, należąca do człowieka, który pnie się w górę i bez problemu pokona kilka przeszkód, jakie stanęły mu na drodze. Tony otworzył drzwi i wszedł do środka.

Sliczna ciemnowłosa recepcjonistka ze sztucznymi cyckami pomachała do Tony'ego, kiedy minął jej biurko. Przypominał sobie kolejny raz, jak bardzo chciałby się z nią pieprzyć.

Wciąż jednak nie pamiętał, jak ma na imię: Connie, Karen, coś w tym stylu... Jedynym problemem był sposób, w jaki mówiła. Miała ten sam, typowy dla mieszkańców Chalmette i jego żony, akcent.

„Jak będę miał okazję przelecieć tę Connie, Karen czy jak jej tam... - pomyślał - nie pozwolę jej się odezwać. Dopilnuję, żeby jej usta zajmowały się czymś innym. Ale pewnie i tak nie uda mi się jej zerznąć”.

Szef miał jedną zasadę: żadnego pieprzenia dziewczyn z biura. Reguła ta nie dotyczyła oczywiście samego Starego. Podobno miał na boku jakąś gorącą dupę i pewnikiem była to właśnie Connie, Karen czy, kurwa, jak jej tam.

Gdyby tak się nie spieszył, Tony zatrzymałby się przy jej biurku i roztoczył trochę swojego uroku, tak na wypadek, gdyby szef nie zaspokajał jej wszystkich potrzeb. Pomyślał, że mógłby zapomnieć o tym drażniącym akcencie, przynajmniej na chwilę. Stary na pewno nie dawał sobie rady z taką kobietą, nawet posiłkując się niebieskimi pigułkami. Ona potrzebowała prawdziwego faceta w kwiecie wieku. A nie jakiegoś wapniaka.

Tony zastał Carlosa Messinę rozłożonego w fotelu za biurkiem, z oczyma wbitymi w sufit. Przy uchu trzymał słuchawkę telefonu. Skinieniem dłoni kazał Tony'emu zająć miejsce na fotelu po drugiej stronie biurka. Tony przyglądał się Carlosowi, kiedy ten kontynuował rozmowę przez telefon. Przypatrywał mu się jak bokser analizujący nagranie walki przyszedłego przeciwnika.

Stary - tak wszyscy mówili na Carlosa, choć nigdy prosto w twarz. Miał to być nie tyle przytyk do jego wieku, co raczej oznaka szacunku.

Ale według Tony'ego był to szacunek jedynie do pełnionej przez niego funkcji, a nie do człowieka. Messina robił się coraz słabszy. Lata u władzy stępiły jego kły. Stał się bezzębnym lwem, który wciąż potrafi zaryczeć, ale już nie gryzie. W międzyczasie okrążyły go młode lwy, obserwując i czekając na swoją szansę.

Carlos był po sześćdziesiątce. Był gruby, a głowę pokrywała mu gęsta



siwa czupryna. Miał okrągłą twarz, obwisłe policzki i kartoflowaty, okraszony bliznami po trądziku nos, który sterczał pośrodku jak gałka do drzwi.

Okrągła jak pączek twarz Carlosa, prawdopodobnie za sprawą ciemnych, niemal czarnych oczu, przybierała od czasu do czasu władczy wyraz, co wzbudzało w Tonym niepokój. Nie zdarzało się to jednak często i Tony był przeważnie zdania, że Stary jest skończony. Teraz nadszedł czas nowego pokolenia.

Jedyną rzeczą, jakiej Carlos Messina z pewnością nie stracił, był styl. Choć na zewnątrz firma wyglądała jak kupa gówna, to położone na piętrze biuro Starego prezentowało się naprawdę dobrze. Znajdowały się tu dwa ogromne okna: jedno, umieszczone na tylnej ścianie, wychodziło wprost na magazyn, a drugie - na biegnący wzdłuż budynku podjazd. Biuro było pokaźnych rozmiarów. Miało dużą ilość wolnej przestrzeni, wbudowane w ścianę półki, ogromne biurko z marmurowym blatem, sześćdziesięciocalowy płaski telewizor i miękkie fotele.

Właśnie takie biuro Tony chciałby któregoś dnia mieć.

Carlos rozłączył się i spojrzał na niego.

- Czego chcesz?

Komunikat był jasny: nie marnuj mojego czasu.

Stary był opryskliwy, a rykiem starał się zatuszować brak zębów. Tony nie mógł jednak zachowywać się nierozsądnie. Szef miał silną pozycję, choć sam był słaby. Tony musiał postępować ostrożnie.

Oficjalnie Tony Zello był jedynie żołnierzem. Podczas gdy kapitan [\[12\]](#) codziennie miał bezpośredni kontakt z Carlosem, Tony rozmawiał ze Starym tylko kilka razy w ciągu pięciu lat, czyli od kiedy stał się mianowanym członkiem mafii. Nawet nie miał swojej drużyny. W każdym razie nie takiej z prawdziwego zdarzenia - ledwie paru naszpikowanych sterydami tępaków, którzy pełnili raczej rolę sługusów. Z pewnością nie było z nich żadnych pieniędzy.

Problemem, przynajmniej tym najpilniejszym, był Vinnie. Nie był szczególnie ważnym członkiem rodziny. Był bratem Carlosa, więc ten pozwolił mu kierować Domem. I nic więcej. Vinniemu to w zupełności wystarczało. Znał swoje możliwości i nie wchodził Carlosowi w drogę. Co z oczu, to z serca.

Tony założył stopę na kolano, starając się przybrać swobodną pozę.

- Przyszedłem poinformować pana, co działo się w Domu od napadu.

- Mój brat cię przysłał?

Tony potrząsnął głową. Na twarzy Carlosa odbiło się zdumienie.

Tony poczuł w brzuchu lekkie łaskotanie.

- Sam przyszedłem.

Carlos wpatrywał się w niego, jakby był w stanie go przejrzeć na wskroś. Pochylił się nad marmurowym blatem, opierając cielsko na łokciach.

- No, odważny jesteś, skoro przychodzisz tutaj jakby nigdy nic.

Tony nic nie odpowiedział, wpatrywał się jedynie w zimne, ciemne oczy Carlosa Messiny i czuł, jak cała pewność siebie zaczyna z niego uchodzić.

A może jednak staremu lwu zostało jeszcze parę zębów, może potrafił nie tylko ryknąć? Nogi Tony'ego zaczęły delikatnie drżeć. Przez chwilę poczuł się znów jak w dzieciństwie, tuż przed bójką, przeważnie z czarnymi dzieciakami, które próbowały przejąć jego podwórko, jego małe terytorium.

- Chcesz coś powiedzieć, to mów - kontynuował Carlos.

„Pieprz się, staruchu. Jesteś tylko dinozaurem, reliktem z dawnych lat. Ty i ten cały twój gówniany sycylijski świat” - pomyślał, ale oczywiście nie powiedział tego na głos. Zamiast tego odparł:

- Myślę, że to nie był dobry pomysł, żeby Vinnie...

Stary wycelował w niego palec.

- Pierwszy błąd.

Następnie dźgnął się kciukiem w pierś.

- To ja jestem tutaj od myślenia.

Czując się zapędzony w kozi róg, Tony ciągnął dalej.

- Ten facet - Shane - to tylko ochroniarz. A pański brat zlecił mu szukanie tych czterech pieprzonych kretynów.

Carlos Messina odchylił się, opierając się wygodnie o fotel.

- To były gliniarz. Myślę, że to dobry pomysł.

- Ale ten koleś to cholerna cipa. To przez niego oni w ogóle weszli do środka.

Stary patrzył na niego przez kilka sekund.

- A ty co do niego masz?

Napuścić braci na siebie nie było tak łatwo, jak się spodziewał.

- Nic do niego nie mam. Po prostu nie wierzę w jego umiejętności. I w jego lojalność.

- Mój brat mu ufa.

- Shane sam powiedział, że tego nie zrobi. Uważa, że tych kretynów już nie ma w mieście.

- Gównu mnie obchodzi, czy uciekli do Kanady, Rosji czy na pieprzony Księżyc. Złapiemy tych drani i zrobimy, co trzeba.

- Ja znam Raya Shane'a - oznajmił Tony, chcąc, aby rozmowa znowu skoncentrowała się na Rayu. - Znałem go jeszcze, kiedy był gliną. I wtedy też był idiotą, a w pierdlu zrobił się jeszcze głupszy. Dobrze chociaż, że jest szczerzy, kiedy mówi, że nie jest w stanie tego zrobić.

Stary potrząsnął głową.

- Nieźle przez nas dostał w kość, a nie pisnął nawet jednego słowa. Niewielu ludzi jest dzisiaj do tego zdolnych.

Słyszac po raz kolejny, jaki to Shane jest twardy, Tony wzdrygnął się. Poczul, ze puści pawia, jesli jeszcze raz bedzie musial wysluchiwać o odsiadce Raya Shane'a.

- To, że koleś nawalił i posiedział parę lat w pudle nie dowodzi jego lojalności.

Carlos spojrzal na niego surowym wzrokiem.

- Ty kiedykolwiek siedziałeś?

„Pora zmienić temat” - postanowił Tony i odparł:

- Ktoś z wewnątrz pomagał w rabunku.

Carlos prychnął.

- I myślisz, że sam na to nie wpadłem?

- Tylko mówię...

- I twoim zdaniem to Shane?

Tony wzruszył ramionami.

- Nie wiem, kto to był. Ale poszli prosto do licznarni, posłużyli się Shane'em, żeby wejść do środka i uderzyli w Halloween, kiedy mieliśmy w środku dodatkową forszę.

- I kto wpadł na ten kurewsko genialny pomysł?

„Ostrożnie, nie naciskaj za mocno” - pomyślał Tony i odpowiedział:

- Vinnie pomyślał...

Tony aż podskoczył, kiedy Carlos rzucił się do przodu i huknął tłuścą pięścią o stół.

- To ja jestem od myślenia! Rozumiemy się?

Tony przełknął z trudem ślinę. Jego serce waliło, jak oszalałe.

- Tak, proszę pana.

- A teraz co? - spytał Stary. - Chcesz mi powiedzieć, że straciliśmy trzysta patyków przez mojego brata-półgłówka?

Mimo uprzedniej pewności siebie, Tony nie wiedział, co powiedzieć. Właściwie bał się powiedzieć cokolwiek, więc w końcu nie powiedział nic.

Carlos Messina ponownie rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Powiedziałaś, że kolesie poszli prosto do licznicy. Otóż każdy, kto choć raz odwiedził Dom wie, gdzie znajduje się pieprzona licznica. Nie jest to żadna tajemnica.

- Ale ilu ludzi wie, że drzwi między skarbcem a licznica nie są z reguły zamknięte albo że po drugiej stronie drzwi nie ma uzbrojonego kolesia?

- A dlaczego nie były zamknięte i dlaczego nie było za nimi uzbrojonego kolesia? Mamy w środku trzysta patyków gotówki i to ty masz jej pilnować!

Jakimś trafem rozmowa zoczyła z tematu.

- W skarbcu miałem jednego człowieka, całkiem dobrego, ale ci kolesie weszli w maskach w noc Halloween razem z Shane'em...

- Wiem, że weszli - przerwał Carlos Messina - i wiem też, co wtedy robił twój człowiek Bobby. Uganiał się za jakąś dupą.

„Muszę wrócić do tematu, tak jak ćwiczyłem sobie w myślach, w drodze tutaj” - pomyślał Tony i głośno powiedział:

- Shane normalnie nie obsługuje drzwi. Ma być w środku, przy drzwiach. A jednak zanim zaczęła się ta chryja, wyszedł na zewnątrz, żeby zastąpić stałego bramkarza. Shane twierdzi, że chłopak powiedział mu, że musi się odlać, ale teraz nie można go nigdzie znaleźć, żeby potwierdził tę wersję.

- Co to znaczy, że nie można go znaleźć? Kim on jest?

- Latynos, nazywa się Hector. Jego dziewczyna mówi, że nie pojawił się w domu od napadu.

- A kto go szuka? - spytał Carlos.

Na twarzy Tony'ego pojawił się uśmiech.

- Shane.

- Myślisz, że ten chłopak mógł to zorganizować?

- Nie sam - odpowiedział Tony. - Hector nie jest aż tak bystry.

Stary odgiął się jeszcze bardziej do tyłu, wbijając plecy w miękkie oparcie fotela i spojrzał w sufit. Zanim się odezwał, minęła cała minuta.

- Wiesz, co się dla mnie liczy najbardziej? To znaczy, ponad wszystko? - spytał cicho.

O ile nie był to dom emeryta na Florydzie, Tony'ego tak naprawdę głównie to obchodziło, ale dobrze wiedział, że nie jest to odpowiedź, której Stary oczekiwał.

- Nie, proszę pana.

- Lojalność - odpowiedział Carlos Messina. - Bez lojalności nie mamy

nic. Nie jesteśmy lepsi od tych pieprzonych zwierząt na ulicy albo czarnuchów z pistoletami. Tylko ta jedna rzecz, lojalność, odróżnia nas od nich.

- Shane jest lojalny tylko wobec siebie samego.

Carlos spojrzął na niego.

- Dlaczego tak mówisz?

Całą wiedzę na temat dawnych mafiosów Tony zaczerpnął z Ojca Chrzestnego. O Sycylii nie wiedział nic. Nigdy w życiu tam nie był. Nie miał żadnego pojęcia, z której części wyspy pochodzi jego własna rodzina. Z tego, co wiedział, mógł nawet w ogóle nie być Sycylijczykiem. Możliwe, że jego rodzina pochodziła z Włoch kontynentalnych. Ale wiedział za to, dzięki Marlonowi Brando, że mafiosi z dawnych lat przykładali ogromną wagę do dziedzictwa. Więc dziedzictwem posłużył się jako argumentem.

- Shane nie jest jednym z nas - oznajmił. I wydaje mi się, że nie powinniśmy pozwolić, żeby jakiś pieprzony Irlandczyk załatwiał nasze sprawy. Powinniśmy się nimi zająć sami.

Carlos spoglądał w sufit nieobecny wzrokiem, jakby przeniósł się myślami czterdzieści lat i sto funtów <sup>[13]</sup> wstecz, kiedy to włączył się po wzgórzach Sycylii, z kaszkietem na głowie i luparą <sup>[14]</sup> opartą na ramieniu.

- Może i masz rację - odezwał się w końcu. - Taka sprawa powinna zostać załatwiona przez członków rodziny - zerknął na telefon. - Powiem Vinniemu, żeby ruszył dupę i...

Tony uniósł dłoń, jak dzieciak w szkole, który przerywa nauczycielowi. „Czas na część drugą - pomyślał - tylko ostrożnie”.

- Panie Messina, pański brat... jest bardzo zestresowany. Jeszcze zanim to wszystko się stało... Zajmował się Peterem... - dla wzmocnienia efektu, Tony przeżegnał się. - Niech Bóg ma w opiece jego duszę. Starał się rozwiązać problemy finansowe...

Carlos wyrzucił głowę gwałtownie do przodu.

- Jakie znowu problemy finansowe?

Wzruszając ramionami, Tony odpowiedział.

- Głównie szkoła Petera i parę innych rzeczy. Ja i Vinnie jesteśmy w Domu codziennie i wydaje mi się, że czasem po prostu potrzebuje pogadać. Któregoś dnia powiedział mi, że szkoła Petera znowu podróżowała. A już kosztowała czterdzieści patyków rocznie.

Stary świdrował Tony'ego wzrokiem.

- Co jeszcze?

- Słucham?

- Mówiłeś, że chodzi o szkołę Petera i parę innych rzeczy.

Tony ponownie wzruszył ramionami.

- A takie tam, sprawy osobiste, wie pan, jak u każdego.

- Żona?

- Coś wspominał mimochodem. Najwyraźniej wydała dużo pieniędzy na remont mieszkania i kupiła nowy samochód.

Czarne oczy Carlosa Messiny znowu powędrowały w kierunku sufitu, ale tym razem były pozbawione nostalgicznego wyrazu. Teraz szczęki Starego były zaciśnięte tak mocno, że pod obwisłymi policzkami widać było napięte mięśnie. Po chwili ponownie spojrzął na Tony'ego.

- Będziesz moimi oczami i uszami w Domu. Chcę wiedzieć, co się tam, kurwa, dzieje.

Tony kiwnął głową. Wszystko szło po jego myśli.

Carlos położył wielkie łapska na biurku.

- Więc oprócz tego latynoskiego chłopaka myślisz, że te zakute łby miały w środku kogoś jeszcze?

- Na pewno.

- Kogo?

- Nie wiem - stwierdził Tony, chcąc, by Carlos sam to z niego wyciągnął.

- Mów - rozkazał mu szef.

- Kogoś, kto wie o klubie dużo więcej, niż ten, co pilnuje drzwi.

- Nazwisko?

- Gdybym miał kogoś obstawiać, wybór byłby oczywisty: Shane.

- A co z wyborem mniej oczywistym?

Tony przełknął głośno ślinę, starając się jak najbardziej uwydatnić ruch jabłka Adama.

- Wolałbym nie mówić, proszę pana.

Stary pochylił się do przodu.

- Mów - powtórzył głosem zimnym jak lód.

Tony wstrzymał się z odpowiedzią tak długo, jak mógł.

- Wydaje mi się, że pański brat jest jedną z możliwych opcji.

Carlos Messina westchnął głęboko.

- Chodzi o duże pieniądze. Nie chcę, żeby ktoś coś spieprzył i dotyczy to również mojego brata-idioty.

Stary podniósł słuchawkę telefonu. Spojrzął na Tony'ego.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Tony zdał sobie sprawę, że spotkanie właśnie dobiegło końca i wstał.

- Tak, proszę pana, rozumiem.

Wyciągnął rękę, licząc na uścisk dłoni, ale Carlos już zaczął wystukiwać numer. Potrzywał rękę nad biurkiem kilka sekund, ignorowany przez Starego, aż w końcu odwrócił się i wyszedł z biura. Koszula, mokra od potu, lepiała mu się do pleców.

## Rozdział dziewiąty

Ray sunął mustangiem po Mandeville Street, spokojnej ulicy ze skromnymi jednorodziennymi domami, usytuowanymi tuż przy chodniku. Pod numerem 1224 znajdował się parterowy biały dom, oszalowany deskami, z niewielkim krytym gankiem. Oświetlały go promienie późnopołudniowego słońca i Ray nie był w stanie stwierdzić, czy w środku pali się światło. Postanowił go poobserwować.

Minął dom, wjechał w następną przecznicę, zawrócił i zaparkował przy krawężniku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko numeru 1224.

Szanse były niewielkie, ale nie miał lepszego tropu. Budynek przy Mandeville Street był ostatnim adresem, pod którym miał mieszkać Cleo Harris, ksywa Winky. Jeśli gliniarze się nie pomylili i Harris rzeczywiście zastrzelił kogoś z tego samego smith & wessona, którego użył duppek w masce kościotrupa, Ray chciał się dowiedzieć, co Harris zrobił z pistoletem.

Trzy godziny i dziewięć papierosów później Ray czuł, że zaraz pęknie mu pęcherz. Pojechał za róg i wysikał się na stacji benzynowej Sheila, przy Elysian Fields Avenue. Kiedy wrócił, naprzeciw numeru 1224 stał zaparkowany czarny czterodrzwiowy dodge.

Było po siódmej i zapadł już zmrok, ale w domu było jasno. Ray nie był pewien, czy światło zapaliło się, kiedy pojechał na stację, czy paliło się już wcześniej. Jeśli dom należał do Harrisa, prawdopodobnie nie pracował albo prowadził nieregularny tryb życia. A jeśli dom nie był jego, właściciel - kimkolwiek był - właśnie wrócił na noc.

Obserwacja nigdy nie należała do ulubionych zajęć Raya. Teraz jego niechęć była jeszcze większa. Za dużo skradania się. Wolał metody bezpośrednie. Problem w tym, że nie był już gliniarzem i nie nosił broni. Jeśli ten facet, Winky, znajdował się w środku i jeśli rzeczywiście kogoś zastrzelił, na pewno był uzbrojony.

Ray podjechał dwa domy dalej i tam zaparkował mustanga. Wysiadł bezgłośnie z samochodu i zaczął iść chodnikiem, starając się pozostać w cieniu. Kiedy znalazł się pod numerem 1224, rozejrzał się, sprawdzając,



czy nikt go nie obserwuje. Następnie wszedł na ganek i stanął pod drzwiami wejściowymi.

Ray przycisnął ucho do drzwi. Ze środka dobiegał dźwięk telewizora i płacz dziecka, gdzieś z głębi domu. „Co mam teraz, do cholery, zrobić?” - pomyślał. Nic innego nie przyszło mu do głowy, więc zapukał do drzwi. Wewnątrz rozległ się odgłos szurania nogami, szepty, a po chwili kobiecy głos spytał:

- Kto tam?

Ray nie odezwał się ani słowem, licząc na to, że kobieta otworzy drzwi z ciekawości. Po chwili, usłyszał ten sam głos, tym razem głośniejszy i bardziej zniecierpliwiony.

- Spytałam, kto tam?

Zapukał jeszcze raz. Znowu usłyszał szepty, a potem odgłosy kroków, zbliżających się do drzwi. Klamka poruszyła się. Ray zaczerpnął głęboko powietrza, starając się uspokoić nerwy. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wewnątrz stała czarna kobieta około dwudziestki, o ładnej twarzy, i wzroście pięć stóp i pięć cali, pulchna, jakby we wczesnej fazie ciąży. Spojrzała na Raya surowym wzrokiem.

- Czego pan chce?

Ray zerknął jej przez ramię, ale nikogo nie było widać. Właściciel drugiego szepczącego głosu zniknął.

- Czy Cleo...

W samą porę przypomniał sobie, że nigdy nie należy zadawać pytań, na które odpowiedzią jest „tak” lub „nie”. Niech ludzie sami wszystko wyjaśniają. Nigdy nie należy dawać im szansy na krótką odpowiedź.

- Przyszedłem do Clea Harrisa.

Potrząsnęła głową.

- On tutaj nie mieszka - odpowiedziała, tym samym przyznając, że go zna.

Za jej plecami, w malutkim pokoju Ray dostrzegł obszarpaną kanapę, dwa rozpadające się krzesła i telewizor, stojący na rozklekotanym stoliku.

- To z kim pani rozmawiała? - spytał.

Rozejrzała się ostentacyjnie.

- Z nikim nie rozmawiałam.

- Dobrze słyszałem.

Poruszając szczęką, mlasnęła kilka razy gumą do żucia.

- To na pewno telewizor, bo tutaj nie ma nikogo oprócz mnie i dziecka.

- Muszę z panią o czymś porozmawiać. Mogę wejść?

Uniosła rękę, tuż przed jego twarzą.

- Nie znam pana i nie wejdzie pan do mojego domu.

Ray zrobił krok do przodu.

- Zajmę tylko minutkę.

Próbowała zamknąć drzwi, ale przytrzymał je ręką. Stała w wejściu i próbowała zablokować je swym pulchnym ciałem.

- Musi mieć pan nakaz rewizji, żeby wejść do tego domu.

- Nie potrzebuję nakazu rewizji - odpowiedział Ray, próbując wcisnąć się do środka.

Kobieta wbiła stopy w podłogę i zaparła się rękoma o framugę drzwi.

- Mój prawnik powiedział mi, że policja potrzebuje nakazu, żeby wejść do czyjegoś domu.

- Ma rację, ale ja nie jestem z policji - odparł Ray. Wepchnął ją z powrotem do pokoju.

Krzyknęła.

- Pomocy, on wszedł do środka!

Ray pomyślał, że raczej nie woła do dziecka. Musiał tu być ktoś jeszcze.

Z korytarza po lewej stronie przybiegł mężczyzna. Był czarny, miał dwadzieścia kilka lat. Rzucił się w kierunku Raya. Na szczęście nie miał broni. Pulchna dziewczyna uwiesiła się Rayowi na lewym ramieniu, podczas gdy chłopak chwycił oburącz przód jego koszuli i zaczął go popychać. Oboje wrzeszczeli, że ma się wynosić.

Ray musiał szybko zamknąć drzwi. Jeszcze tylko brakowało, żeby wścibscy sąsiedzi wezwali policję. Zamachnął się pięścią nad rękoma faceta i walnął go lewym sierpowym w podbródek. Mężczyzna padł na brzuch jak kłoda.

- Siadaj i zamknij się - krzyknął do dziewczyny, odpychając ją.

Zaczepiła nogą o stolik i runęła na kanapę. Facet próbował wstać, ale Ray przycisnął mu kark kolanem, wbijając jego twarz w cienki dywan. Nauczył się tego, kiedy był gliną: jeśli masz kontrolę nad głową człowieka, masz kontrolę nad całym jego ciałem.

Dziewczyna zerwała się na nogi.

- Dzwonię na policję!

Ray zwiększył nacisk. Mężczyzna wykrzywił twarz w grymasie bólu.

Wskazując palcem na dziewczynę, Ray powiedział:

- Jeśli zaraz nie siądziesz i się nie zamkniesz, złamię mu kark.

- Rób, co mówi - krzyknął czarny mężczyzna.

Usiadła. W głębi domu rozległ się krzyk dziecka.

Ray spojrzał na unieruchomionego człowieka.

- Jak się nazywasz?

- Czego ty kurwa chcesz? - wycedził mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

Ray przycisnął go jeszcze mocniej.

- Zła odpowiedź.

- Okej, okej.

Ray uniósł nieco kolano.

- Więc jak się nazywasz?

- Tyrone.

- Tyrone kto?

- Washington. Tyrone Washington. Jeśli jesteś jakimś łowcą głów, znalazłeś niewłaściwego człowieka.

Ray naparł na kark mężczyzny całym swym ciężarem. Ten wrzasnął i zaczął wymachiwać nogami.

- Przestań, przestań - krzyknęła kobieta. - Zabijesz go!

Ray rozluźnił trochę nogę i nachylił się nad mężczyzną.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Nazywam się Cleo Harris - powiedział w takim pośpiechu, że słowa prawie zbiegły się w jedno.

- Wołają na ciebie Winky?

- Czasami. Ale już mnie nie ścigają. Zarzuty oddalono.

- To nie dlatego tutaj przyszedłem - odparł Ray. - Przyszedłem w sprawie pistoletu.

- Pistoletu? - powtórzyła dziewczyna.

Winky próbował się odwrócić i spojrzeć na Raya.

- Jakiego pistoletu?

Ray przycisnął go mocniej.

- Smith & wesson czterdziestka, z którego zastrzeliłeś człowieka na Frenchman Street.

Winky próbował potrząsnąć głową, ale nie był w stanie.

- Ja nie mam żadnego pistoletu, ja nie zastrzeliłem...

Uciszył go cios w nerkę.

- Nie obchodzi mnie, kogo zastrzeliłeś i dlaczego - powiedział Ray. - Chcę tylko wiedzieć, co zrobiłeś z bronią.

Dziewczyna rozplakała się.

- Robi mu pan krzywdę, proszę pana!

Ray spojrzał na nią.

- Wszystko w twoich rękach. Jak dowiem się tego, po co przyszedłem, pójdę sobie.

Otarła policzki z łez.

- Kim pan jest?

Ray zmniejszył nieco nacisk na kark Winky'ego.

- Pracuję dla ludzi, którzy prowadzą lokal we French Quarter.

Nazywa się Wschodzące Słońce. Wiesz, o kim mówię?

Potrząsnęła głową.

- Ja wiem, o kim mówisz - wybełkotał Winky.

- O kim? - spytała dziewczyna.

- O tych tam - wyjaśnił Winky - Włochach.

- Och, dobry Boże - przeraziła się dziewczyna.

Ray uniósł nieco kolano.

- Słyszałem, co tam się stało, ale przysięgam na Boga, że nie mam z tym nic wspólnego. Przysięgam na moje dziecko - kontynuował Winky.

- Więc komu dałeś pistolet?

- Mówiłem już, nie mam pistoletu.

Ray walnął go pięścią w twarz.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi.

- Przestań go bić!

Ray znowu wycelował w nią palec.

- Siadaj na swoim tłustym tyłku albo go zabiję.

Opadła na kanapę.

- Kogoś zastrzelono z tego pistoletu? - odezwał się Winky.

- A dlaczego niby tutaj jestem? - spytał Ray. - Powiesz mi w końcu, komu go dałeś czy nie?

Winky westchnął.

- Powiem. Ja nikogo wtedy nie zastrzeliłem. Gliniarze się pomylili. Nie miałem nic wspólnego...

- Gdzie pistolet?

- Sprzedałem go białemu chłopakowi... no, tak jakby białemu.

Nazywał się Scooby.

Ray nacisnął mocniej.

- I na pewno miał kumpla, który nazywał się Kudłaty [\[15\]](#).

- Przysięgam na Boga, że mówię prawdę. Koleś bierze ode mnie towar.

- Heroinę?

Ray poczuł pod kolanem, że Winky usiłuje kiwnąć głową.

- Masz do niego numer?

- On nie ma telefonu.

- Więc jak się z nim kontaktujesz?  
- Zazwyczaj sam wpada.  
- A jak ja mogę się z nim skontaktować? - Ray przycisnął go tak mocno, że kark chłopaka mógł naprawdę zaraz się pęknąć.  
- Czekaj, czekaj!  
- Gdzie on jest?  
- Kiedyś u niego byłem.  
Ray znowu uniósł kolano. Truposze nie mogą gadać.  
Ksywa Scooby brzmiała znajomo. Kiedyś natknął się na faceta, którego tak nazywano, ale nie umiał dopasować twarzy do imienia.  
- Jak on wygląda? - spytał.  
Winky obrócił się nieco, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję.  
- To Kubańczyk.  
- Prawdziwy Kubańczyk czy po prostu wygląda na Latynosa?  
Winky kiwnął głową.  
- Ma ciemną skórę, ale nie jest czarny.  
Ray przypomniał sobie aresztowanie faceta za narkotyki.  
- Jakie ma włosy?  
- Gęste, kręcone.  
- Kolor?  
- Rudy.  
To ten facet. Ray nie pamiętał, jak się naprawdę nazywa, ale to musiał być on. Nie był Kubańczykiem. Pochodził z Ameryki Południowej albo Puerto Rico. Do tego w połowie był biały.  
- Ja znalazłem ten pistolet zaraz po strzelaninie - oznajmił Winky. - Domyśliłem się, że jest trefny i sprzedałem go Scooby'emu. Mówił, że potrzebuje go do ochrony.  
- Pamiętasz, jak dostać się do jego mieszkania?  
- Tak.  
- Pójdiesz ze mną - oznajmił Ray.  
- Dlaczego? Już ci mówiłem, że nie mam nic wspólnego z tą chryją we French Quarter.  
- Pokażesz mi, gdzie on mieszka.  
Winky potrząsnął głową.  
- Byłem tam tylko raz. Mogę nie pamiętać dokładnie, gdzie...  
Ray znowu naparł kolanem na kark Winky'ego.  
- Pokażesz mi, gdzie on mieszka. A wtedy cię puszczę.  
Po paru sekundach Winky kiwnął głową.  
- Mam cię tylko zaprowadzić do jego mieszkania?

- Tylko o to mi chodzi.

↓

Ray wepchnął Winky'ego na przednie siedzenie mustanga. Diler obiecał, że nie zrobi niczego głupiego. Jego dziewczyna też przysięgła, że zostanie w domu z dzieckiem, czekając na powrót Winky'ego. Ray z kolei obiecał im, że Winky będzie mógł wrócić do domu, jak tylko pokaże, gdzie mieszka Scooby. Później już nigdy go nie zobaczą. Na wszelki wypadek Ray wziął komórkę dziewczyny i upewnił się, że w ich domu nie było telefonu stacjonarnego.

Ray skręcił na południe przy Elysian Fields Avenue, w kierunku rzeki. Winky poinstruował go, żeby skręcił w lewo, na Saint Claude Avenue. Na Poland Avenue ponownie skręcili w lewo. Stary jednopiętrowy blok mieszkalny stał trzy przecznice dalej, po lewej. Znajdowało się w nim osiem mieszkań - cztery na parterze i cztery na pierwszym piętrze. Wszystkie drzwi wychodziły na ulicę. Winky wskazał rozpadający się budynek palcem.

- Tutaj mieszka.

Ray wjechał na parking po drugiej stronie ulicy.

- Które mieszkanie?

- Pierwsze piętro - odpowiedział Winky, ciągle pokazując blok palcem. - Drugie drzwi, po prawej stronie.

Drzwi były ponumerowane, ale z drugiej strony ulicy Ray nie mógł dostrzec cyfr.

- Pierwsze piętro, drugie drzwi po prawej - powtórzył. - Jesteś pewny?

Winky sięgnął dłonią w kierunku klamki.

- Na sto procent.

Ray chwycił go za ramię.

- Czekaj.

- Przecież pokazałem ci mieszkanie - powiedział Winky, błagalnym głosem. - Powiedziałeś, że tylko tyle muszę zrobić.

- Jakim samochodem jeździ?

Na niewielkim parkingu przed budynkiem stały trzy samochody.

- Nigdy go nie widziałem za kółkiem. Przyjeżdżał do mnie autobusem albo ktoś go podwoził.

- Kiedy tutaj ostatnio byłeś?

- Jakiś miesiąc temu, może sześć tygodni.

- Był sam?

Winky skinął głową.

Ray zajrzał dilerowi w oczy, potem przyjrzał się uważnie jego twarzy, usiłując wychwycić najmniejszą oznakę kłamstwa, ale nic nie znalazł.

- Jeśli kłamiesz, wróć i zabiję ciebie, twoją panią i twoje dziecko.

Najzwyklejszy blef, ale Ray miał nadzieję, że chłopak to kupił.

Winky potrząsnął głową.

- Nie kłamię. Wiem, kim są twoi ludzie - pociągnął za klamkę i otworzył drzwi. - Nie mam nic wspólnego z tym, co zrobił ten głupi sukinsyn Scooby.

- Sprzedałeś mu broń.

- I tylko tyle. To, że kogoś zastrzelił, to jego sprawa.

Winky pchnięciem otworzył drzwi na oścież i zaczął gramolić się na zewnątrz. Ray pociągnął go z powrotem na siedzenie. Winky odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Mówiłeś, że będę wolny, kiedy pokażę ci mieszkanie.

Ray podał Winky'emu komórkę jego dziewczyny i dwudziestodolarowy banknot.

- Co to? - spytał Winky, gapiąc się na dwudziestkę.

- Na autobus.

- Na to wystarczą dwa dolary.

- Weź taksówkę.

Winky przypatrywał się Rayowi przez kilka sekund, po czym chwycił dwudziestkę.

- Dzięki - odpowiedział, wyskakując z samochodu.

Ray podjechał na parking naprzeciwko bloku i tam zaparkował mustanga. Z bliska miejsce wyglądało na jeszcze bardziej zaniedbane. Parking tonął w śmieciach, a z dziur w nawierzchni wyrastały chwasty. Z drzwi budynku odpryskiwała farba. Biegące z boku metalowe schody zżerała rdza. Na przedniej ścianie, niedaleko schodów, widniał rząd czarnych metalowych skrzynek na listy, pełnych wgnieceń i również upstrzonych plamami rdzy.

Ray wszedł po schodach. Na drugich drzwiach po prawej stronie widniała metalowa cyfra siedem, przymocowana do kawałka drewna tuż nad wizjerem. Ray zapukał.

„I co zrobię, jeśli Scooby otworzy drzwi? - pomyślał. „Nie mam pieprzonego pojęcia”.

Ale nikt nie otworzył. Ray zapukał jeszcze raz. Ciągle nic. Pokręcił gałką. Zamknięte na klucz.

Nagle otworzyły się drzwi mieszkania numer sześć, trzecie po prawej

stronie, i ukazała się w nich ładna czarna dziewczyna. Na oko miała około dwudziestu lat. Na rękę trzymała dziecko.

- Kim pan jest?

- Przyjacielem Scooby'ego.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Jest pan z policji?

Ray wiedział, że wyglądu gliniarza nie da się pozbyć. Sposób, w jaki pukasz do drzwi, sposób, w jaki stoisz, rozmawiasz z ludźmi - wszystko krzyczało po-li-cja. Jeśli zaprzeczy, ona mu nie uwierzy.

- Kiedyś byłem, ale to dawne czasy - odpowiedział. - Wie pani może, czy Scooby jest w domu?

Nie dał jej szans, by zaprzeczyła, że Scooby tutaj mieszka.

Przełożyła wiercące się dziecko na drugie ramię.

- Scooby nie żyje.

Ray poczuł się, jakby ktoś przywalił mu z pięści brzuch.

- Jak to?

- Dwie noce temu, o tam - wskazała wolną ręką na ulicę.

Ray odwrócił się, ale dojrzał tylko kilka przejeżdżających samochodów.

- Co się stało?

- Czekał na kogoś i został zastrzelony. Tak jest cały czas w tej okolicy. Dlatego ja i dziecko śpimy na podłodze. Czasem kule wpadają do mieszkań.

- Ktoś tutaj z nim mieszkał?

Potrząsnęła głową.

- Nie miał dziewczyny, jeśli o to pan pyta. Rozmawialiśmy trochę, ale to było jakiś czas temu.

- A jak on tak naprawdę się nazywał?

- Scooby - tylko tyle wiem - zmrużyła oczy. - Podobno jest pan jego przyjacielem. Chyba powinien pan wiedzieć, jak się nazywa?

Ray nie odpowiedział, odwrócił się na pięcie i odszedł. Skrzynki na listy u dołu schodów nie były ponumerowane i na żadnej nie było nazwiska, ale siódma od lewej strony była zapchana pocztą.

Ray wydobył koperty, po czym wrócił do samochodu.

Przy końcu ulicy wjechał na parking stacji benzynowej i zaczął przeglądać stos listów. Prawie wszystkie zaadresowane były do Michaela Salazaara. Kilka do Dorothy Williams, ale Ray domyślił się, że była prawdopodobnie poprzednim lokatorem. Michael Salazaar - właśnie to imię próbował sobie przypomnieć. Teraz, kiedy je zobaczył, był już



pevien.

Przypomniał sobie ćpuna, którego aresztował z paroma innymi funkcjonariuszami obyczajówki we French Quarter. Przypomniał sobie, jak musiał złapać Salazara za jego bujne kłaczyska i powalić go na ziemię. Michael Salazaar, znany również jako Scooby.

## Rozdział dziesiąty

Całodobowy motel przy Chef Menteur Highway był niezłą dziurą. Wewnątrz skleconego z pomalowanych pustaków, jednopiętrowego budynku o kształcie wydłużonego prostokąta znajdowało się trzydzieści wychodzących na autostradę pokoi. Po lewej stronie prostokąta znajdował się hol i mały bar. Rocco miał właśnie wjechać lincolnem na parking.

- Nie tutaj - odezwał się Tony. - Zaparkuj... - rozejrzał się, a następnie wskazał na pobliską stację benzynową Texaco - o tam.

Rocco skręcił na stację. Wsiadając z samochodu, zapytał Tony'ego.

- Dlaczego tutaj? Dlaczego nie motel?

- Wiesz, Rock, ty to naprawdę jesteś czasami głupi - odpowiedział, spoglądając na Rocca ponad dachem samochodu.

Rocco dąsał się przez całą drogę do motelu. W końcu nie wytrzymał:

- Dlaczego powiedziałeś, że jestem głupi?

- Bo taka jest, kurwa, prawda. Nie przyszło ci do głowy, że ten chłopak może się trochę bać? Może wygląda przez okno. Zobaczy, że podjeżdżam i co, myślisz, że będzie tam siedział i czekał, aż wejdziemy do środka?

Rocco wzruszył ramionami.

Minutę później, przed pokojem numer dwanaście na parterze, Tony przyłożył ucho do drzwi. Rocco stuknął go w ramię.

- A skąd wiedziałeś, że Hector tutaj będzie?

Tony marzył o tym, żeby ten wielki bęcwał w końcu się zamknął.

- Bo wiem, w jaki sposób ludzie myślą, zwłaszcza, kiedy nie chcą, żeby ich znalezione.

- A czemu nie chce, żeby go znalezione?

Tony zapukał do drzwi. Wewnątrz ktoś się poruszył, po czym spytał:

- Kto tam?

Opierając się o drzwi, Tony odpowiedział:

- Hector, tu Tony Zello, otwórz.

Cisza.

Tony zaczął łomotać pięścią w drzwi.

- Otwieraj, kurwa. Hector, musimy pogadać.

Rozległ się szcęk łańcucha i drzwi uchyliły się nieco. W szczelinie pojawiło się oko, które spojrzało najpierw na Tony'ego, potem na Rocca.

- Skąd wiedzieliście, że tutaj jestem? - spytał głos Hectora.

Tony pchnął drzwi ramieniem. Otworzyły się szeroko i gruchnęły Hectora w głowę, przewracając go na podłogę. Tony i Rocco wbiegli do środka, ale Hector zdążył się podnieść, zanim go pochwycili i czmychnął przez łóżko w głąb pokoju.

Za Hectorem widniały szklane rozsuwane drzwi. Ray rzucił się w kierunku chłopaka, ale skurczybyk strącił stojącą na stoliku lampkę. Ta spadła pod nogi Tony'ego, co spowolniło go o kilka sekund. Hector sięgnął ręką w kierunku szklanych drzwi i przesunął zasuwę. Tony zdał sobie sprawę, że nie zdoła go złapać, chwycił więc swoją krótkolufową trzydziestkęósemkę i strzelił Hectorowi dwa razy w plecy. Rocco stanął jak wryty.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Tony zamknął kopniakiem drzwi wejściowe i wetknął rewolwer z powrotem z tyłu spodni.

- Musiałem go jakoś zatrzymać.

Hector leżał w bezruchu przy tylnych drzwiach. Czerni dziur po kulach kontrastowała z bielą jego koszulki. Kiedy Tony przewrócił go na plecy, z otwartych ust Hectora uleciał ostatni oddech. Tony uklęknął przy chłopaku i przycisnął dwa palce do jego szyi. Nie wyczuł pulsu - Hector był martwy i wpatrywał się w sufit niewidzącym wzrokiem.

Rocco zaczął ściągać z łóżka pościel.

- Co ty robisz? - spytał Tony.

- Musimy go jakoś stąd wynieść, a jest środek dnia. Mam zamiar zawinąć go w prześcieradło.

- Nigdzie nie będziemy go przenosić.

Rocco zatrzymał się i spojrzał na Tony'ego.

- Jak to?

- Tak to.

Tony zrobił krok nad ciałem Hectora i otworzył tylne drzwi. Będzie musiał sprawić sobie mieszkanie z tylnymi drzwiami, na wypadek, gdyby kiedyś potrzebował pokoju, z którego można łatwo uciec.

- Zostawimy go tutaj.

Za motelem biegł wąski, betonowy chodnik, obok którego wznosiło się wysokie na sześć stóp ogrodzenie, oddzielające motel od tyłu innego

budynku. Tony wyszedł na zewnątrz, skręcił w lewo i zaczął iść w kierunku stacji Texaco. Sunący za nim Rocco powiedział:

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego musiałeś zastrzelić Hectora.

Tony odburknął mu przez ramię.

- Dlatego to ja jestem tutaj od myślenia, Rock, nie ty.

Przez całą drogę do lincolna nie odzywali się do siebie ani słowem. Już w samochodzie siedzący za kółkiem Rocco stwierdził zdziwionym tonem:

- Myślałem, że tylko z nim pogadamy.

- Nie można pogadać z kimś, kto przed tobą ucieka - odparł Tony.

Wyjeżdżając z parkingu Texaco, Rocco spojrzął na Tony'ego.

- Ale skoro już nie żyje, nigdy nie będziemy w stanie z nim pogadać.

Tony zaczerpnął głęboko powietrza.

- Jedź do cholery, Rocco. Po prostu jedź.

↓

- Pamiętasz Michaela Salazaara? - spytał Ray.

LaGrange potrząsnął przecząco głową.

- Ćpuna, którego aresztowaliśmy we French Quarter - wyjaśnił Ray i uniósł rękę nad głowę. - Tego z włosami.

LaGrange wzruszył ramionami.

Siedzieli w niewielkim barze, z tyłu Banks Street. LaGrange uparł się przy tym miejscu, kiedy Ray zadzwonił rano, prosząc o spotkanie. Znowu jasno dał do zrozumienia, że nie chce, żeby widziano ich razem.

- Wychodziliśmy z Felix's Oyster House - kontynuował Ray. - Facet podszedł do nas i spytał, czy nie chcemy jakiegoś towaru.

Dźwigałem wtedy w brzuchu ciężar tuzina smażonych ostryg i połowy bochenka francuskiego chleba i ledwo się ruszałem, więc mu powiedziałem, żeby dał sobie spokój. Ale on nie odpuszczał, po prostu prosił się o to, żeby wsadzić go do pierdła.

LaGrange skinął głową na znak, że zaczyna sobie przypominać, po czym powiedział:

- Trochę z tym kolesiem się poszarпалиśmy. A na koniec okazało się, że nawet nie miał przy sobie żadnych narkotyków.

- Tak, to on.

- Teraz pamiętam. Co z nim?

- Wołają na niego Scooby.

- I?

- I nie żyje - odpowiedział Ray. - Dostał w czasie ostrzału z samochodu kilka dni temu, dokładnie przed swoim domem.

- I kogo to obchodzi?
- Potrzebuję informacji na jego temat.

LaGrange rozsiadł się na krześle.

- Dlaczego?

- To jemu Winky sprzedał tego smith & wessona.

- Myślisz, że jest jednym z facetów, którzy napadli na Dom?

Ray pociągnął łyk whisky i zapalił kolejnego papierosa.

- Właśnie dlatego chcę zobaczyć jego kartotekę. Nie miał tatuażu z pajęczą siecią, kiedy go aresztowaliśmy, ale to było jakieś... - Ray próbował przypomnieć sobie, ile czasu minęło, odnosząc to wydarzenie do innego momentu, jednego z ważniejszych w swoim życiu, czyli chwili, kiedy trafił do więzienia - ...sześć czy siedem lat temu. Muszę wiedzieć, czy był aresztowany od tamtego czasu i czy w jego aktach jest coś o tatuażu.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Ależ dobrze wiem, Jimmy - Ray wpatrywał się w LaGrange'a tak długo, aż ten odwrócił wzrok. - Proszę, żebyś mi pomógł.

Kelnerka przyniosła świeże drinki. Ray rzucił dwudziestkę na jej tacę. Kiedy się oddaliła, powiedział:

- Muszę poznać coś jeszcze.

LaGrange otarł czoło jedną dłonią, a drugą chwycił drinka.

- Co takiego?

- Dane wspólników Scooby'ego. Muszę się przyjrzeć każdemu, kto został z nim aresztowany.

- Czego szukasz?

- Faceci, którzy na nas napadli, dobrze się znali i wiedzieli, czego mogą się po sobie spodziewać.

LaGrange upił łyk whisky.

- A co sądzisz o tym, że ktoś kropnął Salazaara zaraz po robocie?

Ray zaciągnął się papierosem i zaczerpnął łyk jamesona.

- Już się nad tym zastanawiałem.

- Myślisz, że to tylko zbieg okoliczności?

Ray pokręcił przecząco głową.

- Zbiegi okoliczności nie istnieją.

# Rozdział jedenasty

Ray wskoczył pod markizę ochraniającą drzwi wejściowe Domu. Była siódma wieczorem i lało jak z cebra. Był przemoczony do suchej nitki. Właśnie przybiegł z parkingu, położonego dwie przecznice dalej. Ukryty przed deszczem zgiął się w pół, opierając się rękoma o kolana. Chciało mu się rzygać.

Nowy bramkarz posłał mu zmartwione spojrzenie.

- Wszystko w porządku?

- Muszę tylko złapać oddech - wyrzęził Ray. Znał chłopaka z baru na dole - obstawiał tam tylne drzwi. Pomyślał, że nie nacieszy się długo nową rolą, bo jego wygląd nie jest wystarczająco włoski. Tony miał na tym punkcie fioła: jeśli nie wyglądałeś jak mafioso rodem z Hollywood, nie mogłeś obsługiwać drzwi wejściowych Domu. Dla Tony'ego wygląd był wszystkim. I dlatego właśnie postawił przy wejściu Hectora. Nie umiał on co prawda odróżnić kałamarnicy od suma, ale prezentował się odpowiednio.

Z tym, że teraz Tony potrzebował nowego bramkarza, bo Hector odszedł na zawsze.

Po chwili Ray był w stanie znowu normalnie oddychać. Wyprostował się i wydobył papierosa z paczki w tylnej kieszeni. Włożył lucky strike'a do ust, pstryknął zippo, ale ta oczywiście nie chciała się zapalić. W końcu machnął zapalniczką w stronę faceta, stojącego przy drzwiach.

- Masz ogień?

Bramkarz potrząsnął głową.

- Nie palę.

Ray otworzył drzwi.

Wchodząc do środka, prawie zderzył się z wysoką brunetką owiniętą futrzaną etolą. Włosy miała spięte na czubku głowy, przytrzymywała je spinka wysadzana brylantami albo przynajmniej czymś w tym stylu. Spinka przypominała koronę i kobieta wyglądałaby pewnie jak baśniowa księżniczka, gdyby nie reszta stroju: skórzane spodnie we wzorek, szpilki i eksponująca biust bluzka.

Młasnęła kilka razy gumą, po czym wyciągnęła w kierunku Raya kluczyki.

- Rdzawoczerwony jaguar.

Ray rozejrzał się, przeświadczony, że kobieta zwraca się do kogoś innego, ale ta zabrzęczała mu kluczykami przed nosem.

- Mówi pani do mnie? - spytał.

- Pracujesz tutaj, prawda?

- Tak, pracuję.

- Więc trzeba przyprowadzić mój samochód - trzepnęła dłonią po futrzanej etoli. - To nie może się zmoczyć.

Ray wskazał na kluczyki.

- Jeśli parkuje się u Shorty'ego, trzeba je tam zostawiać.

- Byłam na zakupach. Samochód jest obładowany torbami i nie zostawiłabym moich kluczyków czarnuchowi.

- Kim ty u diabła jesteś?

Pokiwała ze zniecierpliwieniem głową, dając Rayowi do zrozumienia, że jest idiotą.

- Priscilla Zello. Skoro tutaj pracujesz, pracujesz dla mojego męża.

Ray wetknął niezapalonego papierosa za ucho. Słyszał od kogoś, że żona Tony'ego Zello była kiedyś modelką prezentującą stroje kąpielowe. Patrząc teraz na nią, nietrudno było w to uwierzyć. Jednocześnie utwierdził się w przekonaniu, że niezależnie od tego jak piękna jest powłoka zewnętrzna, wewnątrz może być zepsute.

- Jesteś żoną Tony'ego? - spytał.

Kiwnęła głową, mlaskając gumą.

- To wszystko tłumaczy - Ray roześmiał się jej w twarz, po czym minął ją i wszedł do Domu. Słyszał za plecami, jak kłapie jadaczką coś o wylaniu go z pracy.

Na pierwszym piętrze przy stołach do hazardu nie było zbyt wielu ludzi. Większość stałych klientów klubu była nocnymi markami.

Opierający się o bar Tony zmierzył wzrokiem przemoczone ubranie i włosy Raya.

- Ktoś znowu na ciebie naszczał?

- Pieprz się, Tony - Ray stanął obok niego, odkleił zza ucha wilgotnego papierosa i włożył go w usta - daj ogień.

Tony wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę i podał ją Rayowi. Shane obrócił w palcach pozłacaną zippo, z wielkim „Z”, utworzonym z diamentowych opiłków. Na odwrocie widniał wygrawerowany napis: „Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestych urodzin, Tony - Pris”.

Zapalniczka prezentowała się tak odpustowo, że z powodzeniem mogłaby się znaleźć w Jungle Room <sup>[16]</sup> Elvisa. Ray odpalił papierosa i oddał pozłacaną zippo Tony'emu, który podrzucił ją, chwycił w powietrzu, po czym położył na dłoni, tak żeby Ray mógł ją podziwiać.

- Niezła, co?

Zanim Ray zdążył odpowiedzieć, Tony stwierdził:

- Ale i tak psioczy, że palę. Mówi, że to niszczy jej ubrania.

- Dała ci też może swój portret na czarnym aksamicie, w jakiejś panterce?

Tony wyprostował się gwałtownie.

- Hej, dupku, mówisz o mojej żonie.

- Wiem - odpowiedział Ray, zaciągając się papierosem. - Wpadłem na nią na dole. Musiałem jej wytłumaczyć, dlaczego nie popędzę w tę ulewę i nie przyprowadzę jej samochodu.

Tony kiwnął głową.

- Lubi, jak się wokół niej skacze. Nie wie tylko, że to sztuczne futro. Jeśli je zmoczy, odbarwi się.

- I najwidoczniej jest uprzedzona do czarnoskórych - odparł Ray, wpatrując się w Tony'ego. - Ciekawe, od kogo to podłapała.

Tony wsunął zapalniczkę do kieszeni.

- Podobno chciałeś pogadać - więc gadaj, robota czeka.

- Właśnie wracam z mieszkania Hectora. Widziałem się znowu z jego dziewczyną i jego siostrą. Mówią, że nie żyje. Znaleźli go zastrzelonego w jakiejś norze na Chef Highway.

- Wiem - stwierdził zdawkowo Tony. - Sam go zastrzeliłem.

- Co takiego?

- Słyszałeś.

- Po co, do cholery?

- Nie zrobiłem tego umyślnie.

- Zastrzeliłeś Hectora przez przypadek?

- Nie, nie zastrzeliłem go przez przypadek. Strzeliłem do niego umyślnie. Zabiłem go przez przypadek.

- A co niby chciałeś zrobić? - spytał Ray.

- Tylko porozmawiać.

- I dlatego do niego strzeliłeś?

- Próbował uciec.

- Zastrzeliłeś go w motelu?

Tony skinął głową.



- A co, u diabła, Hector tam robił? - kontynuował Ray.  
- Wygląda na to, że się ukrywał, pewnie chciał przeczekać, dopóki cały ten...

- Chwilę - wtrącił Ray. - A skąd wiedziałeś, że tam jest?

Tony spiorunował Raya wzrokiem.

- Nie przerywaj mi!

Ray nic nie odpowiedział.

- Mogę dokończyć? - spytał Tony, tonem dupka, którym zresztą był.

- Proszę bardzo - odpowiedział Ray, gryząc się w język, żeby nie powiedzieć tego, na co naprawdę miał ochotę, czyli: wał się.

- Już ci mówiłem, Shane, ulica nigdy nie kłamie. Wszystko, czego chcesz się dowiedzieć, jest właśnie tam. Musisz tylko wiedzieć, gdzie szukać. Dowiedziałem się, że ten mały skurwiel Hector zaszył się gdzieś na wschodzie, więc poszedłem go szukać. I wiesz co? Znalazłem go.

- Szkoda tylko, że nic z niego nie wyciągnąłeś, zanim go zastrześliłeś.

- Już mówiłem, nie zrobiłem tego umyślnie. Poszedłem tam z nim porozmawiać. Ale jak tylko Rocco i ja weszliśmy do tej szczurzej nory, w której się ukrywał, ten mały gnojek rzucił się do tylnych drzwi. Strzeliłem do niego raz. Chciałem go tylko postrzelić. Najwyraźniej mi się nie udało.

- Nie udało?

- To znaczy nie udało mi się go tylko postrzelić. Musiałem trafić w aortę czy coś, może w serce.

- Poszedłeś tam, żeby z nim porozmawiać i przypadkowo strześliłeś mu w serce?

Tony wzruszył ramionami.

- No tak.

- Coś powiedział?

- Nie zdążył.

Ray pokiwał głową.

- Mamy tutaj działać we wspólnym celu, Tony. Szukałem Hectora od dwóch dni. Ale ty pierwszy do niego dotarłeś i zabiłeś go, zanim zdążył cokolwiek pisnąć. Komuś mogłoby się to wydać podejrzane.

Tony zrobił krok w kierunku Raya i dźgnął go palcem.

- Zamknij dziób, Shane, albo ja cię uciszę. Tak jak uciszyłem twojego małego przyjaciela Hectora.

- Był jedynym tropem, jaki mieliśmy - Ray zdecydował się nie wspominać nic o Winkym czy Scoobym.

Tony wetknął papierosa w usta i odpalił go od swojej pozłacanej

zapalniczki. Zaciągnął się głęboko, po czym dmuchnął dymem Rayowi w twarz.

- Pewnie nieźle się mądrzyłeś, kiedy byłeś gliną.

- Przynajmniej starałem się nie zabijać świadków.

- Carlos do mnie zadzwonił - oznajmił Tony. - Chce wiedzieć, co ostatnio robiłeś. Najwyraźniej będę zmuszony mu powiedzieć, że się opieprzałeś.

- Jak znalazłeś Hectora?

- A jakie to ma znaczenie? Ty nie potrafiłeś go znaleźć, więc ja to zrobiłem. Może powinienem zostać detektywem?

- Tak, kurwa, istny Sherlock Holmes z ciebie.

- Wiesz, na czym polega twój problem, Shane?

- Nie, oświeć mnie.

- Jedyną rzeczą, do jakiej się nadajesz, to siedzenie na tyłku przy barze za te ochłapy, które ci rzucamy. A dlaczego? Bo ty nie masz szacunku dla nikogo, łącznie z sobą samym. Jesteś żaloszny.

- Coś takiego z twoich ust naprawdę nie znaczy zbyt wiele.

Tony zignorował przytyk.

- Pamiętasz tę piosenkę, którą śpiewała taka gruba czarna babka. R-e-s-...-p-... - Tony machnął ręką, rezygnując z przeliterowania tytułu. - Ta piosenka, w której literowane jest słowo respect.

- Chodzi ci o piosenkę Respect Arethy Franklin?

Tony potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, nieważne. Chodzi o to, że...

- Napisał ją Otis Redding.

- W dupie mam, kto ją napisał - twarz Tony'ego poczerwieniała. - Chodzi o to, że ty nie wiesz nic o szacunku.

Ray pstryknął niedopałek papierosa do popielniczki.

- Przynajmniej wiem, jak się to pisze.

Oczy Tony'ego zwięziły się w szparki.

- Vinnie uważa, że jest ci coś dłużny, ja - nie. Więc kiedy już będę tu rządził, dostaniesz za swoje. Obiecuję ci.

Ray spojrział na Tony'ego z udawanym zdziwieniem.

- Dostałeś awans?

- Ktoś nawalił. Ktoś nie chciał ubrudzić sobie rąk, prowadząc to miejsce i za długo rządził tutaj lekką ręką. Wygląda na to, że Vinnie być może będzie musiał wyłożyć te trzysta patyków z własnej kieszeni.

Ray wzruszył ramionami. Wiadomość co prawda zaskoczyła go, ale było mu wszystko jedno, czy Stary uważa, że jego brat nawalił czy nie.

Miał to w nosie dopóki nikt nie żąda, żeby sam dorzucił się do skradzionej kwoty.

- Vinniego na to stać.

- Vinniego nie stać, żeby kupić grillowaną kanapkę z serem - prychnął Tony.

- O czym ty mówisz? - Ray wskazał głową kasyno. - Przecież to miejsce to złoty biznes. Mieszka w luksusowym apartamencie. Nowy Orlean praktycznie należy do niego. A przynajmniej jego nieoficjalna część. Oczywiście, że Vinniego na to stać.

- Mówię ci, Vinnie nie ma nawet nocnika, żeby się wyszczać.

Instykt gliniarza podpowiadał Rayowi, że coś mogło być na rzeczy.

- Dlaczego?

Tony rozejrzał się po pomieszczeniu, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Następnie skierował wzrok na Raya.

- Ta szkoła, do której chodził jego chłopak była droga, bardzo droga. Do reszty dobrała się jego żona. Chyba wydawało jej się, że Vinnie ma maszynkę do kręcenia siana - wyszeptał.

Ray wskazał głową kase i zamknięte drzwi prowadzące do licznarni.

- A dlaczego tam było tyle gotówki?

Tony wzruszył ramionami, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że coś wie.

- Odesłaliście furgonetkę? - spytał Ray.

Tony uniósł dwa palce.

- Odesłaliśmy dwie tamtej nocy.

- Dlaczego?

- To nie była moja decyzja.

Ray wpatrywał się w Tony'ego.

- A czyja?

Tony wskazał palcem sufit, w kierunku apartamentu Vinniego.

- Ale dlaczego? - spytał Ray.

- Nie wiem, sam go spytaj - Tony wzruszył tylko ramionami.

- I tak właśnie zrobię.



Zegar na kuchence wyświetlał ósmą wieczorem. Jenny Porter uświadomiła sobie, że spóźni się do pracy. Wciągnęła strój dziwki, zasunęła zamek z tyłu i właśnie zaczęła rozglądać się za kluczami, gdy ktoś zapukał do drzwi mieszkania.

Przez wizjer dojrzała górną połowę obrzydliwie grubego mężczyzny ubranego w garnitur. Nie znała go, więc krzyknęła:

- Kto tam?

- Pani Porter, nazywam się Hiram Gordo - odpowiedział przytłumionym głosem, zbliżając do wizjera swoją wizytówkę. - Reprezentuję dostawców usług medycznych. Muszę z panią porozmawiać, to bardzo pilne.

Wszystko jasne. Chodziło o pieniądze. Zawsze chodziło o pieniądze.

- Teraz nie mogę rozmawiać. Szykuję się do pracy.

- To bardzo ważne, pani Porter - nalegał otyły mężczyzna. - Zajmę pani tylko kilka minut.

Jenny otworzyła drzwi, a Hiram Gordo wtoczył się do środka i wręczył jej swą wizytówkę. Wzięła ją, nawet na nią nie patrząc.

Gordo zmierzył ją wzrokiem, najwięcej czasu poświęcając nogom.

Po chwili podał jej pulchną dłoń.

- Bardzo mi miło.

Dłoń była zimna i lepka od potu, w dotyku przypominała oślizgłą rybę. Zamiast patrzeć Jenny w oczy, Gordo zaglądał jej za bluzkę, wciąż trzymając jej rękę. Jenny nagle poczuła się nieswojo. Wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Nie zadzwonił pan, więc jak dostał się pan do środka budynku?

Po raz pierwszy spojrzął jej w oczy.

- Spotkałem jednego z pani sąsiadów, który właśnie wychodził. Przedstawiłem się i wpuścił mnie.

Jenny zadała sobie w duchu pytanie, jaki jest sens zabezpieczeń w domu, skoro każdy z ulicy i tak może wejść do środka niezapowiedziany.

- Jak już mówiłam, zbieram się do pracy.

Posłał jej śliskie spojrzenie.

- To zajmie tylko minutkę - skinął w kierunku kanapy. - Czy mogę usiąść?

Jenny potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nie mam...

Ale Gordo już zdążył ją zignorować. Klapnął na kanapę, umościł się wygodnie między poduszkami, a następnie poklepał ręką miejsce koło siebie.

- Proszę usiąść.

Jenny splotła ręce na piersi.

- Mówiłam już panu, że wychodzę do pracy. Więc, wybaczy pan, ale muszę iść.

Gruby mężczyzna pochylił się do przodu.

- Pani Porter, a ja mówiłem, że reprezentuję dostawców usług

medycznych.

- Jakich?

- Mid-City Medical Center, Stafford Nursing Services i Medico Equipment Rentals - wyrecytował tonem handlarza używanymi samochodami. - Jest im pani dłużna czterdzieści osiem tysięcy dolarów łącznie.

- Jest pan jakimś windykatozem? - Jenny spojrzała wreszcie na wizytówkę: Hiram L. Gordo, adwokat.

Nie miała do czynienia z wieloma prawnikami, ale ci, których spotkała do tej pory, prezentowali się z pewnością znacznie... porządniej.

- Więc jest pan prawnikiem?

- Moja firma specjalizuje się w windykacji złego długu.

- Złego długu?

Posłał jej wymuszony uśmiech.

- O złym długu mówimy w przypadku, gdy termin spłacenia należności został przekroczony o więcej niż dziewięćdziesiąt dni. Nie miałem zamiaru pani urazić.

- Nie uraził mnie pan - odpowiedziała Jenny. - Nie obchodzi mnie, jak to się nazywa i nie zapłacę im ani centa więcej.

- Pani Porter, moi klienci, działając w duchu uczciwości i współpracy, zadali sobie trud opracowania dla pani bardzo sensownego planu spłaty długu, ale pani nie uiściła żadnej z opłat.

- Dziewięćset dolarów miesięcznie nie jest według mnie sensownym planem.

Gordo nie zwracał na nią uwagi.

- Moi klienci wysłali do pani listem poleconym wezwania do zapłaty, dzwoniли też do pani, zrobili wszystko, co w ich mocy, zanim skontaktowali się z moją firmą windykacyjną. A skoro dług został mi przekazany, będę musiał go ściągnąć.

- Położyłam moją mamę w szpitalu, żeby jej pomogli, a nie zabili.

- Pani Porter, to kwestia, którą powinna pani omówić z prawnikiem specjalizującym się w błędach lekarskich. Mnie interesuje tylko niespłacony dług.

- Uważa pan, że to, co zrobili jest w porządku? - spytała. - Pozwolili mojej mamie umrzeć i policzyli mi za to siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

- Nie dlatego tutaj przyszedłem.

- Wiem, dlaczego pan przyszedł. Dlatego, że te sukinsyny dbają bardziej o ściągnięcie opłat niż o pomaganie chorym ludziom.

- Wydaje mi się, że to, co pani mówi jest co najmniej niesprawiedliwe, a może nawet mija się z prawdą.

- Ależ oczywiście, że się tak panu wydaje. W końcu przyszedł pan tu tylko po pieniądze - Jenny zaczęła tracić nad sobą kontrolę.

- Jest pan gorszy od nich.

- Proponuję wrócić do pani problemu - oznajmił Gordo.

- Zwykle wysyłam powiadomienie listem poleconym. Jeśli po trzydziestu dniach nie otrzymuję wpłaty, wnoszę sprawę do sądu.

- Może pan sobie wnosić sprawę o co pan chce. Nie zapłacę żadnych pieniędzy za zabicie mojej matki.

- Ale zapłaciła już pani dwadzieścia siedem tysięcy dolarów, tylko że od ostatniej wpłaty minął ponad rok. Proszę tylko, aby wznowiła pani opłaty.

- Nie zapłacę pana klientom złamanego centa.

- Nie ma pani wyboru, pani Porter. Pozwę panią, dostanę orzeczenie sądu, a w rezultacie zajmę pani własność, wejdę na pani pensję, zrobię wszystko, żeby tylko zaspokoić roszczenia wierzyciela.

- Niech pan idzie do diabła, panie Gordo - rzuciła okiem na wizytówkę - i wskazała na drzwi. - Wynocha z mojego mieszkania!

Hiram Gordo zerwał się na nogi z zaskakującą prędkością.

Próbowała się cofnąć, ale wpadła tylko tyłem na stolik. Prawnik chwycił ją za ramię. Jenny usiłowała się wyrwać, ale tłuste łapsko trzymało ją mocno.

- A może byśmy tak... wymyślili coś, co będzie wzajemnie satysfakcjonujące?

Spojrzała na nalaną twarz Gorda, na kropelki potu lśniące nad jego górną wargą.

- O co panu chodzi?

Mężczyzna przyciągnął Jenny do siebie prawą ręką, lewą głaskając jej ramię. Uderzył ją smród zgnilizny wydobywający się z jego ust.

- Może moglibyśmy coś dla siebie zrobić. Takie małe quid pro quo?

Wyrwała się w końcu i przewróciła stolik do góry nogami, cofając się przed nim.

- Wynocha! - krzyknęła, pokazując palcem drzwi.

Gordo uśmiechnął się.

- Tak naprawdę, to nie chcesz, żebym sobie poszedł, mam rację?

Spojrzała ostentacyjnie w kierunku zamkniętych drzwi łazienki, starając się skupić na nich jego uwagę.

- Mieszkam z kimś.

Gordo zarechotał, potrząsając okazałym brzuszyskiem.

- Mieszka pani sama, pani Porter.

Ponownie spojrzała na zamknięte drzwi, żałując, że nie ma tam nikogo, kto mógłby pomóc jej pozbyć się tej świni. Znowu cofnęła się parę kroków, wciąż siląc się na blef.

- Jeśli zaraz stąd nie wyjdiesz, mój chłopak przyjdzie tutaj i skopie ci tyłek.

- Mój pracownik obserwował panią.

- Obserwował mnie? - powtórzyła, czując ścisk w żołądku.

- Pomyślałem, że dobrze byłoby więcej się o tobie dowiedzieć - jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - Wiem, gdzie mieszkasz. Wiem, gdzie pracujesz i wiem, jak zarabiasz na życie - zachichotał.

- I co, liczysz na darmochę?

- Czterdzieści osiem tysięcy dolarów, pani Porter, to mnóstwo pieniędzy. Mogę pomóc.

Cofnęła się do kuchni, zastanawiając się, jakich przedmiotów mogłaby użyć jako broni - noży, widelców, stalowego garnka leżącego na suszarce...

Gordo podążał za nią.

- Pomóc mi w czym? - spytała. Niech mówi. Dzięki temu będzie miała więcej czasu.

- Mogę postarać się o odroczenie - odpowiedział, zbliżając się w jej kierunku. - Może też o mniejsze raty.

- I czego chcesz w zamian?

Wpadła na ścianę między pokojem a kuchnią. Gordo roześmiał się, po czym wyciągnął rękę i dotknął pieszczotliwie jej policzka.

- Wydaje mi się, że wiesz, czego chcę.

Chwycił ją za ramiona i przyparł do ściany. Pochylił się do przodu i zaczął ją całować. Jenny odwróciła twarz, próbowała wyslizgnąć się pod jego ramieniem, ale napierał na nią mocno wielkim brzuszyskiem. Zapierając się plecami, kopnęła grubasa prawym kolaniem w krocze. Prawnik jęknął, ale nie puścił jej. Bliska paniki, Jenny znowu uderzyła go kolaniem w klejnoty. Kolejny jęk, ale wciąż nie mogła się uwolnić. Poczwała jego rękę na swoim ramieniu, kciuk wbijający się we wgłębienie tuż za obojczykiem.

Usiłował rzucić ją na podłogę.

- Możesz to zrobić na kolanach, jeśli wolisz - oznajmił.

Jenny wygięła szyję i zatopiła zęby w jego kciuku. Czwała w ustach smak krwi. Gordo wrzasnął piskliwie jak mała dziewczynka. Kiedy

oderwał dłoń od jej ramienia, Jenny wyslizgnęła się spod jego łapska i popędziła do kuchni. Ruszył za nią.

- Ty suko! - krzyknął.

Dotarła do blatu obok kuchenki, kiedy chwycił ją za włosy. Szarpnął do tyłu, ale ręka Jenny zdążyła zacisnąć się na rękojeści noża do steków - jednego z sześćoelementowego kompletu noży, których trzonki wystawały z drewnianego stojaka. Gordo pociągnął ją do tyłu i w dół, starając się powalić ją na podłogę, ale udało jej się zaprzeć stopami i zachować równowagę. Odwróciła się w jego stronę, chcąc dźgnąć go w pierś. Spodziewał się tego i w ostatniej chwili odchylił się. Ostrze przecięło rękaw i wbiło się w tłuszcz jego ramienia. Uderzył ją w twarz, po czym odskoczył na bok, łapiąc się za ramię. Jenny trzymała nóż oburącz, z ostrzem skierowanym w górę, wymierzonym w jego twarz.

- Wynocha z mojego domu.

Gordo spojrzał na krew, sączącą się między jego palcami, następnie skierował wzrok na Jenny.

- Skaleczyłaś mnie, ty pieprzona suko!

- I zrobię to jeszcze raz, jeśli zaraz nie zabierzesz swojego tłustego dupska z mojego mieszkania! - wrzasnęła, wymachując mu przed nosem nożem.

- Co z tobą, do diabła? - na jego twarzy malowało się zdumienie, jakby to wszystko miało być tylko jakąś zabawą. - Jesteś kurwą. Zarabiasz na życie, pieprząc się a nie chcesz tego zrobić, żeby wyjść z długów? Dymałem kury domowe, aż im oczy wychodziły na wierzch, a chodziło tylko o pięciotysięczny kredyt, który chciały ukryć przed mężami.

Wpatrywali się w siebie, dysząc ciężko. Gordo jeszcze raz spojrzał na ramię.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

Rzucił się na nią. Jenny zamachnęła się na jego twarz. Chybiła, ale grubas zatoczył się, próbując obronić się przed ciosem.

Ruszyła za nim, wymachując mu przed oczami nożem i krzycząc, z całych sił:

- Wynocha! Wynocha! Wynocha!

Tłusty prawnik odwrócił się i zaczął uciekać. Wybiegła za nim z kuchni, po czym zatrzymała się, bojąc się podejść do niego zbyt blisko. Przy drzwiach do mieszkania, odwrócił się.

- To jeszcze nie koniec - skinął głową, wskazując na dziurę w rękawie, z której lała się krew. - Zapłacisz za to - dodał, po czym otworzył szeroko drzwi i wybiegł na zewnątrz.



# Rozdział dwunasty

- Co jest, znowu boisz się, że ktoś nas razem zobaczy? - spytał Ray.

Jimmy LaGrange skinął głową.

- Tak.

- Za każdym razem spotykamy się w innym miejscu.

- Może to powinno dać ci coś do myślenia?

- Na przykład co?

- Że może nie chcę się z tobą spotykać - odpowiedział oficer.

Ray rozejrzał się po parku. Znajdowali się nieopodal jeziora Pontchartrain, niedaleko jego mieszkania. Późnopołudniowe powietrze było ciepłe i - dla odmiany - nie padało. Choć był już listopad, ludzie wciąż nosili lekkie ubrania. Wszyscy korzystali z ładnej pogody - czy to spacerując z psami, czy robiąc coś innego. Dwaj byli partnerzy siedzieli po przeciwnych stronach piknikowego stolika.

- I czego się dowiedziałeś? - spytał Ray.

LaGrange rzucił na stół swoją aktówkę, po czym wyciągnął z niej opasły skoroszyt. Ze skoroszytu wyjął komputerowy wydruk liczący kilkanaście stron, a następnie podał go Rayowi.

- Masz tutaj współników Scooby'ego.

Ray zaczął przeglądać listę, licząc nazwiska wszystkich osób, z którymi kiedykolwiek aresztowano Michaela Salazaara w Nowym Orleanie.

- Czternaście - oznajmił LaGrange. - Podkreśliłem tych, których zatrzymano razem z nim za ciężkie przestępstwa.- Dzięki - odpowiedział Ray.

Uważnie przyjrzał się wydrukowi. Pod każdym nazwiskiem widniały dane personalne, takie jak rasa, płeć, data urodzenia, ostatni adres zamieszkania. Dziewięć osób podkreślono na żółto. Poniżej danych personalnych znajdowała się lista zarzutów.

- Widać, że Scooby miał wielu przyjaciół - powiedział Ray, spoglądając na kolejną teczkę, którą LaGrange trzymał w ręku. - Co tam jeszcze masz?

- Kartoteki tych dziewięciu kumpli. Wiedziałem, że o nie poprosisz.  
- I słusznie - Ray sięgnął ręką po teczkę, ale LaGrange położył na niej dłoń.

- I to by było na tyle, Ray. Nie mogę ci więcej pomagać. Za głęboko się pakujesz w to gówno, a ja muszę myśleć o rodzinie.

Ray wpatrywał się w niego uważnie.

- Nie mam wyboru.

- Już to słyszałem - odpowiedział LaGrange. - Niby dlaczego?

Ray opowiedział LaGrange'owi o tym, co zdarzyło się na parkingu Shorty'ego, o wypełnionym szczykami pistolecie na wodę, o prawdziwym pistolecie i o groźbie.

- Dlaczego ty? - spytał LaGrange.

Ray wzruszył ramionami.

- Ponoć dlatego, że kiedyś byłem gliną, ale wydaje mi się, że chodzi o coś więcej.

- Na przykład?

- Tony to ambitny sukinsyn. Nie pozwoli, żeby cokolwiek zrujnowało jego karierę. Jeśli ta ferajna już prysnęła z miasta albo przepuściła pieniądze, albo coś zdarzy się niezgodnie z planem, Tony poszuka sobie kozła ofiarnego.

- I to ty masz nim być?

Ray kiwnął twierdząco głową.

- A jeśli uda ci się ich znaleźć?

- Tony przypisze tę zasługę sobie.

LaGrange przesunął folder w kierunku Raya.

- Cały Tony Zello - powiedział. - Zawsze chce mieć i jedno, i drugie.

Wewnątrz teczki Ray znalazł dziesięć zszytych plików. Rzucił okiem na pierwszą stronę każdego: na górze widniało nazwisko, poniżej, tak jak wcześniej, dane personalne, a potem łączna liczba aresztowań. Pod spodem znajdowały się szczegóły każdego aresztowania.

Kartoteka Scooby'ego leżała na samej górze. Ostatni raz został aresztowany zaledwie trzy miesiące temu. Złapano go wtedy za posiadanie heroiny, ale zarzuty oddalono - jako przyczynę krótka notka podawała niewłaściwy sposób przeprowadzenia przeszukania. Ale Raya bardziej interesowała ta część, w której opisywano znaki szczególne, aktualizowana po każdym aresztowaniu. W danych Scooby'ego opisano parę tatuaży, ale żaden nie przedstawiał pajęczej sieci. Ray przeszedł do kolejnych osób, przeglądając pierwszą stronę każdego pliku. Zwracał zwłaszcza uwagę na nazwiska i opis wyglądu, szukając wzmianki o

pajęczej sieci. Dwaj mężczyźni byli czarni, Ray odłożył więc ich kartoteki na bok. Numer piąty okazał się strzałem w dziesiątkę.

Dylan Sylvester - nazwisko brzmiało znajomo - biały mężczyzna, lat dwadzieścia osiem. Na liście tatuaży znajdowała się pajęcza sieć na wierzchu prawej dłoni. Rayowi stanął przed oczami wysoki, szczupły mężczyzna z ogoloną głową.

Aresztowania zostały ułożone w odwróconym porządku chronologicznym - z informacją o ostatnim zapuszkowaniu na górze. Dwa najwcześniejsze dotyczyły prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwym i naruszenia nietykalności cielesnej. Ale dwa lata temu zatrzymano go za posiadanie kraku z zamiarem dystrybucji i posiadanie broni podczas przestępstwa związanego z przemytem narkotyków. Oba zarzuty oddalono, a przyczyny nie podano.

Ray zaczął kartkować plik. Od zatrzymania za narkotyki i broń do ostatniego zapuszkowania za napad z bronią minęły prawie cztery lata. Pod spodem widniała informacja, że Sylvester przyznał się do napadu i został skazany na dziesięć lat. Więzienia są przeludnione, więc mógł wyjść już po trzech za dobre sprawowanie.

Nagle uwagę Raya przykuło aresztowanie dziewięć lat temu. Już wiedział skąd znał Dylana Sylvestra. Oskarżenie o kradzież, miejsce - French Quarter, oficerowie, którzy dokonali zatrzymania - Ray Shane i Kurt Fitzpatrick.

Po drugiej stronie stolika LaGrange siorbał kawę ze styropianowego kubka.

- Pamiętasz tego faceta? - odezwał się Ray.

- Którego?

- Nazywa się Dylan Sylvester.

LaGrange odchylił głowę do tyłu na kilka chwil, jakby zastanawiając się nad pytaniem, po czym spojrzał na Raya i powiedział:

- Widziałem gdzieś jego nazwisko, ale go nie kojarzę. A co?

Ray stuknął palcem w opis wyglądu.

- On ma ten tatuaż.

LaGrange wzruszył ramionami.

- Tak jak i setka innych facetów. Wielka mi rzecz.

- Ale ja go znam - oznajmił Ray. - Aresztowaliśmy go z Kurtem dziewięć lat temu.

- Za co?

- W dokumencie napisano: kradzież - cofnął się myślami w przeszłość, usiłując przypomnieć sobie szczegóły. - Ale ja to pamiętam inaczej:

napadnięto na turystę, grożąc mu bronią. Dostaliśmy rysopis sprawcy. Pół godziny później ja i Fitz zobaczyliśmy jakiegoś skinheada idącego Bourbon Street. Pasował do rysopisu, więc go złapaliśmy. Znaleźliśmy przy nim portfel turysty, ale nie pistolet.

- Schował go - odezwał się LaGrange. - Na wypadek, gdyby został złapany.

- Tak właśnie pomyśleliśmy. Zrobiliśmy okazanie i ofiara rozpoznała go, ale bez broni, więc mogliśmy go oskarżyć tylko o kradzież.

- Skazano go?

Ray potrząsnął głową.

- Prokurator okręgowy oddalił sprawę, kiedy pokrzywdzony - był gdzieś z północy, Chicago, Detroit czy jakoś tak - nie stawiał się na procesie.

- Z turystami zawsze tak jest.

Ray kiwnął głową. Właśnie dlatego zajmowanie się napadami we French Quarter było tak frustrujące.

- Myślisz, że to on? - spytał LaGrange.

- Wiem, że to on.

- Skoro mieli na sobie maski, skąd masz tę pewność?

- Stąd, że nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- O czym ty mówisz?

Ray położył kartoteki Dylana Sylvestra i Michaela Salazaara obok siebie, potem przekartkował je, aż doszedł do tego, czego szukał. W każdym dokumencie wskazał palcem jedno aresztowanie.

- Dwa lata temu zostali razem zatrzymani za krak i broń.

Przewrócił kilka stron w obu plikach, szukając czegoś jeszcze.

- A kiedy Dylan siedział za napad z bronią... - Ray powiódł palcem w dół akt Salazaara, aż doszedł do właściwego fragmentu.

- ...Scooby też odbywał wyrok w więzieniu stanowym.

- Za co?

- Posiadanie kokainy z zamiarem dystrybucji - postukał palcem w kartkę. - Ile stawiasz, że siedzieli razem?

- Ale to jeszcze nie znaczy, że się zmówili i na ciebie wtedy napadli.

LaGrange nigdy nie grzeszył bystrością. Ray z przerażeniem pomyślał, że taki człowiek pracuje w Sekcji Analizy Kryminalnej.

- Ale przecież to nie wszystko.

- To znaczy? - spytał LaGrange.

- Trzeba tylko połączyć elementy układanki - Ray uniósł wskazujący palec. - Tamtej nocy w Domu dupek z pajęczą siecią wytatuowaną na

prawym ręką próbował strzelić mi w głowę ze smith & wessona czterdziestki - wystawił kolejny palec. - Winky sprzedał właśnie tę broń facetowi, który nazywa się Scooby - trzeci palec. - Scooby kumpłował się z Dylanem Sylvestrem - czwarty palec. - Dylan Sylvester był oskarżony o napad z bronią - kciuk. - Dylan ma wytatuowaną pajęczą sieć na prawej dłoni.

- To tylko poszlaki, nie masz bezpośredniego...

- Nie wybieram się przecież do sądu - powiedział Ray. - To sprawa między mną a nimi.

- Jesteś pewny? - LaGrange uniósł brwi.

- Co masz na myśli?

- Mówiłeś, że nie wierzysz w zbiegi okoliczności.

- No tak i co w związku z tym?

- Masz pewność, że zidentyfikowałeś dwóch członków tej ferajny, tak?

Ray kiwnął głową.

- Powiesz makaroniarzom, że ich znasz?

Ray potrząsnął głową.

- Ja tylko aresztowałem tych kolesiów lata temu. Nie jesteśmy przecież żadnymi kumplami od kielicha.

- I nie dostrzegasz żadnego związku w tym wszystkim?

Jakaś niewyraźna myśl tłukła się Rayowi po głowie. I chociaż naprawdę tego nie chciał, właśnie zaczęła robić się coraz czytelniejsza.

- Jakiego związku?

- Czterech facetów dokonuje napadu, a ty znasz dwóch z nich.

- Mówiłem ci już, że...

LaGrange uniósł rękę.

- Okej, nie znasz ich, ale kiedyś ich spotkałeś. W każdym razie, po napadzie jeden z facetów zostaje sprzątnięty przed swoim domem. Nie widzisz w tym nic dziwnego?

- Nie wiem - Ray wzruszył ramionami.

Ale ta niewyraźna myśl, która wcześniej krążyła mu po głowie, stawała się jaśniejsza z każdą sekundą.

- Więc to tylko zbieg okoliczności - odparł LaGrange.

- Być może.

- Wobec tego dlaczego nie powiesz o tym italiańcom?

- Chyba też nie wierzą w zbiegi okoliczności - wyjaśnił Ray. - Skończyłbym, zawieszony na haku do mięsa.

- Byłeś dobrym gliną, Ray, więc przemyśl to. Jakie, twoim zdaniem,

jest prawdopodobieństwo, że dwóch koleśków, których aresztowałeś kilka lat wcześniej, dobierze się z dwoma innymi dupkami i zrobi skok na miejsce, w którym ty pracujesz, dokładnie wtedy, kiedy pilnujesz drzwi wejściowych, czego zazwyczaj nawet nie robisz?

Nagle Raya rozboleła głowa. Przycisnął palce do skroni. Chciał zapalić.

- Nie wiem.

- A jak myślisz? - nalegał LaGrange.

Ray czuł, że głowa zaraz mu pęknie. Żonglował w myślach różnymi możliwościami, ale nie potrafił wpaść na żaden sensowny trop. Był pewien tylko jednego: nie wierzył w zbiegi okoliczności.



Tony wpadł do biura Vinniego. Vinnie siedział za biurkiem, trzymając w ręku telefon. Spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

- Może byś tak zapukał?

Tony zatrzymał się w połowie drogi do biurka Vinniego, czując się jak dzieciak przyłapany ze świerszczykiem.

- Mam wyjść i zapukać?

Vinnie posłał mu spojrzenie, które w zamyśle miało budzić postrach, ale wypadło raczej głupio, niż strasznie - wyglądał, jakby właśnie jadł cytrynę. Skinieniem dłoni wskazał Tony'emu fotel.

- Jesteś tak użyteczny, że powinienem odesłać cię z powrotem na ulicę, żebyś ściągał długi.

Przez następnych piętnaście minut Vinnie rozmawiał przez telefon. Tony zdawał sobie sprawę, że szef specjalnie przeciąga rozmowę, każąc mu czekać. Ostatnie pięć minut strzepił język na temat prawdziwego południowowłoskiego jedzenia. W końcu rozłączył się, marszcząc czoło, jakby miał migrenę.

- Co się dzieje? - spytał Tony.

- Cały czas coś się pieprzy, właśnie to się dzieje - wskazał na telefon. - Ten skurwysyn... Ten facet z przedmieścia, który ma nasze automaty u siebie... jak on się, kurwa, nazywa?

- Chodzi ci o George'a?

- George, no właśnie. Rozmawiałem z nim przez godzinę i nie pamiętam jego imienia. W każdym razie jego brat został aresztowany zeszłej nocy za wydymanie szesnastoletniego dzieciaka.

- A ile jego brat ma lat?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Ja nawet nie wiem, ile George ma lat.

- Pytam o to, czy sam jest nieletni?

Vinnie potrząsnął głową.

- Nie, to dorosły mężczyzna. George mówi, że jego brat sam ma nastoletnie dziecko. Pieprzony zboczeniec.

- Chłopak czy dziewczyna?

- Co?

- Czy brat George'a przeleciał nastoletnią dziewczynę czy chłopaka?

- A jaka to różnica? - zdziwił się Vinnie.

- Niektóre laski potrafią tak się wypindrzyć, że wyglądają na znacznie starsze.

- Czy ty też jesteś jakimś zboczeńcem?

- Dobra, nic nie mówiłem. Czego od ciebie chce ten koleś?

- A jak ci się wydaje? Żebym wyciągnął jego brata z pudła.

- A jak, według niego, masz wyciągnąć jego brata i to z takimi zarzutami? Jeśli to trafi do gazet, nie ma szans.

- Ci kolesie naoglądali się za dużo filmów. Wydaje im się, że mamy większą władzę, niż w rzeczywistości. Gdybym miał taką władzę, jak wszyscy myślą, załatwiałbym wszystkie pierdoły ot tak - Vinnie pstryknął palcami.

- Więc co chcesz zrobić?

Vinnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Automaty u George'a przynoszą tysiąka tygodniowo. Będę musiał przynajmniej udawać, że coś załatwiam, żeby był zadowolony.

- Na przykład co?

Vinnie machnął ręką.

- Nie wiem, coś wymyślę. A co z Rayem Shane'em? Czego się dowiedział?

Tony tylko na to czekał. Miał w dupie George'a i jego zboczonego brata. Miał w dupie, czy chodziło o dziewczynę, chłopaka czy może psa. Jedyne, co go interesowało, to Ray Shane i napad. Musi tylko pozwolić Vinniemu myśleć, że wszystkie pomysły wychodzą od niego.

- Niczego - odpowiedział.

- Jak to niczego?

- Przez trzy dni szukał Hectora. Powiedziałem mu, żeby nie zawracał sobie tym głowy. Już go znalazłem - zajęło mi to piętnaście minut.

- I spieprzyłeś to.

- A co miałem zrobić, pozwolić mu uciec?

Vinnie huknął pięścią w biurko.

- Złapać go i przyprowadzić tutaj, a nie zabijać.

- Trupa nie da się przyprowadzić.

Vinnie wycelował w niego tłusty paluch.

- Ale to ty go zabiłeś!

- Przepraszam...

Vinnie westchnął ciężko.

- A Shane, na co wpadł?

- Na nic.

- Dlaczego?

- Mam dziwne przeczucie odnośnie Shane'a - oznajmił Tony, wietrząc szansę.

- Jakie znowu przeczucie?

- Wydaje mi się, że kiepsko się starał znaleźć Hectora.

- Dlaczego? - spytał Vinnie.

- Nie wiem. Może jest głupi, a może...

- A może co? - w głosie Vinniego pobrzmiwała nuta podejrzliwości.

Tony wzruszył tylko ramionami, ale całe jego wnętrze uśmiechało się.

- Widziałeś kiedyś wcześniej, żeby Shane obstawiał drzwi?

- Zastępował Hectora.

- Tak przynajmniej twierdzi.

- Nie wierzysz mu?

Tony uniósł ręce do góry.

- Po prostu to wszystko wydaje się dziwne, nic więcej. Shane stoi przy drzwiach, niby zastępuje Hectora, potem cała ta chryja i nagle nasz chłopak Hector zmienia się w Houdiniego.

Vinnie posłał mu gniewne spojrzenie.

- No tak, to rzeczywiście wydaje się dziwne. Szkoda tylko, że nie możemy porozmawiać z samym Hectorem.

Odchodzili od tematu. Tony musiał skierować rozmowę z powrotem na Shane'a.

- Ten mały pryszczaty gnojek musiał mieć powód, żeby się ukrywać. Uciekasz tylko, kiedy ktoś cię goni. Więc skoro wszystko było cacy i odbyło się tak, jak Shane mówi, to dlaczego Hector się ukrywał i dlaczego próbował czmychnąć tylnym wyjściem, kiedy go znalazłem?

- Pewnie się bał - stwierdził Vinnie.

- Bał się? Czego? Pomyśl tylko, stoi na bramce i musi się odlać, ale nie odchodzi ot tak - szuka zastępstwa. Wie, jak ważne są drzwi wejściowe, więc nie prosi byle kogo, tylko ochroniarza. Kiedy siedzi w sraczu, dochodzi do napadu. Jeśli rzeczywiście tak to było, Hector nie zrobił nic



złego. Więc czemu miałyby się bać?

Twarz Vinniego ściągnęła się.

- Co ty chcesz mi powiedzieć? - spytał.

Tony zmierzył szefa wzrokiem, analizując jego minę. Chyba Vinnie zaczynał powoli przekonywać się do możliwości, że Shane miał coś wspólnego z napadem. Czas zmienić front, niech sam dokończy.

- No, ale z drugiej strony, może Shane ma rację. Może to tylko wielki zbieg okoliczności.

- Zbieg okoliczności, że Shane pilnował drzwi, kiedy to się stało?

Tony skinął głową.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Vinnie był powolny, ale jeśli popchnęło się go w odpowiednim kierunku, zazwyczaj w końcu załapywał.

- Co masz na myśli? - Tony zmarszczył brwi, jakby nie do końca wszystko rozumiał.

Vinnie potarł twarz dłonią.

- Miej na Shane'a oko. Jeśli jakiś jego krok wyda ci się podejrzany, przyprowadź go tutaj.

Tony kiwnął głową.

- Załatwione.

## Rozdział trzynasty

Ray siedział od pięciu godzin w samochodzie, obserwując drzwi do mieszkania Dylana Sylvestra na Clouet Street, paląc papierosy i pijąc kawę, którą w miarę upływu godzin zaczął zaprawiać kropelką jamesona. Mieszkanie było ostatnim miejscem zamieszkania Sylvestra, widniejącym w policyjnej kartotece.

Przez okrągłe pięć godzin drzwi do mieszkania nie otworzyły się ani razu. O pierwszej po południu znudzony na śmierć i lekko wstawiony Ray zdecydował się spróbować metody bezpośredniej. Już sobie wszystko obmyślił: Sylvester otworzy drzwi, a Ray, jako że nie był uzbrojony, powali go na ziemię i zrewiduje w poszukiwaniu broni. A potem jakoś go unieruchomi. Szkoda, że będzie musiał obyć się bez kajdanek...

Ale co, jeśli w mieszkaniu jest ktoś jeszcze? Na taką okoliczność był przygotowany. Wiedział dobrze, jak sobie z tym poradzić. Wyjął ze schowka policyjną pałkę: płaski ośmiocalowy kawałek utwardzonej skóry, w kształcie łyżki, wypełniony ołowiem przy szerszym końcu. Pałka była przestarzałym elementem policyjnego ekwipunku, nielegalnym już za czasów, gdy Ray był jeszcze gliną. Podniósł dwunastouncjową <sup>[17]</sup> pałkę, wążąc ją w dłoni. Jeśli ktokolwiek wejdzie mu w drogę w mieszkaniu Sylvestra, Ray powali go jednym uderzeniem.

Mieszkanie znajdowało na parterze. Cały ranek Ray obserwował, jak ludzie wchodzą i wychodzą z różnych mieszkań, przeważnie pojedynczo. Nie kręciło się ich jednak dużo - nie wyglądało na to, żeby ktoś w budynku handlował narkotykami. Wysiadając z samochodu, Ray wsunął pałkę do tylnej kieszeni i udał się w kierunku drzwi Sylvestra.

Nie wiedział, czego dokładnie się spodziewać, ale był prawie pewny, że będą problemy. Zapukał do drzwi. Strużki potu spływały mu po ciele. Dawno temu nauczył się, że jeśli się chce, żeby ludzie otworzyli drzwi, a dotyczyło to zwłaszcza przestępców, nie wolno walić w nie jak policja. Należy zapukać delikatnie.

Po paru sekundach drzwi otworzyły się szeroko. Tak szybka reakcja

zbiła Raya nieco z tropu. Już sięgał po pałkę, kiedy okazało się, że naprzeciwko niego stoi malutka Wietnamka. Za jej plecami biegało kilkoro wrzeszczących dzieciaków. Nie za dobrze znała angielski, a Ray nie mówił po wietnamsku, ale po pięciu minutach, dzięki mieszance łamanej angielszczyzny i ruchu rąk, Ray dowiedział się, że w mieszkaniu nie ma żadnego Dylana Sylvestra ani nikogo z tatuażem przedstawiającym pajęczą sieć. Kobieta i jej dzieci mieszkali tutaj od sześciu miesięcy, a adres pojawił się w aktach Dylana prawie rok temu.

↓

„Zmarnowałem połowę dnia” - myślał Ray, wchodząc na parking, znajdujący się pod kwaterą główną policji. Po zakończonej fiaskiem wizycie w mieszkaniu na Clouet Street pojechał do domu, zostawił wiadomość Jimmy’emu LaGrange’owi, strzelił sobie kilka głębszych, po czym rozciągnął się wygodnie na łóżku.

Kiedy się obudził, była czwarta. Żadnej wiadomości od LaGrange’a. Ray postanowił więc zobaczyć się z nim osobiście. Na podziemnym parkingu było mnóstwo samochodów, ale Ray dał radę znaleźć ten, którego szukał: zdezelowany dodge z dziecięcym fotelikiem zamontowanym z tyłu, czyli prywatny samochód LaGrange’a. Były gliniarz obyczajówki faktycznie był oficerem tylko z nazwy, uziemionym w Sekcji Analizy Kryminalnej, pracującym od dziewiątej do piątej, bez samochodu służbowego.

LaGrange pojawił się dwadzieścia po piątej. Wyszedł z budynku podwójnymi drzwiami pożarowymi, razem z niewielką, powoli sunącą grupką pracowników dziennej zmiany.

W momencie, gdy LaGrange otwierał drzwi samochodu, Ray ukradkiem stanął mu za plecami.

- Spóźniłeś się.

Oficer odwrócił się gwałtownie.

- Co jest, kurwa?

- Myślałem, że jesteś z tych, co wychodzą z pracy przed czasem. I siedzę tu już od za piętnaście piąta.

LaGrange chwycił się za klatkę piersiową.

- Chryste, prawie dostałem zawału. Czego chcesz?

- Zostawiłem ci wiadomość.

Policjant otworzył samochód i rzucił aktówkę na siedzenie pasażerskie. Spojrzał przez ramię na Raya, wciskając się za kierownicę.

- Nie mamy o czym gadać.

Ray wskazał na dziecięcy fotelik.

- Mówiłeś, że masz chłopczyka czy dziewczynkę?

LaGrange wsunął kluczyki do stacyjki i uruchomił silnik.

- Dziewczynkę.

Ray stał przy drzwiach kierowcy, z jedną ręką na dachu, a drugą na futrynie drzwi.

- Potrzebuję adresu Sylvestra, który będzie bardziej aktualny.

LaGrange próbował zamknąć drzwi, ale Ray nie chciał ich puścić.

- Już nie mogę ci pomagać.

- Ile ma lat?

LaGrange wyglądał na zdezorientowanego.

- Co?

Ray wskazał głową na pusty dziecięcy fotelik z tyłu dodge'a.

- Twoja córka, ile ona ma lat?

- Trzy - LaGrange spojrzał na niego podejrzliwie. - A co?

Ray milczał przez kilka chwil, jedynie wpatrując się w dawnego partnera. Następnie powiedział:

- To byłoby naprawdę okropne, gdyby musiała dorastać bez swojego tatusia.

Twarz LaGrange'a nabrała surowego wyrazu, oczy zwęziły się w szparki. Zdjął z kierownicy prawą rękę, kierując ją ku służbowemu pistoletowi, tkwiącemu w kaburze na biodrze.

- O czym ty mówisz?

Wystarczyło tylko wspomnieć dzieciaka, napomknąć o małym bachorze w odpowiednim kontekście, a facet już był wyprowadzony z równowagi.

- Jeszcze tylko jedna przysługa i zostawię cię w spokoju - odpowiedział Ray.

- Zadałem pytanie - powiedział LaGrange, trzymając prawą rękę przy boku, poza zasięgiem wzroku Raya.

- Nie wściekaj się tak - Ray wskazał w kierunku ukrytej ręki LaGrange'a. - I tak raczej nie byłbyś w stanie sięgnąć po to na czas. A nawet jeśli, to co byś zrobił, zastrzelił mnie?

- Gdybym musiał.

- A dlaczego? Nie jestem uzbrojony. Jestem twoim byłym partnerem. Rozmawiamy tylko o dawnych czasach, nic więcej.

- Grozisz mojej rodzinie.

Ray potrząsnął przecząco głową.

- Nieprawda. Mówię tylko o starych, dobrych czasach. Pamiętasz

stare, dobre czasy, prawda? Kiedy pracowaliśmy we French Quarter i robiliśmy te wszystkie popieprzone rzeczy, te wszystkie nielegalne rzeczy. Ale według rządu federalnego ja już za to zapłaciłem. A ty, Jimmy, czy ty też zapłaciłeś już za swoje grzechy?

LaGrange odsunął rękę od pistoletu.

- Wszystko, co robiliśmy, już się przedawniło. Nikt nie może mnie tknąć.

Ray przysunął się bliżej.

- Nie wszystko się przedawniło.

LaGrange przełknął głośno ślinę.

- O czym ty mówisz? - spytał zachrypniętym głosem.

- Morderstwo się nie przedawnia.

LaGrange milczał.

- Ja nigdy nikogo nie zamordowałem - oznajmił po paru sekundach, otarłszy ręką usta.

Chwilę w milczeniu siłowali się wzrokiem, w końcu LaGrange poddał się.

- Rose Motel - odezwał się Ray. - Pokój numer piętnaście.

Na oczach Raya z Jimmy'ego LaGrange'a w jednej chwili uszło całe powietrze, jak ze starej opony, którą właśnie przedziurawiono.

- To był wypadek.

- Chcesz powiedzieć, że udusiłeś ją niechcący?

- Byłem pijany - na białym jak kreda czole LaGrange'a perliły się kropelki potu. - Nawet nie pamiętam, co właściwie się stało.

- A ja pamiętam i pamiętam też, gdzie znajduje się jej ciało.

LaGrange oddychał ciężko, z trudem łapiąc powietrze.

- Pomogłeś mi ją tam ukryć.

- Ile ona miała lat, piętnaście?

- To była jakaś naćpana dziwka - oddech LaGrange'a uspokoił się nieco. - Zresztą, nie ma dowodów, tylko twoje słowo przeciwko mojemu, a ty masz na koncie wyrok.

Ray potrząsnął głową.

- Jesteś w błędzie, Jimmy. Jest mnóstwo dowodów. Zaczną od ciała. Teraz to co prawda tylko kości, ale kości też mogą dużo powiedzieć. Oprócz tego jest też księga meldunkowa motelu. Z pewnością gdzieś przechowują te stare.

LaGrange'owi zrzędała mina.

- Ale przecież pewnie nie podałeś swojego prawdziwego nazwiska, co? - spytał Ray, kpiącym tonem. Dobrze się bawił, obserwując męczarnię

byłego partnera. - Zresztą, charakter pisma i tak cię zdradzi. To niesamowite, co dzisiaj potrafią zdziałać ci faceci z laboratoriów, prawda?

Ray pstryknął palcami, jakby właśnie przypomniał sobie coś istotnego.

- Hej, myślisz, że po tylu latach wciąż przechowywane są zapisy rozmów telefonicznych? Bo tak się właśnie zastanawiam, czy ona aby nie dzwoniła do ciebie do domu? - Ray śledził kropelkę potu ściekającą z LaGrange'owi z boku twarzy. - Jak widać, jest parę szczegółów, do których można się przyczepić, prawda?

- Masz tyle samo do stracenia, co ja.

- Znowu jesteś w błędzie, Jimmy - Ray znowu wskazał na fotelik. - Ty masz do stracenia naprawdę dużo. Ja nie mam nic.

LaGrange sięgnął po teczkę i wysiadł ze swego wysłużonego dodge'a.

- Daj mi godzinę.



Półtorej godziny później LaGrange położył na stole zwyczajną białą kopertę i przesunął ją w kierunku Raya. Siedzieli znowu w szpanerskiej kawiarni na Canal Boulevard. Wewnątrz koperty Ray znalazł dwa spięte arkusze dokumentów. Dotyczyły włamania do samochodu. Spytał LaGrange'a, jaki to ma związek z czymkolwiek, ale ten uniósł tylko rękę, mówiąc:

- Nie mamy już o czym gadać.

Następnie wstał i wyszedł z kawiarni.

Ray zapalił papierosa i zaczął czytać raport. Tym razem kelnerka nie zawracała sobie głowy prośbami, żeby zgasił papierosa.

Kiedy skończył lekturę, na jego twarzy malował się uśmiech.



Tony stał przy automacie telefonicznym na rogu ulic St. Peter i Bourbon, bębniąc palcami o boczną ścianę aluminiowej budki.

Spojrzał na zegarek - była ósma wieczorem.

Nie miał w zwyczaju czekać. Nie znosił tego. A teraz było jeszcze gorzej. Czuł się, jakby na plecach miał wymalowaną tarczę. Ta cała sprawa śmierdziała. A przez to czekanie wpadał w paranoję - nieustannie rozglądał się wokół, sprawdzając, czy go ktoś nie śledzi.

Godzinę wcześniej, gdy wychodził właśnie z Domu, podbiegł do niego jakiś dziesięcioletni dzieciak, wręczając liścik. Chłopak był jednym z tych ulicznych tancerzy, którzy stepowali, napiwki zbierali do leżącego na ulicy do góry dnem kapelusza. Tony wziął liścik, dał dzieciakowi jednego dolara i kazał mu spadać. Chłopak powiedział:

- Ten, co mi to dał, powiedział, że od pana dostanę dziesięć dolców.

Jeszcze tego brakowało, żeby naciągał go jakiś pieprzony dziesięciolatek. Tony zmiął pięć dolarów w kulkę, po czym wrzucił ją do rynsztoka, mówiąc chłopakowi, że jeśli zaraz nie zniknie, zaciągnie go na dach i zrzuci stamtąd. Ciekawe, czy gnojek potrafiłby stepować w powietrzu wystarczająco szybko, żeby pofrunąć?

Tony rozłożył liścik i przeczytał wiadomość nabazgraną długopisem na wyrwanym z notesu kawałku papieru: „Idź do budki telefonicznej przy mieszkaniu Pat O. Zadzwoń do ciebie”.

Ale kiedy? Cholerny sukinsyn nie powiedział nawet, kiedy zadzwoni. Pozostawało też pytanie dlaczego. Dlaczego Tony ma iść do budki? Co za palant wysyła anonimy? Kto w ogóle w dzisiejszych czasach używa automatów telefonicznych? Skoro facet chciał pogadać, dlaczego nie zadzwonił do Domu albo na komórkę Tony’ego?

„No chyba, że moje telefony są na podsłuchu” - pomyślał.

Tony i Rocco udali się w kierunku budki telefonicznej, na rogu ulic Bourbon i St. Peter, pół przecznicy od drzwi Pat O’Brien. Rozglądał się całą drogę - facet musiał go obserwować.

We French Quarter roiło się od ludzi. Turyści - niektórzy trzeźwi, większość już nawalona - i garstka okolicznych mieszkańców tłoczyli się na ulicach w poszukiwaniu dobrej zabawy. Powietrze drgało od dźwięków jazzu, bluesa, R&B, cajun i rapu oraz odgłosów płynących z barów, restauracji i sklepów z pamiątkami stojących wzdłuż całej Bourbon Street. Dźwięki dzielnicy były niepowtarzalne. To samo z zapachami: czerwonej papryki, Crystal Hot Sauce, krewetek, ostryg, tabasco, kanapek po-boy<sup>[18]</sup>, wózków Lucky Dogs<sup>[19]</sup>, piwa, moczu i wymiocin.

Tony miał ochotę rozwalić komuś łeb - sam albo rękoma Rocca. Nagle telefon zadzwonił. Tony chwycił słuchawkę i wrzasnął do niej :

- Kim jesteś, kurwa?

- Jak się masz, Tony? - odpowiedział męski głos.

Głos nie brzmiał ani trochę znajomo. Może Tony słyszał go już kiedyś, a może nie - w każdym razie facet zwracał się do niego, jakby się znali.

- Kto mówi?

- Po co ten pośpiech? - spytał głos. - Zróbmy to po mojemu.

Dłoń Tony’ego zacisnęła się na słuchawce.

- Mam dla ciebie nowinę, koleś. Nie jestem z tych, co lubią jakktoś marnuje ich czas, więc jak tylko dowiem się, kim jesteś, rozłączam się.

- Mam dla ciebie propozycję.

Tony wziął głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić.

- Ludzie cały czas przychodzą do mojego biura z propozycjami. Nie robię interesów przez pieprzony publiczny telefon.

Mężczyzna milczał. W końcu Tony, znudzony słuchaniem szumu w słuchawce, spytał:

- Jaka to propozycja?

- Mam dla ciebie pewną informację.

- I chcesz coś w zamian, racja?

- Oczywiście.

- O jaką informację chodzi?

- Spotkaj się ze mną w Fat Harry's za godzinę.

- Wal się! - prychnął Tony.

Głos pozostał opanowany.

- Wierz mi, spodoba ci się ta informacja.

- Nigdzie się z tobą nie spotkam. Nawet nie wiem, kim ty, kurwa, jesteś.

- Za godzinę, Tony.

Co za bezczelny koleś. Rozkazuje mu, jakby był jakimś sługusem. Zresztą, jaką niby ten błazen może mieć informację, która mogłaby go zainteresować?

- Jak cię rozpoznam?

- Nie martw się. Ja rozpoznam ciebie.

- Ale jak? - spytał Tony, czując jak po plecach przebiega mu dreszcz niepokoju. - Znamy się?

- Hej, Tony - powiedział głos.

- No?

- Zostaw swojego fagasa w domu - dodał mężczyzna po drugiej stronie i rozłączył się.

↓

Półtorej godziny później Tony siedział przy chropowatym drewnianym stole w tylnym kącie Fat Harry's Saloon na Saint Charles Avenue. Rocco został odstawiony do Domu, chociaż wcale mu się to nie podobało.

- Co z tobą? - jęczał. - Ten facet, nie wiadomo zresztą kto, wkręca cię w coś. Ktoś chce cię załatwić, Tony.

O cokolwiek chodziło, na pewno nikt nie chciał go załatwić, a przynajmniej nikt z rodziny. Oni działali inaczej. Nie przekazywali



liścików, nie dzwonili na telefon publiczny, żeby chrzanić głodne kawałki. Kiedy chcieli kogoś załatwić - Tony wiedział, bo przerabiał to już dwa razy, ale stał wtedy po drugiej stronie - kazali najlepszemu przyjacielowi ofiary zadzwonić do nieszczęśnika i umówić się, na przykład na piwo. Później w najmniej spodziewanym momencie wybraniec czuł, jak coś muska go w tył głowy i w tej właśnie chwili uświadamiał sobie, że to jego ostatni oddech. A potem: - Pif-paf! - dwudziestkadwójka wypalała i kulka mniejsza niż aspiryna rozwalala mu mózg i gasiła światło. Na zawsze.

I za pierwszym, i za drugim razem Tony zastanawiał się, jak to jest w tym ułamku sekundy, a właściwie mikrosekundy, kiedy kula opuszcza lufę i śmiga przez włosy, skórę głowy, czaszkę. „Czy coś się wtedy czuje? Czy może wszystko dzieje się za szybko, by z czegokolwiek zdać sobie sprawę?”.

Tony siedział oparty plecami o ścianę, pociągając drugą szkocką, kiedy do środka wszedł mężczyzna w dżinsach i ciemnoniebieskiej sportowej marynarce, narzuconej na szarą koszulkę polo. Tony go znał. Nie wiedział, kogo się spodziewać, ale z pewnością nie spodziewał się tego faceta.

- Kup mi drinka - rozkazał mężczyzna, siadając na drewnianej ławie, naprzeciw Tony'ego.

Tony wiedział, że to gliniarz. Skorumpowany gliniarz, ale czy byli jacyś inni? Nie mógł sobie jednak przypomnieć, jak się nazywa.

Nie od razu, choć coś mu świtało, gdzieś na skraju pamięci. Facet był z obyczajówki, przynajmniej kiedyś - musiał więc być wyjątkowo umoczony.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - spytał Tony.

Mężczyzna roześmiał się.

- Cały Tony. Taki z ciebie teraz ważniak, że nie pamiętasz już nawet tych szarych ludzików, dzięki którym dotarłeś prawie na sam szczyt?

Gdyby koleś nie był gliną, Tony już by mu przywalił. Zamiast tego opróżnił szklankę i zaczął się podnosić.

- Nie wiem, co to za gierki, ale ja nie mam na nie czasu.

Mężczyzna uniósł rękę, dając Tony'emu do zrozumienia, żeby został.

- Nazywam się Jimmy LaGrange. Pracowałem kiedyś w obyczajówce. Byłem partnerem Raya Shane'a.

W końcu Tony przypomniał go sobie - to on jako jedyny nie trafił do więzienia.

Gliniarz zawołał kelnerkę. Kiedy podeszła do stołu, zamówił drinka

na rachunek Tony'ego i poprosił, żeby przyniosła Tony'emu kolejnego. Co za typ! Kiedy dziewczyna sobie poszła, Tony oznajmił:

- Masz sześćdziesiąt sekund.

LaGrange już otwierał usta, gdy Tony wciął się:

- A tak w ogóle, po co były te pieprzone podchody?

- Sam się domyśl - odpowiedział gliniarz. - Ty jesteś w mafii, ja w policji. Wiem, że federalni mają oko na Wschodzące Słońce, więc jestem prawie pewny, że trzymają was na podsłuchu. Nie mam zamiaru załapać się na jakiegokolwiek rządowe taśmy.

Tony bębnił palcami o blat stołu.

- Gównu mnie obchodzi to pieprzone FBI. Muszą coś zrobić, bo za coś im płacą. Więc zawsze kręcą się gdzieś w pobliżu, robiąc zdjęcia, obserwując ludzi i prawdopodobnie podsłuchując moje rozmowy. Ale tak naprawdę nie są w stanie nic udowodnić, żeby nie wiem jak się starali. Więc wierz mi, FBI to ostatnia rzecz, jaką sobie teraz zaprzętam głowę.

Pojawiła się kelnerka i postawiła drinki na stole.

Tony rzucił okiem na zegarek:

- Twoja minuta prawie minęła.

Gliniarz sięgnął po szklankę i upił łyk. Następnie powiedział:

- Wiem, że Shane dla ciebie pracuje i wiem, kogo stara się znaleźć.

Tony poczuł się nieswojo. Nie wiedział o tym dupku nic, a jednak ten dupek wiedział całkiem sporo o nim. Zmierzył wzrokiem sportową marynarkę gliniarza.

- Co to ma być? Masz gdzieś podsłuch, oficerze?

LaGrange roześmiał się.

- Chcesz, to pójdziemy do kibla i pozwolę ci przeszukać moje portki. Bo właśnie tam wkładamy podsłuch, wiedziałeś? Tuż pod jajami, żeby takie homofoby jak ty nie mogły go znaleźć.

Tony zerwał się na równe nogi.

- Siadaj, durniu - syknął LaGrange.

Rozejrzał się, jakby się za Tony'ego wstydził. Zdecydowanie brzmiał jak glina. Miał tę pewność siebie, typową dla aroganckich gliniarzy.

Tony również się rozejrzał, po czym usiadł z powrotem.

„Powinienem był zabrać Rocca” - pomyślał. - „Rocco wyciągnąłby tego bezczelnego fiuta na zewnątrz i spuścił mu łomot. W najgorszym razie dostałby za to rok więzienia”.

Tony zająłby się nim, dopilnowałby, żeby dostawał forszę i zaopiekowałby się tą jego gorącą hiszpańską laską. Upił łyk drinka. Potrzebował trochę czasu, żeby wymyślić, jak zdobyć nad tym kolesiem

przewagę.

- Mam informację o Rayu, która powinna cię zainteresować - powiedział glina.

- Ray Shane... - Tony potarł ręką podbródek. - To ten gliniarz, który poszedł do więzienia, tak?- Przestań sobie robić jaja, Tony. Wiem, że napadło na was czterech koleś i wiem, że Shane próbuje ich wytropić.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mam dla ciebie dwa nazwiska - oznajmił gliniarz.

Tony wpatrywał się w niego uważnie.

- Co to za nazwiska?

Glina potrząsnął głową.

- Nie tak szybko.

- Więc teraz haczyk?

LaGrange kiwnął głową.

Tony upił jeszcze trochę szkockiej. „Jak dużo ten gliniarz wie?”.

- Czego chcesz?

W odpowiedzi gliniarz uniósł dwa palce.

- Co to ma być? Dwa co?

- Dwie rzeczy - i tyle. Tylko dwie.

- Wyduś to wreszcie z siebie.

- Po pierwsze - pieniądze. Dwa nazwiska, dwa tysiąki.

- Jeśli masz gdzieś podsłuch, to jest to prowokacja. Próbujesz właśnie wyłudzić łapówkę. Zamierzam więc zgłosić cię do odpowiedniego organu.

- Nie mam podsłuchu, dupku, a te twoje sztuczki prawnika-amatora i tak nic nie znaczą.

Tony westchnął. Czasem męczyło go już to wszystko.

- Powiedziałeś: dwie rzeczy. Co jeszcze?

- Chcę, żeby Ray Shane zniknął z mojego życia.

Tony przyjrzał mu się dokładnie. Wyglądało na to, że koleś mówił poważnie.

- Kiedyś płaciliście ci... ile? Ze sto dolców tygodniowo? A ty teraz próbujesz mi sprzedać dwa nazwiska za dwa tysiąki?

- Więc mnie pamiętasz.

- No - odpowiedział Tony. - Pamiętam też dzieciaka, który przywozi mi pizzę. I nawet pamiętam, jak się nazywa.

- Wciąż jesteś dupkiem, Tony. Wiesz o tym?

Tony uśmiechnął się.

- Dwa patyki to kupa pieniędzy. Skąd mam wiedzieć, że nazwiska są

prawdziwe?

- Musisz mi zaufać.

- Zaufać brudnemu gliniarzowi?

- Jest coś jeszcze.

- Jeszcze jakieś nazwiska? - spytał Tony. - W książce telefonicznej jest mnóstwo nazwisk.

- Coś więcej, niż same nazwiska.

- Na przykład?

Gliniarz wbił w niego wzrok.

- Umowa stoi?

Kiedy tylko Tony skinął głową, gliniarz wsunął rękę w kieszeń sportowej marynarki. Tony zamarł w bezruchu, spodziewając się, że może zostanie za chwilę aresztowany, że może jednak padł ofiarą jakiejś prymitywnej prowokacji, ale LaGrange wyciągnął tylko zwyczajną białą kopertę, którą następnie położył na stole, wciąż trzymając na niej rękę.

- Tutaj są te dwa nazwiska i kartoteki tych osób.

Odsunął kopertę, gdy Tony po nią sięgnął. Ten spojrzał na niego surowo.

- Dopiero jak mi zapłacisz - oznajmił gliniarz.

- Wydaje ci się, że noszę taką kasę przy sobie?

- Zdobądź ją jakoś.

Właśnie kiedy miał już powiedzieć temu idiocie, żeby spieprzał, Tony'emu zaświtała w głowie pewna myśl, dzięki której mógłby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Mam lepszy pomysł.

Gliniarz potrząsnął głową.

- Bez żadnych pomysłów. Ma być tak, jak powiedziałem.

- Znasz mojego szefa, kolesia, który prowadzi Dom?

Skinienie głową.

- Tak, znam Vin...

Ręka Tony'ego wystrzeliła w górę.

- Żadnych imion.

- Znam go.

- Połowę dam ci teraz. Drugą połowę, po tym, jak zrobisz mi przysługę.

- Zamieniam się w słuch - odpowiedział glina.

Tony wyjaśnił mu, czego oczekuje.

Gliniarz wpatrywał się w niego kilka chwil, rozmyślając nad tym, co usłyszał. Tony niemalże widział trybiki przesuwające się w jego głowie i

znak dolara błyskający w oku. W końcu LaGrange zgodził się. Tony wyciągnął z marynarki komórkę.

- Zadzwoń z mojego - powiedział gliniarz, kładąc telefon na stole. - Twój pewnie jest na podsłuchu.

Tony wziął telefon policjanta.

- Skąd mam wiedzieć, że twój nie jest?

Gliniarz błysnął zębami.

- Pracuję w Sekcji Analizy Kryminalnej. Kto chciałby mnie podsłuchiwać?

↓

Pół godziny później zjawił się Rocco z zaklejoną kopertą zawierającą dziesięć studolarowych banknotów. Tony próbował wręczyć kopertę LaGrange'owi, ale gliniarz był zbyt zdenerwowany, żeby wziąć gotówkę w publicznym miejscu.

Tony poszedł za nim do męskiej toalety. Pomieszczenie było niewielkie. Znajdowała się tutaj jedna umywalka, jedna kabina i do połowy wypełniony lodem pisuar ze stali nierdzewnej, przy którym zmieściłoby się dwóch stojących ramię w ramię mężczyzn.

- Cuchnie tu - stwierdził Tony. - Załatwmy tę sprawę i spadajmy.

Gliniarz przesadnie dokładnie sprawdziłabinę, po czym prawie wyrwał Tony'emu z ręki kopertę. Dopiero kiedy ją rozerwał, przeliczył pieniądze i ukrył je w kieszeni marynarki, podał Tony'emu swoją kopertę z nazwiskami. Wewnątrz były dwa złożone wydruki komputerowe, każdy składający się z kilku zszytych razem kartek, na których widniała przeszłość kryminalna Michaela Salazaara i Dylana Sylvestra.

- Shane'owi też to dałeś? - spytał Tony.

Gliniarz kiwnął głową.

Tony przekartkował dokumenty.

- Dałeś mu coś jeszcze?

- Nie, ale on mi coś dał.

Tony spojrzał na niego.

- Co?

Jimmy LaGrange oparł się o umywalkę.

- Shane zna tych koleśi.

- Mów dalej.

- Aresztował ich, lata temu - kontynuował policjant. - Salazaar nie żyje. Zginął w ostrzale z samochodu przed swoim mieszkaniem, kilka tygodni temu.

- A drugi?
- Shane właśnie próbuje go namierzyć.
- Wie, gdzie go szukać?

LaGrange wzruszył ramionami.

- Dziś po południu przyszedł do mnie, bo szuka innego adresu tego kolesia. Dałem mu, co miałem, ale nie wiem, czy go znalazł czy nie.

- Jaki adres mu podałeś?

- Sylvester złożył zawiadomienie o włamaniu do jego samochodu.

Dałem Shane'owi adres z tego zawiadomienia.

Ktoś próbował otworzyć drzwi toalety, ale Tony zamknął je pchnięciem ręki. Z drugiej strony rozległ się głos:

- O co tam chodzi?

- Czekaj, kurwa, na swoją kolej - krzyknął Tony.

- Dziwne, co? - oznajmił gliniarz.

- Co takiego?

- Shane miał do czynienia z dwoma typami, którzy akurat zrobili na was skok.

- Ty tu jesteś policjantem - odparł Tony. - Co o tym myślisz?

- Gdybym zajmował się tą sprawą, miałbym na Raya Shane'a oko.

Tony skinął głową.

- Shane miał środki, motywy i możliwości - powiedział glina. - Wie, jak zorganizować coś takiego. W grę wchodziło dużo forsy, a to on wpuścił ich do środka.

Mimo że Tony próbował powstrzymać się z całych sił, na jego twarz wypełził cień uśmiechu.

- Myślę dokładnie tak samo.

# Rozdział czternasty

Adres z raportu prowadził do małego osiedla mieszkań z tyłu Franklin Avenue. Dwa miesiące temu ktoś roztrzaskał szybę w samochodzie Sylvestra i buchnął stereo. Zdumiewające, że Sylvester zgłosił to na policji. Facet miał przecież przeszłość kryminalną - narkotyki, kradzież, napaść - aż tu nagle ktoś podprowadza jego radio, a on wzywa policję, jak przykładowy obywatel, któremu wyrządzono krzywdę.

Budynek prezentował się dość przyzwoicie. Wokół było w miarę czysto, a na parkingu stał tylko jeden zdezelowany samochód. Tabliczka na drzwiach wejściowych informowała dumnie, że zarządczyni budynku mieszka na miejscu.

Siedząc w samochodzie i wpatrując się w drzwi prowadzące do mieszkania Sylvestra, Ray zdecydował, że nie ma chwili do stracenia. Sylvestra mogło nie być w domu. Zanim wróci, miną całe godziny, a może nawet dni. Jeśli jednak był w domu, mógł tam siedzieć przez następnych kilka godzin albo dni. Może już nawet tutaj nie mieszkał. Ray musiał po prostu dostać się do środka. Natychmiast.

„Szkoła, że nie mam broni” - pomyślał.

Mieszkanie Sylvestra znajdowało się na parterze. Zbliżając się do drzwi, Ray czuł, jak serce mu wali, a plecy spływają strumieniami potu. Naprawdę żałował, że nie był uzbrojony.

Stanął z boku drzwi i zapukał. Nie było odpowiedzi. Zapukał kolejny raz, stopniowo zwiększał siłę, aż zaczął łomotać w zupełnie policyjnym stylu. Wciąż brak odpowiedzi. Sąsiadka z mieszkaniaobok wystawiła głowę zza drzwi. Miała około dwudziestu pięciu lat, była chuda, z brązowymi, sięgającymi ramion włosami. Rayowi wyglądała na byłą ćpunkę, pewnie z dzieckiem, którym próbowała się opiekować.

- Kogo pan szuka? - spytała.

Nie było sensu jej oszukiwać.

- Szukam Dylana.

Potrząsnęła głową.

- Wyprowadził się.

Kolejny raz pudło.

- Wie pani, dokąd?

Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem.

- Jest pan gliną?

- Jestem po prostu znajomym.

- Musi pan zapytać zarządczynię. Może ma nowy adres czy coś.

- A gdzie ją znajdę?

- Pod czternastką - powiedziała.

- Kiedy się wyprowadził?

- Gdzieś w zeszłym miesiącu. Zaraz po tym, jak były te włamania do samochodów.

- Dzięki - odpowiedział Ray i skierował się w stronę mieszkania numer czternaście.

Ray powiedział zarządczyni, że Sylvester wynajął telewizor i zalegał z płatnościami za trzy miesiące.

- Mam odebrać telewizor albo pieniądze - dodał.

Około pięćdziesięcioletnia zarządczyni domu siedziała przy okrągłym stoliku w kuchni, oparta łokciem jednej ręki o wyszczerbiony plastikowy blat i z tłącym się papierosem w drugiej. Ubrana była w znoszoną, różową podomkę. Między jednym a drugim pociągnięciem papierosa, oznajmiła:

- Ciągle jest mi dłużny za dwumiesięczny czynsz.

- Wie pani może, gdzie mógł pójść?

Zaprzeczyła, ruchem głowy i już szykowała się, żeby znów zaciągnąć się papierosem, gdy nagle pstryknęła palcami:

- Zaraz po tym całym zamieszaniu, które mieliśmy z dziećmiakami włamującymi się do samochodów, powiedział mi, że zamierza przenieść się gdzieś na wschód, na jedno z chronionych osiedli - pożółkłym koniuszkiem palca narysowała na blacie stołu niewidzialne koło. - Z ogrodzeniem i strażnikiem.

## 51

Ray nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak wiele osiedli znajduje się we wschodnim Nowym Orleanie. Poszukiwania rozpoczął zaraz za mostem, który wznosił się nad kanałem przemysłowym. Przejechał tam i z powrotem wzdłuż Morrison Avenue, potem rozglądał się po głównych przecnicach, by następnie zająć się drogami dojazdowymi.

Starał się wypatrzyć samochód Dylana Sylwestra, który według zawiadomienia o włamaniu miał być niebieskim czterodrzwiowym



buickiem, zarejestrowanym na Belinę Sylvester, urodzoną dwadzieścia lat przed Dylanem. Ray domyślił się, że Belinda jest matką Sylvestra. Żaden szanujący się bandzior nigdy nie rejestrował samochodu na siebie.

Krążąc po lokalnych parkingach i rozglądając się za niebieskim buickiem, Ray miał sporo czasu na rozmyślenia o zbiegach okoliczności, o tym, jak bardzo w nie wierzył oraz o tym, że prawdopodobnie wszystko to działo się właśnie za sprawą przypadku.

Salazaar i Sylvester znali się. Zostali razem aresztowani i kiedyś siedzieli razem w kiciu. I to właśnie Ray aresztował ich obu. Nie było w zasadzie nic nadzwyczajnego w tym, że dwaj kumple robią razem napad. To mógł być rzeczywiście zbieg okoliczności.

Ale Ray przestał wierzyć, że to tylko przypadek w momencie, gdy tych dwóch sukinsynów dobrało się z jeszcze dwoma innymi i napadli na Wschodzące Słońce, miejsce, gdzie akurat pracował Ray - gliniarz, który aresztował ich obu.

I jeszcze to niewiarygodne wyczucie czasu: czterech zamaskowanych bandytów z bronią pojawia się właśnie wtedy, gdy Hector idzie się odlać, a Ray obstawia drzwi - ten jeden jedyny raz, od kiedy zaczął pracować w Domu. Ray nie musiał być geniuszem matematycznym, żeby wiedzieć, że szanse na coś takiego były bardzo marne, tak marne, jak prawdopodobieństwo wygranej w Powerball <sup>[20]</sup>.

Było też kilka trupów. Michael Salazaar zwany Scoobym, zastrzelony przed swoim domem. Hector, który znika zaraz po napadzie i ukrywa się w jakimś gównianym motelu. Namierza go Tony. Hector próbuje uciec, ale kretyn Tony zabija go - jedyne go świadka, jakiego mają. Ray uświadomił sobie, że ktoś stara się go wrobić. Ale kto?

Wśród samych pracowników Domu było dwudziestu czy trzydziestu kandydatów - ludzi, którzy za bardzo za nim nie przepadali. Ale skoro w grę wchodziło trzysta tysiąków, mógł to być równie dobrze ktoś, kogo Ray nawet nie znał, ktoś, kto posłużył się nim dla wygody. Gdy Ray przeczesywał ulice wschodniego Nowego Orleanu, w jego głowie zaświtała myśl, od której zjeżyły mu się włosy na karku. A co, jeśli osoba, która zorganizowała napad wiedziała, że Ray dostanie za zadanie znaleźć sprawców? A co, jeśli powierzenie mu tego zadania było częścią planu, tak, żeby wyglądało na to, że Ray próbuje zatuszować swój współudział w napadzie?

A kto go do tego wydelegował? Kto to na nim wymusił? Kto upierał się, że były glina nadaje się do tego najlepiej? Kto miał motyw, środki i

możliwości? Kto z Domu tak naprawdę współdziałał z napastnikami?

Vinnie Messina.

۵

Tony Zello zerkał ciągle na zegarek, chodząc tam i z powrotem przed wejściem Fausto's Italian Restaurant na Dumaine Street. Była ósma.

„Nigdy nie wierz gliniarzowi, nawet w to, że zjawi się na czas” - pomyślał wściekły.

Kilka minut później zobaczył zmierzającego wolno w jego kierunku Jimmy'ego LaGrange'a, ubranego w byle jaki płaszcz z domu towarowego i pod krawatem. Tony machnął na niego, żeby się pospieszył, ale LaGrange dalej szedł powoli, jakby był na spacerze. Kiedy oficer w końcu do niego dotarł, Tony stuknął palcem w swojego rolexa.

- Spóźniłeś się, kurwa.

- Coś mnie zatrzymało.

- On nie lubi, kiedy każe mu się czekać.

Tony chwycił LaGrange'a za łokieć i próbował pokierować go w stronę drzwi wejściowych.

LaGrange wyrwał mu ramię.

- A ja nie lubię publicznych spotkań z gangsterami. Dlaczego nie mogliśmy załatwić tego przez telefon?

Tony spuścił trochę z tonu. Musiał dopilnować, żeby wszystko poszło gładko.

- Chce się z tobą spotkać osobiście - powiedział, po czym położył LaGrange'owi rękę na ramieniu. - Nie martw się tak. Wszystko się uda, zobaczysz.

Wchodząc do restauracji, LaGrange oznajmił:

- Czy po tym znowu zaczniecie mi płacić?

Tony skinął głową, nie zdradzając się z tym, co naprawdę myślał. A myślał, że z gliniarzami zawsze jest tak samo - chodzi im tylko o jedno: o pieniądze. Nic dziwnego, że nazywano ich psami.

Szacunek, honor i lojalność były obcymi im pojęciami.

- I zajmiesz się moim problemem z Shane'em? - spytał LaGrange.

- Tak, tak - odpowiedział Tony. - Zajmę się wszystkim, ale nie zwracaj panu Messinie głowy tymi pierdołami.

LaGrange uważnie rozejrzał się po restauracji. Wyglądał na zdenerwowanego. Tony przeciągnął ręką wzdłuż pleców LaGrange'a, sprawdzając, czy nie ma tam podsłuchu, ale nic nie znalazł.

- Co jest? - spytał LaGrange'a.

- Mówiłem ci już. Nie lubię spotykać się publicznie - LaGrange zepchnął rękę Tony'ego. I nie lubię, jak maca mnie jakiś pieprzony pedał. Chcesz wiedzieć, czy mam podsłuch, to mnie o to spytaj.

Tony zatrzymał się i chwycił gliniarza za krawat, przyciągając go blisko do swojej twarzy.

- Lepiej nie zapominaj, gdzie jesteś i z kim rozmawiasz. Jeśli masz jakiś problem - wskazał na drzwi - możesz zabrać swój żaloszny tyłek z powrotem na zewnątrz.

LaGrange odetchnął głęboko.

- Nie mam żadnego problemu.

Zaczęli iść.

Vinnie Messina, ubrany w ciemny garnitur, z krawatem, siedział przy stole na tyłach restauracji. Kilka trzyściennych, rattanowych parawanów odgradzało jego stolik od reszty, dając mu poczucie prywatności. Rocco i oprych zwany Joey siedzieli po jego obu stronach.

Tony wskazał na puste krzesło naprzeciwko Vinniego i szturchnął LaGrange'a łokciem.

- Usiądź.

Oficer usiadł, a Tony wślizgnął się na krzesło obok niego. Na stole stały już koszyki z czosnkowym pieczywem i dwie butelki wina. Tony nalał sobie trunku. Miał nadzieję, że gliniarz nie jest tak głupi, na jakiego wygląda i że wyrazi się, tak jak powinien.

Upiwszy wina, Tony spojrzał na Vinniego:

- Panie Messina, chciałbym panu kogoś przedstawić - wskazał głową oficera. - Oficer Jimmy LaGrange.

Vinnie wbił w LaGrange'a wzrok. Po chwili zerknął na Tony'ego i spytał:

- Jest czysty?

Tony skinął głową.

Vinnie ugryzł kęs chleba. Przeżuł go niespiesznie, popił winem, po czym wytarł usta materiałową serwetką. Kiedy skończył, rzucił ją na stół. Krążąca w pobliżu kelnerka błyskawicznie doskoczyła do stolika, podniosła ją i zastąpiła świeżą, starannie złożoną. Kiedy odeszła, Vinnie odezwał się do LaGrange'a:

- Podobno masz mi coś do powiedzenia.

Glina ociekał potem.

- Mam informacje na temat Raya Shane'a.

- Skąd znasz Shane'a?

- Pracowaliśmy razem w Vieux Carré. Potem byliśmy partnerami w

obyczajówce.

- I chcesz mi sprzedać tę informację?

LaGrange kiwnął głową.

- Dlaczego? - spytał Vinnie.

Oficer spojrzał na Tony'ego. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Muszę jakoś opłacić rachunki.

Vinnie skinął głową, po czym odgryzł kolejny kęs chleba. Przeżuwał przez chwilę, a kiedy odezwał się, w jego ustach wciąż tkwił mały kawałek:

- Ty i Shane byliście partnerami, tak?

LaGrange potwierdził skinieniem.

- A ty teraz chcesz go sprzedać - dokończył Vinnie.

Tony widział kropelki potu lśniące jak cekiny nad górną wargą policjanta. Przez kilka sekund nikt przy stole nie odezwał się ani słowem. Tony był w stanie wyłapać wszystko, co działo się wokół: brzęk pierścionków o kryształowe szklanki, widelce skrobiące porcelanę, szum niewyraźnych rozmów, wysoki, pijacki śmiech kobiety. Po chwili LaGrange odpowiedział:

- Ray Shane nie jest już moim partnerem. Nie jest już nawet gliniarzem. Nie jestem mu nic winien.

Vinnie uniósł dłoń, nakazując ciszę.

- Nie musisz się tłumaczyć. Chciałem tylko wiedzieć, na czym stoimy.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął białą kopertę, po czym rzucił ją na stół.

- A teraz mów, co masz do powiedzenia i spieprzaj stąd. Zaraz przyniosą mi obiad.

LaGrange spojrzał na Tony'ego, który dał mu znak głową. Oficer skierował wzrok z powrotem na Vinniego.

- Kiedy Shane przyszedł do mnie, był zdesperowany. Miał nazwiska dwóch facetów, do których musiał się dobrać, więc zgodziłem się...

Vinnie chwycił leżącą na stole kopertę. Posłał Tony'emu rozwścieczone spojrzenie.

- Sam mi mogłeś o tym powiedzieć. Nie muszę tego wysłuchiwać od niego.

Tony uniósł obie ręce, prosząc o cierpliwość.

- Poczekaj chwilę.

Następnie zwrócił się do gliny.

- Opowiedz mu resztę.

LaGrange kiwnął głową, po czym odetchnął kilka razy.

- Kiedy szukałem informacji, o które poprosił Shane, natknąłem się na coś dziwnego.

Vinnie z powrotem położył na stole kopertę i sięgnął po kieliszek z winem.

LaGrange kontynuował, śledząc kopertę wzrokiem.

- Okazało się, że Shane zna obu tych kretynów - miał z nimi do czynienia w przeszłości.

Kieliszek, którzy był już w połowie drogi do ust Vinniego, wrócił nietknięty na stół.

- Co to znaczy: miał do czynienia?

- Shane aresztował ich obu kilka lat temu. A potem, kiedy federalni go zapuszczowali, ci dwaj faceci siedzieli w miejscowym więzieniu w tym samym czasie, co Shane. Wszyscy trzej siedzieli razem.

Tony Zello nie mógł powstrzymać uśmiechu. Chociaż policjant zaczął kiepsko, teraz szło mu świetnie.

Vinnie spytał Tony'ego.

- Sprawdziłeś to?

Tony skinął głową.

- To jeszcze nie wszystko.

- Co? - spytał Vinnie.

LaGrange odchrząknął.

- Jeden z tych facetów, których Shane chciał znaleźć, nie żyje.

Vinnie wbił wzrok w Tony'ego.

- Czy on chce powiedzieć, że to Shane go zabił?

Tony wzruszył ramionami.

- Jeśli nie, to jest to naprawdę niezły przypadek, nie?

Vinnie potrząsnął głową.

- Ale to się nie trzyma kupy. Jeśli to Shane za tym stoi, dlaczego niby potrzebował pomocy gliniarza, żeby znaleźć tych facetów? Wiedziałby sam, jak się z nimi skontaktować.

Nauczony długim doświadczeniem, Tony wiedział, że Vinniemu trzeba pozwolić wierzyć, że jest kilka kroków przed innymi, nawet, jeśli był całe mile w tyle. Więc nie spieszył się z odpowiedzią. A kiedy już odpowiedział, starał się brzmieć, tak jakby dopiero co sam zaczynał pojmować, o co chodzi.

- No właśnie to mi nie pasowało. Ale tak sobie teraz myślę...

Powiedzmy, że Shane i ci dwaj kolesie... - Tony wskazał palcem na gliniarza, chcąc, żeby ten podał nazwiska.

LaGrange, chwytając znaczenie gestu, dokończył:

- Michael Salazaar i Dylan Sylvester.

- Salazaar i Sylvester - powtórzył Tony. - Brzmi jak nazwa jakiejś kancelarii adwokackiej - upił łyk wina. - No więc tak: Shane obmyśla plan z tymi dwoma, później wciągają w to jeszcze dwóch koleśków, może Shane też ich zna. W każdym razie Shane ma czterech bandytów. Usuwa Hectora z drogi, płacąc mu albo grożąc, a może Hector nawet nie wie, co...

Vinnie zmroził go wzrokiem.

- Szkoda, że nie możemy o to spytać Hectora.

Tony rzucił okiem na siedzącego obok policjanta, który - skorumpowany czy nie - wciąż przecież był gliną. Tony nie zamierzał więc przyznawać się przy nim do zabójstwa. Nie zamierzał też pozwolić, żeby rozmowa odbiegła do tematu.

- Może po skoku ci faceci zażądali więcej, a może Shane zrobił się chciwy albo się na siebie wkurwili. W każdym razie pożarli się o coś i Shane stracił z nimi kontakt. Albo może pogrywa sobie z nami. Udaje głupiego, jakby nic nie potrafił zrobić, z nadzieją, że jego niekompetencja odbije się na nas - Tony wskazał na Vinniego. - Pamiętasz, jak się zachowywał, kiedy powiedziałeś mu, że chcesz, żeby znalazł tych facetów?

Vinnie skinął głową, potem odchylił ją do tyłu, wbijając wzrok w sufit. Siedział tak prawie minutę, po czym odezwał się do Tony'ego:

- Chcesz mi powiedzieć, że to Ray Shane jest odpowiedzialny za śmierć mojego syna?

Tony potwierdził ruchem głowy, zdając sobie po chwili sprawę, że Vinnie na niego nie patrzy.

- Tak mi się wydaje.

- To ja go zatrudniłem - wychrypiął Vinnie, spuszcżając wzrok. - Wprowadziłem go do Domu. To ja zapoznałem go z Peterem.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy omówić na osobności - Tony wskazał LaGrange'a.

Vinnie przesunął kopertę w kierunku oficera. Policjant miał na tyle klasy, żeby nie przeliczyć od razu pieniędzy. W milczeniu wetknął kopertę w wewnętrzną kieszeń taniej marynarki, po czym wstał i odszedł bez słowa.

Vinnie rozkazał, aby Rocco i Joey upewnili się, że LaGrange wyszedł z restauracji, po czym poczekali przy barze, pijąc drinka. Potrzebował chwili sam na sam z Tonym.

Kiedy zostali sami, Tony odezwał się:

- Shane próbuje cię zrobić.

Vinnie wpatrywał się w niego, ale jego oczy szklily się tak, że Tony widział w nich prawie odbicie twarzy Petera. Kiedy Vinnie w końcu odzyskał jasność widzenia, spytał:

- Ale dlaczego Shane wciąż tu jest? Dlaczego nie uciekł z pieniędzmi?

- A gdzie mógłby uciec? Jest skazańcem na warunkowym. Jeśli nie zjawi się na spotkaniu z kuratorem, ten zgłosi złamanie warunków zwolnienia i wyda nakaz aresztowania. Ale jeśli Shane rozegra to na spokojnie, dorwie tych facetów, zanim oni dorwą jego, zatrzyma całą forszę i nie będzie miał problemów z kuratorem.

- A o co ci chodziło z tym wrabianiem mnie? - spytał Vinnie.

Tony opróżnił kieliszek, po czym sięgnął po butelkę. Dolewając sobie wina, oznajmił:

- Shane zadawał ostatnio dużo pytań.

- Jakich pytań? - Vinnie zażądał odpowiedzi ostrym tonem.

- O pieniądze.

- I co z tymi pieniędzmi?

- To samo, o co pytał już wcześniej: jakim cudem mieliśmy tyle gotówki w liczniku.

- To nie moja...

- Jest coś jeszcze - wciął się Tony.

- Co takiego?

- Pytał o szkołę Petera.

Vinnie huknął wielką pięścią w stół z całej siły, prawie posyłając kieliszek Tony'ego na podłogę.

- Pytał, kurwa, o szkołę mojego syna - warknął.

- Pytał, ile kosztuje.

- A czemu miałyby go to obchodzić?

Tony wzruszył ramionami. Vinnie pochylił się do przodu.

- Co mu powiedziałaś?

- Mówiłem, że mnie o to pytał, a nie, że cokolwiek mu powiedziałem - odrzekł Tony, unosząc do góry rękę.

- Co on do diabła kombinuje?

- Podobno spotkał się w Hog's Breath z Charliem Królikiem.

- On nawet nie zna Charliego - Vinnie zmarszczył czoło, jakby próbował coś sobie przypomnieć. - Wydaje mi się, że wtedy w moim biurze rozmawiali ze sobą pierwszy raz.

Tony ponownie wzruszył ramionami.

- Więc to dziwne, że znaleźli się razem w pubie, co?

Vinnie wziął świeżą serwetkę i otarł nią twarz.

- Może poszli tam tylko na drinka.

- Pomyśl, Shane rozmawia z Charliem i przekonuje go, żeby powiedział twojemu bratu, że jego zdaniem to ty sam napadłeś na Dom.

Vinnie dosłownie zatrząsł się z wściekłości.

- Knuje za moim plecami, wykorzystując mojego własnego brata?

Tony skinął głową.

- Właśnie tego się obawiam. Bo jak to wygląda? Nigdy wcześniej nie było takich problemów, aż tu nagle coś takiego, pod naszym okiem... Ktoś mógłby powiedzieć, że nie stawia nas to w za dobrym świetle, a nawet uznać nas za winnych.

Vinnie spojrzał na stół.

- Ale skoro Shane zorganizował to, działając od wewnątrz... - Vinnie zaczął przyzwyczajając się do tej myśli. - Nie było żadnej możliwości, żebyśmy się o tym dowiedzieli. I nikt nie może nas winić. Musimy tylko...

Tony uniósł dłoń.

- Musimy zachować ostrożność. Nie chcesz przecież popełnić kolejnego błędu - Tony zaczął się zastanawiać, jak ta kwestia zostanie odebrana, ale Vinnie najwyraźniej nie zwrócił na nic uwagi.

- Poczekajmy, tylko chwilę, tak żebym mógł sprawdzić parę rzeczy - dokończył.

Vinnie siedział przygarbiony, gapiąc się we wzór szachownicy na obrusie. Wydawał się zagubiony we własnych myślach, mamrocząc pod nosem:

- Byłem dla niego dobry. Dałem mu pracę, a on tak mi się odwdzięcza. Zawsze tak bywa z tymi, którym ufasz najbardziej. Pieprzony Brutus.

- Vinnie - Tony prawie szeptał.

Krzeseł skrzypnęło, kiedy Vinnie poruszył się na nim, by podnieść wzrok.

- Naprawdę myślisz, że on mnie wrabia?

Tony kiwnął głową.

Starszy mężczyzna ściągnął usta w wąską linię.

- Chcę, żebyś znalazł Shane'a i przyprowadził go do mnie - wskazał na bar. - Weź ze sobą Rocca i Joey'ego.

Tony ponownie uniósł rękę w geście proszącym o cierpliwość.

- Vinnie, ja naprawdę uważam, że powinniśmy...

Vinnie znów grzmotnął w stół swoją pulchną ręką, tym razem przewracając swój własny kieliszek i wylewając wino na obrus.



- Masz przyprowadzić tego pieprzonego zdrajcę do Domu.

Tony obserwował, jak czerwona plama wina rozlewa się po stole, myśląc nad słowami Vinniego. Zastanawiał się, czy Vinnie kiedykolwiek sam odwalił jakąkolwiek robotę, pnąc się w górę, czy po prostu wywindował się na plecach brata.

- Nie będzie tak łatwo go przyprowadzić.

- Dlaczego nie?

Tony odchrząknął. Trzeba było wszystko tłumaczyć, jak dziecku.

- Facet jest głupi. Ale nie aż tak głupi. Kiedy go znajdziemy, nie wskoczy od razu z nami do samochodu, szykując się na przejażdżkę. Przynajmniej nie dobrowolnie. Mówimy tu o wepchnięciu go do bagażnika, przewiezieniu go przez miasto, a potem wprowadzeniu go do Domu - wszystko to bez zwracania niczyjej uwagi. A co, jeśli federalni mają Dom na oku? Jeśli Shane tam z nami wejdzie, ale nigdy nie wyjdzie, ani się obejrzymy, jak zwałą nam się na głowę, żeby przetrząsać całe miejsce, z tymi ich specjalnymi lampami, które widzi się w telewizji, szukając śladów krwi i DNA. No wiesz, całe to gówno.

- Więc co proponujesz?

- Kiedy go znajdziemy, będzie łatwiej, jeśli ty przyjdiesz do nas, a nie my do ciebie.

- Jak zamierzasz go znaleźć?

- Poczekam na niego w jego mieszkaniu. Prędzej czy później każdy wraca do domu.

Vinnie wyraził aprobatę skinieniem głowy.

- Zadzwoń do mnie, jak tylko go dorwiesz. Nie chcę, żebyś z nim rozmawiał, zanim tam dotrę. Chcę usłyszeć wszystko, co ma do powiedzenia.

Tony podniósł się z uśmiechem na ustach.

# Rozdział piętnasty

Było tuż po jedenastej wieczorem, gdy Ray wtoczył się po drewnianych schodkach, do mieszkania nad hangarem. Na górze zachwiał się nieco, dysząc ciężko, przystanął więc chwilę i przytrzymał się jedną ręką poręczy.

Po całym dniu objeżdżania parkingów we wschodniej części Nowego Orleanu - żadnych sukcesów w poszukiwaniach niebieskiego buicka - Ray wstąpił na drinka do Cooter Brown's, pubu na obrzeżach miasta. Z jednego drinka zrobiły się najpierw dwa, potem trzy, a może i cztery.

Ray puścił w końcu poręcz i wydobyl z kieszeni papierosa i zippo. Musiał pstryknąć zapalniczką kilkanaście razy, zanim wykrzesał na tyle silny płomień, by mógł odpalić swojego lucky strike'a. Zaciągnął się głęboko, czując na plecach delikatny powiew bryzy ciągnącej od jeziora. Powietrze było rześkie, a niebo czyste i usiane gwiazdami.

Ray postanowił wejść do środka po jamesona. Należy sobie whiskey do szklanki wypełnionej kostkami lodu, a potem usiądzie na zewnątrz, by rozkoszować się nocą.

Na tarasie stał otoczony trzema plastikowymi krzesłami stolik ze szklanym blatem. Ray chwycił jedno z krzesel i przechylił je, strącając na podłogę kropelki deszczu. Będzie musiał przynieść ręcznik i wytrzeć je do sucha, zanim usiądzie.

Ray pstryknął niedopałek nad poręczą do jeziora, po czym wygrzebał z kieszeni klucze i ruszył w kierunku mieszkania. W środku było ciemno. Z kluczami w dłoni Ray stanął na progu, przesuwając drugą rękę po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła.

Nagle coś ciężkiego trzasnęło go w głowę. Miał wrażenie, że jego czaszka wypełniła się białym oślepiającym światłem. Potężny ból eksplodował w jego głowie ułamek sekundy później, powalił go na kolana. Gdzieś w oddali usłyszał brzęk spadających kluczy, po czym runął głową w dół na drewnianą podłogę.

Dotarł do niego szmer co najmniej dwóch różnych głosów. Wydawały się dochodzić z daleka, nie był więc w stanie zrozumieć słów, ale

rozumiał kryjące się za nimi niebezpieczeństwo. Ktoś chwycił go za nadgarstki i zaciągnął do mieszkania. Drzwi zamknęły się z hukiem. Czyjaś stopa grzmotnęła go w żebra.

- Odwróćcie go - rozkazał jeden z głosów.

Ktoś kopniakiem przewrócił go na plecy. W pokoju wciąż było ciemno. Przy drzwiach zamajaczył cień mężczyzny.

- Podnieście go - powiedział cień. - Jeśli będzie próbował wywinąć jakiś numer, rąbnijcie go znowu tym stalowym garem.

Dwóch mężczyzn postawiło Raya na nogi, każdy ciągnąc za jedno jego ramię. Więc w mieszkaniu jest ich co najmniej trzech. Ray wciąż nie był w stanie dostrzec żadnej twarzy. Czuł, jakby żebra płonęły mu żywym ogniem, a ból wysysał powietrze z płuc.

Kręciło mu się w głowie i nie mógł złapać tchu. Nogi miał jak z waty i stał tylko dzięki podtrzymującym go po obu stronach łapskom.

- Jest za ciężki - powiedział człowiek po prawej.

- Chyba coś mu zrobiliśmy - odpowiedział ten po lewej.

Stojący naprzeciw Raya cień westchnął ciężko. Odszedł od drzwi i przyciągnął krzesło z pochodzącego z garażowej wyprzedaży kompletu stołowego. Dwaj faceci posadzili na nim Raya.

Cień odszedł znów w stronę drzwi i zapalił światło, które natychmiast wlało się Rayowi do czaszki, podwajając ból. Zacisnął z całej siły oczy. Coś ściekało mu z boku głowy i kapło do ucha.

Po paru sekundach otworzył oczy. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, mrugnawszy nimi parę razy, ujrzał stojącego przed nim Tony'ego Zello.

Tony opierał się o drzwi, trzymając obie dłonie w kieszeniach. Jak zwykle prezentował się naprawdę nieźle, w antracytowym garniturze w niebieskie prążki, z kasztanową chusteczką, starannie włożoną w kieszeń na piersi i zielonym krawatem w turecki wzorek.

- Co słyszeć, Ray?

- Czego ty, kurwa, chcesz? - wyskrzecztał Ray, czując, że język zmienił mu się w kołek. Dostrzegł Rocca, wiszącego nad nim po prawej stronie. Po lewej stał drugi naszpikowany sterydami byk o imieniu Joey. Obaj przytrzymywali go za ramiona, żeby nie wstał z krzesła.

Na podłodze leżał stalowy garnek, który Ray zostawił rano na kuchence, zanim wyszedł z domu.

Tony wyprostował się, wysuwając jedną dłoń z kieszeni. Wycelował palcem w Raya.

- Jaki ty jesteś głupi, Shane. Wiesz o tym? - podszedł bliżej. - Jesteś taki sam, jak wszyscy gliniarze, których poznałem. Chcesz rozdawać

karty, ale nie masz jaj.

Krzeseło, na które rzucono Raya, było jednym z kompletu trzech plastikowych, z aluminiowymi nogami i bez poręczy, ustawionych wokół stolika śniadaniowego. Ciężkie łapska dwóch oprychów spoczywające na barkach Raya nie pozwalały mu się z niego podnieść.

Kiedy Tony zbliżył się jeszcze bardziej, Ray zamachnął się prawą pięścią i huknął Rocca w ramię, ale było to równie sensowne jak walenie w słup telefoniczny.

- Trzymajcie go mocno, do diabła - warknął Tony.

Ray opuścił lewe ramię, próbując wyslizgnąć się spod ręki Joey'ego, ale dwóch mięśniaków jeszcze mocniej przycisnęło jego barki wolnymi dłońmi, unieruchamiając mu ręce.

- Nigdzie się stąd nie ruszysz, ty skurwysynu - Tony znowu podszedł bliżej i walnął Raya pięścią tuż nad lewym okiem. - Wydawało ci się, że taki z siebie spryciarz, co? Wydawało ci się, kurwa, że możesz zabrać nasze pieniądze?

Ray poczuł, że żołądek podskoczył mu do gardła, jak podczas przejażdżki kolejką w wesołym miasteczku, kiedy pędzi się w dół po stromym odcinku toru. Wyczytał w ich twarzach, w sposobie, w jaki się zachowywali, że zamierzają go zabić. Tony uważał, że Ray zrobił coś złego - był to wystarczający powód, by go sprzątnąć. Tym facetom niewiele było trzeba.

- Tony, o czym ty, kurwa...

Kolejny cios pewnie zwałiłby Raya z krzesła, gdyby nie dwóch osiłków. Poczuł krew sączącą mu się do oka, a potem ściekającą z boku twarzy.

Dostrzegł spod zalewającej go czerwieni, że Rocco i Joey, wpatrują się w Tony'ego z zaciśniętymi ustami. Obaj pracowali w Domu, obaj byli młodzi. Było duże prawdopodobieństwo, że jeszcze nikomu nie przetrącili kości, nie brali bezpośredniego udziału w zabójstwie. Ray nie chciał być ich pierwszą ofiarą.

Zawsze miał gadane. Kiedyś spędził prawie godzinę, rozmawiając ze wściekłym Meksykaninem, dzierżącym w dłoni maczetę. Facet wrócił z pracy i nakrył żonę na czworakach, posuwaną od tyłu przez sprzedawcę z lokalnego spożywczaka. Ray, który był wówczas na patrolu, pierwszy dotarł na miejsce i zastał zdradzonego męża w sypialni, w której leżały również porąbane na kawałki ciała żony i sprzedawcy. Każdy gliniarz na jego miejscu chciałby zastrzelić kolesia.

Zamiast strzelać, Ray włożył pistolet do kabury i wszedł do sypialni.

Godzinę później, gdy wyprowadzał mężczyznę w kajdankach, obaj pogrążeni byli w rozmowie jak starzy kumple. Zawsze był dobry w gadaniu. Miał dar. Ale kiedy naprawdę ten dar był mu potrzebny, kiedy mógł ocalić mu życie, nagle brakowało mu słów.

Tony uniósł nogę i kopnął Raya prosto w brzuch. Ten zgiął się w pół, nie mogąc złapać tchu. Gdyby nie tych dwóch, trzymających go na miejscu, już dawno zwijałby się na podłodze, z trudem łapiąc powietrze.

- Wiedziałem od początku, że to ty - ogłosił Tony. - To musiałeś być ty. A kiedy dowiedziałem się, że znasz tych dwóch koleśków...

Skąd u diabła Tony wiedział o Michaelu Salazarze i Dylanie Sylvestrze? Ray sam się o nich dowiedział dopiero co i nawet jeszcze nie znalazł Sylvestra.

- Nie wiem... z kim rozmawiałeś... ale ja nie znam tych facetów... tylko ich kiedyś aresztowałem - wydyszał Ray.

To samo wyjaśnił już LaGrange'owi.

Tony kopnął go jeszcze raz.

- Cofam, to co powiedziałem o gliniarzach. Masz jaja, skoro zrobiłeś coś takiego. Ale i tak było to głupie.

Ray próbował coś powiedzieć, ale zaczął się dławić. W końcu udało mu się wydusić z siebie:

- To nie ja.

Tony wydobył spod marynarki mały rewolwer. Był to smith & wesson kaliber 0,38 cala, model Chief's Special, z dwucalową lufą. Taki sam, jaki Ray nosił w kaburze na kostkę, kiedy pracował jeszcze w policji.

- Nawaliłeś, Shane. A teraz do wszystkiego się przyznasz. Możesz to zrobić na dwa sposoby: łatwy albo trudny. Wybór jest twój.

- Tony przystawił lufę do kolana Raya. - Tak czy siak, wyśpiewasz wszystko.

- Ja nie zabrałem tych pieniędzy! - wychrypiał Ray.

Tony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Spodziewałem się, że to powiesz - odbezpieczył broń.

- Hej, Tony - w głosie Rocca dało się słyszeć zdenerwowanie.

- Nie zadzwonisz po Vinniego? No wiesz, tak jak powiedział.

Zdekoncentrowany podniósł wzrok na Rocca, odsuwając pistolet od kolana Raya.

- Nie, nie będę dzwonił po Vinniego, ty pieprzony kretynie. Sam to załatwię - oznajmił, wymachując pistoletem w rytm słów.

Drugi mięśniak zawtórował pierwszemu:

- No dobra, ale chyba powinieneś przynajmniej zadzwonić...

Czerwieniejąc jak burak, Tony wrzasnął:

- Vinnie powiedział, żebym się tym zajął i właśnie to, kurwa, robię - przysunął się do twarzy Joey'ego. - A jeśli nie macie ochoty na taką zabawę, to wynocha do poprzedniej roboty, pierdolonego pomywacza i pomagiera kelnera - wykrzyczał, bryzgając śliną.

Przez chwilę nikt nie zwracał uwagi na Raya. Dwaj goryle trzymali go teraz nieco słabiej. Słowami nic nie mógł zdziałać. Gadając, nigdy się z tego nie wywinie. Musiał coś zrobić i to natychmiast.

Ray machnął prawą nogą i kopnął Tony'ego w jaja. Tony chwycił się za krocze i opadł na kolana, rzucając rewolwer na podłogę.

To odwróciło na ułamek sekundy uwagę dwóch osiłeków i Rayowi udało podnieść się z krzesła. Próbował chwycić trzydziestkęósemkę, ale nie mógł jej dosięgnąć.

Rocco i Joey rzucili się za Rayem, ale nie dali rady go złapać. Ray walnął Tony'ego w szczękę prawym sierpowym, powalając go na plecy.

Drzwi znajdowały się dziesięć stóp dalej, tylko trzy kroki od niego. Jednak wciąż za daleko i Ray dobrze o tym wiedział. Dwóch dupków złapałoby go w połowie drogi. Ale było jeszcze jedno wyjście: okno. Szerokie na trzy stopy i wysokie na cztery, wychodziło na tylną część hangaru pod jego mieszkaniem. Poniżej znajdowała się marina, a jeszcze dalej - jezioro Pontchartrain.

Niestety tych dwóch stało mu na drodze.

Ray musiał wykonać jakiś krok, jeśli chciał uniknąć śmierci. Opuścił głowę i ruszył na Rocca. Wbił się prawym barkiem w jego brzuch, pracując intensywnie nogami jak tłokami - tak jak robił to kiedyś pod okiem trenera Ramseya na boisku. Rocco bezskutecznie usiłował go chwycić. Górna część jego ciała przemieszczała się w stronę okna szybciej niż nogi, stracił więc w końcu równowagę.

Joey rzucił się za Rayem i szarpnął go za koszulę, ale Ray był zbyt szybki, by można go było zatrzymać.

Z zaciśniętymi oczami i podbródkiem wduszonym w klatkę piersiową Rocca, Ray użył go jako tarana, wypychając go przez okno. Rocco huknął tyłem o szybę, rozbijając ją na kawałki, zaczepił się nogami o parapet, po czym runął plecami na dach hangaru. Ray z rozpędu przeturlał się przez niego głową naprzód i wylądował z hukiem brzuchem do góry, tracąc dech w piersiach.

Leżąc na pochyłym dachu z falistej blachy, ze stopami skierowanymi w dół, Ray nie był w stanie ani się ruszyć, ani złapać tchu. Za jego plecami, rozległ się jęk Rocca, a z wnętrza mieszkania dobiegł krzyk

Joey'ego, nawołującego partnera, by złapał Raya, póki ten nie uciekł.

Po chwili Rayowi udało się zaczerpnąć trochę powietrza w wygłodniałe płuca i przewrócić na brzuch. Podniósł się, stając na czworakach i spojrzał do tyłu. Za rozbitym oknem Joey wciąż próbował postawić bluzgającego Tony'ego na nogi. Rocco utknął przewieszony przez parapet, jak byk schwytyany w płataninę z drutu kolczastego. Próbował się podnieść, pojękując i łapiąc się wielkimi łapskami za uda. Kawalki wyszczerbionego szkła sterczały z dolnej części framugi jak zęby rekina, a po dachu, spod nóg Rocca, spływały dwie strużki krwi.

Tony z pomocą Joey'ego odzyskał w końcu pion, ale chwiał się tak mocno, że musiał wesprzeć się na swoim gorylu. Wyrzął przez to, co zostało z okna i napotkał spojrzenie Raya. Uniósł w górę dłoń z rewolwerem, wycelował go w Raya i strzelił.

Ray opadł na brzuch, obrócił się i czmychnął w kierunku krawędzi dachu. Spoglądając na czarną wodę, dwadzieścia stóp niżej, usłyszał kolejny strzał. Kula odbiła się rykoszetem od dachu, nie dalej niż dwie stopy od niego i popruła w ciemną noc, przecinając powietrze tuż obok jego ucha.

Ray skoczył z dachu i dał nura w ciemną głębinę.

# Rozdział szesnasty

Tony Zello ocknął się na dźwięk tłuczonego szkła. Zdał sobie sprawę, że musiał stracić przytomność. Rozejrzał się zdezorientowany po pokoju, uświadamiając sobie, że leży na podłodze.

„Gdzie ja jestem?” - pomyślał w pierwszej chwili.

I wtedy to do niego dotarło. Znajdował się w mieszkaniu Raya Shane'a.

Właśnie próbował się podnieść, gdy przeszył go potężny ból, jakby ktoś wetknął mu w krocze rozżarzony do czerwoności pogrzebacz. Zwalił się z powrotem na podłogę, a Joey pospieszył od strony okna, by mu pomóc. Sunąc przez niewielkie pomieszczenie, bęcwał wskazał rozemocjonowany na okno i wrzasnął jednym tchem:

- Onzarazucieknie!

Tony powiódł wzrokiem za ręką bezużytecznej masy mięśni, ale jego oczom ukazała się tylko zwisająca z okna para nóg. To musiał być Rocco, jego drugi twardziel. Po drugiej stronie okna coś się poruszyło, a kiedy pojawiło się nad linią parapetu w zasięgu jego wzroku, Tony zorientował się, że to Shane jest na dachu.

Chwycił Joey'ego, usiłując się podźwignąć. Na podłodze wciąż leżała jego trzydziestkaósemka. Puścił goryla jedną ręką i sięgnął po broń. W końcu stanął na nogach, ale musiał przygryźć wargę, by zdusić krzyk. Poczł w ustach krew. Opierając się o rosłego pomagiera, Tony uniósł pistolet i wystrzelił.

Ray Shane stał na czworakach naprzeciwko okna. Na odgłos wystrzału opadł na brzuch i czmychnął na bok. Tony oddał kolejny strzał, ale usłyszał tylko, jak pocisk odbija się od blachy dachu. Shane spojrzał w dół na wodę i zawahał się przez ułamek sekundy, dając Tony'emu czas, by złapał na cel jego tyłek i strzelił jeszcze raz. Wydawało się, że wszystko dzieje się jednocześnie: Tony pociągnął za spust, trzydziestkaósemka huknęła, a Ray spadł z dachu.

Tony nie był w stanie stwierdzić, czy trafił tego sukinsyna czy nie.

Puścił Joey'ego i pokuśtykał do okna, żeby samemu sprawdzić. Rocco



chwycił się go, błagając o pomoc. Tony zignorował go i na wpół zczołgał się, a na wpół zjechał po spadzistym dachu aż do gzymsu. Kiedy spojrzął w dół, jego oczom ukazała się gładka tafla jeziora, zmałconą tylko w jednym miejscu bąbelkami powietrza.

Woda rozchodziła się wokół nich regularnymi kręgami.

Shane skoczył dokładnie tutaj, ale teraz nie było po nim ani śladu. Trafił go czy spudłował? Tony Zello wyobraził sobie byłego glinę, leżącego na mulistym dnie przystani. Krew lała mu się z postrzelonego tyłka, a woda wlewała do płuc. Kłapał ustami, otwierając je i zamykając, jak ryba wyrzucona na brzeg. Myśl ta sprawiła mu taką satysfakcję, że Tony prawie się uśmiechnął. Prawie. Uśmiechnie się, kiedy naprawdę ujrzy trupa Shane'a. Ale póki co gnojek uciekł. Tony'ego zalała fala wściekłości, tak intensywna, że zdołała nawet uśmierzyć ból. Stał tak przy krawędzi dachu już ponad minutę, gapiąc się na wodę i obserwując, jak na powrót uspokaja się, odzyskując atramentową gładkość.

Za jego plecami jęknął Rocco. Tony odwrócił się i ujrzał, jak Joey usiłuje go podnieść. Tony będzie musiał wezwać na pomoc tego ich zapijaczonego doktora. Dodatkowa strata pieniędzy.

- Pierdol się, Shane! - krzyknął i oddał kolejne dwa strzały do czarnej jak noc wody.



Ray nie miał w płucach ani grama powietrza. Uderzenie brzuchem o wodę po skoku z wysokiego na dwadzieścia stóp hangaru odebrało mu dech. Potem jeszcze doszło przeraźliwe zimno, jakby jakiś stuknięty spec od akupunktury wbił mu pod skórę tysiąc igieł jednocześnie. Z pustymi płucami poszedł na dno jak kamień, czując tylko w uszach narastające ciśnienie.

Buty Raya dotknęły mulistej powierzchni. Marina była głęboka jedynie na osiem stóp - akurat tyle, ile trzeba dla amatorów wędkarstwa sportowego oraz wycieczkowych motorówek i żaglówek z New Orleans Yacht Club. Była też na pewno wystarczająco głęboka, żeby utonąć.

Choć miał otwarte oczy, Ray nie widział nic poza słabym błyskiem, który zamigotał gdzieś nad nim, kontrastując z czarną jak smoła wodą. Do jego uszu dotarło echo kolejnych dwóch strzałów, a kiedy naboje przeszyły taflę, uderzyła go fala ciśnienia.

Opadł na kolana i zastygł w bezruchu, obawiając się poruszyć. Czuł, jak panika czyha już gdzieś na obrzeżach jego umysłu. Nie mógł tutaj zostać, nie mógł też wypłynąć na powierzchnię, bo tam czekał Tony.

Tony i jego pistolet.

Jeśli wypłynie na powierzchnię i wynurzy głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, stanie się łatwym celem. Jeden strzał i będzie po wszystkim.

Ot, kolejne ciało do wyłowienia dla nurków z NOPD [\[21\]](#).

Na podjęcie decyzji zostały tylko sekundy. Hangar znajdował się za jego plecami. Tony prawdopodobnie wciąż tkwił przy krawędzi blaszanego dachu i gapił się w dół na wodę, ale nie był w stanie dostrzec, co dzieje się pod zadaszeniem samej przystani - musiałby zwiesić głowę poniżej gzymsu i zajrzeć do środka. A skoro nie widział, nie mógł też strzelić. Wnętrze hangaru było jedynym miejscem, w którym Ray mógł się schronić.

Z płucami płonącymi żywym ogniem i przemożną potrzebą zaczerpnięcia powietrza, Ray zaczął przedzierać się przez wody mariny w kierunku hangaru. Jeszcze tylko około pięciu stóp, na pewno nie więcej niż osiem i znajdzie się pod cynowym zadaszeniem. Chciał dopłynąć tak daleko, jak tylko mógł. Choć zaczęło mu ciemnieć przed oczami, a ciśnienie pod czaszką stało się nie do zniesienia, wciąż kierował się ku górze. Wydawało mu się, że grzęźnie w gęstym syropie, a każdy kolejny ruch stawał się coraz trudniejszy. Kiedy zaczął zbliżać się do powierzchni, ciśnienie w uszach trochę zelżało. Już prawie - jeśli tylko uda mu się wpłynąć pod dach hangaru, będzie miał szansę przeżyć.

Nagle rąbnął w coś głową i załała go fala ciemności. Stojący w doku, długi na trzydzieści osiem stóp sportowy jacht, w którego dolną część uderzył, napierał na niego od góry i nie pozwalał wypłynąć na powierzchnię. Raya ogarnęło przerażenie. Ślepe przerażenie. Uwięziony trzydzieści stóp od brzegu, nie więcej niż pięć od doku. Spojrzał w lewo i w prawo, potem w górę i dół. Był zupełnie zdezorientowany. Którędy ma płynąć, żeby wydostać się na powierzchnię?

„Idź wzdłuż kadłuba!” - pomyślał.

Klepiąc jedną dłonią łódź, Ray zaczął przemierzać atrament wody, machając rękoma i nogami. Zwierzęcy instynkt silniejszy niż siła woli zmusił go, by otworzył usta. Nie był już w stanie się powstrzymać, tak jak nie był w stanie przestać mrugać oczami. Jednak ostatkiem koncentracji zmusił się, by odczekać jeszcze jedną sekundę, nim zaczerpnie powietrza, napełniając płuca ciemną wodą. I ta sekunda wystarczyła.

Kiedy jego ręka przecięła taflę wody, poczuł na palcach podmuch rześkiego powietrza. Jeszcze jeden ruch nogą i jego głowa znalazła się na

powierzchni. Upajając się tlenem - słodkim i zbawiennym - słyszał, jak Tony tupie po blaszanym dachu z powrotem do mieszkania. Zdrowy rozsądek podpowiadał Rayowi, żeby na powrót zanurzyć się pod powierzchnię, na wypadek; gdyby Tony jednak zajrzał do hangaru, ale nie był w stanie tego zrobić. Jeśli ma umrzeć, zabije go kula, a nie woda.

Z mieszkania dobiegły go stłumione krzyki, a potem dudnienie stóp po podłodze, niosące się echem po ścianach hangaru. Huk zamykanych drzwi i tupot stóp na drewnianych schodach. Znowu krzyki, tym razem dobiegające z parkingu i jeszcze głośniejsze, gdzieś z daleka. Może sąsiedzi. Pewnie ktoś wezwie policję.

Ray wciąż tkwił w wodzie, połykając łąpczywie powietrze. Już nigdy nie będzie narzekał na głód czy pragnienie. Powietrze było wszystkim, czego potrzebował.

Do jego uszu dobiegł odgłos odpalanego samochodu, a po chwili pisk opon i ryk silnika na wysokich obrotach.

- Gdzie jedziemy? - krzyknął Joey.

↓

Tony rozparł się na siedzeniu, trzymając się oburącz za obolałe klejnoty.

- Po prostu, kurwa, jedź!

Rocco leżał na tylnym siedzeniu, brocząc krwią, plamiąc prawdziwą koryncką skórę [\[22\]](#) - czymkolwiek jest to kurewstwo - i rujnąjąc tapicerkę prawie nowiutkiego lincolna towncara Tony'ego. Joey pędził przez Pontchartrain Boulevard, zaciskając wielkie łapska na kierownicy. Zerknął na Tony'ego:

- Ale skąd mam wiedzieć, gdzie jechać.

- Wieź nas do doktora.

- Do Feelgooda?

- A znasz jakiegoś innego, do którego możemy pojechać?

Joey wyciągnął szyję i zerknął przez ramię na rozłożonego na tylnym siedzeniu Rocca, który zwijał się i jęczał, bryzgając krwią.

- A może na ostry dyżur? - spytał.

- Nie mam na to czasu - wydarł się Tony. - Zostawimy go u Feelgooda, a potem pojedziemy szukać tego skurwysyna.

- Myślisz, że udało mu się zwiać?

- Jedź!

↓

Okazało się, że wydostać się z wody było znacznie trudniej niż do niej wskoczyć. Najpierw Ray próbował chwycić się krawędzi doku, biegnącego wzdłuż ściany hangaru, ale znajdował się on cztery stopy nad wodą i nie mógł go dosięgnąć. Potem próbował wgramolić się po jednym ze wsporników, ale jego ręce ześlizgiwały się po zielonym szlamie, którym ten był pokryty.

Nie mając pewności, czy w samochodzie, który właśnie odjechał, znajdował się Tony i jego dwaj goryle czy może jeden albo nawet obaj zostali tutaj, Ray nie chciał wypływać na marinę, gdzie łatwo można by go zobaczyć. Musiał wyjść z wody, bo wyciągała z niego całe ciepło, ale chciał zostać wewnątrz hangaru.

Opływając sportowy jacht, Ray zauważył grubą na pół cala linę, zwisającą z bukszprytu. Pochwyciwszy ją, podciągnął się do góry, tak że woda sięgała mu do pasa. Następnie odepchnął się nogami od kadłuba łodzi i huśtając się, chwycił się krawędzi doku lewą ręką, zaczepiając się opuszkami palców pomiędzy dwiema deskami. Przez chwilę tkwił zawieszony między dokiem a jachtem. Kolejny raz odepchnął się od jachtu jedną stopą, puścił się liny i z całych sił spróbował chwycić się doku drugą ręką. Udało się.

Zwisał, trzymając się desek. Niemal słyszał agonalny krzyk swoich płuc. Tony i jego dwóch przydupasów nieźle go załatwiło.

Ciężko mu było wykrzesać tyle energii i odwagi, żeby się podciągnąć. Wiedział, że będzie bolało.

Udało mu się podźwignąć wystarczająco, by oprzeć prawy łokieć na pomoście, a palcami sięgnąć przez dok i zaczepić się przy drugiej krawędzi. Następnie, rozhuśtawszy się na boki nogami, żeby nabrać rozmachu, wsparł się na łokciu, zarzucając na pomost nogę. Wgramolił się w końcu cały na górę. Leżał teraz z twarzą na mokrych deskach, dysząc jak pies.

Czuł się tak, jakby każda kosteczka w jego ciele była złamana, każdy mięsień naderwany, a głowa była rozmiaru arbuza serwowanego na Dzień Niepodległości. Koniec z papierosami i gorzałą. Zamiast tego - siłownia. Ale najpierw musi jakoś wydostać się z tych tarapatów. Na początek dowie się, czemu Tony Zello próbuje go zabić. Ale najpierw musi wydostać się na zewnątrz.

Zerknął na ulicę przez wejście do hangaru. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale czego tak naprawdę szukał? To oczywiste, że nie było tam uzbrojonych oprychów, bo nawet Tony był na tyle rozsądny, żeby się ukryć. W końcu nieźle się spisał, robiąc zasadzkę na

Raya w jego własnym mieszkaniu. Ray uważnie zlustrował ulicę, po czym wszedł z powrotem do hangaru. Dopiero kiedy pokuśtykał kilka kroków, dochodząc do schodów, prowadzących do jego mieszkania, zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, jakby spodziewając się strzału.

W połowie schodów zamarł w bezruchu na dźwięk syreny policyjnej. Ktoś musiał usłyszeć strzały i wezwał policję, ale gliniarze trochę się spóźnili. Teraz nic już nie są w stanie dla niego zrobić.

Drzwi do mieszkania były już blisko, a on potrzebował suchego ubrania. Przemarzył na kość. Nagle coś przyszło mu do głowy. Pomacał lewą kieszeń, ale była pusta - klucze zostały w środku. Przypomniał sobie, że spadły na podłogę.

Dźwięk syreny stawał się coraz bliższy. Ray odwrócił się i pokuśtykał na zewnątrz.

↓

- Ciągłe chcesz, żebym to ja prowadził? - Joey spytał, odwracając się przez ramię.

Tony schodził chwiejnym krokiem z podjazdu w Old Metairie, tuż za miastem, tam gdzie mieszkał facet, którego ochrzcili imieniem doktor Feelgood. Wlókł się kilka kroków za swoim gorylem, nie mogąc się wyprostować. Przez opuchnięte klejnoty musiał iść skulony jak jakiś stary dziad.

- A wygląda na to, że byłbym w stanie to zrobić? - burknął. - Oczywiście, chcę żebyś to ty, kurwa, prowadził.

Feelgood był starym moczymordą, który stracił licencję lekarską kilka lat temu. Od tamtej pory zajmował się tymi, którzy nie chcieli, żeby gliniarze dowiedzieli się, w jakich okolicznościach oberwali. Właśnie zakładał szwy na nogach Rocca.

Gdy siedzieli w lincolnie, Joey spytał Tony'ego:

- Dokąd jedziemy?

Tony musiał się zastanowić. Shane'owi prawdopodobnie udało się uciec. Chyba że dosięgła go jedna z kul. Odtwarzając sobie w głowie całą scenę, Tony był niemalże pewien, że jednak do tego nie doszło. Kule prawie nigdy nie zabijają natychmiast, chyba że trafiają w głowę. W większości przypadków trafiony trochę się męczył przed śmiercią. Więc gdyby Tony trafił Shane'a, ten prawdopodobnie wyplątałby na powierzchnię, przynajmniej na parę sekund, próbując się czegoś chwycić i zaczerpnąć powietrza.

Joey odpalił silnik.

- Masz samochód? - spytał Tony.
- No.
- Jaki?
- Camaro.
- Camaro? Taki wielki chłop! Na cholerę ci taki mały samochód?
- To jeden z tych nowszych modeli. Laski na niego lecą.
- Ale w pieprzonej dwudrzwiówce jest niewygodnie.
- No tak, ale jest szybka.
- A gdzie trzymasz ten samochód?
- U Shorty'ego.

- Kurwa - Tony huknął pięścią w deskę rozdzielczą. - Dobra, ruszaj - wskazał kciukiem na zakrwawione tylne siedzenie. - Najpierw, musimy pozbyć się tego syfu. A potem pojedziemy z powrotem do mieszkania Shane'a.

- A co z moim samochodem?
- Nieważne.

Joey wrzucił bieg wsteczny i wyjechał na ulicę.

- A czemu wracamy do Shane'a?
- Chcę sprawdzić, czyjego samochód tam jest. O wiele łatwiej jest kogoś znaleźć, jeśli wiesz, jaką bryką jeździ.
- A czemu chciałeś wiedzieć, jaką ja jeżdżę?
- Może ktoś widział, jak odjeżdżamy znad mariny i podał policji opis mojego samochodu.

- Ale zdjęłeś tablice.

- To duży zielony lincoln. Nietrudno go zauważyć, zwłaszcza jeśli tylne siedzenie jest całe upieprzone krwią.

Joey podrapał się po głowie.

- To co teraz zrobimy?
- Wyczyścimy siedzenie i założymy z powrotem tablice rejestracyjne.
- A co z gliniarzami?
- Pieprzyć gliniarzy. Zresztą, połowę tych skurwysynów utrzymuję.

Joey wyjechał z dzielnicy. Jechał przez kilka mil wzdłuż Metairie Road, potem skręcił w lewo na Pontchartrain Boulevard i obrał kierunek na marinę.

- Jak myślisz, gdzie on pójdzie, to znaczy Shane?

Tony pomyślał, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie ten skurwiol mógłby się udać. Zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o Shane'ie.

Nie wiedział, czy ma jakąś rodzinę w Nowym Orleanie, a od rodziny zawsze dobrze było zacząć, jeśli szukało się kogoś, kto uciekł. Nie

wiedział też, czy Shane po tak długim pobycie w więzieniu ma jakiś przyjaciół, a może nową dziewczyną albo i chłopaka.

Tony wysunął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Domu. Ktoś tam musi coś wiedzieć o Rayu Shane'ie.

# Rozdział siedemnasty

Jenny Porter mieszkała w kawalerce na drugim piętrze trzypiętrowego budynku. Nie było tu windy i w takie ranki jak ten z całego serca nienawidziła tych dwóch kondygnacji schodów.

Była czwarta trzydzieści.

Późną nocą do Nowego Orleanu dotarł front atmosferyczny i zrobiło się zimno, mokro i przygnębiająco.

Jedynym zabezpieczeniem w budynku, były samozatraskujące się żelazne drzwi wejściowe. Za nimi znajdowały się zwyczajne drewniane drzwi z zepsutym zamkiem, których jedyną rolą było osłaniać korytarz przed kiepską pogodą na zewnątrz.

Jenny stała właśnie przed żelaznymi drzwiami, trzymając klucze w dłoni, kiedy zdała sobie sprawę, że są niedomknięte. Przyjrząwszy się uważnie zasuwie, zauważyła, że rygiel wciąż wystawał z bębena. Drzwi zostały wyważone. Przymknęły się z powrotem dzięki sprężynowym zawiasom, ale nie mogły się domknąć z powodu wystającego rygla, przez co między drzwiami a framugą powstała wąska szczelina.

Wrzuciła klucze do torebki i otworzyła żelazne drzwi. Jeden z zawiasów zaskrzypiał przeraźliwie. Popchnęła ręką drewniane drzwi wewnętrzne. Jej oczom ukazał się szeroki korytarz biegnący pośrodku budynku, po którego obu stronach znajdowały się cztery mieszkania. Na dalekim końcu korytarza widniała klatka schodowa prowadząca na pierwsze piętro.

Jenny weszła do środka i zamknęła za sobą drewniane drzwi. Wiszące nad nimi dwa ogromne okna oświetlały korytarz w ciągu dnia, ale przed wschodem słońca jedyne światło pochodziło ze starego żyrandola dyndającego z sufitu pośrodku holu. Drzwi do mieszkań osadzone były w odległości około trzech stóp od korytarza, co tworzyło niewielką wnękę przed każdym z nich.

Dlaczego drzwi były otwarte? Może zamek się zepsuł i konserwator zostawił je niedomknięte. Ale wszystko działało sprawnie, kiedy Jenny wychodziła do pracy o ósmej poprzedniego wieczoru, zaraz po tej



przygodzie z Gordem. Jeśli zamek był zepsuty, konserwator nie wyważyłby drzwi, ani nie zostawiłby ich niedomkniętych na całą noc. Po prostu naprawiłby zamek.

Spojrzała na kryjące się w mroku wnęki, po obu stronach korytarza, zastanawiając się, czy ktoś lub coś się w nich przypadkiem nie czai. Z łomoczącym sercem ruszyła ostrożnie ku schodom na tyle budynku, trwożnie zaglądając w każdą zacienioną niszę, którą mijiała.

Na końcu holu Jenny zatrzymała się przy schodach i spojrzała w kierunku pierwszego piętra. Nad jej głową migotała samotna żarówka, oświetlając pustą klatkę schodową przyćmionym blaskiem. Żadnych duchów czy chochlików - przynajmniej żadnego nie było widać. Zaczęła wchodzić po schodach, odliczając kroki do półpiętra powyżej.

Zanim jednak dotarła na miejsce, trochę się uspokoiła. Powiedziała sobie, że zachowuje się jak głupiutka dziewczynka, bo przecież tutaj nie było żadnego szaleńca, żadnego uciekiniera z więzienia czyhającego na jej życie z rzeźnickim nożem w ręku.

Nic, tylko słabo oświetlona klatka schodowa.

„I wyważone drzwi wejściowe” - pomyślała.

Jeszcze jedna kondygnacja. Stawiając stopy na kolejnych stopniach, nie mogła powstrzymać się od zerkania za poręcz, żeby sprawdzić, czy nikt na pewno nie kręci się w holu poniżej. Za każdym razem jej oczy nie rejestrowały nic poza zabawą światła z cieniem.

Tuż przed drugim piętrzem, przystanęła na chwilę. Jej mieszkanie znajdowało się za trzecimi drzwiami po lewej stronie. Miała ochotę krzyknąć, poniekąd spodziewając się, że jeśli to zrobi, z jednej z wnęk wyłoni się spasiony tyłek Hirma L. Gorda. Ale ani nie krzyknęła, ani nie ujrzała Hirma L. Gorda.

Ruszyła ostrożnie środkiem korytarza, usiłując trzymać się jak najdalej od skąpanych w mroku drzwi. Przy pierwszej parze mieszkań rozejrzała się na lewo i na prawo, ale nic nie zobaczyła. Potem kolejna para drzwi - znowu nic. Zaczęło się jej robić głupio, ale przypomniała sobie, że prawie do końca szkoły średniej spała przy zapalonym świetle.

Nie bała się straszycieli. No, może na początku chodziło o duchy pod łóżkiem, chochliki w szafie i inne dziecięce fantazje, ale kiedy tylko weszła w okres' dojrzewania, zawsze zostawiała w nocy włączone światło z powodu ojczyma. To właśnie jego pijackie wizyty w jej pokoju późną porą, kiedy mama poszła już spać, przerażały ją najbardziej.

Dotarła już do wnęki przy drzwiach swojego mieszkania, gdy nagle coś się w niej poruszyło. Coś dużego, leżącego na podłodze.

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Kto tam? - krzyknęła.

Cień znowu się poruszył. Cofnęła się o parę kroków, gotowa odwrócić się i wziąć nogi za pas albo wrzasnąć, z nadzieją, że ktoś zawiadomi policję.

Cień podniósł się. Jenny wpadła tyłem na ścianę naprzeciwko drzwi. Niemalże poczuła ulgę, kiedy zdała sobie sprawę, że to człowiek, a nie jakiś potwór, przyznając się w końcu przed samą sobą, że jednak wciąż trochę wierzy w straszidła. Ale to nie był Gordo. Więc może morderca z siekierą, który uciekł gliniarzom i włamał się do budynku, żeby się przed nimi ukryć? Teraz, kiedy go zobaczyła, będzie musiał ją zabić. Ścisnęło ją w żołądku. Powinna wrzasnąć czy raczej rzucić się do ucieczki? W szpilkach prawdopodobnie nie zdąży zbiec po schodach wystarczająco szybko. Krzyk już cisnął jej się na usta, już rozchyliła wargi, żeby go wydać, gdy nagle cień przemówił:

- Wpuścisz mnie czy nie? - powiedział głosem Raya Shane'a.



- Prawie dostałam przez ciebie pieprzonego ataku serca! - wrzasnęła Jenny, siedząc przy kuchennym stole naprzeciw Raya.

Choć wnęka jadalna była niewielkich rozmiarów, był to jej ulubiony kąt w mieszkaniu. Ściany pokryte były jasnymi, delikatnymi obrazkami ze śródziemnomorskim motywem. Stół był kwadratowy, z ramą z drewna bielonego i blatem z meksykańskich płytek.

Serce Jenny wciąż waliło jak młotem.

- Co ci się stało w twarz? Mój Boże, wyglądasz jakbyś się zderzył z pieprzoną ciężarówką.

Shane uniósł dłoń do rozcięcia nad okiem.

- Chyba nigdy wcześniej nie użyłaś przy mnie słowa „pieprzyć”. A teraz wypowiedziałaś je dwa razy w jednym zdaniu.

Jenny wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- To nie było to samo zdanie. Ten sam akapit - może, ale nie to samo zdanie.

Naprawdę cieszyła się, że to nie Gordo skrywał się w mroku, czyhając, żeby znowu się na nią rzucić. A jednak zastanawiała się, dlaczego Ray koczował pod jej drzwiami.

- W mowie raczej nie ma akapitów - Ray przymknął oczy, rozmasowując skronie opuszkami palców.

- Co takiego?

Spojrzał na nią.

- W mowie nie ma akapitów. Akapity masz, kiedy piszesz. Kiedy mówisz, to znaczy mówisz parę zdań, masz...

- No?

- Nie wiem, jak to się nazywa, ale wiem, że to nie jest akapit.

- To teraz jesteś nauczycielem angielskiego?

Potrząsnął głową.

- Dużo czytałem w więzieniu, to się nie liczy?

- Nie.

- Chciałem tylko wyjaśnić różnicę.

Położyła obie dłonie na stole i pochyliła się w jego stronę, cedząc wolno słowa, tak żeby na pewno dobrze ją zrozumiał.

- Nie potrzebuję żadnych pieprzonych wyjaśnień na ten temat, bo jesteś po prostu pieprzonym dupkiem, który tak mnie przestraszył, że prawie dostałam pieprzonego zawału.

Wpatrywał się w nią w milczeniu.

Jenny wystawiła trzy palce.

- Teraz masz to słowo trzy razy w jednym zdaniu, więc możesz się już nie martwić, czy to akapit czy nie.

Zegar zawieszony nad kuchennymi drzwiami odmierzał kolejne sekundy, a Ray tylko patrzył na nią z poważną miną. Nagle na jego obitej twarzy pojawił się uśmiech.

Jenny mimowolnie odpowiedziała tym samym. Po chwili Ray ryknął gromkim, szczerym śmiechem, po czym skrzywił się z bólu, trzymając się za żebra. Spojrzała na zaschniętą krew w jego włosach.

- Co ci się stało?

- Znowu twój chłopak.

Posłała mu gniewne spojrzenie, wskazując palcem drzwi.

- Jeśli masz zamiar tak do mnie mówić, wynocha z mojego mieszkania.

Shane uśmiechnął się krzywo.

- Twoje mieszkanie. Pamiętam, że kiedyś było to nasze mieszkanie.

Opuściła rękę, nie spuszczając z niego wzroku.

- Ale teraz to tylko moje mieszkanie. I to był twój wybór, Ray.

Ponownie skinął głową, choć ruch był tak lekki, że prawie niezauważalny. Z Jenny zaczęła uchodzić cała złość. W jego oczach zamigotało coś, czego się nie spodziewała - porażka. Jakby przegrał nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie. Nigdy go takim nie widziała, nawet tuż po wyjściu z więzienia. Może wszystko, co mu się przydarzyło, dało mu

się w końcu we znaki, złamało go. Oboje zaszli tak daleko od tego, co było kiedyś, że pewnie nie ma już dla nich powrotu.

Przyglądała mu się uważnie, kiedy dotykał pokaleczonej głowy opuszkami palców.

- Nie mam dokąd pójść, Jenny - wyznał w końcu.

- Powiedz mi, co się stało - wycelowała w niego palec. - Ale ostrzegam cię. Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego, to nawet jak będziesz musiał spać na ulicy, wywalę cię stąd.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że popełnia błąd, że wrócą dawne uczucia, wydobyła spod zlewu apteczkę, a Ray zaczął opowiadać, co zdarzyło się w jego mieszkaniu.

Rozłożyła zawartość apteczki na stole. Kiedy dotknęła rozcięcia nad jego okiem, Ray skrzywił się z bólu.

- Czego chciał? - spytała.

- Zabić mnie.

- Ale dlaczego?

- Myśli, że to ja jakimś cudem ukradłem pieniądze.

- Jakie pieniądze?

- Z napadu.

- Dlaczego miałby tak myśleć? - przytknęła do rozciętego łuku brwiowego gazik nasączony alkoholem izopropylowym. Ray szarpnął głową.

- Aaa.

- Przestań jęczeć. Chcesz, żebym to oczyściła czy nie? - skinął głową. - Czemu on twierdzi, że to ty?

- Pewnie uważa, że musiał to być ktoś z wewnątrz.

- A tak było?

Potwierdził, ruchem głowy.

Nie było sposobu, żeby zabandażować mu głowę, nie goląc jej, więc Jenny tylko oczyściła ranę, najlepiej jak mogła, patyczkiem kosmetycznym. Rozcięcie nad okiem znowu zaczęło krwawić, więc przycisnęła do niego ręcznik, aż krwawienie ustało, po czym przyłożyła do niego gazę.

- Tutaj trzeba będzie założyć szwy - powiedziała, przyklejając kawałek gazy kolejnym paskiem plastra.

- Nie mogę pójść do szpitala. Będą zadawać za dużo pytań.

Jenny położyła gazę i plaster na stole.

- Jak chcesz, ale jeśli ci tego nie zszyją, będziesz mieć okropną bliznę.

- Boisz się, że nie będę już tak przystojny?

- Nie zachowuj się jak kutas.

Gwizdnął.

- Ładny język podłapałaś, pracując w tym miejscu.

Usiadła z powrotem przy stole i patrząc mu w oczy, spytała:

- Zrobiłeś to, Ray?

Ray westchnął, nie uciekając przed jej spojrzeniem.

- Nie, nie zrobiłem.

Kiedy mieszkali razem, nauczyła się rozpoznawania, kiedy kłamie i wiedziała, że teraz mówi prawdę.

- Więc kto to mógł być?

Ray wzruszył ramionami.

- Hector miał w tym prawdopodobnie jakiś udział, ale nie był na tyle bystry, żeby wymyślić to sam.

- Tony?

Odwrócił wzrok.

- Nie wiem.

- Coś ukrywasz, Ray. O co chodzi?

- Po prostu coś usłyszałem...

- O kim?

- O Vincencie.

Tego zupełnie się nie spodziewała.

- I co z nim?

- Mógł mieć motyw.

- Ale przecież zamordowano mu syna.

Ray oparł łokcie na stole.

- Może kogoś poniosło.

- Poniosło? - spytała zaskoczona. - Odstrzelili mu głowę!

- I ten, kto to zrobił, chce się z tego wywinąć za wszelką cenę.

- Naprawdę myślisz, że to mógł być Vinnie?

Kolejny raz wzruszył ramionami.

- Jest taka możliwość.

- Ale dlaczego? - spytała. - O jakim motywie mówisz?

- Ten sam powód, dla którego ludzie robią wszystko - potarł kciukiem o palec wskazujący. - Pieniądze.

Potrząsnęła głową, myśląc, że znacznie przesadza w tej kwestii.

- Nie uogólniaj. Nie każdy myśli tak jak ty.

- To znaczy?

Jenny wzięła głęboki oddech.

- Twój problem polega na tym, że jesteś pazerny.

Popatrzył na nią, jakby była stuknięta.

- O czym ty do diabła mówisz? Próbuję ci wyjaśnić, dlaczego Vinnie mógł ukraść te pieniądze, a ty chcesz odwrócić kota ogonem i wmówić mi, że jestem pazerny?

- Znam cię od dawna.

- I co w związku z tym?

Jenny widziała, że Ray zaczyna się wściekać. Ale trudno, to akurat musiał usłyszeć.

- A dlaczego trafiłeś do więzienia?

- Bo ktoś nas sypnął.

Potrząsnęła głową. Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Nie, Ray, pytam dlaczego trafiłeś do więzienia.

- Federalni chcieli się ze mną dogadać. Mógłbym od razu wyjść na zwolnienie warunkowe, ale powiedziałem im, że nie będę kablować na partnerów.

Upierał się na siłę przy swoim czy może rzeczywiście niczego nie chwycił? Znała Raya na tyle dobrze, że skłoniłaby się raczej ku pierwszej opcji. Jeszcze nigdy w życiu nie usłyszała, żeby przyznał, że popełnił błąd. Zawsze szedł w zaparte, przekonany, że ma rację.

- Posłuchaj mnie, do cholery! - uniosła głos, prawie krzycząc. - Pytam o to, dlaczego trafiłeś do więzienia, co zrobiłeś, że się tam znalazłeś.

Wbił w nią wzrok, a twarz znieruchomiła mu jak kamień, ale to właśnie ta mina go zdradziła. Właśnie dzięki niej Jenny wywnioskowała, że on dokładnie wie, o czym mowa. Po prostu nie chciał się przyznać do błędu, jak zawsze.

Jenny potarła o siebie palce, tak jak Ray wcześniej.

- Chciwość. To przez nią trafiłeś do więzienia, Ray. Nie dlatego, że ktoś cię sypnął, nie dlatego, że poświęciłeś się dla partnerów, ale dlatego, że chciałeś pieniędzy. Napatrzyłeś się na takich kretynów jak Tony, którzy żyli jak królowie. Utrzymywałeś się z pensji gliniarza, ale chciałeś być jednym z królów i przez chwilę byłeś, a potem cię złapali.

Ray poczerwieniał ze złości.

- Myślisz, że mnie rozgryzłaś? Myślisz, że wiesz, co mnie kręci? Wydaje ci się, że każdy problem można rozwiązać za pomocą jakiś psychologicznych pierdoł dla mas, z programu Oprah [\[23\]](#)?

Niektóre rany nigdy się nie goiły. Jenny poczuła ścisk w gardle i łzy zbierające się kącikach oczu.

- Może niektórych rzeczy nigdy nie da się naprawić, Ray, ale wiem

jedno...

- Co takiego? - spytał głosem, zimnym jak lód.

- Ludzie mogą się zmienić.

Wpatrywał się w nią, przesywając ją swoimi błękitnymi oczami tak długo, że miała ochotę przestać w nie patrzeć, ale tego nie zrobiła. Nie chodziło mu o gierki w „kto pierwszy odwróci wzrok”, prawdopodobnie po prostu zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Miała nadzieję, że naprawdę wsłuchał się w to, co powiedziała.

- Naprawdę myślisz, że ludzie mogą się zmienić? - spytał w końcu.

Jego ręce leżały na stole. Delikatnie przykryła jego dłoń swoją.

- Tak, ja...

Rozległo się walenie do drzwi.

Jenny obróciła się na krześle. Spojrzała na zegarek. Piąta trzydzieści rano. Kto do diabła mógł pukać do drzwi o tej porze?

Gordo. To musiał być on. Odwróciła się z powrotem do Raya, kładąc palec na ustach.

Skinął głową.

Wstała i podeszła do drzwi. Zerknęła przez wizjer, ale nie widziała nic, tylko ciemność. Ten ktoś musiał przesłonić wizjer palcem.

- Kto tam? - krzyknęła.

Z drugiej strony drzwi dobiegł męski głos.

- To ja, otwieraj te pieprzone drzwi.

Tony Zello.

# Rozdział osiemnasty

Tony Zello stał pod drzwiami Jenny.

Spojrzała na Raya, który zdążył już wstać, rozpoznawszy głos Tony'ego.

Odwróciła się znów do drzwi.

- Spytałam, kto tam?

- Wiesz kto, a teraz otwieraj te pieprzone drzwi - odpowiedział, wściekłym głosem.

- Tylko coś na siebie narzucę i zaraz wracam.

Znowu walenie do drzwi.

- Otwieraj, Jenny.

Przeszła przez pokój, chwyciła Raya za ramię i poprowadziła go krótkim korytarzem do sypialni.

- Zostań tutaj. Pozbędę się go.

- Jak?

Zdjęła szlafrok z haczyka, umieszczonego po wewnętrznej stronie drzwi szafy.

- Zostań tutaj i na miłość boską, siedź cicho.

Tony znowu załomotał w drzwi. Jenny ruszyła w ich kierunku. W połowie drogi zatrzymała się nagle. Wciąż miała na sobie czarne rajstopy i buty.

„To byłoby zbyt ryzykowne - pomyślała - nie wolno mi tracić głowy”.

Zza drzwi sypialni Ray zobaczył, jak Jenny zrzuca buty i ściąga rajstopy, po czym przytyka palec do ust i gestem ręki wygania go z powrotem do pokoju.

Drzwi zatrzęsły się pod pięścią Tony'ego.

Przechodząc obok niskiego stolika znajdującego się przy kanapie, chwyciła bezprzewodowy telefon.

- Czego chcesz, Tony? - spytała.

- Chcę wejść do środka.

Tak cicho, jak się dało, założyła łańcuch na drzwi, po czym spytała:

- Po co?



- Bo muszę z tobą porozmawiać! - krzyknął Tony.

O piątej trzydzieści rano prawie wszyscy mieszkańcy budynku byli jeszcze w łózkach. Sąsiedzi musieli słyszeć jego wrzaski. Potargała ręką włosy, tak żeby wyglądało na to, że dopiero co wstała. Jeszcze jedno spojrzenie w kierunku sypialni - Ray właśnie domykał drzwi. Jenny odsunęła zasuwę, po czym uchyliła drzwi mieszkania. Tony usiłował wepchnąć się do środka, ale jego próba została udaremniona przez łańcuch. Przysunął twarz do szczeliny między drzwiami a ścianą.

- Zdejmij łańcuch.

Nie był sam. Za jego plecami stał Joey, jeden z jego napakowanych koleś.

- Czego chcesz, Tony?

- Chcę wejść.

- Nie mam zamiaru otwierać. Masz coś do powiedzenia, to mów.

Tony wsunął rękę przez szczelinę i próbował dosięgnąć łańcucha.

Jenny zatrzasnęła mu drzwi na palcach.

- Aaa! - Tony popchnął drzwi, tak daleko, jak pozwolił mu łańcuch. -

Co robisz, ty suko!

- Wracam do łóżka. Jeśli masz coś do powiedzenia, lepiej się pośpiesz.

Jego oczy zwęziły się w szparki, ale głos pozostał opanowany.

- Widziałaś się z Shane'em?

Jenny wpatrywała się w niego chwilę, siląc się na minę wyrażającą niedowierzanie w to, że mógł w ogóle zadać tak głupie pytanie.

- Obudziłeś mnie tylko po to, żeby spytać, czy widziałam się z Rayem?

- Odpowiedz na pytanie.

- Nie, nie widziałam się z nim.

- Na pewno? - Tony zerknął jej przez ramię.

Jenny pacnęła się w czoło nasadą dłoni.

- No tak, Tony, masz rację. Zupełnie wyleciało mi z głowy. Ray jest w sypialni. Pieprzyliśmy się od kiedy wróciłam do domu.

- Nie wymądrzaj się albo udławisz się swoimi własnymi zębami.

Położyła rękę na framudze, tuż przy łańcuchu.

- To miły pomysł, Tony, ale chyba nie skorzystam.

Wsunął palec przez drzwi i przesunął koniuszkiem po wierzchu jej dłoni.

- Jakoś wcześniej nigdy nie narzekałaś.

- Pieprz się, Tony - powiedziała Jenny, zmęczonym bezbarwnym głosem.

- Otwórz drzwi - głos Tony'ego złagodniał. - I tak muszę z tobą

porozmawiać.

Potrząsnęła głową.

Tony zerknął przez ramię na Joey'ego, potem z powrotem na Jenny.

- Otwieraj albo je rozwalę - w jego głosie znowu dało się słyszeć gniew.

- To znaczy, rozwali je za ciebie twój chłoptaş. Sam jesteś za dużą ciotą, żeby to zrobić.

Odskoczyła do tyłu, kiedy Tony wcisnął rękę przez szczelinę, próbując ją chwycić.

- Ukręcę ci łeb, ty pieprzona cipo.

Stojąc poza zasięgiem jego rąk, Jenny uniosła do góry telefon.

- Jeśli zaraz stąd nie odejdziesz, zadzwonię po gliny.

- Lepiej otwórz te pieprzone drzwi!

Nadusiła przycisk rozpoczynający rozmowę. Wcisnęła dziewięć,

potem jeden [\[24\]](#). Trzymając palec zawieszony nad jedyнкą, powiedziała:

- Spadasz czy mam nacisnąć?

Tony spiorunował ją wzrokiem, ale cofnął rękę.

- Jeśli wybiorę 911, nawet jeśli się rozłączę, wyślą samochód.

Tony wściekły grzmotnął pięścią w drzwi, po czym ostatni raz przysunął twarz do szpary. Wycelował w Jenny palec, mówiąc:

- Potem się tobą zajmę.

I odszedł po chwili sztywnym krokiem, a Joey podreptał za nim.

Kiedy zamknęła drzwi na zasuwę, z sypialni wyłonił się Ray.

- Miałaś dobry pomysł z tym telefonem.

Podeszła do niego i stanęła blisko.

- Zostawiłeś swój samochód na zewnątrz? - spytała w obawie, że może Tony go widział.

- Przyjechałem autobusem.

Na myśl o autobusowej przejażdżce Raya Shane'a, prawdziwego twardziela i byłego policjanta obyczajówki, Jenny wybuchła śmiechem. Wyobraziła sobie, jak wsiada, wygrzebuje z kieszeni dokładnie tyle, ile kosztuje bilet (bo w autobusach miejskich nie wydawano reszty), po czym wciska się na malutkie siedzenie i jedzie, czekając na swój przystanek. Śmiała się tak mocno, aż rozbolał ją brzuch i łzy napłynęły do oczu. Ray przyglądał się jej przez chwilę, po czym spytał:

- Co cię tak bawi?

Wciąż śmiejąc się i trzymając za brzuch, odpowiedziała:

- Ty w autobusie.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Mieszkam tutaj całe życie i to była moja pierwsza podróż autobusem.

- A gdzie jest twój samochód?

- U mnie. Musiałem szybko stamtąd uciekać.

- Dlaczego nie wezwałeś policji?

Potrząsnął głową.

- Żeby im powiedzieć, że mafia próbuje mnie zabić?

Jenny skinęła głową.

- A czemu nie?

- Jestem tylko jednym z byłych skazańców. Gliniarze nie zrobiliby nic, żeby mi pomóc.

- Więc co zrobiłeś?

- Złapałem autobus i ruszyłem w drogę.

- Cały przemoczony?

- Kierowca uznał pewnie, że jestem kolejnym świrem, który nie ma dokąd pójść - Ray wycisnął dół koszuli. Na podłogę pociekła strużka wody. Jenny nie zauważyła od razu, że jego ubranie było mokre.

- Kiedy autobus zatrzymał się przy Canal Street, wysiadłem i przyszedłem tutaj.

- I przyprowadziłeś ze sobą Tony'ego.

Wzruszył ramionami. Przyglądała mu się długą chwilę, po czym podjęła decyzję.

- Zdejmuj ubranie i wskakuj pod prysznic.

Nie odezwał się ani słowem, ale widziała błysk wdzięczności w jego oczach.

- Wierz mi lub nie, ale wciąż mam trochę twoich ubrań.

↓

- Wierzysz jej? - spytał Joey.

Tony spojrzał na niego.

- Byłaby głupia, gdyby mnie okłamała. Już raz skopałem jej tyłek i ta mała dziwka wie, że znowu mogę to zrobić.

Joey trzymał obie dłonie na kierownicy, jadąc lincolnem wzdłuż Canal Street.

- Dokąd teraz?

- Nie wiem, kurwa - odpowiedział Tony, bardziej sobie niż Joey'emu.

I na tym polegał problem. Nie miał pojęcia, gdzie się udać. Wiedział tylko, że musi dorwać Shane'a. Ale jak? Gdzie on mógł być? Tony nie wiedział, gdzie jeszcze go szukać.

- A u jego rodziny i przyjaciół? Pewnie tam by poszedł, gdyby miał kłopoty - zauważył Joey.

Tony potrząsnął głową.

- Myślałem już o tym. Ale w naszej branży nie wypełnia się formularzy i nie zostawia numerów telefonów ludzi, do których należy dzwonić w nagłych wypadkach.

Joey nie odezwał się już więcej, więc Tony pogрузzył się znowu w medytacji na temat swoich problemów. Myślał o tym, jak miał już Shane'a w garści i pozwolił mu się wymknąć. Zalała go fala wściekłości, walnął więc pięścią w deskę rozdzielczą. Kątem oka dostrzegł, że Joey podskoczył. No właśnie, Joey stanowił kolejny problem. W zasadzie pracował dla Tony'ego, ale każdy w klubie ostatecznie podlegał Vinniemu. Tony zastanawiał się, czy może na Joey'ego liczyć - może poczuje się zobowiązany donieść Vinniemu, że Shane im uciekł. Do tej pory Tony miał Joey'ego zawsze w zasięgu wzroku, więc nie było szansy, żeby Vinnie już wiedział, co się stało. Jeszcze nie. Ale co będzie potem?

Tony rzucił okiem na zegarek. Była szósta rano. Zostało jeszcze trochę czasu, żeby ze wszystkim zrobić porządek. Musi tylko mieć Joey'ego na oku - nie wolno mu korzystać z telefonu - i znaleźć tego fiuta, Shane'a. Nie zaszedł tak daleko tylko po to, żeby pozwolić jakiemuś szemranemu byłemu gliniarzowi wszystko spieprzyć. A przeszedł naprawdę daleką drogę.

Dorastał w dzielnicy Irish Channel z siedmiorgiem rodzeństwa, w jedynej włoskiej rodzinie w sąsiedztwie. Jego ojciec przepracował trzydzieści lat jako hydraulik, ale za ciężko nie harował, bo za bardzo lubił gorzałę. Z powodu braku pieniędzy na katolicką szkołę dzieciaki Zello powędrowały do szkoły publicznej. W całym McDonogh numer 35 były jedynymi białymi dziećmi. Tony musiał walczyć każdego dnia - żeby dostać się do szafki, żeby dostać się na lekcje, żeby wrócić do domu. Kiedy doszedł do dziesiątej klasy, miał już serdecznie dość. Oznajmił więc rodzicom, że odchodzi ze szkoły.

- Akurat! - odpowiedział ojciec, zionąc w twarz Tony'ego cuchnącym alkoholem. - Skończysz szkołę i dostaniesz dobrą pracę.

- Mam już dobrą pracę.

Brwi ojca powędrowały ku górze w teatralnym geście zdziwienia.

- Masz pracę?

- Pracuję dla pana Nicky'ego.

Może i ojciec Tony'ego był biednym białym zapijaczonym śmieciem, ale był uczciwym biednym białym zapijaczonym śmieciem. Znał Nicka,

wiedział, że ma kontakty i że na boku zajmuje się hazardem i lichwą. Ale Nick był też wplątany w wymuszanie haraczy za rzekomą ochronę od firm na całej Saint Claude Avenue.

- Masz się trzymać z dala od Nicka i zostać w szkole! - rozkazał mu ojciec.

Znajdowali się wtedy w kuchni i ojciec właśnie odwrócił się, żeby nalać sobie kolejnego drinka, kiedy Tony oświadczył:

- Nie wracam do szkoły. Pieprzyć tych czarnuchów, pieprzyć szkołę i... ty sam się pieprz!

Prędkość, z jaką poruszył się ojciec, była zaskakująca. Odwrócił się, trzymając w prawej dłoni szklankę, po czym trzasnął nią Tony'ego w bok głowy. Leżąc jak długi na kuchennej podłodze, Tony dotknął głowy ręką i zdał sobie sprawę, że cała pokryta jest krwią. Następnego dnia poszedł do lekarza, gdzie zszyto mu trzycalowy kawałek skóry nad lewym uchem. To wszystko wydarzyło się dwadzieścia pięć lat temu i od tamtej pory nie spotkał się z ojcem ani razu.

Jadąc lincolnem, Tony już prawie widział jak wszystko, na co tak ciężko pracował, rozplywa się z powodu jednego człowieka - Raya Shane'a. Nie miał pojęcia, gdzie Shane może być, nie miał żadnego tropu, gdzie zacząć poszukiwania, a zegar tykał i Vinnie mógł się w końcu dowiedzieć, co się stało. Tony zdecydował się więc na decydujący ruch.

- Hej, Tony, słyszysz?

- Co? - Tony spojrzał na Joey'ego. Pogrążony w myślach, nie usłyszał, co ten wcześniej powiedział.

- Spytałem: dokąd.

Byli już u wyjazdu z Canal Street, przy rzece.

- Skieruj się na przedmieścia, w stronę Tchoupitoulas.

- Dokąd jedziemy?

- Powiem ci, jak dotrzemy na miejsce.

# Rozdział dziewiętnasty

Kiedy Ray wyszedł spod prysznic, Jenny podała mu ubranie, które wygrzebała z szafy w sypialni. Usiadła na brzegu łóżka, a on wciągnął na siebie stare spodnie koloru khaki. Gdy już je zapiął, włożył rękę za pasek, pokazując jej, że są teraz o kilka cali za duże.

- Więzienne jedzenie jest naprawdę gówniane.

Naciągnąwszy niebieską koszulkę polo, stwierdził:

- Nie mogę uwierzyć, że zatrzymałaś to wszystko.

Przez kilka tygodni po jego aresztowaniu Jenny Porter zasypiała każdej nocy, płacząc w samotności z twarzą wtuloną w jedną z jego koszul. Po jakimś czasie koszule straciły zapach, więc uprała je i powiesiła w szafie, a w końcu o nich zapomniała. Podświadomie wciąż liczyła na to, że do niej wróci. Ale Ray nie musiał o tym wiedzieć. Uśmiechnęła się do niego.

- Na cele dobroczynne i tak by tego nie wzięli.

Wskazał na szafę.

- Może jakimś cudem masz tu jakieś moje stare buty?

Potrząsnęła głową.

- Rozpalę w kominku i spróbujemy je wysuszyć.

Ulżyło jej, kiedy wyszli z sypialni - przywoływała za dużo wspomnień, tych dobrych i tych złych. W pokoju przycupnęła przed niewielkim kominkiem i zapaliła długą zapałkę. Odkręciła kurek gazowy, a kiedy usłyszała syk, przyłożyła zapałkę do palnika, czekając, aż gaz się zapali.

Ray podszedł do niej na bosaka i położył buty i skarpetki przed ceglany paleniskiem.

Stojący na kominku zegar wskazywał szóstą trzydzieści.

- Jesteś głodny? - spytała Jenny.

- Wręcz umieram z głodu.

- Mogą być jajka?

Kiwnął głową.

- Świetnie.

Niespodziewanie do głowy napłynęły jej obrazy z przeszłości, z tych dawnych, lepszych czasów: jest późne popołudnie, oboje szykują się do pracy, Ray w obyczajówce, ona w barze. Stoi w kuchni boso, pichcąc coś, żeby mógł zjeść, zanim wyjdzie. A potem całuje go na pożegnanie, mówiąc mu, żeby na siebie uważał.

Jenny rozbiła na patelni cztery jajka, potem dorzuciła jeszcze jedno, przypominając sobie, jak Ray zeszczupełił w więzieniu. Usmażyła jajecznicę, zrobiła grzanki i nalała soku pomarańczowego. Po posiłku Ray pomógł jej posprzątać. To było coś nowego. Kiedyś jedynie pochłaniał jedzenie, po czym w pośpiechu wychodził z domu, zostawiając ją z całym bałaganem, który musiała sprzątnąć przed pójściem do pracy.

Gdy uprzątnęli kuchnię była siódma rano, a Jenny padała z nóg. Jakby czytając w jej myślach, Ray stłumił ziewnięcie, pytając:

- Mogę przespać się na kanapie? Czuję, że zaraz zasnę na stojąco.

Oczywiście, że mógł. Miała już nawet zaproponować, żeby położył się na drugiej połowie łóżka. Kiedyś każdą noc spędzali w nim razem. Oboje potrzebowali snu, więc chyba nie stanowiło to żadnego problemu? Ale w końcu nic nie powiedziała, obawiając się, że mogłby odmówić. Mogłby odmówić dlatego, że była dziwką albo dlatego, że bałby się coś złapać, albo z obydwu powodów. Jenny pomyślała, że nie zniosłaby, gdyby powiedział „nie”, więc nie odezwała się na ten temat ani słowem.

Zamiast tego wyciągnęła dodatkową poduszkę i koc z szafki w korytarzu i rzuciła mu je. Ray położył poduszkę na poręczy kanapy i właśnie rozkładał koc, gdy Jenny spytała:

- Zastanawiałeś się kiedyś, co by z nami teraz było, gdybyśmy tak bardzo nie spieprzyli naszego życia?

Nie podnosząc na nią wzroku, Ray wpatrywał się w koc, który rozścielał na kanapie.

Skrepowana jego milczeniem, uciekła się do wymuszonego uśmiechu, mówiąc:

- A zresztą, nieważne. Ludzie tacy jak my zawsze coś muszą schrzanić.

Wyprostował się, świdrując ją przenikliwym wzrokiem. Próbowwała spojrzeć mu w oczy, ale poddała się po paru sekundach. W końcu odezwał się cicho, niemal szeptem:

- Myślę o tym każdego dnia.

Ścisnęło ją w żołądku i w gardle. Musiała przełknąć ślinę parę razy, zanim była w stanie odpowiedzieć:

- Ja też.

- Powiedziałaś wcześniej, że ludzie mogą się zmienić. Naprawdę w to

wierzysz?

Głos uwiądnął jej w gardle, skinęła więc tylko głową.

- Jak? - spytał.

Stała po drugiej stronie kanapy, patrząc mu prosto w oczy.

- Wydaje mi się, że najpierw musisz przyznać, że to, co się stało to twoja wina, a potem musisz postanowić się zmienić.

Zobaczyła, że kręci głową, więc nie dając mu szansy, żeby jej przerwał, dodała:

- A potem musisz to zrobić. Musisz się zmienić. Po prostu kończysz z tym, co robiłeś dotychczas.

Ray odwrócił wzrok.

- Gdyby to było takie proste...

Usiadł na brzegu kanapy, odwrócony do Jenny plecami.

Podeszła i usiadła obok, ale nie tuż przy nim. Nie chciała go osaczać.

- Nie powiedziałam, że to proste.

Opierając łokcie na kolanach, Ray pochylił się do przodu.

- Jednej nocy, kiedy dopiero co wstąpiłem do służby w policji, świeżo po akademii, razem z partnerem - gliniarzem odpowiedzialnym za trening i nadzorowanie mojej pracy - dostaliśmy wezwanie. Strzelanina przy North Galvez w trzecim dystrykcie. Dojeżdżamy na miejsce i widzę, że na ulicy leży człowiek, właściwie w połowie na ulicy, a w połowie na trawniku. Podziurawiony jak diabli, może sześć, siedem dziur w klatce piersiowej i jedna w twarzy. Cały tył głowy miał rozwalony. Około dziesięciu stóp dalej stoi jakaś kobieta, krzycząc i płacząc. Okazuje się, że ofiara to jej mąż. Potem dowiedzieliśmy się, że to jakiś gnojek, który wisiał komuś forszę za narkotyki, ale w tamtej chwili nie mieliśmy o tym pojęcia. Kobieta wskazuje palcem na drugą stronę ulicy, krzycząc, że facet, który zabił jej męża, pobiegł gdzieś między domy. Mój partner - wielki, gruby koleś, który przepracował w policji dwadzieścia lat i nie byłby w stanie przebiec nawet dziesięciu stóp - mówi mi, że mam ruszyć za tym facetem, podczas gdy on zadzwoni na posterunek i zabezpieczy miejsce zbrodni. Więc ruszam, w jednej ręce trzymając latarkę, w drugiej pistolet. Skradam się ciemną alejką, gdy nagle jakiś wielki pies zaczyna ujadać jak szalony, słyszę, jak rzuca się z pazurami na ogrodzenie z siatki drucianej. Po chwili rozlega się strzał. Schylam się i kieruję na tył alejki światło latarki i pistolet. Widzę faceta usiłującego wejść przez płot na podwórko. Na ziemi, po drugiej stronie, leży pies. Facet zastrzelił go, a teraz próbuje przejść przez ogrodzenie. Strzelam do niego, ale moja ręka trzęsie się tak mocno, że pudłuję. Ale to nie ma znaczenia, bo facet słyszy



strzał, rzuca na ziemię pistolet, podnosi ręce do góry i poddaje się. Partner krzyczy do mnie z ulicy, ale nie podchodzi, bo się boi. Zakładam zatrzymanemu kajdanki, podnoszę jego broń, i prowadzę do samochodu.

Ray milczał kilka chwil, z oczyma wbitymi w podłogę.

- Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze jak wtedy.

Wyciągnęła rękę w jego kierunku i położyła mu ją na kolanie. Nie było w tym żadnego podtekstu erotycznego, po prostu chciała dodać mu otuchy.

- Dlaczego opowiedziałeś mi tę historię, Ray?

Odetchnął głęboko.

- Wtedy wszystko było proste. To ja byłem dobrym facetem. A mężczyzna w alejce był tym złym. Tydzień później razem z partnerem odebraliśmy zgłoszenie o włamaniu do domu: właściciel wyszedł pobiegać, a w międzyczasie ktoś się włamał. Docieramy na miejsce. Właściciel zostaje na zewnątrz, a my wchodzimy do środka, żeby upewnić się, że sprawcy już tam nie ma. Na górze w sypialni mój partner znajduje portfel właściciela. Wychodzi na to, że włamywacza w ogóle nie było na piętrze, nic nie zostało przestawione, nie ma śladu, że pokoje ktoś przetrząsnął. Mój partner wsuwa portfel do kieszeni. Pod koniec służby wciska mi sześćdziesiąt dolców, mówiąc, że to moja działka.

- I co zrobiłeś?

Spojrzał na nią.

- Schowałem forszę do kieszeni.

- Wziąłeś te pieniądze? - zmarszczyła brwi.

Ray wzruszył ramionami.

- Był moim opiekunem. Pisał oceny mojej pracy. W drodze do domu tamtej nocy czułem się źle z tym, co się stało. Zatrzymałem się właśnie na światłach przy Tulane i Jeff Davis. Nagle widzę menela siedzącego na trawniku przy skrzyżowaniu. Trzymał kawałek tektury przyklejony do sznurka luźno owiniętego wokół jego szyi. Był na nim napis „pomóż weteranowi z Wietnamu” albo „praca za jedzenie” czy coś w tym rodzaju. Opuściłem szybę i rzuciłem mu zwitek banknotów.

Jenny położyła mu rękę na plecach i pogładziła je.

- Myślisz poważnie o tej zmianie?

- Teraz jest już za późno - odpowiedział.

- Myślisz o niej poważnie? - powtórzyła pytanie.

Cisza. Po chwili skinął głową.

- Chcę tego.

- Chcieć to za mało. Musisz to po prostu zrobić.

Łatwo powiedzieć. Tkwiła w tej samej pułapce, co Ray. Chciała się zmienić, chciała tego do bólu, ale nie była wystarczająco silna. Aż do teraz. Nigdy nie powiedziała tego na głos, tak jak dzisiaj. Słyszając swoje własne słowa odbijające się od Raya i wracające do niej, wiedziała, że jest w stanie to zrobić i może pomóc również jemu.

- Tak po prostu? - Ray pstryknął palcami.

Jenny zabrała rękę i potrząsnęła głową, czując, że staje się coraz silniejsza.

- Mówiłam, że co musisz najpierw zrobić?

Ray nie odpowiedział.

- Musisz przyznać, że to twoja wina.

- Że co jest moją winą?

- Wszystko.

- Wszystko jest moją winą? - spytał lekko rozdrażniony.

Nie zamierzała ustąpić, nie zamierzała mu odpuścić. To musiało zboleć, ale było konieczne.

- To, że stałeś się skorumpowanym gliniarzem i złodziejem było twoją winą, Ray. Wyłącznie twoją.

Zaczął się podnosić, ale chwyciła go za ramię i przytrzymała.

- I to również moja wina, że jestem dziwką.

Ray odwrócił twarz w jej stronę.

- Przynajmniej miałaś powód.

Jenny potrząsnęła głową.

- Choroba mojej mamy to żaden powód. Mogłam zrobić coś innego, ale zdecydowałam się zostać dziwką i pieprzyć się za pieniądze.

Czuła, jak łzy napływają jej do oczu i spływają po policzkach.

- A teraz każdy, kogo na to stać, może wpychać we mnie swojego fiuta, wpychać go, gdzie tylko chce.

- Zamknij się - Ray zacisnął powieki, jakby zmagał się z bólem.

- Nie ma co się oszukiwać - mówiła dalej. - Ty przynajmniej zapłaciłeś za to, co zrobiłeś. A ja wciąż to robię i jestem zwykłą...

Odwrócił się do niej gwałtownie, chwytając Jenny rękoma za ramiona i potrząsając nią.

- Przestań!

Ale nie przestała.

- Za to, co zrobiliśmy, możemy obwiniać tylko samych siebie. Ale żadne z nas nie musi powtarzać więcej tych samych błędów - wzięła głęboki oddech. - Kończę z Domem. Zrezygnuję ze wszystkiego, z czego będzie trzeba, z mieszkania, samochodu, ale kończę z tym.

Ray pochylił się i przytulił ją.

- Ja też.

۵۱

Mieli jeszcze mnóstwo czasu, więc Zello kazał Joey'emu zatrzymać się przy Rickabono's Cafe na Panola Street. Tony bez pośpiechu pochłonął duże śniadanie: dwa ogromne gofry, szklankę soku i trzy filiżanki kawy. Z początku Joey próbował zadawać pytania, ale Tony kazał mu się zamknąć i jeść.

Mięśniak kręcił nosem na menu - za dużo tłuszczu, za dużo węglowodanów i za mało białka. Mimo to, pożarł stos naleśników, utopiwszy je uprzednio w morzu syropu klonowego, wystarczająco głębokim, by utrzymać małą łódkę. Następnie rozprawił się z końską porcją jajecznicy.

Po śniadaniu ruszyli w kierunku przedmieścia. Joey zaparkował samochód zgodnie z instrukcjami Tony'ego, po czym spytał zaskoczony, wskazując na budynek, przed którym się znaleźli.

- To tutaj szef ma swoje biuro?

Tony przytaknął.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł? - w jego głosie pobrzmiwała nutka nadziei.

- Masz siedzieć w pieprzonym samochodzie - fuknął Tony. - Nigdzie się stąd nie ruszaj, do nikogo nie odzywaj.

Mięśniak kiwnął głową.

- Gdzie twoja komórka? - zapytał Tony.

- Co?

- Twoja komórka, chcę ją zobaczyć - zażądał Tony. Nie chciał, żeby Joey doniósł o wszystkim Vinniemu, jak tylko wyjdzie z samochodu.

Kiedy tylko Joey wyciągnął telefon z kieszeni, Tony wyrwał mu go z ręki.

- Hej!

Tony spojrział na niego ze złością.

- Co: hej?

Wzruszając ramionami, Joey odpowiedział:

- Nic. Możesz go pożyczyć, jeśli jest ci potrzebny.

- Dzięki - rzucił Tony z przekąsem.

Wewnątrz bladoniebieskiego budynku Tony zamierzał przemknąć niepostrzeżenie obok Connie, Karen czy jak jej tam i pójść prosto do Starego. Dziewczyna zatrzymała go, mówiąc, że nie był umówiony na

spotkanie, a szef nie lubi niespodziewanych wizyt.

Tony usiadł więc na krześle przy recepcji, naprzeciwko Connie, Karen czy jak jej tam. Podniecił się, wyobrażając ją sobie nagą, przechyloną przez biurko. Po piętnastu minutach sekretarka wpuściła go do szefa.

W biurze Starego usiadł w tym samym miejscu, co poprzednio. Na twarzy Carlosa Messiny malowało się zniecierpliwienie.

- Dziwi mnie, że znowu cię widzę.

Co oznaczało: „lepiej, żeby to było coś ważnego”.

- Wspomniał pan, żebym miał na wszystko oko i dał znać, co się dzieje - powiedział Tony, denerwując się bardziej, niż przewidywał.

- Od tego mam telefon.

Tony wziął głęboki oddech. Miał nadzieję, że nie popełnia właśnie ogromnego błędu.

- Jest coś, o czym chyba powinienem powiedzieć panu osobiście.

Gestem ręki Carlos Messina nakazał Tony'emu się pospieszyć.

- To Ray Shane był wtyczką. I on zorganizował to wszystko.

Twarz Starego ani drgnęła, ale coś nagle zmieniło się w jego oczach. Emanował z nich teraz taki chłód, że Tony'ego aż przeszły ciarki.

- Jesteś tego pewny?

Tony zwilżył językiem usta. Zaschło mu w gardle.

- Mam tę informację od gliniarza.

- Jakiś gliniarz powiedział ci, że to Ray zabił mojego bratanka?

Tony powtórzył, to co usłyszał od LaGrange'a. Kiedy skończył, Stary milczał przez chwilę. W końcu, powiedział:

- A gliniarz, od którego to usłyszałeś, jest godny zaufania? Znamy go?

Tony skinął głową. Oto nadszedł dla niego decydujący moment, po którym albo poszybuje w górę, albo wpędzi się gadaniem do płytkiego grobu. A może wyrzucą jego ciało do rzeki albo jeszcze gorzej - do bagna, na pożarcie aligatorom.

- Ale Shane nie jest wystarczająco bystry, żeby samemu coś takiego nakręcić.

Carlos Messina odchylił się do tyłu i wbił wzrok w sufit. Tony nie był do końca pewny, ale wydawało mu się, że mężczyzna westchnął.

Po upływie około minuty Stary odparł:

- O czym ty mówisz?

- Shane'owi ktoś pomógł.

Messina pochylił się nad biurkiem, oparł na łokciach swoje wielkie cielsko i spojrział Tony'emu prosto w oczy. Jego twarz przypominała kamienną maskę.

- Wyduś to w końcu z siebie - warknął.

Tony żałował, że nie miał przy sobie pistoletu - czułby się wtedy lepiej. Zostawił go w samochodzie, bo na spotkanie z szefem nie wolno było przynosić broni. To było wbrew regułom - tak najczęściej mordowano szefów. Tony przełknął z trudem ślinę, po czym odpowiedział:

- Myślę, że pański brat mu pomoże.

Oczy Starego zapłonęły żywym ogniem.

- Co powiedziałaś?

Żołądek podskoczył Tony'emu do gardła.

- Myślę... myślę, że pański brat i Shane razem w tym siedzą.

Messina zdjął łokcie z blatu biurka i znów oparł się na siedzeniu fotela.

- Chcesz powiedzieć, że mój brat zamordował swojego własnego syna?

Tony zaprzeczył ruchem głowy.

- Myślę, że to był wypadek.

- Mój brat kochał Petera. Świata poza nim nie widział. Nigdy by go nie skrzywdził.

- Najwyraźniej kogoś poniosło.

Messina przeciągnął rękoma po twarzy. Kiedy odezwał się, w jego głosie pobrzmiwał smutek:

- Ja i brat nigdy nie byliśmy blisko. Pozwoliłem mu prowadzić Dom i trzymałem się na dystans.

Słyszając z ust Carlosa sekrety rodzinne, Tony poczuł się śmieiej. Stary może wypaplać coś przydatnego.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo tak naprawdę nie bardzo lubię Vinniego, zawsze był pieprzonym kretyńcem. Ale tego cholernego przygłupa Petera szczerze kochałem. Kochałem go, jakby był moim własnym synem.

Tony zachował poważną twarz, ale śmiał się całym wnętrzem.

- Jest coś jeszcze, o czym chyba powinienem powiedzieć.

- Co? - huknął Carlos.

- Vinnie - Tony czuł się już na tyle pewnie, że zaczął używać imienia wyrodnego brata - kazał mi znaleźć Shane'a i się go pozbyć.

Pięść Carlosa grzmotnęła w stół tak głośno, że Tony podskoczył.

- Wszyscy, łącznie z moim skretyniałym bratem wiedzą, że nikogo się nie likwiduje bez mojego pozwolenia!

Pewność Tony'ego rosła proporcjonalnie do powiększającej się przepaści między braćmi.

- Dlatego właśnie czułem, że muszę przyjść i zobaczyć się z panem.

Ale Carlos już go nawet nie słuchał.

- Pieprzony sukinsyn!

Tony musiał sprowadzić uwagę szefa na właściwy tor.

- Panie Messina, co chce pan abym teraz zrobił?

Messina ocknął się z zadumy i spojrzał na Tony'ego.

- Co? - skinął głową. - Tak, jest coś, co możesz zrobić. Możesz pomóc posprzątać ten bajzel.

Tony widział już, jak wspina się na kolejny szczebel drabiny.

- Proszę tylko powiedzieć co, a ja zaraz to zrobię.

- Wiesz, gdzie jest teraz Shane?

Pytanie było podchwytliwe. Tony nie mógł przecież powiedzieć, że miał już Shane'a w garści, ale pozwolił mu uciec. Nie mógł też skłamać szefowi w żywe oczy. Nie to, że miał coś przeciwko łganiu. Nie chciał po prostu, by go na kłamstwie złapano, bo okłamywanie szefa groziło śmiercią.

- Mogę go znaleźć - powiedział.

Carlos przytaknął.

- A kiedy już go znajdziesz, przyprowadź go do mnie. Nie, nie, nie - machnął ręką. - Będzie lepiej, jeśli gdzieś go ukryjesz. W jakimś odizolowanym miejscu. A wtedy po mnie zadzwonisz. Nie masz go zabijać. Zrozumiano? - ostrzegł, unosząc palec do góry.

- Tak, proszę pana.

- Chcę z nim najpierw porozmawiać.

Tony skinął głową, choć była to ostatnia rzecz, jakiej chciał.

- A co z Vinniem?

- A co ma być?

- Jeśli nie sprzątnę Shane'a, jak mi rozkazał, zaczniesz coś podejrzewać.

Carlos przeszył go lodowatym wzrokiem.

- Moim pieprzonym bratem się nie zajmuj. Ja się nim zajmę.



Kiedy Jenny Porter się obudziła, była już trzecia po południu. Leżała na kanapie w ramionach Raya, przytulona plecami do jego piersi. Ray wciąż spał - czuła na karku jego miarowy oddech.

Siedzieli na kanapie do dziewiątej nad ranem, głównie planując, co każde z nich zmieni w swoim życiu. Rozmawiali też trochę o przeszłości, tej spędzonej oddzielnie i tej, którą przeżyli razem. Tak naprawdę tę wspólną przeszłość omówili tylko pobieżnie. Mieli przecież zacząć

wszystko od początku, a nie rozpamiętywać dawne błędy. Gadali do upadłego. Jenny chciało się spać, ale nie chciała być sama, nie chciała naruszyć tej bliskości między nimi. Położyli się więc razem na kanapie, głowa przy głowie na poduszce. Nie wiadomo, kto wykonał pierwszy krok, ale zaczęli się kochać.

Na początku Jenny towarzyszyły strach i niepewność. Drżała z obawy, że w każdej chwili Ray może sobie przypomnieć, jak zarabiała na życie i odtrącić ją. Ale jego namiętność tylko rosła, rozpalając i w niej coraz większy płomień. W końcu obawy ulotniły się i kochali się do utraty tchu, a potem zasnęli wtuleni w siebie.

Spała twardo jak kamień, ale teraz po przebudzeniu chciało jej się siku. Leżała pod jednym z ramion Raya, podniosła je więc tak delikatnie, jak się dało, zsunęła ostrożnie z kanapy i na czubkach palców podreptała do łazienki. Kiedy wróciła, narzuciwszy szlafrok na nagie ciało, Ray już nie spał.

- Dawno wstałaś? - spytał tonem tak neutralnym, że Jenny nie była w stanie odgadnąć, o czym myśli. Nie miała pojęcia, czy cieszy się z powodu tego, co między nimi zaszło, czy jest wkurzony.

- Kilka minut temu - odpowiedziała. - Obudził mnie mój pęcherz. Jak się spało?

Przetarł rękoma oczy.

- Świetnie.

- Wciąż jesteś zmęczony? Możesz przespać się w sypialni.

Podniósł się nagi i przeciągnął.

- Nie, w porządku. Muszę wymyślić, co mam teraz zrobić.

- Jesteś głodny?

Przytaknął, z szerokim uśmiechem na ustach.

- Jak wilk.

- Ja też - dodała Jenny, czując jak ogarniają uczucie ulgi.



- Nie możesz tu zostać - powiedziała Jenny do Raya. Siedzieli już ubrani przy stole, jedząc kanapki z wędliną i popijając czekoladowym mlekiem.

Ray posłał jej dziwne spojrzenie.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

Uświadamiając sobie, jak to mogło zabrzmieć, dodała:

- Nie, nie chodzi mi o mieszkanie. Możesz tutaj mieszkać, jak długo będziesz chciał. Mówię o Nowym Orleanie. Musisz wyjechać. Za dużo

złego się tutaj wydarzyło.

Przełknął ostatni kęs kanapki, po czym spytał:

- A gdzie miałbym pojechać?

- Nie wiem. Strasznie mi się podobało w Kalifornii. Może właśnie tam?

Chciała, żeby wyjechali razem, ale wołała, żeby ta propozycja padła z jego ust. Ray wzruszył tylko ramionami:

- No nie wiem.

- Jeśli chcesz zmienić swoje życie, musisz wyrwać się z tego miasta.

- Nie było mnie tutaj przez prawie pięć lat.

- I widzisz, co się stało, kiedy wróciłeś - podniosła głos. - Znalazłeś się dokładnie w tym samym punkcie, co pięć lat temu. To przez to miasto - stuknęła dłonią w blat stołu. - Rodzina Messinów wciąga cię i nie pozwala odejść.

Zdała sobie sprawę, że mówi o sobie samej. Musiała się stąd uwolnić, z Rayem czy bez niego.

- Potrzebowałem roboty i dostałem ją u nich - odparł. - Nie można powiedzieć, że miałem w czym wybierać.

Znowu znosiło ich w kierunku przeszłości.

- Mogłeś znaleźć normalną pracę. Cokolwiek, byle nie z nimi.

- Ale ja już nie jestem z nimi, przynajmniej nie w takim stopniu jak kiedyś. Wyrzucam tylko z baru facetów, którzy za dużo wypili albo robią się brutalni wobec...

- Dziwek - dokończyła Jenny.

- Brutalni wobec dziewczyn.

- Musisz wyjechać, Ray i nie oglądać się za siebie.

Potrząsnął głową.

- Nie wyjadę, dopóki tego wszystkiego nie załatwię.

- Dlaczego?

- Bracia Messina mają wielu przyjaciół - odparł. - Jeśli uważają, że miałem cokolwiek wspólnego z tym, co się stało, zwłaszcza z zabiciem Petera, znajdą mnie. I nie będzie miało znaczenia, gdzie pójdę.

- Więc co zamierzasz zrobić?

Milczał przez chwilę, po czym odezwał się:

- Będę potrzebował twojej pomocy, Jenny.

Ogarnął ją strach, że żadne z nich nigdy nie opuści tego miasta żywe.

- Co mam zrobić?

- Muszę tutaj zostać kilka dni.

Skinęła głową.



- I chciałbym pożyczyć twój samochód.  
- Zgoda.  
- Mówiłaś wtedy poważnie?  
- Powiedziałam wiele rzeczy. Zresztą ty też. I każde słowo było szczerze.

- Chodzi mi o to, że nie wrócisz już do Domu.  
- Nie wrócę, już nigdy - potwierdziła.  
- Więc co zrobisz?  
- Wyprowadzę się z Nowego Orleanu.  
- Dokąd?  
- Może wrócę do Kalifornii. Pogoda jest tam cudowna. I gdybyś tylko widział te plaże! - mieszkała tam jedynie przez rok, ale to było wspaniałe dwanaście miesięcy. Pracowała w klubie fitness. Prowadziła zajęcia aerobiku dla podstarzałych pań i dawała lekcje pływania dzieciakom. Jenny pragnęła z całego serca usłyszeć z ust Raya: „Tak, Kalifornia to niezły pomysł. Może pojedziemy tam razem?”.

Ale Ray nic takiego nie powiedział. Oznajmił tylko, że musi zadzwonić do Charliego Liuzzy.

- Oszalałeś? - zdziwiła się Jenny.  
- Powiedział, że mogę do niego zadzwonić, jeśli będę czegoś potrzebował - wyjaśnił. - Wygląda na to, że właśnie nadszedł ten moment.

- To morderca. Jeśli Tony czy Vinnie, albo nawet sam Carlos naprawdę będą chcieli twojej śmierci, zlecą to właśnie Charliemu.

- Nie wydaje mi się - zaprzeczył Ray.  
- On jest jednym z nich, a ty nie.  
- Rozmawiałem z nim parę dni temu. Jest w porządku.

Wstała od stołu i poszła do kuchni, odnosząc tylko swój talerz i szklanę.

- Nie pozwolę, żebyś do niego dzwonił z mojego telefonu.

Ray podniósł się. Spojrzał na swój mokry telefon, leżący na niewielkim kontuarze, oddzielającym kuchnię od wnęki jadalnej.

- Zadzwonię z automatu.

Nie sprzątnąwszy swojego talerza ze stołu, udał się w kierunku drzwi. Jenny spojrzała na niego:

- Ray, nie dzwoń do niego. Jedźmy stąd. Jedźmy teraz - położyła swoje naczynia na blacie kuchennym. - Mam kartę kredytową.

Idźmy do samochodu i jedźmy stąd.

Trzymając rękę na klamce, Ray obrócił się i popatrzył na nią.

- Będziesz tutaj, kiedy wrócę?

Była przerażona. Bała się braci Messinów, bała się o Raya, bała się, co Tony mógłby jej zrobić, gdyby dowiedział się, że go okłamała. Wiedziała z doświadczenia, że potrafi być bardzo brutalny.

Ale najbardziej na świecie teraz, kiedy odzyskała Raya, bała się, że znowu go straci.

- Będę - przytaknęła.

Ray wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Jenny wybuchła płaczem.

## Rozdział dwudziesty

- Wyglądasz jak kupa gówna - oznajmił Charlie Królik Liuzza.

- I tak też się czuję - odpowiedział Ray.

Siedzieli obaj przy stoliku w głębi Hobnobber's, popularnego wśród biznesmenów baru, znajdującego się przy Canal Street, naprzeciwko French Quarter. Ray miał nadzieję, że jest to jedno z tych miejsc, w którym mafia nie bywa.

Królik oznajmił, że po telefonie Raya obdzwonił paru zaufanych facetów, którzy pracowali bezpośrednio dla Starego.

- Wpakowałeś się w niezłe szambo.

Dla Raya nie była to żadna nowina. Nie wiedział tylko dlaczego.

- O co konkretnie chodzi?

- Według tego, co mówi Tony, Vinnie kazał cię sprzątnąć.

- Co takiego?

- Myślisz, że to ty nakręciłeś ten napad i zabiłeś jego syna.

- Co to za bzdury!

Charlie uniósł rękę.

- Nie podnoś głosu.

Ray skinął głową.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - powiedział, opanowując się. - Jakiś facet z tatuażem na ręku przystawił mi spluwę do głowy. I tak właśnie dowiedziałem się o napadzie.

- Ja ci wierzę. Wiem, że lojalny z ciebie facet. Ale okazuje się, że masz jeszcze większe kłopoty.

Zdezorientowany, Ray spytał:

- Większe niż to, że Vinnie i Tony próbują mnie zabić?

- No - przytaknął Charlie.

Facet naprawdę wiedział, jak budować napięcie.

- Może być coś jeszcze gorszego?

- Stary też jest w to zaangażowany.

Ray poczuł, jak serce podskoczyło mu do gardła. Jenny miała rację. Gdyby Stary chciał go zabić, kogo jak nie Królika wysłałby do tej roboty?

Musiał mieć myśli wypisane na twarzy, bo Charlie zapewnił go:

- Nie martw się, chłopcze. Nie przyszedłem tutaj, żeby cię sprzątnąć.
- Dlaczego nie? - wydusił Ray przez ściśnięte gardło.

- Zabrałem żonę na zakupy do jednego z tych centrów handlowych w Missisipi. Wpadliśmy też do kasyna na wybrzeżu. Ona lubi grać na automatach. Zagrałem w blackjaka i wyszedłem stamtąd bogatszy o czternaście stów. Nie było mnie dwa dni. Z nikim się nie kontaktowałem. A z tego, co wiem, przed moim wyjazdem pomagałeś Vinniemu szukać tej ferajny, która nas obrabowała.

- Dzięki.

- Ale jeśli Carlos powie mi, że jest inaczej - Charlie gwałtownie poruszył palcem w przód i tył - następnym razem, kiedy się spotkamy, będzie inaczej.

Ray skinął właśnie głową, gdy z szafy grającej dobiegły dźwięki I shot the sheriff [\[25\]](#) w wersji Erica Claptona. Piosenka kojarzyła mu się z więzieniem.

- Ten kawałek to był przebój na moim skrzydle - powiedział. - Faceci, którzy mieli magnetofony, puszczały go cały czas.

Charlie powiedział, kręcąc głową:

- Pieprzone magnetofony w więzieniu. Niedługo może jeszcze otworzą burdele na dziedzińcu.

Ray wsłuchiwał się w dobrze mu znane słowa piosenki. Zawsze, kiedy je słyszał, zastanawiało go jedno i to samo. Upił łyk Jamesona, po czym spytał:

- Zastanawiałeś się kiedyś, kto zabił zastępcę?
- Co?

Ray pomachał palcem w powietrzu, jakby wskazując unoszące się niewidzialne nuty.

- Ta piosenka to stary kawałek Boba Marleya Zastrzeliłem szeryfa, tutaj w wersji Claptona. Ciekawi mnie tylko, kto zastrzelił zastępcę.

Charlie przekrzywił głową, słuchając uważnie słów.

- O czym ty mówisz?
- Facet w piosence mówi: „Zastrzeliłem szeryfa, ale nie zastrzeliłem zastępcy”. Jeśli to prawda, to kto zabił tego pieprzonego zastępcę?

Charlie skinął głową.

- Nikt nie zabił zastępcy. Wydaje mi się, że facet mówi, że zastrzelił szeryfa i mógł też zastrzelić zastępcę, ale tego nie zrobił.

- Nie - odpowiedział Ray, przypominając sobie wszystkie kłótnie, w

które wdał się w Terre Haute z powodu tej samej kwestii. - Jeśli wsłuchasz się w słowa, okazuje się, że zastępca też nie żyje. Facet mówi: „Chcę skazać mnie za zabicie zastępcy”. Więc ktoś go zabił. Tyle, że nie on...

- Jaki on?

- Facet w piosence.

- Eric Clapton?

- Nie, on ją tylko śpiewa. Mówię o facecie w piosence, tym którego historię słyszymy.

- No więc nie zabił zastępcy i co z tego? - spytał Charlie, zdezorientowany.

- Skoro przyznał się do zabicia szeryfa, dlaczego nie przyznał się też do zabicia zastępcy? Wydaje mi się, że to szeryf go zabił.

- Szeryf zabił własnego zastępcę? - w głosie Charliego pobrzmiwał sceptycyzm.

Ray potwierdził.

- Facet mówi o sianiu nasion. Piosenkę napisał Bob Marley. Zdecydowanie jest tu nawiązanie do marihuany. Facet pewnie dawał szeryfowi łapówkę, a zastępca ich nakrył. Albo coś takiego.

Charlie dopił drinka, po czym powiedział:

- Dużo nad tym myślałeś, co?

- W więzieniu nie było za dużo do roboty poza myśleniem.

- Ale wiesz, to nie są pierwsze twoje kłopoty z nami.

- Mówisz o moim aresztowaniu?

- Nie, o tym co zdarzyło się później.

- Czyli o czym?

Charlie, mistrz kreowania napięcia, zamilkł na moment i gestem poprosił kelnerkę o kolejną rundę drinków. Dopiero jak je przyniosła i odeszła, odezwał się znowu.

- To było zaraz po tym, jak przenieśli cię z Orleans do więzienia w Saint Bernard. Byłem na spotkaniu, na którym szef obgadywał plan zlecenia komuś z wewnątrz, żeby cię sprzątnął.

Serce Raya zaczęło łomotać jak oszalałe.

- Kiedy mówisz szef, chodzi o...

Charlie potwierdził domysły Raya.

- Głównego bossa - upił łyk szkockiej. - Bał się, że dogadasz się z federalnymi. Nie mieliśmy nikogo w Saint Bernard, więc nie byłoby łatwo kropnąć tam ciebie. Poradziłem mu, żeby się wstrzymał, zobaczył, co zrobisz - Charlie wzruszył ramionami. I okazało się, że postąpiłeś

właściwie.

Była jedna rzecz, którą Ray musiał wiedzieć.

- Dlaczego stanąłeś w mojej obronie? Nawet mnie przecież nie znałeś.

Charlie odetchnął głęboko i pociągnął łyk szkockiej.

- Ile ty masz lat? Około czterdziestki?

- Czterdzieści jeden.

- Mój syn byłby teraz mniej więcej w twoim wieku. Przystojny chłopak, ale strasznie uparty. Poród był dla Jean, mojej żony, tak ciężki, że lekarz powiedział, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci i miał rację. Pewnie dlatego rozpieściliśmy trochę naszego dzieciaka. Wychowałem się w Gertown, które wtedy było zamieszkane w połowie przez Włochów, a w połowie przez Irlandczyków. Jako dorastający chłopak miałem wybór: albo zostać gliną, albo kanciarzem. Większość irlandzkich dzieciaków została gliniarzami, a większość z nas kanciarzami. A ty, gdzie chodziłeś do szkoły?

- Holy Cross.

- Skończyłeś studia?

Ray zaprzeczył ruchem głowy.

- Zrobiłem tylko dwa lata.

- Razem z Jean bardzo chcieliśmy, żeby nasz syn skończył studia, żeby miał lepszy wybór niż tylko bycie gliniarzem albo kanciarzem - bez urazy.

Ray uśmiechnął się.

- W porządku.

- Był bystrym chłopakiem, znacznie bardziej niż jego staruszek, więc kiedy nadszedł odpowiedni czas, kupiłem mu nowy samochód i posłałem na studia.

Charlie pomieszał drinka palcem, po czym upił kolejny łyk.

- To było dwadzieścia lat temu. Był na ostatnim roku Notre Dame, wracał do domu na Boże Narodzenie. Wpadł w poślizg na jezdni pokrytej gołoledzią i spadł z nasypu. Policja mówiła, że samochód został tylko lekko uszkodzony i gdyby nasz syn miał zapięte pasy, prawdopodobnie wyszedłby z tego cało. Ale on nie wyszedł z tego cało. Zginął.

Ray spytał, dlaczego Charlie się za nim wstawił, a Charlie opowiedział mu o swoim synu, o straconych marzeniach. Może to właśnie była odpowiedź. A może nie... Ray nie zamierzał naciskać.

- Miałbyś możliwość znowu pogadać z szefem w mojej sprawie? - spytał Ray.

Charlie potrząsnęła głową.

- Facet, do którego zadzwoniłem, powiedział, że Tony wykonał jakiś ruch. Ponoć poinformował Starego, że jego zdaniem ty i Vinnie siedzicie w tym razem.

- Ale to jakiś szalony pomysł.

- Nieważne, szalony czy nie. To właśnie powiedział szefowi i szef w to właśnie wierzy.

- Ale oni są braćmi, do diabła!

- Przyrodnimi.

- Co?

- Jeden ojciec, różne matki.

- Nie miałem pojęcia.

- Ich stary kiedyś podobno strasznie uganiał się za ciziami. Szef jest jego synem z prawego łoża. Vinnie - owocem jednego z romansów.

- Ale noszą to samo nazwisko.

- Ojciec prawdopodobnie przekazał je, żeby mieć pewność kontynuacji rodu. Był jeszcze jeden prawowity syn, najstarszy, ale umarł w wieku około trzydziestu lat, ponoć na syfilis.

- Słyszałem, że nie dogadują się zbyt dobrze - zauważył Ray.

- Wcale się nie dogadują, ale jednak nawet przyrodni bracia to bracia.

Dzięki szefowi Vinnie prowadzi Dom, ale z tego co się orientuję, tonie w długach. Właśnie dlatego Staremu nie było trudno uwierzyć w to, co nagadał mu Tony. Zdaje sobie jednak sprawę, że jego brat nie mógł sam tego zorganizować i właśnie w tym momencie wchodzisz ty.

- Tony zawsze coś do mnie miał.

- Jesteś gliną i Irlandczykiem - wyjaśnił Charlie Królik. - To oczywiste, że coś do ciebie ma.

- Byłem gliną.

Charlie wzruszył ramionami.

- Gliną zostaje się na zawsze, a przynajmniej on tak to widzi.

- A ty? Przeszkadza ci, że byłem gliniarzem?

- Nie. Nie mam nic przeciwko gliniarzom, tym uczciwym i tym mniej uczciwym. Jak każdy, próbują po prostu zarobić na życie.

- I tylko o to chodzi Tony'emu? Że byłem kiedyś gliniarzem i że nie jestem Włochem?

- Tak, a oprócz tego jest wściekły, bo Vinnie postawił go w złym świetle, zlecając znalezienie tej ferajny tobie, a nie jemu. Musisz zrozumieć, że Tony nikomu nie pozwoli stanąć sobie na drodze.

- Stanąć mu na drodze do czego?

- Do władzy. A myślisz, że dlaczego od dwóch lat puka żonę

Vinniego?

- Co takiego?

Na twarzy Charliego wykwitł szeroki uśmiech.

- Żonka wmawia Vinniemu, że gra z dziewczynami w brydża.

- Widziałem żonę Vinniego... Ma gdzieś z piętnaście lat więcej niż Tony. I widziałem też żonę Tony'ego. Ciężki przypadek, chociaż ciało zwała z nóg.

- Wredna z niej suka - dodał od siebie Charlie.

- No tak, trafne podsumowanie.

- Tony nie puka żony Vinniego z powodu jej wyglądu. Puka ją, bo jest żoną Vinniego i to daje mu nad Vinniem przewagę, na wypadek, gdyby miał jej kiedyś potrzebować.

Ray pociągnął łyk Jamesona. Tego było za wiele.

- A wiesz, co jest w tym naprawdę zabawne? - spytał Charlie ściszym głosem.

Ray nie widział w tym wszystkim nic zabawnego.

- Co?

- Żona Tony'ego...

- Tak?

- Gra w brydża w tym samym klubie.

- Że co?

- Stary ją puka.

Ray poczuł, jak szczęka opada mu na podłogę.

- To tylko pokazuje, jaki z Tony'ego bystrzak. Żona mówi mu, że gra w brydża, ale tak naprawdę bawi się ze Starym w kieszonki na terenie jego łowiska.

Ray znał to miejsce.

- Nad Rigolets?

- Skąd wiesz, gdzie to jest? - zdziwił się Charlie, jakby miała to być jakaś tajemnica.

- Pracowałem w dystrykcie siódmym, gdzie każdy gliniarz znał to łowisko.

- Nie wiedziałem o tym - odparł Charlie z zawiedzioną miną.

- Żeby dojechać tam z centrum trzeba około godziny. A on jedzie tam tylko po to, żeby przelecieć żonę Tony'ego?

- To starszy człowiek, a ona jest piękną kobietą, młodszą od niego o połowę. I mogę się założyć, że przy nim nie jest taką jędzą. To dla niego ważna sprawa. Raz na tydzień stroi się i jedzie tam. Bez kierowcy, bez ochrony. Nie chce, żeby ktokolwiek się przy nim wtedy plątał. To



poważne pogwałcenie zasad - pieprzenie żony jednego z fagasów.

- A co ona ma z tego?

Charlie wzruszył ramionami.

- Kto wie. Nawet, kiedy Tony nie wtyka swojej pałki gdzieś na boku, to i tak jest w Domu do drugiej czy trzeciej nad ranem. Może ona potrzebuje kogoś, kto będzie poświęcał jej uwagę. Może dlatego jest taką wredną suką. Może po prostu Tony nie zajmuje się nią tak, jak powinien.

Ray potarł oczy.

- I wy mówicie o lojalności.

Nagle Charlie sięgnął ręką przez stół i chwycił Raya mocno za nadgarstek. Pociągnął go za rękę, zaglądając mu głęboko w oczy.

- Jean i ja spędzamy w domu każdy wieczór, siedząc razem przed telewizorem. Żadne z nas nie gra w brydża.

Ray skinął głową.

- Szczęściarz z ciebie.

Charlie puścił jego rękę.

- Może to ty powinieneś to wszystko prowadzić? - dodał Ray.

Charlie uśmiechnął się.

- Przechodzę na emeryturę.

- Kiedy?

- Już niedługo.

Ray pomyślał, że on sam niedługo będzie martwy, jeśli nie uda mu się z tego wyplątać.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, o ile cię to interesuje, że jeśli Vinnie zrobił skok na Dom, zrobił to bez mojej pomocy czy wiedzy.

- Wiem to, chłopcze - odparł Charlie. - Ale nie tylko Tony plecie bzdury na twój temat.

Ray poczuł skurcz w żołądku.

- O czym ty mówisz?

- Ktoś powiedział Staremu, że znasz członków tej ekipy.

„Jimmy LaGrange - domyślił się Ray - podły sukinsyn”. I głośno dodał:

- Ja nie znam tych typów. Aresztowałem ich tylko i to lata temu.

- Przez Tony'ego Stary wierzy, że ty nie tylko ich znasz, ale i nająłeś ich do napadu.

Czoło Raya zrosiło się potem. Przyłożył sobie do niego szklankę z drinkiem.

- To co ja mam kurwa teraz zrobić?

- Jak powiedziałem, jesteś w niezłych opałach.

- Jak z nich wyjść?

- Możesz zrobić tylko jedno - poradził Charlie.
  - Ray miał już dość napięcia. Nie potrzebował więcej.
  - Co?
  - Dowiedzieć się, kto naprawdę za tym stoi i znaleźć dowód.
  - A potem?
  - Szef to rozsądny człowiek, ale to będzie wyglądało jak rozprawa sądowa, podczas której będziesz musiał się bronić.
  - Ale jak? - spytał Ray, z nutą desperacji w głosie.
  - Zadzwoń do mnie, kiedy znajdziesz dowody - odrzekł Charlie. -
- Może będę mógł pomóc. Tylko pamiętaj, Tony cię szuka.
- Ty też będziesz mnie szukał?
- Charlie Królik potrząsnął głową.
- Póki co - nie.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

Ray natknął się na niebieskiego buicka Dylana Sylvestra przy chaotycznie zabudowanym kompleksie mieszkaniowym nieopodal Bullard Avenue. Budynki otoczone były wysokim ogrodzeniem, a przy bramie wejściowej znajdowała się czynna cała doba stróżówka. Strażnik nie chciał wpuścić Raya do środka.

- Pan do kogo? - spytał.

Było wcześniej rano, zaledwie kilka minut po szóstej, więc nie mógł skłamać, że wybiera się właśnie do biura leasingowego w sprawie mieszkania.

- Przyjechałem po kumpla, mam go podrzucić do pracy - odpowiedział.

- Nazwisko i numer mieszkania - zażądał strażnik.

Ray podał pierwszy lepszy numer, który przyszedł mu na myśl.

- 1141.

- Nie ma takiego numeru - odpowiedział strażnik.

Ray przełknął z trudem ślinę.

- Może chodzi o 1101? - zasugerował strażnik.

Ray skinął głową.

- Na pewno o to. Czasem mieszają mi się cyfry.

- Jakie nazwisko?

- Moje? - Ray zastanawiał się, czy warto silić się na fałszywe dane.

Strażnik pewnie zapisze numer rejestracyjny jego samochodu, a właściwie samochodu Jenny. Może nawet poprosi o jego prawo jazdy. To by dopiero było podejrzané: powie, że nazywa się John Smith, a facet sprawdzi jego prawo jazdy.

- Nie - odpowiedział strażnik. - Osoby, do której pan przyszedł.

- Joe.

- Nazwisko?

- Nie wiem - odparł Ray. - To tylko znajomy z pracy. Zadzwoił i poprosił, żeby go podwieźć.

Strażnik sprawdził listę, przymocowaną za pomocą klipsa do

podkładki.

- W 1101 nie ma żadnego Joe.
- Mieszka z dziewczyną.
- W 1101 jest jakaś Yolanda Jackson.

Ray pstryknął palcami.

- O właśnie. Tak się nazywa jego dziewczyna, Yolanda.

Strażnik spojrział na telefon w budce, następnie na zegarek, po czym nacisnął guzik i otworzył bramę.

Przemierzając parking w dziesięcioletnim firebirdzie Jenny, Ray nieomal minął buicka. Stał wciśnięty między pikapa a hummera. Sprawdził numer tablicy rejestracyjnej. Zgadzał się z tym z raportu policyjnego, gdzie widniał jako zarejestrowany na Belinę Sylvester. Udało mu się znaleźć Dylana, tego dupka z tatuażem i zepsutymi zębami. I co miał teraz zrobić?

Gość z pewnością posiadał broń i być może nie był sam. Może miał dziewczynę, może parę dzieciaków. A może ukrywał się tu z innym facetem z ekipy. W takim przypadku pistolety mieliby co najmniej dwa.

Po raz kolejny Ray znalazł się w sytuacji, w której broń była mu naprawdę potrzebna.

Kiedy jeszcze pracował w policji, ilekroć wybierał się do mieszkania, w którym zaszył się uzbrojony bandyta, wspierała go drużyna siedmiu, ośmiu policjantów, każdy w kamizelce kuloodpornej. Drużyna wyposażona była w taran do rozwalania drzwi i tarczę balistyczną, która pochłaniała kule, jeśli takowe padały w ich stronę, no i oczywiście ogromną ilość broni.

A teraz był sam i nieuzbrojony. Na myśl o tym miał ochotę odwrócić się na pięcie i wrócić do domu. Tyle że nie miał domu, do którego mógłby wrócić. Dzięki staraniom Tony'ego nie mógł pójść do swojego mieszkania. Nie mógł też już pójść do mieszkania Jenny.

Późnym popołudniem poprzedniego dnia, kiedy Ray wrócił ze spotkania z Charliem Królikiem, Jenny powiedziała mu, że nie czuje się u siebie bezpiecznie. Bała się, że Tony może znowu ją odwiedzić. Na pytanie Raya, gdzie chce pójść, odpowiedziała, że wszystko jej jedno, byleby opuścić swoje mieszkanie. Zdecydowali się na hotel w Metairie, za który zapłaciła kartą kredytową.

Wyjeżdżając firebirdem z Quarter, utknęli w korku na Rampart Street. Siedzący za kółkiem Ray wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, co spowodowało zator.

W odległości dziesięciu samochodów przed nimi ujrzał starą

zakonnice w niebiesko-białym habicie. Blokowała ruch, stojąc na środku ulicy i trzymając nad głową znak stop, podczas gdy spora grupa dzieciaków przechodziła na drugą stronę. Niektóre dzieciaki kuśtykały, wspierając się na kulach. Jedno z nich jechało na wózku inwalidzkim. W takim tempie mogło im to zająć cały dzień.

Ray uderzył ręką w klakson, trąbiąc głośno na zakonnice i dzieciaki.

- Co się dzieje? - spytała Jenny.

- Zakonnica i grupa dzieciaków przechodzących przez ulicę.

Jenny wysiadła na chwilę i spojrzała nad stojącymi w korku samochodami.

- To siostra Claire. Prowadzi dom dla dzieci specjalnej troski - oznajmiła, wsiadłszy z powrotem do samochodu.

Ray zatrąbił jeszcze raz.

- Niech zabiera tych debili z drogi. Musimy ruszać.

Jenny splotła ramiona na piersi i posłała mu gniewne spojrzenie.

- Ależ z ciebie dupek.

Ray nic z tego nie rozumiał.

- Co takiego powiedziałem?

Milczała, patrząc przed siebie.

Niebieski buick Sylvestra stał przed budynkiem numer czternaście. Ray zaparkował samochód Jenny przy krawężniku, z boku domu, z dala od drzwi wejściowych. Dom numer czternaście był taki sam jak wszystkie pozostałe: jednopiętrowy, z ośmioma mieszkaniami, do których wchodziło się od frontu i dwiema parami żelaznych schodów, ciągnących się po obu stronach budynku, aż do balkonu na piętrze.

Które mieszkanie należało do Sylvestra? Miejsca parkingowe nie były ponumerowane. Buick był zaparkowany dokładnie przed parterowym mieszkaniem na lewym końcu, ale i naprzeciw schodów. To mogło coś oznaczać, ale mogło też nie znaczyć nic.

Ludzie z natury byli leniwi. Jeśli się dało, parkowali przed własnymi drzwiami. Sylvester mógł rzeczywiście mieszkać w pierwszym od lewej mieszkaniu na parterze. Albo mieszkał na piętrze, a samochód zostawiał przy samych schodach. Ale mógł też zaparkować na jedynym miejscu, które było jeszcze wolne, kiedy wrócił do domu. Jedyną rzeczą, co do której Ray miał pewność, było to, że Dylan Sylvester za chwilę nie wychyli głowy zza drzwi, zapraszając go do środka na kawę.

Ray musiał coś zrobić, więc zdecydował się na tę samą rzecz, którą robił, kiedy był jeszcze gliniarzem: postanowił po prostu pukać do drzwi. Zaczął od mieszkania po lewej, na parterze. Otworzyła mu zaspiana

dziewczyna.

- Przyjechałem zabrać Dylana do pracy.

Westchnęła, przecierając twarz ręką.

- Pomyliłeś mieszkania - odpowiedziała, wskazując palcem na górę.

Ray wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Stał przed 1405, bezpośrednio nad mieszkaniem dziewczyny.

Przesłonił kciukiem wizjer i zapukał. Nie było to ani delikatne puknięcie, ani policyjne łomotanie, a pukanie w służbowym stylu.

Z drugiej strony drzwi dobiegł głos.

- Kto tam?

- Ochrona.

- Co?

- Ochrona. Muszę porozmawiać z panem o pańskim samochodzie.

Usłyszał dźwięk odsuwanej zasuw.

Ray rozejrzał się wokół. Nikogo w zasięgu w wzroku.

„Gdybym tylko miał broń” - pomyślał.

Drzwi uchyliły się nieco, po drugiej stronie widniał założony łańcuch. Ray huknął w nie ręką i zdołał wepchnąć się do środka. Stojący wewnątrz długowłose biały facet zatoczył się do tyłu, uderzony drzwiami w czoło. Jedną ręką trzymał się za głowę, w drugiej ścisnął pistolet. Unosił go właśnie, gdy Ray doskoczył do niego, odpychając rękę z pistoletem, a następnie trzaskając długowłosego typa łokciem w szczękę.

Facet runął na podłogę, upuszczając broń. Ray zatrzasnął drzwi kopniakiem, po czym podniósł pistolet - kaliber czterdzieści, nierdzewna stal, smith & wesson. Mężczyzna leżał półnagi na plecach, ubrany jedynie w czarne spodnie od dresu. Po lewej stronie jego brzucha widniał zakrywający ranę pokrwawiony opatrunek, który trzymał się na miejscu dzięki szerokiemu pasowi gazy owiniętemu wokół torsu. Na grzbiecie prawej dłoni rozciągała się wytatuowana pajęcza sieć.

„Witaj, Dylanie Sylwestrze” - pomyślał z satysfakcją Ray i nastąpił butem na ranę. Z ust Sylwestra dobiegł przeraźliwy krzyk, a spod krawędzi opatrunku zaczęła sączyć się świeża posoka.

- To za to, że do mnie strzelałeś.

Nadepnął na ranę jeszcze raz, co wywołało kolejne krzyki i więcej krwi.

- A to za to, że przed chwilą znowu próbowałeś mnie zastrzelić.

Ray zdawał sobie sprawę, jakie miał szczęście. To wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej. On sam mógł teraz leżeć na podłodze, wykrwawiając się. Przyszło mu na myśl powiedzonko sierżanta

Landry'ego: „Lepiej jest mieć szczęście, niż być dobrym... Ale kiedy szczęście cię opuści, lepiej żebyś był dobry”.

Trzymając Smith & Wesson w jednej dłoni, Ray chwycił Dylana Sylvestra za czuprynę wolną ręką i powłókł go po podłodze w kierunku kanapy.

- Wstawaj - rozkazał, kopiąc mężczyznę w łydki i zmuszając go do podniesienia się, a następnie popychając na kanapę.

Sylvester przyciskał obie dłonie do czerwonego od krwi kawałka bandaża. Siedział przygarbiony na kanapie, kiwając się w przód i w tył i jęcząc, podczas gdy Ray celował z pistoletu prosto w jego twarz. Chciał, żeby Sylvester miał okazję dokładnie przyjrzeć się lufie, tak jak Ray tamtej nocy.

- Nie mam czasu na pierdoły - powiedział Ray. - Ty odpowiadasz na moje pytania, ja pozwalam ci żyć.

- Pierdol się - wycedził przez zaciśnięte zęby Dylan Sylvester.

Ray wbił stopę w brzuch mężczyzny. Ten zawył z bólu, zwijając się w kłębek i zanosząc kaszlem. Po chwili zaczął wykrztuszać krew.

- Za chwilę - zagroził Ray - poczujesz, co to prawdziwy ból.

Kiedy kasłanie ustało, Sylvester usiadł prosto i uniół ręce do góry, poddając się.

- Okej, okej. Co chcesz wiedzieć?

- Twoja ekipa, kto w niej jeszcze był?

Sylvester potrząsnął głową.

- Jaka ekipa? Nie wiem, o czym mówisz.

Ray musiał przyznać, że facetowi nie można było odmówić odwagi, chociaż teraz częściowo wyciekła mu krwawiącym bokiem.

Ray pochylił się i zdzielił Sylvestra w głowę pistoletem. Kiedy tylko facet zaczął krzyczeć, Ray pochwycił z kanapy poduszkę i przydusił nią twarz Sylvestra, przyciskając głowę rabusia do oparcia kanapy. Gdyby sąsiedzi coś usłyszeli, mogliby wezwać gliny.

Po chwili Sylvester uspokoił się i Ray zdjął mu poduszkę z twarzy. Ranny mężczyzna trzymał się obiema rękoma za głowę, a między jego palcami a jednym z uszu biegła strużka krwi.

Ray przytknął poduszkę do lewego kolana Sylvestra i przyłożył do niej lufę pistoletu.

- Tłumik domowej roboty - powiedział. - Zacznę od twoich kolan.

Na twarzy Sylvestra malowała się panika.

- Zo... zostałem tylko ja.

Ray miał przeczucie, że może mówić prawdę.

- Kim byli pozostali?

Jabłko Adama Dylana Sylvestra powędrowało w górę i w dół.

- Scooby, Wop... i Eddie - odpowiedział po chwili.

- Gdzie są Wop i Eddie? - Ray wiedział już, gdzie jest Scooby.

- Nie żyją.

- Jak to się stało?

- Mielśmy nie strzelać. Nikomu nie powinna była stać się krzywda.

Ray odwrócił pistolet i spojrzał w głąb lufy, przypominając sobie, jak wyglądała, wycelowana w jego twarz i jaki wydała dźwięk, kiedy mężczyzna w masce kościotrupa oddał strzał w kierunku jego głowy. Obrócił rękę i znowu trzasnęła Sylvestra lufą w głowę.

- To za Petera.

Sylvester wygiął się do tyłu, łapiąc się oburącz za głowę.

- To Scooby go zastrzelił.

Ray obserwował chwilę, jak Sylvester zwija się z bólu na kanapie, po czym rozkazał:

- Gadaj wszystko, od samego początku.

Sylvester spojrzał na niego.

- Zabijesz mnie, prawda?

Ray zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

Sylvester usiadł w końcu spokojnie, ale wciąż trzymał się rękoma za głowę.

- Koleś, który nazywa się Scooby - on to wszystko zorganizował - przyszedł do mnie i powiedział, że szykuje się łatwa robota. Powiedział, że wszystko jest już załatwione i że zgarniemy dużą forszę. Dostał nawet zaliczkę.

- Ile?

- Pięć tysięcy. Ja i Scooby wzięliśmy po tysiąc pięćset, resztą podzielili się Wop i Eddie.

- Co masz na myśli mówiąc, że wszystko zostało załatwione?

- Ktoś się tym zajął. Miało nie być żadnych problemów. Mielśmy po prostu zrobić mocne wejście, żeby wyglądało autentycznie.

- Kto to zorganizował?

Sylvester wzruszył tylko ramionami.

- To był znajomy Scooby'ego.

Ray uniósł pistolet nad ramieniem, zamachując się nim jak kijem golfowym.

Sylvester wrzasnął.



- Nie wiem! Nie wiem! Przysięgam!

Ray widział po oczach zasmuca, że mówi prawdę. Opuścił broń.

- A ja?

- Co ty?

- Poznajesz mnie, co?

- Tak, ale nie miałem pojęcia, że tam będziesz. Gdybym wiedział, przysięgam na życie matki, że... - Sylvester przeżegnał się - nigdy nie podjąłbym się tej roboty. Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że ty tam będziesz. Przysięgam.

- Próbowaleś postać mi kulkę w łeb.

- Przepraszam - Sylvester złożył ręce w błagalnym geście. - Nie chciałem. Przysięgam na Boga. Pistolet wystrzelił sam z siebie. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłem.

- A co się stało potem?

Na twarz Sylwestra wstąpił wyraz ulgi, kiedy zdał sobie sprawę, że Ray nie zamierza go znowu uderzyć. Rozluźnił się nieco, opuszczając ręce na kolana.

- Następnej nocy mieliśmy spotkać się z tym facetem i przekazać pieniądze. Scooby powiedział, że będziemy z tego mieć dwadzieścia patoli. Chciał, żebym to ja zaniósł pieniądze, a Wopa i Eddiego wziął jako obstawę.

- Skoro to jego znajomy, dlaczego sam nie poszedł?

Sylvester wzruszył ramionami.

- Po tym, co się później stało, nie wydaje się to tak dziwne. Ale wtedy miałem w głowie tylko kasę.

Ray skinął głową. Wiedział jak to jest, kiedy robi się głupie rzeczy dla pieniędzy.

- Scooby powiedział, że ten koleś dokładnie wie, ile wzięliśmy i żebyśmy nie próbowali nic podwędzić. Miałem mu przekazać całość pieniędzy w płóciennej torbie. On miał odliczyć naszą część i mi ją dać.

Wskazując na obandażowany brzuch, Ray stwierdził:

- Domyślam się, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

- Gdzieś w głębi czułem, że coś jest nie tak - powiedział Sylvester. - Mieliśmy spotkać się na końcu Esplanade, przy doku. Ja prowadziłem, Wop trzymał pieniądze, a Eddie strzelbę, na wypadek, gdyby coś się spieprzyło. Kiedy podjechałem na miejsce, nie było tam nikogo. Zawróciłem samochód, tak żebyśmy mogli, jakby co, szybko stamtąd odjechać. I to właśnie uratowało mi życie.

Po krótkiej chwili wysiedliśmy z samochodu, a ci kolesie musieli już

tam gdzieś się ukrywać, bo od razu zaczęli do nas strzelać. Udało mi się dojrzeć tylko jednego faceta, ale na pewno było ich więcej. Ten, którego widziałem, trzymał wielką spluwę, opierając się o cementowy mur przy rzece i po prostu walił w nas bez chwili przerwy. Trafiał mnie, ale udało mi się wskoczyć z powrotem do samochodu. I wtedy właśnie ujrzałem Eddiego i Woppa, leżących na ziemi. Zabrałem stamtąd tyłek tak szybko, jak się dało.

- A co ze Scoobym?

- On też nie żyje. Po tym wszystkim pojechałem do domu. Nie mogę iść do szpitala. Poza tym, tutaj jestem bezpieczny. Nikt nie wie, gdzie mieszkam. Dopiero co się wprowadziłem, nawet Scooby nic nie wiedział o tym miejscu. Więc wróciłem do domu i okazało się, że kulka przeszła na wylot - wskazał na przemoczoną krwią gazę. - Opatrzyłem ranę i siedzę tu od tamtej pory. O Scoobym dowiedziałem się z wiadomości.

- Ten facet, którego widziałeś, jak on wyglądał?

Sylvester potrząsnął głową.

- Było ciemno. Stał pod samym murem - Sylvester uniósł dłoń, jakby dotykając wierzchu czegoś wysokiego. - Tym wielkim...

- Murem oporowym - dokończył Ray.

- No właśnie, murem oporowym. Musiał tam być już, kiedy podjechaliśmy, bo, jak mówiłem, gdy tylko wysiedliśmy, zaczął strzelać.

- A gdzie są pieniądze?

- Trzymał je Wop - Sylvester wzruszył ramionami. - Pewnie oni je teraz mają.

- Oni, to znaczy kto?

- No, ci faceci, którzy do nas strzelali.

- A dlaczego uważasz, że był tam ktoś jeszcze oprócz tego jednego faceta?

- Padło dużo strzałów, ale wydaje mi się, że w końcu mógł tam być tylko ten jeden facet - Sylvester odetchnął z trudem, z wyrazem bólu, wymalowanym na twarzy. - Ale jeśli był tylko jeden, musiał być naprawdę rewelacyjny.

- I jesteś pewien, że oni nie żyją? To znaczy, Wop i Eddie?

- To też wiem z wiadomości - odpowiedział Sylvester.

Ray nigdy nie oglądał wiadomości.

- I co teraz? - spytał Sylvester, opierając się o jedną z poduszek.

Dobre pytanie, pomyślał Ray. Charlie Liuzza powiedział, żeby do niego zadzwonił, jeśli będzie potrzebował pomocy. „I niech mnie diabli - pomyślał - jeśli teraz jej nie potrzebuję”.

Ray zauważył wiszący na ścianie kuchni telefon. Cofnął się w jego stronę, wciąż trzymając smith & wessona wycelowanego w Sylvestra. Kiedy podniósł słuchawkę, okazało się, że nie ma w niej sygnału.

- Co jest z tym telefonem? - spytał.

- Nie było mnie stać, więc mi go nie podłączyli.

No to z dzwonięcia nici. Kiedy szedł z powrotem w kierunku kanapy, Rayowi zaświtała w głowie jeszcze jedna możliwość. Mógł zawieźć Sylvestra do Domu i kazać mu powtórzyć wszystko, co właśnie mu powiedział. Ale komu miałby to powiedzieć? Vinniemu? On sam prawdopodobnie był w to zamieszany, a w takim razie nie działał sam. Facet, który strzelał do Sylvestra, to z pewnością nie był Vinnie. Więc kto? Tony, Rocco, Joey? To mógł być każdy. Vinnie znał wielu strzelców. Z tego, co Ray się orientował, mógł to być nawet Hector.

Charlie Królik powiedział, że Ray musi „dowiedzieć się, kto naprawdę za tym stoi i znaleźć dowód”. Więc Rayowi pozostało tylko dostarczyć dowód Staremu.

A tym dowodem był sam Dylan Sylvester.

Ray spojrział w dół. Sylvester siedział wyprostowany, z plecami przyklejonymi do oparcia kanapy, a w jego dłoni był pistolet. Niewielkie gówno, które można było kupić na ulicy za dwadzieścia dolców.

„Zapomniałem przeszukać tę pieprzoną kanapę” - pomyślał.

Ray trzymał smith & wessona przy nodze z lufą skierowaną w dół. Jakoś tak wyszło, że między kanapą a kuchnią stracił czujność - za dużo myślenia.

Rzucił się na podłogę, odskakując w lewo. Dwudziestkapiątka wystrzeliła. Rayowi coś świsnęło koło ucha. Uniósł smith & wessona i pociągnął za spust. Poczł szarpnięcie ciężkiego pistoletu w dłoni. Po upadku na podłogę zabrakło mu tchu, musiał więc poleżeć kilka sekund, by móc znowu złapać oddech.

Kiedy Ray w końcu stanął na nogi, dostrzegł, że Sylvester wciąż siedzi wyprostowany na kanapie. Kulka, kaliber 0,40 cala, trafiła go tuż nad górną wargę, zaraz pod tym niewielkim kawałkiem skóry, który oddziela od siebie nozdrza. Wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w ścianę.

Dylan Sylvester był martwy jak cholera.

Przypatrując się zwłokom człowieka, który próbował go zabić trzy razy, Ray przypomniał sobie, co Sylvester powiedział o kulce, która wbiła się w podłogę Domu - tej, która prawie trafiła Raya w tył głowy: „Przepraszam, Dylan. Pistolet sam wystrzelił”.

Ray wetknął smith & wessona za spodnie, po czym chwycił ręcznik i

dokładnie wytarł wszystko w mieszkaniu, czego mógł dotknąć.

Na zewnątrz, już po zamknięciu drzwi, Ray przetarł klamkę i wizjer, który wcześniej zasłonił kciukiem. Następnie zszedł po schodach, kierując się do samochodu Jenny. Ręcznik miał zamiar wyrzucić do pierwszego lepszego śmietnika.

# Rozdział dwudziesty drugi

- Kurwa, odważny jesteś, skoro nie boisz się przeszkadzać mi w trakcie kolacji - wybełkotał Carlos Messina. Usta miał pełne na wpół przeżutego calzone, więc ciężko było zrozumieć, co mówi, ale Tony nie miał problemu z rozpoznaniem tonu jego głosu. Stary siedział właśnie w głębi Carmine's, naprzeciw około trzydziestoletniego rudowłosego kociaka z wyeksponowanym biustem. Przy stoliku obok, jego dwóch ochroniarzy wciągało spaghetti.

Gdyby sprawa nie była pilna, Tony nigdy by się tu nie pojawił. Szef cenił sobie prywatność, zwłaszcza w towarzystwie jednej ze swoich dziewczyn. Patrząc na ich dwoje - Messinę i rudzielca - Tony zastanawiał się, jak ktokolwiek mógł sypiać z takim grubym staruchem, nawet jeśli był to wpływowy gruby staruch.

Shane co prawda gdzieś zniknął, ale Tony miał trop.

Pewien hazardzista degenerat, który spędzał cały swój wolny od hazardu czas, płacząc się po barach wzdłuż i wszerz French Quarter, zadzwonił do niego i dlatego właśnie Tony musiał natychmiast zobaczyć się ze Starym.

Carlos przełknął porcję calzone, po czym burknął:

- Czego chcesz?

Tony nie mógł ustać spokojnie.

- Najmocniej przepraszam, że panu przeszkadzam, panie Messina - powiedział, gapiąc się na cycki rudzielca. - Ale chodzi o interesy - wyjaśnił, posługując się kodem, upraszającym o chwilę na osobności.

Carlos kiwnął na kobietę.

- Idź przypudrować nos.

Rudzielec spojrzał na Tony'ego pełnym nienawiści wzrokiem.

- Nie muszę nic pudrować.

Stary przeszył ją jednym z tych spojrzeń, które ucinają wszelką dyskusję.

- To idź się wysikać albo idź do baru. Rób, co chcesz, ale daj nam minutę.

Wydała przez nos jakiś dźwięk, coś przypominającego „hmmff”, ale podniosła się i odeszła w stronę baru. Tony pożerał oczami jej tyłek, kiedy się oddalała, żałując, że nie poznał jej imienia. Nie było szans na to, by Carlos mógł zadowolić taką kobietę.

- Skończyłeś się gapić? - spytał Stary.

Tony odwrócił się w jego stronę, czując, jak płoną mu policzki.

- Upewniałem się tylko, że...

- Mów, co jest tak kurewsko ważne.

- Shane zniknął.

Stary rzucił serwetkę na stół.

- I właśnie to chciałeś mi osobiście przekazać?

- Nie, proszę pana - zaprzeczył Tony.

- Więc co jeszcze?

- Zadzwoił do mnie jeden facet i powiedział, że widział go wczoraj w Hobnobber's.

- Więc znajdź go. Nie musisz mi mówić, jak zamierzasz to zrobić.

Tony ściszył głos, tak żeby ochroniarze nie mogli go usłyszeć.

- Był tam z Charliem Królikiem.

Carlos Messina westchnął donośnie. Na ułamek sekundy zamajaczył na jego twarzy cień bólu, bólu zdradzonego człowieka.

Po chwili Stary uniósł serwetkę do ust i wytarł je. Następnie upił łyk wina.

- I kto ci o tym powiedział?

- Facet, który wisi mi pięć patyków.

- A skąd on zna Shane'a i Królika?

- Jest Starym... - „szef był Starym” - więc szybko dodał: - ...kręci się po Quarter od długiego czasu. Mówiłem, że szukam Shane'a i musiał usłyszeć. Pewnie myśli, że odpuszczę mu część długu, jeśli mi pomoże.

- A zrobisz tak?

- Może.

- Wierzysz mu?

Tony skinął głową.

- Posłałem tam Joey'ego. Barman zna Charliego i wszystko potwierdził.

Stary milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Charlie pracuje dla mnie szmat czasu.

Tony ponownie skinął głową.

Carlos Messina upił kolejny łyk wina.

Tony nigdy nie przepadał za Charliem. Królik zachowywał się, jakby

uważał się za lepszego od niego. Obaj byli mianowanymi członkami mafii, ale to Tony prowadził pieprzony Dom. Był jeszcze co prawda Vinnie, ale Tony zajmował się Domem na co dzień. Mieli z tego kupę kasy, właśnie dzięki niemu. A Charlie? Spuścił łomot paru typom, posiedział trochę w pudle i tyle. Nie przynosił żadnych pieniędzy. Był po prostu mordercą do wynajęcia. Takie było dawne podejście. Kiedy Tony wszystko przejmie, każdy będzie musiał przykładać się do roboty. Każdy będzie musiał przynosić zielone.

- Myśli pan, że mogą pracować razem? - spytał.

Stary - wydawało się, jakby na oczach Tony'ego postarzał się o dziesięć lat - wbił wzrok w sufit.

- Nie ma powodu, dla którego Charlie miałby rozmawiać z Shane'em.

- Więc co robimy?

- Wiesz, gdzie Charlie mieszka?

- Nie, proszę pana.

Messina wydobył z kieszeni długopis i narysował mapkę na swojej serwetce, po czym podał ją Tony'emu.

- Nie znam adresu, ale to ci wystarczy. Idź i spytaj Królika, co robił z Shane'em. Powiedz mu, że ja o to pytam.

Tony rzucił okiem na mapkę. Wywnioskował z niej, że ma udać się do Kenner, po czym wetknął serwetkę do kieszeni spodni.

Carlos spytał:

- Bierzesz ze sobą Joey'ego?

- Jego i Rocca.

- Zadzwoń do mnie, kiedy dowiesz się, co mówi Charlie.

Tony odwrócił się i spojrzał na bar. Rudowłosa piękność wciąż tam stała i ze wściekłą miną sączyła przez słomkę owocowego drinka. Odwrócił się z powrotem do Starego.

- Będzie pan pod telefonem?

Carlos spojrzał na bar, potem na Tony'ego.

- Będę w domu. Straciłem apetyt.

Charlie Królik może i był stary, ale był też twardy. Tony wiedział, że nie pójdzie mu z nim łatwo. Musiał wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. Nie mógł pozwolić sobie na błąd.

- A co, jeśli nie będzie chciał współpracować?

Carlos otarł ręką twarz. Wyglądał prawie tak, jakby zaraz miał się rozpłakać.

- Rób, co musisz zrobić, chcę odpowiedzi.

To dawało Tony'emu wolną rękę.

- Dlaczego chcesz się z nim spotkać? - spytała Jenny.

Znajdowali się w pokoju hotelowym w Metairie. Ray siedział na toalecie, odwrócony plecami do lustra.

- Dlatego, że jako jedyny nie ma zamiaru mnie zabić.

Jenny przycupnęła na brzegu łóżka, zwrócona w jego stronę.

- On wciąż jest jednym z nich.

- Ale myślę, że może mi pomóc. Nam pomóc.

- Jak?

Ray nie był pewny. Skontaktował się z Charliem przez komórkę.

- Nie przez telefon - powiedział mu Charlie, podając swój adres i dodając: - Przyjdź około siódmej. Pomyślimy, co dalej zrobić.

- On może porozmawiać w mojej sprawie ze Starym, może wyjaśnić to wszystko.

- Ale czy to zrobi?

Ray wzruszył ramionami.

- Mam taką nadzieję.

- Idę z tobą.

Ray zabrał z toaletki kluczyki i udał się w kierunku drzwi.

- Nie - rzucił przez ramię.

- Sama tutaj nie zostanę.

Otworzył zamek, po czym odwrócił się w jej stronę i powiedział:

- Nikt nie ma pojęcia, że tutaj jesteśmy.

- Nie o to chodzi. Jeśli tutaj sama zostanę, będę się cały czas zamartwiać. Jeśli pójde z tobą, przynajmniej będę wiedzieć, co się dzieje.

Ray potrzęsnał głową.

- Nie ma mowy.

Splotła ręce na piersi.

- To mój samochód.

Miał ochotę jej przygadać. Jej samochód był mu potrzebny, miał już kluczyki i zamierzał ich użyć. W końcu jednak zdecydował się na spokojniejszy ton. Teraz było między nimi tak dobrze i nie chciał tego zepsuć.

- Jenny, muszę skorzystać z tego samochodu. Za chwilę wrócę.

Odwrócił się, otwierając drzwi.

- Zgłoszę kradzież.

Znowu na nią spojrzał.

- Nie zrobisz tego.



Podeszła do telefonu.

- Chcesz się przekonać?

Ray wpatrywał się w nią, czując, jak napięcie między nimi narasta. Była twarda i odporna na byle groźby. Jeśli zadzwoni na policję i zgłosi kradzież samochodu, nie uda mu się zejść daleko.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Ona odpowiedziała tym samym. I nagle całe napięcie z nich uszło. Jenny chwyciła torebkę.

- Poza tym jestem głodna.

Ray wycelował w nią palec.

- Ale zostaniesz w samochodzie.

Kiwnęła głową.

- Kiedy porozmawiasz z Charliem, pójdziemy coś zjeść. Opowiesz mi, co ci powiedział i wymyślimy razem, co dalej zrobić.

Miał przy sobie tylko około ośmiu dolców.

- Kto płaci?

- Mam pieniądze. Nieźle mi płacili w poprzedniej pracy.

Wbił w nią wzrok.

- Nie mów tak.

- Przepraszam. Muszę od czasu do czasu z tego zażartować, żeby powstrzymać się od łez. Zauważ, że powiedziałam w „poprzedniej pracy”.



Tony musiał przyznać jedno. Ten starszy facet był twardy.

Gdy kilka chwil wcześniej zapukał do drzwi jego domu, Królik oglądał właśnie telewizję, a pani Królikowa krzątała się po kuchni. Charlie otworzył drzwi, a kiedy ujrzał Tony'ego, na jego twarzy wymalowało się zaskoczenie. Zapewne domyślił się, że nie jest to towarzyska wizyta, bo próbował zamknąć drzwi z powrotem, ale Tony popchnął je wyprostowanym ramieniem i wtargnął do środka, a za nim Joey i świeżo opatrzony Rocco.

Teraz Charlie siedział na krześle w jadalni, z nadgarstkami i kostkami przymocowanymi taśmą do poręczy i nóg mebla i ze ścierką do naczyń wetkniętą w usta. Pani Liuzza natomiast leżała martwa na podłodze, z kablem od lampy okręconym wokół szyi.

Tony znowu uderzył Charliego. Kolejna fontanna krwi bryzgnęła z nieźle już obitej twarzy Królika na koszulę Tony'ego. Zaraz po wejściu do domu i usadzeniu tych dwojga, Tony powiesił marynarkę i jedwabny krawat na wieszaku przy drzwiach, ale jego wykrochmalona śnieżnobiała koszula z francuskimi mankietami była kompletnie zniszczona. Zdarł

sobie knykcie i musiał chwilę odsapnąć, powiedział więc jeszcze raz:

- Powiedz mi, co robiłeś w Hobnobber's z Rayem Shane 'em?

Oczy Charliego nabiegły morzem krwi, płynącej z pękniętych kapilar, ale wciąż biła z nich wyraźna odpowiedź: nie miał zamiaru rozmawiać.

Tony rąbnął go jeszcze raz, tym razem z haka w korpus i z satysfakcją poczuł, jak kość ociera się o kość, kiedy pęknięte żebra Charliego zgrzytnęły jedno o drugie. Królik wydał stłumiony kawałkiem ścierki jęk i opadł do przodu.

A zaczęło się całkiem spokojnie. Kiedy już przywiązali Królika do krzesła, Joey zaciągnął jego żonę do jadalni, a Tony plasnął Charliego ręką parę razy, pytając, dlaczego rozmawiał z Shane'em i gdzie Shane teraz jest. Ale facet milczał, więc Tony musiał sięgnąć po nieco brutalniejsze środki. Zaczął więc okładać go z całej siły pięścią, w rezultacie rozcinając mu łuk brwiowy i wybijając dwa zęby.

Królik pozostał nieugięty. Wystarczyło jedno skinienie Tony'ego i Joey pchnął panią Królik na stół. Kiedy wsunął jej rękę pod spódnicę, zaczęła wrzeszczeć. Zaczął wrzeszczeć i Charlie, grożąc i przeklinając Tony'ego tak głośno, że musiał wcisnąć mu ścierkę do ust, żeby nie zaalarmował sąsiadów.

Joey owinął kawałek taśmy klejącej wokół ust podstarzałej dziewczynki, żeby ją uciszyć. Następnie ściągnął ją ze stołu i powlókł do kuchni. Królik wykręcał ramiona i nogi, próbując oswobodzić się. Po policzkach ściekały mu strumienie łez, gdy z kuchni dobiegały kolejne odgłosy ciał rzucających się po podłodze z linoleum, rozrywanych ubrań, ciężkiego dyszenia.

Trwało to wszystko z pięć minut, w trakcie których Tony nie przestawał powtarzać, że potrzebne jest tylko jedno słowo Charliego i wszystko się skończy. Miał tylko powiedzieć, gdzie ukrywa się Shane. Ale Charlie nic nie powiedział. Płakał tylko, szarpiąc się na krześle.

Po chwili z kuchni dobiegły jakieś inne odgłosy. Rozbijane naczynia, stłumione krzyki, stopy wierzgające po podłodze. A potem cisza.

Pojawił się Joey. Całe ubranie miał poszarpane, a przód spodni ubazgrany krwią. Tony nie miał pojęcia, że z tego mięśniaka jest taki świr. Pani Królik musiała mieć przynajmniej sześćdziesiątkę na karku.

Na widok Joey'ego, Charlie zaczął szlochać tak donośnie, że Tony zmuszony był wetknąć mu szmatę jeszcze głębiej do ust. Tony był przekonany, że teraz Królik się złamał i w końcu zacznie gadać.

Tyle że w rzeczywistości ani się nie złamał, ani nie zaczął gadać.

Nieważne, jak mocno Tony go okładał, Charlie nie chciał pisnąć ani

słowa. Tony nie miał wątpliwości co do jednego: gdy tylko Liuzza zobaczył, kto złożył mu wizytę, wiedział, że on i jego żona są już martwi. A kiedy Joey zabrał jego żonę do kuchni, jedyną rzeczą, jaka pozostała Królikowi była duma. A oprócz dumy niebywała nieugiętość.

Ten stary drań był twardy jak skała. Tony rozmasował knykcie prawej dłoni i zerknął na Rocca.

- Podaj mi coś, czym mógłbym go walnąć.

- Na przykład co?

- Nie wiem, nogę od stołu, cokolwiek.

Rocco powiódł wzrokiem po pokoju. Jego uwagę przykuł kominek. Potoczył się w jego kierunku i wyciągnął ze stojaka pogrzebacz.

- Może być to?

Tony skinął głową.

Trzymając osmalony, spiczasty koniec pogrzebacza tuż przed oczami Charliego, Tony warknął:

- Gadaj, gdzie jest Shane i zaraz będzie po wszystkim, staruchu, albo rozgrzeję to do czerwoności i wetknę ci w dupę.

Wpatrywał się w Królika przez dłuższą chwilę, po której Charlie zamrugał nabiegłymi krwią oczami i kiwnął głową.

- Powiesz mi? - spytał Tony, odczuwając ulgę, że to wszystko już wkrótce dobiegnie końca.

Charlie ponownie skinął głową.

Tony wyciągnął kawałek szmaty, tkwiący w ustach Charliego.

Dziadek wychrypiał coś, czego nie dało się zrozumieć.

- Co? - Tony'ego przepełniała duma, że udało mu się w końcu złamać legendarnego mordercę.

Gdy Charlie odezwał się kolejny raz, jego głos brzmiał tak, jakby ktoś oczyszczał papierem ściernym szorstkie drewno.

- Shane... - odchylił głowę, a z jego gardła dobiegł przepełniony bólem dźwięk.

- Mów, do diabła - Tony pochylił się na Charliem, zbliżając ucho do jego ust. - Gdzie jest Shane?

Charlie Królik Liuzza przesunął głowę do przodu i z chrupotem złapał Tony'ego zębami za ucho.

Tony upuścił pogrzebacz i wrzasnął, próbując się odsunąć, ale staruch nie miał zamiaru go puścić. Jego zęby zacisnęły się mocno jak szczeka pitbulla.

Tony potknął się o własne nogi i runął do tyłu, ciągnąc za sobą Charliego razem z krzesłem.

- Podjedź tutaj - poinstruował Jenny Ray. Tym razem to on był pasażerem firebirda. Jenny zawiozła go na Delaware Avenue w Kenner, dzielnicy podmiejskiej, pięć mil od Nowego Orleanu. Dzielnica rościła sobie pretensje do sławy z dwóch powodów: znajdowało się tu New Orleans International Airport i kasyno, usytuowane na barce. Miejsce to chętnie zamieszkiwała też nowoorleańska mafia.

- To tutaj? - spytała Jenny.

- Po prostu się zatrzymaj.

Podjechała pod krawężnik.

- Gdzie on mieszka?

- Niedaleko - w rzeczywistości do domu Charliego był jeszcze spory kawałek, ale Ray chciał, aby Jenny i jej samochód trzymali się stamtąd jak najdalej.

- Więc dlaczego zatrzymujemy się tutaj?

- Dojdę pieszo - odpowiedział Ray. - Ty zostaniesz tutaj.

Widział po jej minie, że już miała zacząć sprzeczkę, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie, mówiąc:

- Masz długopis?

- Po co?

Zgasiła silnik, po czym sięgnęła między stopy, wsunęła dłoń do torebki leżącej na podłodze i wyciągnęła stamtąd komórkę.

- Zapisz mój numer. Kiedy skończysz rozmawiać z Charliem, zadzwoń do mnie, a ja po ciebie podjadę.

- Ale mój telefon...

- O cholera, zapomniałam, że jest zniszczony.

Ray uśmiechnął się.

- I tak nie mam długopisu.

Zanurzyła dłoń w torebce i grzebała w niej tak długo, aż wyłowiła długopis.

- Spytaj Charliego, czy możesz skorzystać z jego telefonu.

- A może po prostu wyjdę stamtąd i pomacham do ciebie?

Jenny chwyciła dłoń Raya i naskrobała mu na niej numer.

- Na wszelki wypadek.

Kiwnął głową. Następnie wyciągnął smith & wessona Dylana Sylvestra spod siedzenia pasażera.

- A to co? - spytała Jenny, podczas gdy Ray wsunął pistolet za pasek dzinsów i przykrył go koszulą. Odwrócił twarz w jej stronę.

- A na co wygląda?
- Po co ci pistolet? - wydawała się przerażona.
- Charlie to zabójca - odpowiedział. - Wydaje mi się, że próbuje mi pomóc, ale, jak sama powiedziałaś, jest jednym z nich. Jeśli to jakaś pułapka, nie chcę tam iść z pustymi rękoma.
- Skoro myślisz, że to może być pułapka, po prostu jedźmy stąd - położyła dłoń na dźwigni zmiany biegów.
- Ray potrząsnął głową.
- Wszystko będzie dobrze.
- Jesteś pewien?
- Skinął głową, otwierając drzwi.



Z głuchym chrzęstem pogrzebacz zmiotł bok czaszki Charliego Liussy. Królik leżał teraz na podłodze, wciąż przymocowany taśmą do krzesła, z kawałkiem ucha Tony'go tkwiącym między zębami.

Po tym, jak Charlie ugryzł Tony'ego w ucho i obaj zwalili się na podłogę, Tony wygramolił się spod Charliego i krzesła. Złapał za pogrzebacz. Charlie nie miał szans. Tony stanął nad mężczyzną i wrzeszcząc: „Pierdol się!”, huknął go pogrzebaczem w głowę.

Upuścił pogrzebacz i pospieszył do łazienki, gdzie obejrzał dokładnie w lustrze bok swojej głowy. Brakowało mu połowy pieprzonego prawego ucha! Po twarzy ściekała mu krew, kapiąc na ramię. Chwycił ręcznik z przymocowanego do ściany uchwyty i przycisnął go sobie do tego, co zostało mu z ucha.

- Co teraz, Tony? - w drzwiach łazienki pojawił się Rocco.

- Gówno się od niego dowiedzieliśmy.

Tony odwrócił się raptownie w jego stronę.

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Z ręcznikiem przyciśniętym oburącz do głowy, Tony zaczął kopać w drzwi, wykrzykując:

- Kurwa, kurwa, kurwa!

Rocco wycofał się.

Kiedy trochę ochłonął, Tony wrócił do salonu i wciąż trzymając ręcznik przy uchu, spojrzął na przewrócone krzesło i zakrwawione ciało Charliego. Wiedział, że za to odpowie. Królik był człowiekiem szefa, a Tony właśnie go zabił. Zatłukł go na śmierć pogrzebaczem, zaraz po tym, jak Joey zgwałcił i udusił jego ponad sześćdziesięcioletnią żonę.

„I jak ja się, kurwa, z tego wytłumaczę?” - pomyślał gorączkowo Tony.

Stary powiedział, że mógł zrobić, cokolwiek było trzeba, ale Tony był niemalże pewny, że to „cokolwiek” nie obejmowało zabicia Charliego.

Tony wszedł do kuchni. Ciało pani Liuzza leżało na usmarowanej jej krwią podłodze z linoleum. Twarz starszej kobiety była sina, a oczy wyszły jej na wierzch. Wokół szyi widniały jaskrawoczerwone ślady po uduszeniu kablem od lampy. Niebieska wzorzysta sukienka, którą miała na sobie, owinęła się wokół jej bioder, a nieco dalej leżała para podartych bawełnianych majtek. Krocze całe pokryte było krwią.

Za to wszystko niechybnie Tony’ego czekała śmierć. Nie miał zielonego pojęcia, co dalej robić. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Tony odwrócił się i skierował w ich stronę. Ból, promieniujący z poharatanego ucha w okamgnieniu ustąpił innemu uczuciu: panice.



Ray zobaczył na podjeździe dwa samochody, czarnego cadillaca - mafiosi ubóstwiali swoje cadillaki - i toyotę camry, która najpewniej należała do żony Charliego. Mijając je, dotknął w każdym kraty wlotu powietrza. Obie były chłodne.

Królik mieszkał w pochodzącym z lat siedemdziesiątych domu parterowym w stylu ranczo, z garażem na dwa samochody. Drzwi garażu były zamknięte, więc Ray nie był w stanie dojrzeć tego, co Królik przechowywał w środku, a co było tak ważne, że oba swoje samochody zostawił na dworze. Prawdopodobnie zaaranżował garaż na warsztat - starsze pokolenie uwielbiało stolarkę.

Z podjazdu Ray wszedł na otoczony balustradą ganek i minąwszy dwa drewniane bujaki stojące przed trzema olbrzymimi oknami znalazł się przed drzwiami. Zapukał. Nikt mu nie otworzył.

Zapukał jeszcze raz. Nagle światło, bijące przez zasłony w trzech wielkich oknach zgasło. Zazwyczaj kiedy pukało się do czyichś drzwi, światło się zapalało. Może Charlie był po prostu niezwykle ostrożny, a może coś innego się...

Nagle drzwi otworzyły się szeroko. Przez sekundę majaczył w nich jakiś cień, po czym czyjeś łapska pochwyciły Raya i wciągnęły go do środka. Potknął się o próg i prawie przewrócił, ale te łapska go podtrzymały. Coś walnęło go w zębra. Potem coś innego huknęło go w lewe ucho. Wewnątrz jego głowy rozległ się głuchy trzask. Następnie poczuł przeszywający ból, jakby ktoś wetknął mu w ucho szpikulec do lodu. Drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. Ręce podciągnęły go, aż się wyprostował, po czym ktoś walnął go w brzuch. Smith & wesson upadł z

łoskotem na twarde płytki podłogi w korytarzu.

- On ma pistolet! - krzyknął ktoś.

- Podnieś go - powiedział głos Tony'ego Zello.

Rozległ się odgłos metalu, szurającego o podłogę.

- Mam go.

- Światło!

- Co?

- Światło, kurwa, ty kretynie! Zapal je!

Gdzieś zza jego pleców, czyjeś ramię zacisnęło się wokół szyi Raya i pociągnęło go do tyłu, wyginając mu kręgosłup w pałąk.

Zapaliło się światło.

Ray zamrugał oczyma i ujrzał Tony'ego i Joey'ego. Tony przyciskał do boku głowy czerwony od krwi ręcznik. Ray chwycił palcami duszące go ramię, które odcinało mu dopływ powietrza. Było grube, twarde i pozbawione owłosienia, jak ramię kulturysty.

Tony błysnął zębami.

- Szukałem cię, Ray - uniósł pistolet ze stali nierdzewnej. - Co miałeś zamiar z tym zrobić?

Ray zacharczał, a świat zaczął mu się rozmywać przed oczami.

- Nie zabijaj go - rozkazał Tony. - Jeszcze nie teraz.

Ucisk na tchawicy Raya trochę zelżał i udało mu się zaczerpnąć łyk powietrza. Tony zrobił krok w bok, odwrócił się i wskazał pistoletem na podłogę salonu. Ray spojrział na nią i żołądek wywrócił mu się na drugą stronę. Na podłodze leżał Charlie przyklejony taśmą do przewróconego krzesła. Jego twarz przypominała bryłę mielonego mięsa. Bok czaszki miał tak zmiażdżony, że przez zlepione krwią włosy prześwitywał róż miękkiej pulpy mózgu.

Tony odwrócił się znowu do Raya.

- Właśnie pogadałem sobie z twoim przyjacielem, Charliem. Powiedział, że nie wie, gdzie jesteś.

Ray nie patrzył na Tony'ego. Nie mógł oderwać oczu od ciała Charliego. Jego głowa spoczywała na dywanie, twarz była biała, z tym ziemistym odcieniem śmierci, który Ray widział już tak wiele razy, na ulicy i w czasie autopsji. Tyle, że teraz było inaczej, bo chodziło o kogoś, kogo znał. Większość krwi wsiąkła w dywan, malując wokół głowy Charliego krwawą aureolę.

Joey podał Tony'emu rolkę taśmy klejącej.

- Powinniśmy się chyba stąd zabierać.

Tony wetknął pistolet z tyłu spodni, po czym chwycił taśmę.

- Idź po samochód.



## Rozdział dwudziesty trzeci

Jenny zaparkowała trzy domy od Charliego Liuzzy, po przeciwnej stronie ulicy. Stamtąd było dobrze widać dom. Na podjeździe stały dwa samochody, a w pobliżu nie było nikogo. Ray zniknął w środku, kiedy przestawiała samochód.

Spojrzała na telefon i upewniła się, że jest włączony. Miała nadzieję, że Ray zadzwoni, zanim wyjdzie na zewnątrz. Miałaby wtedy chwilę, żeby odjechać. Wściekłby się, gdyby wyszedł i zobaczył, jak blisko zaparkowała.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła jak z domu Charliego wychodzi Joey - ten Joey, który pracował dla Vinniego i Tony'ego. Nie było w tym nic niezwykłego, bo przecież wszyscy ci mafiosi trzymali się razem, ale z jakiegoś powodu naszło ją złe przeczucie. Ray miał się przecież spotkać tylko z Charliem. Kiedy Joey doszedł do końca podjazdu, Jenny skuliła się na siedzeniu w obawie, że może ją zauważyć. Na chodniku skręcił w prawo i idąc w górę ulicy, zaczął oddalać się od jej samochodu. Dom Charliego dzieliły od następnej ulicy jeszcze trzy budynki. Po chwili Joey skręcił za rogiem i zniknął jej z oczu.

Nie minęły nawet dwie minuty, gdy Jenny usłyszała odgłos zapalanego silnika. Za moment ujrzała rozmyte światła reflektorów zbliżające się do skrzyżowania, a następnie ciemnozielony lincoln - ciemnozielony lincoln Tony'ego - wyjechał gwałtownie zza rogu i po chwili wjechał na podjazd Charliego.

Z domu wyszedł teraz sam Tony Zello. Jenny skuliła się jeszcze bardziej, czując, jak serce wyrывa jej się z piersi. Stojąc przy drzwiach, Tony dał Joey'emu znak ręką. Wydawało się, że drugą przyciska coś do ucha. W lincolnie zapaliły się światła cofania. Kierowca wycofał samochód na ulicę, zawrócił i wjechał tyłem na podjazd. Tony dawał mu znaki jedną ręką tak długo, aż lincoln zatrzymał się ledwie kilka cali przed nim. Następnie zaczął stukać w bagażnik i nie ustawał, dopóki kierowca nie zrozumiał, że ma go otworzyć.

Zerkając tuż nad tablicą rozdzielczą, Jenny obserwowała, jak Joey

wysiadł z lincolna i podszedł do Tony'ego powolnym krokiem. Rozmawiali kilka chwil, po czym Tony rozejrzał się po ulicy, jakby miał zamiar zrobić coś, czego nikt nie powinien zobaczyć.

- Wyjdź z domu, Ray - wyszeptwała Jenny. - Wyjdź, a po ciebie podjadę - mówiło jej serce, bo umysł dobrze wiedział, że tak się nie stanie.

Nagle jej nadzieje spełniły się i w drzwiach frontowych stanął Ray. Tyle, że był przy nim Rocco. Rosły bandzior tkwił tuż przy jego boku, z prawym ramieniem zaciśniętym wokół jego szyi i z lewą ręką przytrzymującą Raya za ramię.

Wydawało jej się, że Ray miał coś owinięte wokół ust, ale nie była do końca pewna, bo na podjeździe, oświetlonym jedynie blaskiem ulicznej latarni, było za ciemno. Ręce miał wykręcone do tyłu i szedł trochę dziwnie. Wyglądało na to, że cierpi. Rocco też poruszał się dziwnie, jakby ktoś wetknął mu kij w tyłek.

Tony powiedział coś i Rocco podbiegł ostatnich parę kroków, właściwie ciągnąc Raya za sobą do samochodu. Bez zbędnych słów czy chwili wahania dwóch rosnących tępaków podniosło Raya i wrzuciło go do bagażnika. Tony zatrzasnął klapę i jeszcze raz się rozejrzał. Następnie cała trójka wsiadła do samochodu, Joey znowu za kierownicą, Tony obok niego na siedzeniu pasażerskim, a Rocco z tyłu, za Tonym.

Wyjechali z podjazdu i skręcili w lewo. Minęli firebirda Jenny, omiatając wnętrze samochodu światłem reflektorów, tak że na ułamek sekundy całe się rozświetliło. Siedziała przycupnięta, z głową na siedzeniu pasażera, ale mimo to drżała z przerażenia, myśląc, że Tony mógłby ją zauważyć.

Gdy tylko się oddalili, chwyciła komórkę, zamierzając zadzwonić na policję. Ale co by im powiedziała? Gdzie mieliby przyjechać? Na pewno nie do domu Charliego. Ich już tam przecież nie było, tylko dokąd pojechali? Musiała się dowiedzieć. Usiadła wyprostowana, zapaliła silnik i zawróciła ostro. Lincoln zamajaczył tylnymi światłami dwie przecznice dalej, skręcając właśnie w prawo. Od sześciopasmówki Williams Boulevard dzieliło ich jedynie kilka przecznic. Jeśli tam dotrą i wtopią się w ruch zanim ona ich dogoni, na pewno ich zgubi.

Decyzja Jenny była błyskawiczna: miała zamiar zrobić coś, co znała jedynie z telewizji. Skręciła kierownicą w prawo, wjeżdżając w pierwszą przecznicę, dwie od tej, na której teraz znajdował się lincoln - dzięki temu miała szansę znaleźć się na Williams Boulevard jedynie kilka sekund po nich. Przejechała dwa znaki stopu i dotarła do zatłoczonego bulwaru równocześnie z lincolnem. Byli dwie przecznice na lewo od niej,

ale musieli przystanąć i poczekać, aż będą mogli włączyć się w ruch. Z ustawienia samochodu Jenny wiedziała, że Joey zamierzał skręcić w prawo. Minęła sekunda, dwie, trzy i wielki zielony samochód mafii ruszył. Kiedy przejeżdżał obok niej, Jenny odwróciła twarz, modląc się, by Tony nie rozpoznał jej samochodu.

Przepuściła jeszcze dwa samochody i włączyła się w ruch za Lincolnem. Na pewno zamierzali zabić Raya, co do tego nie miała wątpliwości. Ale gdzie? I jak? Chcieli go zastrzelić? Udusić? Zrzucić z mostu do mokradeł Atchafalaya?

Lincoln śmignął przez światła tuż po tym, jak zapaliło się czerwone, a oba samochody jadące przed Jenny zatrzymały się. Wcisnąwszy ostro pedał hamulca, zatrzymała się z piskiem opon, cudem nie wjeżdżając w zderzak stojącego tuż przed nią auta.

Walnęła ręką w kierownicę, krzycząc „kurwa!”, podczas gdy śwąd palonej gumy świdrował jej nozdrza. Zerknęła w tylne lustro.

Między nią a facetem za nią była odległość co najmniej jednego samochodu.

- Wrzuciła bieg wsteczny, nacisnęła pedał gazu, po czym zahamowała. Z kołami zwróconymi w prawo ruszyła. Opony ponownie pisnęły, gdy dodała gazu, kierując się na pusty pas po prawej, a następnie mijając dwa samochody, które utknęły na światłach.

Zatrzymała się tylko na sekundę, czekając aż sznur samochodów przejedzie przez skrzyżowanie. Po chwili silnik V8 ryknął, a Jenny popruła, wbijając się w wąską lukę między parą samochodów. Ignorując kakofonię klaksonów za plecami, wcisnęła gaz do dechy, rzucając się w pościg za lincolnem.

Podążając za samochodem Tony'ego na południe, przejechała pod międzystanową estakadą, następnie przez jakąś milę sunęła w gęstym korku, aż Joey skręcił w lewo, wjeżdżając na jakieś osiedle. Nie było tu żadnych samochodów, wśród których Jenny mogła pozostać niezauważona, postanowiła więc zostać nieco w tyle, zwiększając dystans dzielący ją od lincolna, chociaż musiała trzymać się na tyle blisko, by widzieć, w którą stronę się kieruje.

Spodziewała się, że wskoczą na most I-10 i ruszą w kierunku bagien, za lotniskiem. Nie miała więc pojęcia, co robili na terenie mieszkalnym z człowiekiem uwięzionym w bagażniku.

Po paru zakrętach powoli zbliżyła się do lincolna, drżąc z każdą sekundą, że zaraz ich zgubi. Jadący pięćdziesiąt jardów [\[26\]](#) przed nią Joey

skręcił w lewo. Po chwili Jenny skręciła za nim. Nie było już odwrotu, gdy nagle wyrósł przed nią znak „ślepa uliczka”. Lincoln stał zaparkowany kawałek dalej, po prawej stronie ulicy.

Bliska paniki, Jenny wjechała na pierwszy lepszy podjazd i zgasiła silnik. Obok niej stały już dwa inne samochody, a w domu paliły się światła. Nawet jeśli Tony nie zauważył, jak wjeżdża na podjazd albo zauważył, ale pomyślał, że to jeden z domowników, ktoś pewnie zaraz wyjdzie ze środka i spyta, co robi przed jego domem.

Lincoln stał przed jednopiętrowym domem z cegły. Jenny zobaczyła, jak unoszą się automatyczne drzwi garażu. Joey wrzucił bieg wsteczny, wjeżdżając do środka, ale tylko do połowy. Kiedy samochód się zatrzymał, drzwi po prawej stronie otworzyły się, a po sekundzie z wewnątrz wyskoczyli Tony i Rocco. Rocco wciąż poruszał się bardzo wolno jakby coś go bolało, a Tony wciąż przyciskał coś do ucha. Co do diabła im się stało?

Z podjazdu, na którym zaparkowała, Jenny nie była w stanie zajrzeć do garażu, ale zobaczyła, że otwiera się bagażnik lincolna. Tony i Rocco, obaj stojący z tyłu samochodu, sięgnęli do środka, szarpiąc się przez chwilę, jakby mieli z czymś problem, jakby Ray im się stawiał. Pięć Rocca śmignęła w głąb bagażnika i szamotanina ustała, a po chwili w wąskiej szczelinie między tyłem samochodu a garażem Jenny udało się dostrzec, jak łapska Rocca wyciągają Raya na zewnątrz.

Joey wygramolił się z siedzenia kierowcy i zatrzasnął bagażnik. Usiadł z powrotem za kierownicą i wyjechał z garażu. Kiedy automatyczne drzwi zaczęły się obniżać, wyskoczył z lincolna i przemknął pod nimi do środka.

Ray był sam na sam z trzema mafiosami. O ile ciągle jeszcze żył, pewnie nie miało to potrwać długo. Jenny musiała wymyślić jakiś sposób, żeby go stamtąd wyciągnąć. Ale co mogła zrobić? Jedna nieuzbrojona kobieta przeciwko trzem mordercom. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. A co, gdyby jednak nie była sama, gdyby udało jej się namówić kogoś do pomocy? Może istnieli faceci, którzy nie bali się tych mafijnych dupków. Sięgnęła po telefon.

5

W garażu Tony’ego nie trzymało się samochodów. Zostawiało się je zawsze na podjeździe. Może i dom należał do jego żony i mogła go ozdabiać pierdólkami wszelkiego rodzaju wedle własnego życzenia, ale garaż był tylko jego i miała tu zakaz wstępu.

Choć nie kręciła go stolarka czy grzebanie się w samochodach, miał tutaj stół warsztatowy, ciągnący się wzdłuż jednej ze ścian, a na innej tablicę o wymiarach cztery stopy na osiem, wypełnioną wiszącymi na stalowych haczykach narzędziami, służącymi do oporządzania ogrodu i podwórka. Była tam miotła, grabie i sekator, a także nożyce, wąż ogrodowy i kilka przedłużaczy. Przez widniejące w rogu drzwi można było przejść do pralni, która z kolei prowadziła do kuchni.

Reszta garażu zaaranżowana została na pokój do rekreacji. Podłoga, choć cementowa, utrzymana była w takiej czystości, że można by z niej jeść. Pośrodku pomieszczenia, naprzeciw tylnej ściany, stał stolik do kawy i kanapa, a obok niej skórzany fotel.

Na tylnej ścianie wisiał sześćdziesięciocalowy płaski ekran, a na prawo od niego szafka z drzewa wiśniowego, z drzwiczkami ze szkła trawionego.

Szafkę zrobił dla Tony'ego Johnny Four-Fingers. Był cholernie dobrym cieślą, ale hazardzistą do dupy. Dlatego właśnie już nie żył. Szafka ugięła się pod wielopłytkowym odtwarzaczem DVD i sprzętem stereo. Na lewo od telewizora stał na stoliku kolejny, mniejszy. Zdarzało się, że Tony musiał śledzić więcej niż jeden mecz jednocześnie. W dwóch kątach garażu stały stoły: bilardowy i do ping-ponga.

To tutaj właśnie Tony chronił się przed tą suką. To tutaj mógł obejrzeć coś bez jej ciągłego gderania. Na przykład porno z azjatyckimi lesbami. Uwielbiał oglądać, jak te skośnookie kociaki pieprzą się ze sobą.

Ray Shane siedział na podłodze, oparty o tylną ścianę z wyciągniętymi nogami. Obok stali Rocco i Joey, pilnując go, podczas gdy Tony udał się do łazienki, żeby się trochę ogarnąć. Ucho przestało już krwawić, ale ból był niemal nie do zniesienia. Jediną rzeczą, dzięki której się trzymał, była myśl o tym, jak bardzo wielki ból zada za chwilę Shane'owi.

Tony wrócił do garażu, paradował chwilę z uchem, opatrzonym kawałkiem gazy, po czym wbił wzrok w byłego policjanta, zadowolony, że w końcu dorwał tego cwanego sukinsyna.

- No to teraz, skoro mamy trochę czasu na osobności, porozmawiamy sobie, Shane.

Shane nic nie odpowiedział. Nie mógł nic powiedzieć, bo wokół jego głowy wciąż oklejona była taśma. Po prostu wpatrywał się w Tony'ego. Jego gęba - a przynajmniej ta jej część, która wystawała spod taśmy - wyglądała jak twarz zawodowego boksera kilka dni po przegranej walce. Limo, które zafundował mu Tony, zblakło już nieco. Na skórze Raya pozostał żółtawy odcień gojącego się siniaka. Od lewego ucha w dół szyi aż do barku ciągnęła się zaschnięta strużka krwi. A tego, czym płonęły

jego oczy, nie dało się pomylić z niczym innym. Biła z nich czysta nienawiść.

Tony skinął na Rocca.

- Zdejmij taśmę.

Następnie rozkazał Joey'emu.

- Jeśli wyda najmniejszy dźwięk, skop mu ten pieprzony łeb.

Rocco opadł na kolana i chwycił Raya za włosy. Paznokciem odkleił koniuszek taśmy, tak aby mógł ją lepiej złapać, a potem zerwał długi pas z głowy i twarzy Raya. Zza zaciśniętych zębów Raya dobiegł jęk bólu, ale oprócz tego nie odezwał się ani słowem.

Na twarzy Tony'ego malowało się lekkie rozczarowanie. Miał nadzieję na coś więcej.

- Masz się za niezłego twardziela, co Shane?

Ale Shane tylko wpatrywał się w niego, milcząc. Tony czuł się nieprzyjemnie. Shane dostał nieźle w dupę, a teraz ślęczał na podłodze i miał zaraz umrzeć. Czy on w ogóle zdawał sobie z tego sprawę? Obchodziło go to? Oczywiście, że tak, śmierć nikomu nie była obojętna, nieważne, co mówiono. Więc dlaczego po prostu siedział tutaj, nic nie robiąc? Ani nie płaszcząc się, ani nie błagając czy płacząc - takich właśnie cyrków spodziewał się Tony, takich właśnie chciał. A nie tej kamiennej ciszy. Ale tak czy siak, zamierzał dostać to, czego chciał.

Tony podszedł do stołu warsztatowego. Wyciągnął zza paska spodni smith & wessona Raya i wrzucił go do szuflady. Potrzebował czegoś znacznie bardziej przerażającego niż pistolet. Na ścianie za stołem przymocowana była gruba na trzy cale drewniana płyta, z wyciętymi otworami na narzędzia. Każdy dopasowany był do konkretnego przyrządu, każdy wyłożony zielonym aksamitem. Kolejne stolarskie dzieło, które wyszło spod rąk Johnny'ego Four-Fingers.

Tony potoczył wzrokiem po płycie, by w końcu zdecydować się na obcęgi Craftsman Robo-Grip. Uzbrojony w kombinerki, odwrócił się i spojrzął na Joey'ego i Rocca, po czym wycelował obcęgami w Shane'a.

- Podnieście go.

Kiedy dwóch mięśniaków postawiło byłego gliniarza na nogi, Tony uniósł obcęgi i kilkakrotnie kłapnął ich wielkimi szczękami.

- Ściągnijcie mu spodnie.

↓

- Tu numer dziewięć-jeden-jeden - powiedział kobiecy głos w słuchawce. - Co się stało?

Jenny objechała właśnie ślepy zaułek i zatrzymała się na drugim końcu ulicy Tony'ego.

Nie było czasu, żeby wyjaśniać policji całą sytuację. Pomoc była potrzebna i to już. Wyszepiała z paniką w głosie, jak kobieta drżąca o własne życie, ale i bojąca się, że ktoś może ją usłyszeć.

- Pomocy! Mój mąż chce mnie zabić - podniosła głos, dodając - potrzebuję pomocy policji.

- Skąd pani dzwoni? - spytała telefonistka. - Pani adres nie wyświetla się na ekranie.

- Dzwonię z komórki. Proszę przysłać policję, na miłość boską!

- Proszę się uspokoić. Muszę wiedzieć, gdzie pani jest.

Zapamiętała adres Tony'ego z jego skrzynki na listy.

- Dwa, trzystaście, Spruce Street, Kenner.

- Mówiła pani, że...

- Czy policja już jedzie? - wcięła się Jenny.

Telefonistka milczała sekundę, po czym odpowiedziała:

- Pomoc jest już w drodze, proszę pani. Proszę spróbować zachować spokój. Czy pani mąż ma broń?

Jeśli odpowie, że tak, pewnie przyjadą szybciej.

- Tak, ma broń, w całym domu.

- Jak się nazywa?

- Tony - odpowiedziała Jenny. - Nazywa się Tony Zello. O Boże! On tu idzie! - wydyszała do telefonu. - Jestem w garażu. Potrzebuję pomocy. Proszę, na Boga, pomóżcie mi!

Jenny rozłączyła się. Następnie zawróciła i zaparkowała przy krawężniku, naprzeciw domu Tony'ego. Już po trzydziestu sekundach gdzieś w oddali rozległo się wycie policyjnych syren.

5

Shane szarpał się coraz bardziej, potęgując tym samym śmiech Tony'ego.

Joey i Rocco próbowali unieruchomić Shane'a, leżącego na plecach na podłodze, ale ten bronił się zaciekle i kilka razy prawie udało mu się uciec.

- Potrzebna wam pomoc, dziewczynki? - spytał Tony.

Dwóch mięśniaków przytrzymało Raya za ręce, każdy po jednej. Rocco napierał przedramieniem na jego szyję, wbijając mu głowę w cementową podłogę, podczas gdy Joey próbował tymczasem okiełznać jego nogi.

Tony kłapnął obcęgami parę razy dla samego dźwięku, który bardzo mu się spodobał i dla wyrazu przerażenia, malującego się na twarzy Shane'a. Tak naprawdę nie potrzebował od niego żadnych informacji. Chodziło mu tylko o dobrą zabawę.

Nagle z ulicy dobiegł krótki, ale rozzwierający uszy skowyt policyjnej syreny, a zaraz po nim głęboki ryk zbliżającego się potężnego silnika.

Tony zamarł w bezruchu.

Dobiegł go pisk opon samochodu, hamującego ostro tuż przed jego domem. Joey, Rocco i Shane przestali się szamotać.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi, po chwili następny. Potem głosy. A potem jeszcze jeden samochód, zatrzymujący się z piskiem opon. Znowu trzaskanie drzwiami, kolejne głosy. I w końcu walenie do drzwi.

Na ociekającej krwią twarzy Raya Shane'a wykwitł szeroki uśmiech.

Tony popędził przez dom do drzwi wejściowych i wpuścił gliniarzy. Miał do wyboru: sam im otworzyć albo czekać, aż wyważą drzwi. Było ich pięciu: czterech gliniarzy z Kenner i zastępca z parafii Jefferson:

- Co się panu stało w ucho? - spytał jeden z policjantów z Kenner ze stopniem sierżanta, podczas gdy pozostali gliniarze zaczęli rozglądać się po domu.

Tony przyłożył do ucha rękę, zdając sobie sprawę, jak okropnie to wszystko wygląda.

- Bawiłem się z psem.

- Gdzie pańska żona?

- Na zakupach.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego do cholery pytają o jego żonę. On sam z pewnością miał to gdzieś, tak długo, jak nie było jej tutaj.

Dwóch gliniarzy udało się prosto do kuchni. Wskazując na drzwi pralni, jeden z funkcjonariuszy spytał:

- A te drzwi to dokąd?

Tony czuł, że serce zaraz wyrwie mu się z klatki piersiowej, ale zdołał zapanować nad głosem.

- Do pralni.

Najwyraźniej gliniarzowi to nie wystarczyło.

- Jak dostać się do garażu?

„Tylko spokojnie” - mówił sobie w myślach Tony. Wiedział, że nie uda mu się od tego wykręcić. Mimo że miał do czynienia ze zwykłymi gliniarzami z Kenner wiedział, że NOPD potrafili złoić dupę, nawet jeśli tylko krzywo się na nich spojrzęło - to byli prawdziwi gliniarze. Wyluzowany styl policjantów z Kenner był jednym z powodów, dla



których tak wielu mafiosów i dilerów wprowadzało się właśnie tutaj.

Dwóch policjantów przeszło z kuchni do pralni, a potem do garażu. Tony podążył w ich ślady, wstrzymując oddech, a tuż za nim udał się sierżant.

W garażu Rocco i Joey siedzieli po obu stronach kanapy, z Rayem Shane 'em pośrodku. Telewizor był włączony, a na ESPN relacjonowano właśnie studencki mecz koszykówki. Tony odetchnął z ulgą.

Gliniarze kazali wszystkim wstać i okazać dokumenty. Sierżant zmierzył wzrokiem Raya.

- To też sprawka psa?

Tony tak mocno spiął tyłek, że nie mógłby pierdnąć nawet, gdyby zależało od tego jego życie.

- Spadłem z drabiny - odpowiedział Shane.

„O co tutaj chodzi?” dziwił się Tony. Odpowiedź Raya zdumiała go, ale wiedział, że musi zapanować jakoś nad tą sytuacją, żeby nie trafić za kratki.

- Gdzie jest pańska żona? - powtórzył sierżant.

- Już mówiłem, na zakupach.

- Musimy się rozejrzeć dla pewności, że nie ma jej gdzieś tutaj.

- Ale dlaczego?

- Ktoś podający się za pańską żonę zadzwonił na 911 i powiedział, że chce ją pan zabić.

W garażu pojawili się jeszcze jeden policjant z Kenner i zastępca szeryfa. Zastępca potrząsnął głową, patrząc na sierżanta.

Niebywała sytuacja, pomyślał Tony. Dom pełen glin, facet pobity jak cholera i póki co nikt nie został aresztowany.

W chwili, gdy sierżant wyciągał notes z tylnej kieszeni, Shane posłał Tony'emu szeroki uśmiech, a następnie przyłożył rękę do głowy. Ugiął kolana, po czym osunął się na kanapę, jęcząc. Był to najgorszy występ aktorski, jaki Tony kiedykolwiek widział.

Jeden z gliniarzy, młody chłopak o wyglądzie świeżego absolwenta akademii, usiadł koło Shane'a.

- Proszę pana, czy wszystko w porządku?

- Chyba mam wstrząs mózgu - Shane opadł na bok. - Czy mogliby mnie panowie podwieźć do szpitala?

Sierżant nacisnął przycisk mikrofonu nadajnika przyczepionego do swojego barku i wezwał karetkę.

Tony aż kipiał z wściekłości.

# Rozdział dwudziesty czwarty

- Kiedy zobaczyłam karetkę, pomyślałam, że nie żyjesz - powiedziała Jenny.

- Było blisko - oznajmił Ray, siedzący na miejscu pasażera w firebirdzie, podczas gdy Jenny wiozła ich z powrotem do hotelu. - Uratowałam mi życie.

- Wiedziałam, że w tej karetce to musisz być ty. Nie miałam pojęcia, co innego mogę zrobić, więc pojechałam za tobą do szpitala.

Jego ucho krwawiło, więc przyłożył do niego wacik kosmetyczny, który Jenny wygrzebała w torebce.

- Powinieneś być zostać, żeby obejrzał cię lekarz - skarciła go.

- Tony już pewnie jest w szpitalu i mnie szuka.

- Co się tak właściwie stało?

- Kiedy policja zaczęła walić w drzwi, Tony nie miał wyboru - musiał je otworzyć. Joey zajrzał do kuchni, zobaczył, że to gliny, przybiegł do garażu i poinformował Rocca. Rocco mało nie posrał się ze strachu. Obiecał mi, że jeśli będę trzymał język za zębami, puści mnie wolno, jak tylko gliniarze sobie pójdą.

- Dlaczego nie powiedziałaś policji, co się dzieje? Mogli aresztować całą trójkę.

Potrząsając głową, Ray skrzywił się z bólu. Pomyślał o martwym Dylanie Sylvestrze w jego mieszkaniu. Martwym od kulki, którą sam posłał mu w głowę.

- Dzieją się pewne rzeczy, z których niekoniecznie chcę się tłumaczyć policji.

I właśnie wtedy przypomniał sobie smith & wessona. „Cholera, wciąż był w garażu Tony’ego” - uświadomił sobie Ray.

- Pomogliby ci.

- Już to zrobili. Tak samo ty. Kiedy powiedzieli, z jakiego powodu przyjechali, od razu wiedziałem, że to na pewno ty wymyśliłaś ten kant.

- Na nic innego nie byłam w stanie wpaść.

- Nie pozwoliłbym im wyjść beze mnie, nawet gdybym musiał

przywalić któremuś w twarz i trafić za to do więzienia.

- Jak udało ci się wyjść tak szybko ze szpitala?

- Nie ma prawa, które nakazuje ci zgodzić się na jakiegokolwiek leczenie - odsunął wacik od ucha i zobaczył świeżą krew. Od uderzenia pistoletem pękła mu błona bębenkowa. - Kiedy karetka dowiozła mnie na miejsce, powiedziałem pielęgniarce, że czuję się już znacznie lepiej.

Jenny spojrzała na niego.

- I wypuścili cię?

- Chcieli, żebym podpisał jakiś formularz o rezygnacji z opieki medycznej.

- I podpisałeś go?

- Kiedy tylko pielęgniarka poszła po niego, po prostu stamtąd wyszedłem.

- Gdy zadzwoniła moja komórka, omal nie wyskoczyłam ze skóry.

- Skorzystałem z automatu w kawiarni. Całe szczęście, że zapisałaś mi swój numer na ręku.

Ray położył rękę na jej kolanie.

- Dzięki.

Jenny zdjęła dłoń z kierownicy i przykryła nią jego dłoń.



Następnego poranka Ray czuł się cholernie źle. Ucho dawało mu się we znaki tak mocno, że przez całą noc prawie nie zmrużył oka. Jenny zamówiła śniadanie do pokoju. Kiedy przyniesiono jedzenie, położyła wszystko na niewielkich rozmiarów okrągłym stoliku, wciśniętym w kącie obok urządzenia klimatyzacyjnego. Usiedli naprzeciw siebie na obitych cienką warstwą materiału drewnianych krzesłach.

Po dwóch filiżankach kawy i trzech papierosach, Ray poczuł się lepiej. Chrupiąc kawałek tosta, powiedział:

- Muszę wrócić do domu Tony'ego.

Jenny przerwała jedzenie melona.

- Chyba oszalałeś!

Nie tylko ucho nie pozwalało mu zasnąć w nocy.

- Ale Tony ma ten pistolet.

- Jaki pistolet?

- Pistolet, który miałem zeszłej nocy. Ten, który wziętem z mieszkania Dylana Sylvestra. To właśnie z niego chciał mnie zastrzelić w Domu.

- A jak on trafił w twoje ręce?

- Zabrałem mu go.  
- Teraz ma go Tony, więc co z tego? - spytała.  
- Są na nim moje odciski palców.  
- To duży problem?  
- Jestem byłym skazańcem. Moje odciski palców na tym pistolecie mogą posłać mnie z powrotem do więzienia.

Jenny odsunęła talerz.

- Przecież Tony nie musi go od razu zanieść na policję?  
- On dobrze wie, jak to działa. Jeśli będzie próbował mnie zrobić, wystarczy jedynie, że dostarczy pistolet w odpowiednie ręce. Z takim dowodem Carl Landry może mnie wsadzić.

- Landry jest czysty. Nie ma nic wspólnego z Tonym.

Ray skinął głową.

- Carl Landry jest czysty jak łza, ale obwinia mnie o to, że jego starszek trafił do więzienia i nie przepuści szansy, żeby mnie tam z powrotem posłać. Jeśli będzie musiał, dogada się nawet z Tonym.

- I to wszystko tylko po to, żeby dorwać byłego skazańca z jakimś tam pistoletem?

Ray wbił w nią wzrok.

- Sylvester nie żyje i zginął zastrzelony właśnie z tej broni.

- Co takiego?

Ray opowiedział jej, co zdarzyło się w mieszkaniu Sylwestra. Kiedy skończył, była w zbyt wielkim szoku, żeby wydusić choć jedno słowo.

- Muszę zabrać ten pistolet - odezwał się w końcu Ray.

- Jak chcesz go zabrać, skoro jest teraz w garażu Tony'ego!

- Muszę dostać się do jego domu, kiedy będzie w pracy.

- Chcesz trzymać się z dala od więzienia i dlatego właśnie włamujesz się do czyjegoś domu? I to w dodatku do domu Tony'ego?

Gdzie omal nie zginąłeś?

- Jenny, nie mam wyboru. Muszę odzyskać tę spluwę. Jeśli Tony dowie się, że ma na mnie takiego haka, wykorzysta to bez chwili wahania.

Jenny potrząsnęła głową. Na jej twarzy malowała się odraza.

- A co z jego żoną?

- Według Charliego Królika znika z domu prawie każdej nocy.

- Myślałam, że zamierzasz się zmienić - powiedziała szeptem.

Jej oczy błyszczały od łez.

Ray wziął ze stołu paczkę lucky strike'ów i stukawszy nią w blat, wyciągnął jednego papierosa. Włożył go do ust, uniósł zapalniczkę i

pstryknął nią. Nic to nie dało, więc pstryknął jeszcze raz. Ciągłe nic. Z papierosem zwisającym między wargami, obrócił kółko zippo jeszcze parę razy, ale przeklęte cholerstwo nie chciało się zapalić.

- Mają tu może jakieś zapałki? - spytał.

- A jeśli Tony wróci do domu, kiedy ty tam będziesz?

Ray czuł wzbierające zdenerwowanie. Wyciągnął rękę.

- Poczekaj sekundę.

Wstał i rozejrzał się po pokoju. Na nocnym stoliku, wewnątrz hotelowej popielniczki, dostrzegł kartonik zapałek. Usiadł z powrotem na krześle i zapalił papierosa, po czym wciągnął dym w płuca. Zaciągnął się jeszcze raz i nerwy zaczęły się uspokajać. Rzucił zapałki na stolik. Jenny przypatrywała mu się, wciąż czekając na odpowiedź.

Ray spojrział na nią przez obłok dymu unoszący się między nimi.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Pytałam, co zrobisz, jeśli Tony wróci do domu.

- I tutaj właśnie do gry wkraczasz ty.

Jenny uniosła ze zdziwieniem brwi.

- O czym ty mówisz?

## 5

Jenny dotarła do baru kwadrans przed dziewiątą. Miała wystarczający zapas czasu, żeby wypić samotnie drinka. Z alkoholem pulsującym w żyłach pójdzie jej łatwiej. W Carousel Lounge w Monteleone Hotel kłębił się tłum ludzi. Pomieszczenie pełne było drogich garniturów, przepięknych sukienek i połyskującej biżuterii. To był najstarszy i najbardziej luksusowy hotel w French Quarter.

Cały poranek straciła, kłócąc się z Rayem. Powiedziała mu nawet w którymś momencie, że odchodzi i wyjeżdża do Kalifornii. Mógł sobie próbować robić porządek ze swoim pieprzonym życiem, ale bez niej. Jednak nie wyjechała i jeszcze zanim nastąpiło popołudnie, przystała na jego plan.

Ray poinstruował ją:

- Umów się z nim w barze. Zamówcie parę drinków i podtrzymuj rozmowę. Potrzebuję tylko godziny.

- O czym mam z nim rozmawiać? - spytała. Ray nie miał dla niej żadnej konkretnej rady - typowe. Przyszedł jej jednak do głowy pewien pomysł.

- Powiem mu, że o nim myślałam.

Taki pomysł nie do końca przypadł Rayowi do gustu. Jenny miała mu

do powiedzenia tylko jedno: „no to masz cholernego pecha”. Albo zrobi to po swojemu albo wcale.

Punktualnie o dziewiątej do Carousel wkroczył wolnym krokiem Tony. Jenny siedziała przy słynnym obrotowym barze. Zajmując miejsce na stołku obok niej, Tony powiódł palcem po jej plecach. Miała na sobie mocno wyciętą z tyłu sukienkę i dotyk jego palca przyprawił ją o gęsią skórę. Sukienkę kupiła w Lakeside Mall w Metairie, w drodze do miasta. Tony, ubrany w jedwabny garnitur, prezentowałby się jak z okładki magazynu GQ<sup>[27]</sup>, gdyby nie obandażowane ucho. Wezwał barmana i zamówił drinka. Następnie zwrócił się do Jenny:

- Zaskoczyłaś mnie.

- Co ci się stało? - wskazała na bandaż.

Machnął ręką.

- Nic takiego.

- Co konkretnie cię zaskoczyło? - spytała.

- To, że zadzwoniłaś. Myślałem, że już mnie nie lubisz.

Jenny wzruszyła ramionami.

- Jestem zmienna w uczuciach.

Tony uśmiechnął się szeroko, jak kot, który właśnie połknął kanarka. Kiedy barman przyniósł Tony'emu jego szkocką z wodą sodową, Jenny zauważyła, że nie poprosił o pieniądze. Zamówiła jamesona z lodem i zerknęła na zegar za barem. Ray powiedział, że potrzebuje godziny. Zostało jeszcze czterdzieści pięć minut.

Tony odwrócił do niej twarz, opierając się na barze prawą ręką.

- Więc o co chodzi?

- O nic. Po prostu chciałam się z tobą zobaczyć.

- Nie było cię ostatnio w pracy.

Potrząsnęła głową.

- Odeszłam.

- Naprawdę? - w jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie. I co zamierzasz teraz robić?

Barman postawił przed Jenny drinka, znowu nie prosząc o pieniądze. Upiła spory łyk, żeby się trochę uspokoić.

- Nie mam jeszcze konkretnych planów - odpowiedziała.

Palcami lewej ręki Tony powiódł po odsłoniętym ramieniu Jenny, kreśląc na nim kształt koła.

- Może mógłbym jakoś pomóc?

- Zastanawiam się nad wyjazdem z miasta.

Odsunął rękę.

- Dokąd chcesz jechać?

- Tego też nie wiem - wzruszyła ramionami.

- W ogóle niewiele wiesz, prawda?

Jenny rzuciła pierwszą odpowiedź, jaka przysła jej do głowy:

- Wiem, że potrzebne mi będą pieniądze.

Tony zamieszał drinka palcem, a następnie upił łyk.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Ciągłe szukasz Raya?

- Pytasz o swojego byłego faceta?

Skinęła głową, pociągając whisky.

- Wiesz, gdzie on jest? - spytał znowu Tony.

- Nie, ale moja znajoma wie.

Tony wyciągnął telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki. Podał go Jenny.

- Zadzwoń do niej.

Ostentacyjnie sprawdziła godzinę.

- Nie ma jej teraz w domu.

- Skąd wiesz?

- Jest pielęgniarką. Od drugiej do dziesiątej pracuje na izbie przyjęć w Touro Hospital.

Tony wsunął komórkę z powrotem do kieszeni, po czym dopił drinka. Wstając, wyjął z kieszeni koszulki długopis i zapisał na serwetce numer. Następnie podał go Jenny.

- Zadzwoń do mnie, kiedy się z nią skontaktujesz.

Tony prawdopodobnie nie wybierał się jeszcze do domu, ale Jenny nie mogła być tego do końca pewna. W każdym razie nie minęła jeszcze godzina. Przełknęła głośno ślinę i położyła rękę na ramieniu Tony'ego. Miała wrażenie, jakby dotykała węża.

- Ile z tego dostanę?

- Zobaczymy.

Zaczął odchodzić od baru, ale przytrzymała go za ramię.

- Musisz już iść? Moja znajoma będzie w domu za godzinę.

Nawet jego uśmiech przywodził na myśl węża.

- Co będziemy robić przez tę godzinę?

Choć żołądek wywrócił się jej na drugą stronę, Jenny zmusiła się do zachęcającego uśmiechu.

- Może załatwisz nam jakiś pokój?

Ray minął firebirdem Jenny ślepią uliczkę, na której znajdował się dom Tony'ego. Ani jego lincolna, ani jaguara Priscilli nie było nigdzie widać. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał pięć po dziewiątej. Jeśli Charlie miał rację, pani Zello nie nocowała zbyt często w domu. Ray musiał znaleźć smith & wessona, potem dostać się jakimś sposobem do Carlosa Messiny, a potem próbować udowodnić bezpośrednio przed Starym, że jest niewinny.

Zaparkował parę ulic dalej i do domu Tony'ego udał się pieszo. Ot, zwyczajny facet z sąsiedztwa, który wybrał się na spacer.

Znak na froncie domu ostrzegwał, że jest on chroniony przez system alarmowy. Jednak takie znaki były często tylko blefem. W domu Tony'ego mógł być założony alarm albo równie dobrze mogło go nie być. Tak czy siak, alarm prawdopodobnie nie obejmował garażu. Jednak Ray i tak musiał to sprawdzić. Dodatkowa strata czasu. Przycupnął w ciemnym kącie obok garażu i dokładnie przyjrzał się oknu w poszukiwaniu jakichś czujników. Kiedy był zupełnie pewny, że na oknach nie ma zamontowanego żadnego alarmu, wybił szybę i przykucnął. Postanowił zaczekać piętnaście minut. Jeśli w garażu był jednak system antywłamaniowy albo jeśli jeden z sąsiadów usłyszał dźwięk tłuczonego szkła, gliniarze pojawiliby się właśnie w ciągu kwadransa. Policja nie pojawiła się, więc Ray sięgnął przez wybitą szybę i otworzył okno. Popchnął je i wszedł do środka. Oświetlając pomieszczenie małą ledową latarką, zaczął przeczesywać garaż.

W drewnianym lakierowanym stole warsztatowym mieściło się sześć szuflad, ułożonych jedna nad drugą, po trzy w dwóch rzędach. We wszystkich znajdowała się jedynie kupa rupieci. Ray znalazł karty do gry, kawałki kabla, jakieś narzędzia i długi zwój kabla koaksjalnego.

„Tony musi kraść kablówkę od sąsiada, tak jak ja” - pomyślał.

Ale ani śladu pistoletu.

Ray omiół światłem latarki resztę garażu. Pistoletu nie było ani na niskim stoliku, ani na szafce obok telewizora. Sprawdził kanapę, przerzucił poduszki, zajrzał wszędzie, gdzie mógłby zmieścić się pistolet.

Nic.

Zerknął na świecące cyfry zegarka. Dziewiąta trzydzieści.

Na ścianie obok drzwi prowadzących z garażu do pralni, znajdował się panel sterowania systemu alarmowego. Na cyfrowym wyświetlaczu widniał napis „Gotowy”, a czerwona dioda pod słowem „Dozór” była



zgaszona. Alarm w żaden sposób nie ochroni twojego domu, jeśli go nie włączysz. Ray musiał znaleźć ten pistolet, a więc musiał dostać się do domu Tony'ego.

Metalowe drzwi prowadzące do pralni posiadały zamek wyjątkowo kiepskiej jakości. Ray poradził sobie z nim w minutę, przy użyciu śrubokręta wygrzebanego z szuflady stołu warsztatowego.

Alarm milczał. Żadnych dźwięków ostrzegawczych. Jak na razie szło mu dobrze.

W domu gdzieś palilo się światło, ale główna sypialnia spowita była mrokiem. Ray zaczął od komody, oświetlając ją sobie latarką. Przeszukał wszystkie szuflady, ale nie znalazł tego, czego szukał. Następnie sprawdził łóżko. Przejechał rękoma pod poduszkami, zajrzał pod ramę, przesunął dłonią między materacem a sprężynami.

Tutaj też nic nie było.

Wszedł do garderoby. Na bocznych ścianach wisały ubrania, na tylnej - drewniane półki. Po jednej stronie wysoko zawieszony drążek ugiął się pod pokaźną liczbą męskich garniturów. Na dolnym drążku wisały spodnie i sportowe marynarki. Na podłodze w równym rzędzie stało kilka par butów, głównie mokasynów z lakierowanej skóry.

Po drugiej stronie widniał pojedynczy drążek obwieszony sukienkami, a pod nim niedbale rozrzucone damskie buty. Wśród co najmniej piętnastu par znajdowało się obuwie wszelakiego rodzaju - czółenka, buty na wysokim i płaskim obcasie, pantofle oraz para czerwonych szpilek z paseczkami.

Ray z doświadczenia wiedział, że w skutecznym przeszukiwaniu najważniejszy jest system. Zamierzał poruszać się od dołu do góry. Uklęknął i sięgnął ręką między starannie uporządkowane buty Tony'ego. Tuż przy tylnym rogu wyczuł pod palcami coś miękkiego. Sięgnąwszy nieco dalej, natknął się na pasek. Chwycił go palcami i pociągnął. Jego oczom ukazała się znoszona skórzana torba podróżna, długa na dwie stopy, z suwakiem na całej długości. Miała dwie zaokrąglone ręczki i długi pasek na ramię, zaczepiony po obu stronach na kółkach w kształcie litery D. Z jednego z kółek u nasady paska zwisała laminowana przywieszka. Informowała, że właścicielem jest Tony Zello i podawała jego adres domowy oraz numer telefonu. W razie zagubienia bagażu, przywieszka obiecywała bliżej nieokreśloną nagrodę, o ile bagaż trafiłby z powrotem do rąk właściciela.

Cokolwiek kryło się wewnątrz torby, ważyło naprawdę sporo. Ray rozsunał suwak. W środku znajdowały się pieniądze, cała masa pieniędzy.

Żadnych owiniętych banderolą plików, żadnych recepturek. Po prostu ogromna ilość trzymanej luzem gotówki różnego nominału, od setek do jednodolarówek. Żeby to wszystko policzyć, trzeba by było całej nocy, ale Ray wiedział już, jaka to była kwota. Zapewne gdzieś około trzystu tysięcy dolarów.

Trzysta tysięcy dolarów należących do Wschodzącego Słońca.

Choć zdumiało go to odkrycie, Ray nie tego szukał, zaczął więc znowu rozglądać się za pistoletem. Znalazł go na górnej półce, nad garniturami Tony'ego. Wrzucił broń do torby na stos gotówki i zasunął suwak.

Gdy wychodząc z sypialni omiótł snopem światła latarki komodę, coś na niej zabłyszczało. Była to zapalniczka Tony'ego. Ta pozłacana, którą dostał w prezencie od żony i której nie powstydziliby się sam Elvis. Na jej widok Ray przypomniał sobie, jak wielką ma ochotę na papierosa. Poklepał kieszenie spodni i uświadomił sobie, że zostawił zapałki w pokoju hotelowym Jenny. Wsunął zapalniczkę Tony'ego do kieszeni.



Leżąc samotnie na łóżku w pokoju w Monteleone, Jenny Porter czuła się jak szmata. Po policzkach zaczęły płynąć jej łzy. Przez prawie dwa całe dni było jej już całkiem nieźle z samą sobą. Pomaganie Rayowi sprawiło, że poczuła się dobrze. Dzięki odejściu z Domu poczuła się świetnie. Ale gdy przespała się z Tonym, wróciła do swojego stałego stanu - znów czuła się jak szmata.

O dziesiątej, kiedy Tony skończył już ją pieprzyć, kazał jej zadzwonić do znajomej pielęgniarki. Jenny podniosła słuchawkę hotelowego telefonu i wybrała numer własnego mieszkania. Nie miała automatycznej sekretarki, więc pozwoliła, by telefon dzwonił. Następnie powiedziała Tony'emu, że koleżanka nie odbiera.

W ciągu następnych piętnastu minut, kazał jej zadzwonić jeszcze trzy razy, aż w końcu się znudził.

- Masz mój numer - powiedział, wskazując na serwetkę leżącą na toalecie obok torebki Jenny. - Zadzwon do mnie, jak tylko się z nią skontaktujesz.

Jenny obiecała, że tak zrobi.

Tony otworzył drzwi i zrobił krok na zewnątrz, po czym przystanął na chwilę i spojrzał na nią.

- Musisz opuścić pokój w ciągu pół godziny - oznajmił. Potem posłał jej całusa. - Dobrze się bawiłem. Do zobaczenia, mam nadzieję.

Jak tylko zamknął za sobą drzwi, Jenny popędziła do łazienki i

zwymiotowała.

## Rozdział dwudziesty piąty

Słowa Jenny były dla Raya jak cios obuchem w głowę.

Zanim był w stanie cokolwiek z siebie wydusić, musiał głęboko odetchnąć.

- Co zrobiłaś? - spytał po chwili drżącym głosem.

Oczywiście wcale nie chciał, żeby jeszcze raz opowiedziała mu, co się zdarzyło. Usłyszał wszystko bardzo wyraźnie już za pierwszym razem. Pieprzyła się z Tonym Zello. Znowu.

Byli właśnie w pokoju hotelowym. Jenny stała przy umywalce i patrzyła na odbicie Raya w lustrze. Po policzkach ściekały jej strumienie łez. Nie miała zamiaru mówić o tym po raz kolejny. Było jej wystarczająco ciężko powiedzieć to na głos nawet jeden raz. Ale próbowała wytłumaczyć się ze swojej decyzji.

- Chciał już iść - broniła się. - A było dopiero piętnaście po dziewiątej. Mówiłeś, że będziesz potrzebował godziny.

Ray stał po drugiej stronie pokoju, przy drzwiach.

- I dlatego postanowiłaś wskoczyć z nim do łóżka.

Uderzyła swoją drobną pięścią o brzeg umywalki i przysunęła się bliżej lustra, jakby chciała przybliżyć się do Raya, stając twarzą w twarz z jego lustrzanym odbiciem.

- Musiałam coś zrobić - krzyknęła. - On chciał sobie pójść!

Gdy początkowy szok ustąpił, Ray poczuł się po prostu zraniony. Musiał skupić się na czymś innym. Na przykład na złości. Wzbierała w nim potrzeba, by również ją zranić, nie fizycznie - do tego nigdy by się nie posunął - ale emocjonalnie, tak jak ona zraniła jego. Przygwoździł ją spojrzeniem i powiedział:

- Dziwką zostaje się na całe życie.

Odwróciła wzrok. Jej ramiona drżały od cichego szlochu. „Zupełnie jak ostatnim razem”, pomyślał Ray.

Jak tylko zostawił ją samą, poszła pieprzyć się z kimś innym. Poprzednio nie było go przez pięć lat, ale teraz minęły tylko dwie pieprzone godziny, i ona znowu to zrobiła. I to z tym samym facetem!

Ray pochylił się i podniósł z podłogi skórzaną torbę Tony'ego. Kiedy się wyprostował, zakręciło mu się w głowie, pewnie z głodu. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio jadł. Trzeba zapomnieć o Jenny Porter, powiedział sobie. Poza nią miał jeszcze mnóstwo innych zmartwień.

Torba ważyła chyba z tonę.

Ray wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu Jenny i rzucił je na łóżko. To samo zrobił z kluczem do pokoju. Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy, odbijające się w lustrze łazienki. W końcu Ray odwrócił wzrok, otworzył drzwi i wyszedł, głośno nimi trzaskając.

## 5

Taksówkarz wysadził Raya przy serwującej owoce morza restauracji, ćwierć mili od jego mieszkania.

Była północ.

Na dalekim końcu West End Boulevard, przy brzegu jeziora Pontchartrain, znajdował się parking otoczony pierścieniem zabitych deskami barów i nieczynnych restauracji.

Miejsce to, niegdyś tętniące życiem, było teraz niczym miasto-widmo. Tylko jedna restauracja jeszcze nie zbankrutowała, ale i tak zamykano ją o dziesiątej, więc nawet ekipa sprzątaczy poszła już dawno do domu.

Ray upchnął torbę Tony'ego pod kontenerem na śmieci za restauracją. Jeśli Tony albo któryś z jego goryli czekali na niego w jego mieszkaniu, potrzebne mu było coś, żeby móc się z nimi targować. Może nawet wymieni pieniądze na swoje życie.

Idąc w cieniu ulicznych lamp, Ray przemknął ostrożnie przez West End Park i usiadł przy stole piknikowym naprzeciw swojego mieszkania. Jego mustang wciąż stał przy krawężniku. Samochód był mu potrzebny. Ray postanowił czekać i obserwować. Po upływie pół godziny był niemalże pewien, że nikt nie ma na oku ani jego mieszkania, ani samochodu.

Wszedł tą samą drogą, którą ostatnio wyszedł, czyli przez tylne okno. Właściciel osłonił okno kawałkiem plastiku, przyklejonym taśmą i pozbierał większość odłamków szkła. Ray odkleił jeden z rogów plastikowego arkusza i wsunął się do środka.

Wewnątrz nie zmarnował ani chwili. W końcu istniała możliwość, że ktoś jednak obserwował mieszkanie, ktoś naprawdę sprytny, kogo Ray nie zauważył. A może teraz właśnie skradał się po schodach? Ray musiał wyjść stąd tak szybko, jak to możliwe. Kluczyki do samochodu leżały na podłodze, dokładnie tam, gdzie je upuścił. Ray wrzucił je do kieszeni i

wyszedł z powrotem przez okno.



W dawnych czasach, kiedy Ray pracował jeszcze w obyczajówce, było jasne, że nie zastanawiałby się nad tym ani sekundy. Gdyby jakimś cudem w jego ręce trafiło trzysta tysięcy zielonych, bez wątpienia zrobiłby tylko jedno. Spakowałby swoje graty i wyjechał, zostawiając za sobą swoją robotę, miasto, stan. Udałby się może na Florydę. Pracowałby na plaży, wypożyczając skutery wodne albo otworzyłby bar.

Ale teraz za bardzo się bał, by uciekać. Mieć te pieniądze było bardziej niebezpiecznie niż ich nie mieć. Bo ten, w czyich rękach się znalazły, zostanie obciążony winą za napad na Dom i zabicie Petera Messiny. W tym momencie był to Ray.

To ten sukinsyn, Tony. Nagle wszystko zaczęło stawać się jasne - jak w tych obrazkach, w które trzeba wpatrywać się przez dziesięć minut, zanim zobaczy się, co tak naprawdę przedstawiają. Ray spędził dużo czasu, gapiąc się na taki obrazek i w końcu widział go wyraźnie. Nietypowa prośba Hectora, żeby Ray, jak nigdy wcześniej, zastąpił go przy frontowych drzwiach. Wynajęcie do napadu facetów, których Ray kiedyś aresztował. Hector podziurawiony przez Tony'ego. Dylan Sylvester i jego słowa o wtyce z wewnątrz. Śmierć ekipy - Scooby'ego, Wopa i Eddiego. Nic nie zdarzyło się przez przypadek. Teraz to rozumiał. Wszystkie te elementy składały się na plan, który miał na celu wrobienie Raya.

Po drugiej ucieczce ze swojego mieszkania Ray wynajął pokój w dziurze na Chef Menteur Highway. O drugiej nad ranem leżał w łóżku przy zgaszonym świetle, paląc papierosa i wpatrując się w mieniącą się w jego ręku zapalniczkę Tony'ego.

Przez ułamek sekundy rozważał nawet możliwość, że te pieniądze pochodziły skądś indziej - z przyjmowania zakładów, lichwy, a może z ciasteczek, które sprzedawała jego córka-skautka. Tony nie miał jednak żadnej córki-skautki ani córki w ogóle. Ray dobrze wiedział, skąd wzięły się te pieniądze: trzymane luzem banknoty o wszystkich możliwych nominałach, od jedynek do setek, dokładnie tak, jak w licznym Domu.

Raya wciągnięto w niezłe gównno.

Pytanie, które nie dawało mu spokoju od kiedy zameldował się w pokoju, brzmiało: co zrobić z całą tą gotówką?

Mógł zabrać pieniądze i wziąć nogi za pas. Ale wtedy spędziłby resztę życia, uciekając i bezustannie oglądając się za siebie. Macki braci Messina

sięgały daleko. Mógł też oddać pieniądze. Czemu nie? Zrobił tylko to, o co go poproszono. Znalazł kolesiów od napadu, przynajmniej dwóch, przy czym jednego nawet zabił. Ustalił, że to Tony Zello wszystko zorganizował. Nawet odzyskał pieniądze. Jeśli w życiu istniała sprawiedliwość, zostanie poklepany po ramieniu i nagrodzony za dobrą robotę. Ale życie nie było sprawiedliwe i Ray dobrze o tym wiedział.

Co ten pieprzony Tony sobie wyobrażał? Ray mógłby zrozumieć kogokolwiek innego. Napad na Dom był ryzykowny jak diabli, ale trzysta patyków to w końcu niemałe pieniądze. Ale Tony był mafiosem mianowanym, a mianowani nie okradali własnej rodziny. Dlaczego Vinnie upierał się, żeby to Ray znalazł ludzi, którzy zamordowali mu syna? I jak to się miało do faktu, że to Tony stał za skokiem? Chyba że siedzieli w tym razem. Ale co ze śmiercią Petera? Czyj to był pomysł?

W głowie Raya kłębiło się wiele pytań bez odpowiedzi. Jedyna kwestia, co do której nie miał wątpliwości, dotyczyła Hectora. Posłużył za przynętę, przywiązanego do palika kozła, wystawionego na pożarcie tygrysowi. Wystarczyło dać Hectorowi parę dolców, powiedzieć mu, żeby zrobił sobie przerwę o trzeciej i postarał się, by to Ray obstawiał za niego drzwi. Hector nie musiał wiedzieć nic więcej, a już na pewno nie o tym, że zaraz miał się odbyć napad.

Możliwe, że po skoku Hector przestraszył się i zaszył gdzieś, uświadomiwszy sobie, że się nim posłużono, ale że jest już zbędny. Najwyraźniej wykazał się większą bystrością niż Ray. Ten przyszczaty chłopak zrozumiał, co się szykuje i próbował uciec.

No i ta forsa. Ray był pewien, że Tony Zello oszaleje ze wściekłości, kiedy zorientuje się, że wszystko zniknęło. Pewnie zresztą już się zorientował. Ray miał nadzieję, że Jenny zostanie w hotelu. Jeśli zechce wrócić do domu, a Tony będzie żywić choćby cień podejrzenia, że mogła pomóc Rayowi, bez wątpienia ją zabije.

Istniało tylko jedno wyjście z tej opresji: oddać pieniądze. Jedyną osobą, która na pewno nie brała udziału w napadzie był Stary Carlos. Ale by pozwolono mu zobaczyć się ze Starym, musiałby najpierw przejść przez Tony'ego czy Vinniego, czego absolutnie nie mógł zrobić. Z drugiej strony, może jednak pozwolenie wcale nie było niezbędne? Rayowi zadźwięczały w pamięci słowa Charliego Królika: „Raz na tydzień stroi się i jedzie tam. Bez kierowcy, bez ochrony. Nie chce, żeby ktokolwiek się przy nim wtedy plątał”.

Do randki Carlosa zostały jeszcze dwa dni.

Były to prawdopodobnie dwie najdłuższe doby w życiu Raya.

Wydawały się nawet dłuższe niż jego pierwsze dwa dni w więzieniu. Cały czas padał deszcz, więc siedział zamknięty w czterech ścianach hotelowego pokoju, sącząc jamesona, paląc papierosy i oglądając telewizję. Nie mógł przestać myśleć o Jenny. W więzieniu miał przynajmniej jakąś rozrywkę - już sam fakt, że każdego dnia starał się utrzymać przy życiu, nie pozwalał mu się nudzić. W miarę upływu czasu Ray zaczął dzwonić do obsługi hotelowej i zadawać pytania odnośnie menu tylko po to, by usłyszeć głos żywego człowieka. Nudził się tak bardzo, że szczerze cieszył się na spotkanie ze swoim kuratorem sądowym.

Zaparkował mustanga na płatnym parkingu przy Poydras, niedaleko budynku federalnego. Torba z pieniędzmi i smith & wessonem leżały bezpiecznie w bagażniku. Jak zwykle spotkanie z kuratorem było krótkie, trwało mniej niż pół godziny.

- Ciągłe pracujesz, Raymond?
- Mówią na mnie Ray.
- No więc, Ray, ciągle pracujesz?
- Tak, proszę pana.
- Miałeś do czynienia z policją od naszego ostatniego spotkania?
- Nie, proszę pana.
- Kontaktowałeś się z jakimiś przestępcami?
- Nie, proszę pana.

Po spotkaniu, w holu na dole, Ray skinął głową strażnikowi, mijając punkt kontrolny.

Między kompleksem biurowym a sądem federalnym rozciągał się osłonięty łącznik. W połowie łącznika znajdowała się strefa odpoczynku z cementowymi ławkami, paroma betonowymi kwietnikami i stojącą popielniczką wypełnioną do połowy piaskiem.

Ray wyszedł z budynku i przechodził właśnie przez łącznik, kiedy stanął oko w oko z oficerem Carlem Landrym. Obok Tony'ego Landry był ostatnią osobą na ziemi, którą Ray miał ochotę spotkać.

- Co ty tutaj robisz? - spytał Landry.
- To miejsce publiczne - odpowiedział Ray. - Zwiedzam sobie.

Gliniarz uśmiechnął się.

- No tak, publiczne - wskazał ruchem kciuka gmach sądu. - Właśnie aresztowałem przestępcę poszukiwanego przez dwa hrabstwa za napad na



bank. Może ten śmieć to nawet jakiś twój znajomy?

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Carl - Ray chciał minąć policjanta i ruszyć w swoją stronę, ale ten stuknął go w splot słoneczny. Niezbyt mocno, ale Ray nie był na to gotowy i przez moment nie był w stanie złapać oddechu.

- A wiesz, jak go złapałem? - spytał Landry po chwili, podczas gdy Ray oddychał głęboko. - Ktoś go podkablował za pięćdziesiąt doliczów.

- Cieszę się twoim szczęściem.

- I tak sobie pomyślałem...

- Mam nadzieję, że nie bolało za bardzo - Ray znów próbował odejść, ale policjant przytrzymał go za ramię.

- Przez cały ten czas, który przesiedziałeś w więzieniu - zaczął Landry - zastanowiłeś się chociaż raz, kto cię wsypał?

- Federalni założyli podsłuch.

Oficer potwierdził ruchem głowy.

- Ale kto ich do ciebie doprowadził? Musieli na czymś oprzeć zaprzysiężone oświadczenie.

- Masz mi coś ważnego do powiedzenia czy może słuchanie własnego gadania sprawia ci przyjemność?

- Podobno zadajesz się znowu ze swoim dawnym kumplem.

- O kim ty mówisz?

- Słyszałem, że ty i LaGrange pocałowaliście się na zgodę - Landry wyszczerzył zęby. - Pozwól, że ci coś poradzę. Jeśli następnym razem będziesz chciał się spotkać z kimś ukradkiem, lepiej nie wybieraj garażu policji.

Ray wzruszył ramionami i odszedł.

Tym razem oficer nie zatrzymał go, ale kiedy Ray oddalił się na dobrych dwadzieścia stóp, Landry zawołał do niego:

- Jeśli będziesz miał zamiar go zabić, zrób to w moim okręgu. Z przyjemnością zajmę się śledztwem.

Ray zignorował go.

- Wyświadczyłbyś mi ogromną przysługę, gdybyś się go pozbył - krzyknął Landry.

- Tak bardzo go nienawidzisz? - spytał Ray, odwróciwszy się.

Landry skinął głową.

- Jest skorumpowany i jest kapusiem.

„Kapuś” - zastanowił się Ray.

- I jak się czujesz - wrzasnął Landry - ze świadomością, że twój partner cię wydał i posłał do więzienia?

Ray potrząsnął głową, myśląc, „tylko nie Jimmy”. Może teraz zrobił się z niego sztywny dupek, ale wtedy był w porządku. Po prostu złamał rękę i dostał zwolnienie na dwa miesiące. I tylko z tego powodu nie wplątał się w akcję z podsłuchem. Poszedł na dwumiesięczne zwolnienie... co zbiegło się wręcz idealnie z trwającą sześćdziesiąt dni operacją FBI... ot, zwyczajny zbieg okoliczności... tyle, że Ray nie wierzył w... Poczł tak gwałtowny ścisk w żołądku, że zachwiał się na nogach. Landry pokierował go na jedną z cementowych ławek.

- Usiądź sobie, Ray.

Ray usiadł, wsłuchując się w wyjaśnienia gliniarza.

Jakaś dziwka zadzwoniła do PIB, twierdząc, że LaGrange pobił ją w motelu na Tulane Avenue.

- Poturbował ją - kontynuował Landry. - Ale nie dlatego zadzwoniła. Okazało się, że LaGrange nie chciał jej zapłacić. Powiedziała, że na początku nie miała nic przeciwko paru numerkom za friko, żeby się jej nie czepiał, ale po jakimś czasie musiała to robić codziennie, co przeszkadzało jej w pracy. Więc postanowiła podkablować go PIB.

- Założyliśmy sprzęt do podsłuchu w jej pokoju w Rose Motel - kontynuował Landry - i złapaliśmy na filmie, jak LaGrange rżnie ją, a potem zastrasza, kiedy ona prosi go o pieniądze.

Według Landry'ego LaGrange bardzo chciał się jakoś dogadać. Obiecał więc, że wystawi oddział obyczajówki w zamian za zachowanie pracy i całkowitą nietykalność. Carl Landry senior pracował wtedy w obyczajówce. Z powodu konfliktu interesów Landry junior wezwał FBI. Okręgowy prokurator federalny spisał umowę z prawnikiem LaGrange'a. I wtedy LaGrange zaczął sypać. W oparciu o jego słowa federalni założyli podsłuch na podstawie nakazu sądowego. Wystarczyło sześćdziesiąt dni. Sześćdziesiąt dni, żeby pogrążyć wszystkich w oddziale. Wszystkich poza oficerem Jimmym LaGrange'em.

- I po tym wszystkim pozwoliłeś mu zostać w policji? - zdziwił się Ray.

Landry wzruszył ramionami.

- Ta decyzja nie zależała ode mnie.

- A dlaczego mi to wszystko powiedziałeś?

Oficer ponownie wzruszył ramionami.

- Pomyślałem po prostu, że powinieneś wiedzieć.

To nie był prawdziwy powód. Landry nawet nie naszczałby Rayowi na głowę, gdyby płonęły mu włosy. Coś innego musiało nim powodować. Rayowi przyszły na myśl słowa Landry'ego, które wypowiedział kiedyś w

Domu.

- Dlaczego odszedłeś z PIB?

- Potrzebowałem zmiany - na twarzy Landry'ego rysowało się napięcie.

Ray potrząsnął głową.

- Podaj mi prawdziwy powód.

Zanim odpowiedział, oficer wpatrywał się Rayowi w oczy przez kilka wyjątkowo długich sekund.

- Jeśli twój ojciec jest skorumpowanym gliniarzem, odsiadującym wyrok w więzieniu federalnym, nie ma dla ciebie miejsca w PIB.

Wciąż nie do końca o to chodziło.

- Nie daje ci spokoju, że LaGrange ciągle pracuje w policji? - spytał Ray, po chwili namysłu.

Landry spuścił wzrok, zatrzymując się na krawacie. Obiema rękoma poprawił węzeł, po czym wygładził go koniuszkami palców. Kiedy skończył, znowu spojrzał na Raya, szczerząc zęby w uśmiechu przywodzącym na myśl grymas trupiej czaszki.

- Ależ ani trochę mi to nie przeszkadza.

Następnie podniósł się i odszedł, zostawiając Raya w samotności.

Teraz wszystko było jasne. Landry nie mógł znieść myśli, że Jimmy LaGrange wciąż jest gliną. Informując go o tym, że to LaGrange był kapusiem, Landry chciał podpuścić Raya, licząc na to, że zacznie kipieć ze złości i zechce zemścić się na LaGrange'u.

Ray znał tę grę i nie zamierzał brać w niej udziału. Przynajmniej nie na zasadach Landry'ego.

## Rozdział dwudziesty szósty

Ray kierował się na wschód, prowadząc mustanga wzdłuż Chef Menteur Highway. Minawszy bary ze striptizem, azjatyckie salony masażu erotycznego, wietnamskie miasteczko, udał się w stronę moczarów, gdzie Chef Menteur nagle traciła swoją tożsamość i stawała się po prostu Highway 90. Dojechał do Sawmill Pass, po północnej stronie jeziora St. Catherine.

Choć wciąż położone w granicach Nowego Orleanu, miejsce to było tak odmienne od dotkniętej degradacją i gęsto zabudowanej reszty miasta, że równie dobrze mogło znajdować się po ciemnej stronie księżycy.

Nie było tu zupełnie nic poza ganiającymi ze strzelbami wieśniakami, furgonetkami i łodziami do połowu krewetek. W ciągu roku, który Ray przepracował w dystrykcie siódmym, dostał z tego rejonu może ze trzy zgłoszenia. Ci ludzie brali sprawy we własne ręce.

Ray wiedział, gdzie ma się kierować tylko dlatego, że w noc, kiedy niewiele się działo niektórzy gliniarze patrolowali okolicę w pobliżu łowiska Messinów. Starsi funkcjonariusze dystryktu siódmego zachowywali się jak nastolatki, raczące młodsze dzieciaki opowieściami o nawiedzonym domu w sąsiedztwie. Według policyjnej legendy w tym ustronnym miejscu mafia dopuściła się około tuzina morderstw i urządziła kilka maratonów tortur. Pomalowane na czerwono ściany miały za zadanie ukryć ślady krwi. Dawny sierżant Raya określił okoliczne bagno mianem wodnego grobu, w którym rzekomo spoczywały kości dziesiątek tych, którzy narazili się mafii. Ponoć aligatory kłębiły się tu w oczekiwaniu na kolejną ucztę.

Ale Ray w to nie wierzył, przynajmniej nie we wszystko.

Po przypadkowym spotkaniu z Carlem Landrym wrócił do motelu. Przez następnych kilka godzin jego myśli krążyły wokół Jimmy'ego LaGrange'a, dziwki z Tulane Avenue, Rose Motel, a w szczególności wokół pewnej martwej nastoletniej dziwki. Rozmyślał o tym, jak to cały oddział powędrował do pudła. Cały, z wyjątkiem Jimmy'ego LaGrange'a - Jimmy'ego Kapusia.

W końcu nadszedł czas na wizytę u Carlosa.

Ray opuścił pokój o dziewiątej wieczorem. Stary Carlos uchodził za rozsądnego człowieka, więc może dostrzeże, że Ray mówi prawdę. Niezbyt przyjemną, ale jednak prawdę.

Od czasu, gdy Ray był w tej okolicy po raz ostatni, minęły lata. Mało brakowało więc, by nie zauważył nieoznakowanej, wysypanej żwirem drogi, który prowadziła z autostrady w kierunku jeziora. Teren Messinów rozciągał się na powierzchni około pięciu akrów, przy czym pierwszą jego połowę stanowił gęsty las, więc do środka można się było przedrzeć tylko wzdłuż wąskiej drogi.

Opony toczące się po żwirze robią za dużo hałasu, więc Ray zgasił światła i zaparkował na miękkim poboczu. Z bagażnika wyciągnął skórzaną torbę z pieniędzmi i pistoletem należącym niegdyś do Dylana Sylvestra. Najpierw planował, że zostawi broń w samochodzie, w końcu wymachując pistoletem nie zdobywało się ani przyjaciół, ani zaufania, ale ostatecznie zdecydował się zabrać smith & wessona ze sobą, na wszelki wypadek.

Łowisko Messinów dzieliło od drogi sto jardów. Był to drewniany parterowy budynek, umieszczony na grubych słupach dziewięć stóp nad ziemią. Szerokie schody prowadziły do krytego ganku w przedniej części domu. Zaglądając pod budynek, Ray dostrzegł kolejne schodki, z tyłu, od strony jeziora. Na cementowej nawierzchni nieopodal domu zaparkowane były dwa samochody:

czarny czterodrzwiowy cadillac deville i rdzawoczerwony jaguar Priscilli Zello.

Do uszu Raya nie dobiegało nic poza odgłosami świerszczy w gęstwinie drzew i pluskiem wody delikatnie omywającej dok dla łodzi. Choć nie padało od zeszłej nocy, ziemia wciąż była przesiąknięta po ostatnich ulewach. Przez frontowe okno sączył się blask palącego się wewnątrz światła.

Zgodnie ze standardami dotyczącymi łowisk, miejsce było rozległe na co najmniej dwa tysiące stóp kwadratowych, z niemalowanymi, szorstkim deskowaniem, które nadawało mu rustykalny wygląd. Po trzech stronach granice lasu odsunięto na dwadzieścia jardów od budynku; brzeg jeziora znajdował się nieco dalej, jakieś trzydzieści jardów od domu. Ziemia między lasem i domkiem porośnięta była trawą. Schodząc ze żwirowej drogi, Ray poczuł pod stopami miękkość namokłej ziemi.

Gdy skradał się w kierunku domu, spod jego butów dobiegał na przemian: dźwięk przypominający cmokanie - gdy wędrowały do góry - i

chlupot, kiedy opuszczał je w dół.

Ale i tak było to lepsze niż chrzęst żwiru pod stopami. Minął przednie schody, potem dwa samochody, w końcu przystanął przy tylnych schodach. Wznosiły się aż do zadaszzonego ganku z drewnianą poręczą, znacznie mniej okazałego niż ten po drugiej stronie. Przyćmione światło rozświetlało łagodnie szyby balkonowych drzwi.

Ray rozważał przez chwilę, czy nie czmychnąć stąd, zabierając pieniądze i uciekając z miasta. Zacisnął jednak mocniej dłoń na rączce skórzanej torby i na palcach wszedł po schodach.

„Chyba zwariowałem” - pomyślał.

Na ganku Ray zatrzymał się przy drzwiach, zaglądając jak jakiś podglądacz do środka. Główną sypialnię oświetlało jedynie światło zza niedomkniętych drzwi łazienki, ale i ten delikatny blask wystarczył, by Ray zobaczył aż nadto. Dostrzegł grube dupsko Carlosa Messiny poruszające się rytmicznie między parą gładkich białych ud.

Dyszenie i stękanie Starego były ledwo słyszalne, zagłuszały je bowiem ostre okrzyki leżącej pod nim partnerki. Ray nie był w stanie dostrzec kobiety, bo wielki, łysy łeb Carlosa tkwił przy jej głowie na poduszce, zasłaniając ją. Nie było jednak wątpliwości, kito to taki.

Nie miałyby szans na sprawiedliwy proces, gdyby przerwał im teraz, musiał więc zaczekać. Jak człowiek przechodzący obok miejsca potwornego wypadku, nie mógł powstrzymać się od zerkania na nich. Po kilku minutach ruchy tyłka Starego stały się głębsze i szybsze, a krzyki kobiety ostrzejsze i krótsze. W końcu Carlos naprężył się cały i wykonał ostatni ruch tyłkiem, wydając długi jęk, po czym opadł na kobietę.

Prawie natychmiast zaczęła się wiercić pod jego ciężarem. Ojciec chrzestny mafii stoczył się z niej na plecy i otarł pot z twarzy kawałkiem prześcieradła. Priscilla Zello migiem odsunęła się od spoconego cielska Starego Carlosa.

Ray wyciągnął rękę i nacisnął klamkę. Szykował się już, by kopnąć drzwi, gdyby były zamknięte, ale obyło się bez tego. Pchnął je po prostu i wszedł do środka.

Łóżko znajdowało się po jego prawej pod ścianą, a po obu jego stronach stały nocne stoliki. Pani Zello siedziała na dalszym brzegu łóżka. Carlos Messina leżał bliżej drzwi na plecach, z zamkniętymi oczami i z owłosioną klatką piersiową ociekającą potem.

Priscilla pierwsza zobaczyła Raya. Wydała z siebie przeszywający wrzask, który przyprawił go o gęsią skórę. Tym razem krzyk był prawdziwy, w przeciwieństwie do odgłosów, które dochodziły z jej ust,

kiedy Carlos w nią wchodził. Jak przerażony kociak odsunęła się pod ścianę i zamarła w bezruchu. Stary wybałuszył oczy i przewrócił na bok, przodem do Raya. Szok na jego twarzy ustąpił miejsca wściekłości.

Ray wyciągnął wolną rękę.

- Panie Messina, muszę z panem porozmawiać. To bardzo pilne.

Priscilla wrzasnęła po raz kolejny. Carlos Messina obrócił się żwawo i spojrzał na nią. Było już za późno, gdy Ray zorientował się, że Stary wcale nie patrzy na nią, a na to, co znajduje się za nią, na stoliku nocnym po drugiej stronie łóżka. Czyli na dziewięciomilimetrową beretę.

Ray opadł na kolano i upuścił skórzaną torbę. Otworzył ją, szarpnąwszy za suwak i wyciągnął ze środka smith & wessona. Carlos przetoczył się przez Priscillę, wyciągając jedną rękę w kierunku pistoletu na blacie stolika. Ray przebiegł wzdłuż nóg łóżka do jego drugiego boku. Priscilla wytoczyła się na lewo, spod ciała swojego otyłego kochanka, z dala od stolika i beretty. Ray złapał smith & wessona oburącz i wycelował go w głowę Carlosa Messiny.

- Stój!

Carlos spojrzał na lewo, natykając się na lufę pistoletu Raya ledwie cztery stopy od swojej twarzy. Ręka Starego zatrzymała się mniej niż stopę od beretty.

- Chcę tylko porozmawiać - powtórzył Ray.

- Zabij go - pisnęła Priscilla z drugiej strony łóżka. - Zabij go!

Carlos powiódł wzrokiem na pistolet leżący na stoliku, a potem znowu na wymierzoną w niego broń. Widać było, że bawi się w geometrię, oszacowując kąty i odległości. Najwyraźniej uświadomiwszy sobie, że w tym działaniu wyjdzie na minus, Stary westchnął w końcu i usiadł.

Priscilla otworzyła oczy i usta ze zdumienia, patrząc na Carlosa tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Co ty robisz? - zapytała.

Obrócił się do niej i spokojnym głosem rozkazał:

- Zamknij się.

- Co takiego?

- To, co usłyszałaś - skierował uwagę na Raya. - Czego chcesz?

Ray rozluźnił nieco dłonie wokół pistoletu.

- Tylko porozmawiać. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- I mam niby uwierzyć, że wtargnąłeś do mojej sypialni i wyciągnąłeś pistolet właśnie, kiedy posuwałem dupę, tylko po to, żebyśmy mogli porozmawiać?

Priscilla Zello prychnęła w reakcji na „dupę”.

Ray zaczerpnął głęboko powietrza.

- Nie miałem wyboru.

Carlos utkwiał w nim wzrok. Ray przeszedł z powrotem wokół łóżka i podniósł torbę Tony’ego.

- Chcę, żebyś na to spojrział.

- Co to?

Oczy Priscilly Zello zmrużyły się w szparki i Rayowi wydało się, że rozpoznała to, co trzymał w ręku. Rzucił torbę na łóżko. Wylądowała nieco na boku, na wyciągniętych nogach Carlosa, skierowana otwartą stroną do Raya. Skinąwszy głową na Priscillę, Ray dodał:

- To własność jej męża.

- On kłamie! - krzyknęła.

Carlos uciszył ją jednym spojrzeniem.

- Co to jest? - spytał, nie dotykając torby.

Ray powiódł wzrokiem od Priscilli do Carlosa - oboje siedzieli oparci plecami o wezłowie, nadzy, żadne z nich nawet nie próbowało się zasłonić.

- Pieniądze - odpowiedział Carlosowi. - Nie przeliczyłem ich, ale domyślam się, że jest tu około trzystu tysięcy.

Carlos pochylił się do przodu, chwytając jedną z rączek torby i przyciągając ją do siebie. Zajrzał do środka. Następnie skinął głową, jak gdyby jego wprawne oko potwierdziło domysły Raya co do ilości. Spojrzał na Priscillę. Potrząsnęła głową.

- To nie jest torba Tony’ego.

- Spójrz na przywieszkę - powiedział Ray.

Carlos obrócił torbę, tak aby widać było przywieszkę bagażową. Znowu spojrział na Priscillę.

- Jest na niej jego nazwisko.

Oczy Priscilli skierowane były na Carlosa, ale jej palec powędrował w stronę Raya.

- Nie mogę uwierzyć, że go w ogóle słuchasz!

- On ma pistolet - wyjaśnił Carlos głosem tak spokojnym, jakby żadne zmartwienie nie zaprzętało mu głowy.

Skinęła głową na stolik nocny.

- Ty też masz pistolet. Może byś tak z niego skorzystał?

Stary posłał Rayowi spojrzenie mówiące „widzisz, co ja muszę znosić”. Ray wzruszył ramionami i przez ułamek sekundy zdawali się być zwyczajnymi kolesiami, którzy śmieją się razem z drobnego żartu. Po



chwili Carlos spytał:

- Skąd masz tę torbę?

- Ale to nie jest torba Tony'ego - oznajmiła znowu Priscilla. - Nigdy nie widziałam tej...

- Nie będę ci już więcej powtarzał - Carlos uniósł palce tuż przy jej twarzy. - Zamknij się.

Skinął na Raya.

- Zabrałem ją z domu Tony'ego - odpowiedział Ray. - Stawiam na to, że to pieniądze z napadu.

- A co ty robisz w moim domu? - ponownie wtrąciła się Priscilla. Carlos nie skarcił jej ani słowem za to, że odezwała się wbrew jego rozkazowi, nie odezwał się też do Raya. Pozwolił by pytanie unosiło się w powietrzu w oczekiwaniu na odpowiedź. Ray zrozumiał. To było dobre pytanie. Kącikiem oka dostrzegł krzesło stojące pod ścianą przy drzwiach łazienki. Przyciągnął je do siebie i usiadł.

- Poszedłem tam po pistolet - obrócił smith & wessona w dłoni. - Ten pistolet.

Jako że upiekło jej się ostatnim razem, Priscilla odezwała się znowu:

- On kłamie. To nie jest pistolet Tony'ego - warknęła.

Stary nie zwracał na nią uwagi.

- Nie powiedziałem, że to jego pistolet. Powiedziałem, że torba jest jego. Ale ten pistolet był u niego, a ja musiałem go odzyskać - Ray wskazał na torbę leżącą na kolanach Carlosa. - A to znalazłem w szafie, w jego sypialni.

- Wlazłeś do mojej szafy?!

Ray posłużył się pistoletem jako przedłużeniem palca, wskazując nim na pana Messinę.

- Ma pan swoich ludzi w dystrykcie ósmym. Kapitan je panu z ręki. Płaci pan za szkołę jego dzieciaków. Nie potrzebował pan mnie, żeby szukać tych typów.

- To był pomysł mojego brata.

- Założę się, że jeśli sprawdzi to pan dokładnie, okaże się, że tak naprawdę to pomysł Tony'ego.

- Dlaczego?

- Żeby mnie zrobić. Pieniądze były w jego... - wycelował smith & wessona w Priscillę. - W jej szafie.

Priscilla odwróciła się do Carlosa.

- Właśnie przyznał, że włamał się do mojego domu. Ukradł tę torbę i włożył do niej pieniądze, żeby zrobić Tony'ego.

Patrząc na Carlosa, Ray powiedział:

- Pieniądze już były w środku.

- Kłamiesz! - podniosła się i ruszyła w jego stronę. Zatrzymała się, gdy Ray wycelował w nią lufę pistoletu.

- Zdecyduj się. Albo nigdy nie widziałaś tej torby, albo ja ją ukradłem z twojego domu, żeby zrobić twojego męża. Jedno albo drugie.

Carlos pchnął ją z powrotem na łóżko.

- Siadaj.

Priscilla zasłoniła się kołdrą.

Messina znowu powiódł wzrokiem po pieniądzach, a potem spojrzał Rayowi prosto w oczy.

- Odważny jesteś, skoro się tutaj zjawiłeś i to w taki sposób. I nie wydaje mi się, że zrobiłeś to tylko po to, żeby wcisnąć mi jakieś gówno - wskazał na torbę. - Dlaczego jej sobie nie zostawiłeś?

- Nie jest moja.

- Mogłeś uciec. Wielu by tak zrobiło na twoim miejscu.

- Myślałem o tym. Ale ja nie chcę uciekać.

Stary skinął głową.

- Bramkarz - kontynuował Ray. - Chłopak o imieniu Hector został w to wplątany i Tony go zabił. Dwóch koleśków z ekipy - jeden zabił pana bratanka, a drugi nazywał się Sylvester. Aresztowałem go, kiedy jeszcze byłem gliną.

- Ale było ich czterech.

- Tych dwóch pozostałych nie znałem. Wynajęto ich do pomocy.

Priscilla zaczęła się podnosić.

- Nie mam zamiaru dłużej słuchać tych bzdur.

Carlos przytrzymał ją, wskazując na drzwi balkonowe.

- Tylko drgniesz, a wylecisz stąd przez te szklane drzwi.

Usiadła, splatając ręce na piersi.

- A co z moim bratem? - Carlos spytał Raya.

Był to temat, który Ray najchętniej by pominął. Choć nie miał wątpliwości co do Tony'ego, nie był do końca pewny, co z Vinniem. Nie była to dobra pora na domysły, ale ponieważ od przesywającego na wylot spojrzenia Starego nie sposób było uciec, Ray udzielił możliwie najbardziej neutralnej - i szczerzej - odpowiedzi.

- Nie wiem.

Prawdopodobnie była to zła odpowiedź.

Twarz Carlosa ściągnęła się, a kiedy przemówił, jego usta ledwo drgnęły:

- Co to, kurwa, znaczy: „nie wiem”?

- To znaczy, że jestem pewien, że to Tony zorganizował skok, posługując się ludźmi, których można było powiązać ze mną. Potem nalegał, żebym to ja ich ścigał, cały czas planując, jak zrzucić to wszystko na mnie. Ale czy pański brat był w to zamieszany, tego nie wiem.

Carlos Messina milczał przez prawie minutę. Ray zaczynał się pocić. Czuł nawet zapach potu. Pachniał strachem. Ważyło się teraz całe jego życie, zależne od decyzji starego człowieka, siedzącego nago na łóżku, z wielkim brzuszyskiem zwisającym nad kroczem. W międzyczasie Priscilla świdrowała Raya ostrym jak sztylet spojrzeniem.

Carlos spojrział na pieniądze w torbie, po czym skinął.

- Zabiję tego skurwysyna osobiście.

Ray nie wiedział, czy chodzi o Tony'ego czy Vinniego. I nigdy się nie dowiedział, bo Priscilla Zello popruła jak strzała na drugą stronę łóżka. Wyciągnęła nad Carlosem swoje długie ciało i pochwyciła berettę.

- Pieprznięta suka! - wrzasnął Carlos, zaciskając swe potężne ramiona wokół jej klatki piersiowej, ściskając jej nagie piersi, ale nie będąc w stanie jej zatrzymać.

Ray zerwał się z krzesła, przewracając je do góry nogami. Zrobił krok w prawo, w kierunku tylnych drzwi - w ruchomy cel trudniej trafić - podczas gdy Priscilla uniosła przed sobą pistolet i wystrzeliła w niego. Ray zobaczył żółty język płomienia buchający z lufy, ale przyływ adrenaliny przytępił jego zmysł słuchu i huk wystrzału dobiegł do jego uszu tylko jako głuchy trzask.

Priscilla leżała na prawym boku rozciągnięta na brzuchu Carlosa, który wciąż trzymał ją oburącz, usiłując zrzucić z łóżka. Stary prawdopodobnie odepchnął jej ramię, tym samym ratując Rayowi życie. Chybiła jedynie o sześć stóp. Ray raczej nie liczył na to, że Priscilla nie trafi również następnym razem. Wyciągając smith & wessona przed siebie, Ray wrzasnął:

- Rzuć broń!

Priscilla wygięła plecy jak zapaśnik, przyciskając Carlosa do wezgłowia. Trzymał ją mocno jedną ręką, a drugą wyciągnął, próbując chwycić berettę, ale odsunęła ją od niego, jakby przekomarzali się dla zabawy.

Ray przeszedł chyłkiem pod drzwi i jeszcze raz wrzasnął:

- Rzuć broń!

Priscilla walnęła Carlosa z całej siły łokciem w brzuch. Ten jęknął, wyrzucając przez usta haust powietrza. Opuścił ręce. Priscilla podciągnęła

się na kolana przed Carlosem, potem pochyliła do przodu i podpierając się jedną ręką, wymierzyła pistolet w Raya.

Ray wycelował smith & wesson czterydziesiątkę i dwukrotnie pociągnął za spust. Z tego, co się orientował, za pierwszym razem spudłował, a drugi pocisk przeleciał ze świstem pod jej wiszącymi piersiami i trafił ją w udo.

Beretta w ręku Priscilli ponownie błysnęła ogniem, posyłając kulkę w ścianę za plecami Raya. Ray znowu pociągnął za spust. Pierwsza kulka trafiła ją w kark i Priscilla wyprostowała plecy, wciąż klęcząc. Druga wbiła się jej nisko w brzuch, tuż nad ciemną kępką włosów łonowych. Trzecia chybiła i trafiła w ścianę, tuż nad wezgłowiem, odłupując jej kawałek. Priscilla poleciała do tyłu na Carlosa i zastygła w bezruchu, z oczami wywróconymi do góry i jedną ręką zwisającą z krawędzi łóżka. Ray usłyszał, jak beretta opada z hukiem na podłogę. Carlos jęknął, a jego oddech przeszedł w mokre rżenie. Ray podszedł do brzegu łóżka, trzymając broń opuszczoną przy nodze. Stary wodził oczami w lewo i w prawo i choć poruszał ustami, dobywał się z nich jedynie bulgot. Z dziury w klatce piersiowej tuż nad lewym sutkiem tryskał strumień krwi.

Priscilla leżała na plecach, na Carlosie. Jej jedwabista, porcelanowa skóra podziurawiona była w trzech miejscach. Krew spływająca z szyi częściowo przykryła jej piersi jak czerwony ślimak, ale ponieważ serce przestało już bić, ustało i krwawienie. Carlos wyciągnął w kierunku Raya dłoń. Ray ujął ją odruchowo. I wtedy mężczyzna wydał swoje ostatnie tchnienie, poprzedzone terkoczącym odgłosem, który wydobył się głęboko z jego piersi.

Ray opadł na podłogę. Jedno wiedział na pewno. Tym razem naprawdę miał przesrane. Nie było wątpliwości, że żadnym absolutnie żadnym sposobem, się z tego nie wywinie. Kiedy makaroniarze dowiedzą się, że zabił...

Nagle przez głowę przemknęła mu pewna myśl, jak cieniutki promyk światła. Myśl ta była niczym więcej, jak jednym słowem: „Jeśli”. Jeśli dowiedzą się, że zabił Carlosa Messinę. Spojrzał na dwa ciała. Nagie ciała, splecione w miłosnym uścisku. Dwoje kochanków, przyłapanych na gorącym uczynku. Dwoje martwych kochanków. Oto zbrodnia popełniona w napadzie furii, w szale zazdrości, przez zdradzonego męża. Ray podniósł berettę, zabezpieczył ją i wsunął pistolet za pas spodni.

Krześło powędrowało z powrotem pod ścianę, i zostało dokładnie wytarte kawałkiem koszuli Raya. Rozejrzał się za śladami swoich stóp, odcisniętych we krwi, ale nic nie znalazł. Postanowił, że kiedy już się stąd

wydostanie, wyrzuci buty, tak na wszelki wypadek. Podeszedł tyłem w kierunku drzwi, z torbą Tony'ego i smith & wessonem w dłoni, lustrując pokój w poszukiwaniu jakiegokolwiek zauważalnego śladu swojej obecności. Gdy znalazł się przy drzwiach, znowu użył swojej koszuli, wycierając kłamkę z obu stron.

Stojąc w progu, wyciągnął z kieszeni zapalniczkę Tony'ego, paskudny prezent od jego żony.

„Ale i tak psioczy, że palę. Mówi, że to niszczy jej ubrania”.

Żona Tony'ego nie paliła. Wydawało się zatem logiczne, że skoro jego zapalniczka znalazła się na terenie łowiska Carlosa Messiny, to i sam Tony też musiał tutaj być. Skoro leżała na podłodze, Tony musiał ją upuścić. Wtedy, kiedy przyłapał żonę w łóżku z Carlosem i zastrzelił oboje.

Ray pościskał zapalniczkę przez chwilę w dłoni, zostawiając rozmazane ślady. Technicy musieli znaleźć jakieś plamy, w przeciwnym razie pomyślą, że dowód został podrzucony.

Upuścił zapalniczkę na podłogę, a następnie zamknął za sobą drzwi.



Beretta wylądowała w bagnie. Jadąc Highway 90 z powrotem w kierunku miasta, Ray zatrzymał się na pierwszej stacji benzynowej, którą minął po drodze. Stacja była zamknięta. Tutejsi ludzie wcześniej wracali do domu. Z boku budynku, przy toaletach, wisiał telefon na monety.

Podniósł słuchawkę przez rąbek koszuli i wykręcił 911. Powiedział telefonistce, że mieszka w sąsiedztwie i że właśnie wyprowadzał psa, gdy zaalarmowały go odgłosy strzałów dobiegające z łowiska Messinów. Nie, nie chciał podawać swojego nazwiska. Dlatego właśnie zadzwonił z automatu. Przecież chyba orientowała się, kim jest Carlos Messina. Nie chciał się w nic mieszać. Po prostu zawiadomił policję, że słyszał strzały, w razie gdyby ktoś miał potrzebować pomocy. Czy ktoś jest ranny? - spytał głos po drugiej stronie słuchawki. Nie był pewien, ale słyszał strzały, a to chyba zazwyczaj oznaczało, że komuś się coś stało, prawda?

Zanim się rozłączył, Ray poinformował telefonistkę o jeszcze jednej rzeczy: zaraz po odgłosach strzałów zauważył mężczyznę odjeżdżającego zielonym samochodem. Nie miał pewności co do rodzaju, ale samochód był duży i wyglądał jak jedno z tych luksusowych aut, takich jak cadillac czy może lincoln.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Ray wjechał mustangiem na piętrowy parking obok Harrah's Casino. Pięciopiętrowy budynek był dobrze oświetlony. Był tu ruch i ochrona dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ray otworzył bagażnik i wyciągnął ze środka torbę Tony'ego Zello.

Tocząc wzrokiem po parkingu, zauważył dwoje starszków znikających właśnie w windzie. Wetknął smith & wessona za pasek z tyłu spodni i przykrył go koszulą. Zjechał windą na dół, przeszedł przez Canal Street, a następnie skierował się do French Quarter.

Po prawie dekadzie przesłuchiwania podejrzanych i świadków, z których prawie połowa próbowała go oszukać, Ray wierzył, że jest w stanie ocenić, czy ktoś mówi prawdę czy się z nią mija, ale potrzebny był kontakt twarzą w twarz. Dziewięćdziesiąt procent komunikacji stanowi ta niewerbalna. Mimika, postura, gestykulacja, ruchy oczu - właśnie te rzeczy zdradzają kłamcę i żadnej z nich nie widać w czasie rozmowy telefonicznej. Przepytywanie kogoś przez telefon było porównywalne z uprawianiem przez telefon seksu. Ona mogła brzmieć jak dwudziestodwuletnia, ważąca sto dwadzieścia funtów niebieskooka i blondwłosa bogini, ale istniała możliwość, że tak naprawdę była pięćdziesięcioletnią poczwarą o wadze trzystu funtów, z przerzedzonymi włosami i cuchnącym oddechem.

Musiał pomówić z Vinniem twarzą w twarz.

Ray nie był pewny, gdzie teraz przebywa Tony, choć prawdopodobnie był właśnie w Domu. Z bramy po drugiej stronie ulicy, Ray przez dwadzieścia minut obserwował drzwi Wschodzącego Słońca, upewniając się, że Tony nie opiernicza się gdzieś na zewnątrz, witając klientów jak wielka szycha. Istotnym punktem planu Raya było wejść i wyjść, nie natykając się na Tony'ego.

Dostanie się do środka było łatwiejsze, niż Rayowi się wydawało. Po prostu wszedł tam wolnym krokiem, jak gdyby nigdy nic. Nowy bramkarz - Ray nie widział go nigdy wcześniej, ale facet bez wątpienia wygłądał na Włocha - nawet otworzył mu drzwi.

Parter był pełen ludzi. Na scenie para dziewczyn odstawiała swój rutynowy numerek, pocierając się lśniącymi od oliwki cyckami. Nikt nawet nie zwrócił na Raya uwagi, kiedy przemknął obok baru, minął pusty stółek, na którym kiedyś przesiadywał i udał się na górę po schodach. Czuł ciężar pistoletu wetkniętego za pas spodni.

To samo na pierwszym piętrze. Ze schodów Ray zobaczył graczy, tłoczących się wokół stołów, rzucających pieniądze i żetony.

Na drugim piętrze zwróciła na niego uwagę jedna z dziewczyn rozłożonych na szezlongu. Odnowione i powiększone pomieszczenia, w których dziewczyny zabierały się do roboty, znajdowały się po bokach głównego korytarza, a wolną przestrzeń przy schodach zaaranżowano na coś w rodzaju foyer. Jeśli facet nie znalazł sobie dziewczyny w klubie ze striptizem czy w kasynie, musiał tylko wejść na drugie piętro, a ona już tu na niego czekała, siedząc wygodnie na kanapie. Vinnie chciał, by zawsze znajdowały się tutaj dwie czy trzy dziewczyny.

Kobieta na szezlongu podniosła na niego wzrok. Ray, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy, przycisnął palec do ust, prosząc ją o milczenie. Wzruszyła tylko ramionami i opuściła głowę z powrotem na poduszkę.

Już na trzecim piętrze Ray przemknął chyłkiem przez korytarz. Przed apartamentem Vinniego ustawiony był stolik do kawy, a wokół niego skórzana kanapa i dwa fotele. Ray zerknął na zegarek. Pięć po północy. Vinnie nie był typem sowy, więc pewnie już smacznie spał ze swoją starą lub bez niej, w zależności od tego, czy dzisiaj wypadła noc gry w brydża.

Apartament państwa Messinów znajdował się za solidnymi ciężkimi drzwiami z ciemnego drewna, z rodzaju tych, które zazwyczaj spotyka się na zewnątrz domu. Tuż pod wizjerem widniała staromodna mosiężna kołatka. Ray rozejrzał się wokół w poszukiwaniu inspiracji, jakiegoś pomysłu, jak by tu otworzyć drzwi. Pukanie było wykluczone. Nawet jeśli Vinnie nie miał jeszcze pojęcia, co przydarzyło się jego bratu, gdyby tylko zobaczył Raya stojącego na progu jego mieszkania, pewnie wezwałby zaraz Tony'ego albo, gdyby Tony'ego nie było, kazałby paru mięśniakom przytrzymać Raya do jego powrotu.

Nie znalazłszy żadnej inspiracji, Ray przypomniał sobie o zestawie do otwierania drzwi, który kiedyś zawsze miał przy sobie w aktówce. Nosił go przez całe lata, a użył może ze dwa razy. Nie, żeby był mu teraz naprawdę potrzebny. Po prostu był ciekaw co się z nim stało. Kiedy cię aresztują, a potem posyłają do więzienia, wszystko, co masz przy sobie, zawsze gdzieś znika.

Uniósł stopę i kopnął w drzwi. Otworzyły się szeroko. Ten, kto przeprojektował to miejsce, umieścił ciężkie drzwi w starej hotelowej ramie. Teraz zamek po prostu rozłupał tanią drewnianą ościeżnicę, przechodząc przez nią na wylot.

Ray był już kiedyś w apartamencie Vinniego, więc pospieszył prosto do sypialni. W świetle sączącym się zza niedomkniętych drzwi łazienki dostrzegł siedzącego na łóżku Vinniego, z szeroko otwartymi oczami i wyrazem twarzy mówiącym „właśnie ktoś mnie obudził w środku nocy”. Obok niego na łóżku widniało puste miejsce.

Ray uniósł obie ręce w pokojowym geście, prosząc Vinniego o spokój. Smith & wesson ciągle tkwił z tyłu spodni. Ostatnim razem, kiedy Ray go wyciągnął, sprawy przybrały niezbyt korzystny obrót.

- Gdzie twoja żona?

Vinnie zerknął na puste miejsce przy swoim boku.

- Gra w brydża - odpowiedział, wciąż zaspany na tyle, żeby nie pytać, co Ray wyrabia, włamując się do niego w środku nocy.

- Chcę tylko porozmawiać, Vinnie. Wszystko, o co proszę, to tylko dwie minuty.

Nagle Vinnie wyraźnie się zdenerwował i zerknął na stojący obok stolik nocny. Na blacie znajdował się telefon. Poniżej jedna szuflada. Ray domyślał się, że to nie po telefon Messina chciał sięgnąć.

- Vinnie, mam broń, więc jeśli masz zamiar wyciągnąć z szuflady pistolet, nie rób tego. Nie zdążysz - Ray machnął otwartymi dłońmi. - Chcę tylko porozmawiać.

Vinnie był stary, gruby i powolny. Jeszcze raz spojrzął na nocny stolik, po czym westchnął. Opadł zrezygnowany na wezglowie i patrząc na Raya, powiedział:

- Więc mów.

Ray cofnął się o kilka kroków i usiadł na krześle przy ścianie, tuż przy drzwiach łazienki. Sytuacja, w której ktoś stoi nad nim, kiedy on sam siedział na łóżku w jedwabnej piżamie, musiała być dla Vinniego wyjątkowo żenująca. A nie o to Rayowi chodziło. Naprawdę chciał tylko porozmawiać. Chciał poznać prawdę.

- Nie zabiłem twojego syna - oznajmił.

Vinnie nie zareagował, wpatrując się tylko w Raya parą smutnych oczu.

Ray ciągnął dalej.

- Ale muszę cię o coś zapytać.

- O co?



- Dlaczego tamtej nocy w licznicy było tak dużo pieniędzy?
- Dałem ci pracę, kiedy wyszedłeś z więzienia. Dobrze ci płaciłem.

Nawet ci ufałem.

- Vinnie, ja tego nie zrobiłem. Gdybym to zrobił, nie byłoby mnie tutaj teraz. Wziąłbym te pieniądze i zniknął.

Vinnie skrzyżował dłonie i oparł je na swoim brzuszysku.

- Tony ostrzegał mnie, że...
- Do diabła z Tonym! To właśnie przez niego to wszystko.
- O czym ty mówisz?
- Dlaczego w licznicy było tyle pieniędzy?

Ray uważnie przypatrywał się oczom Vinniego. Ten powiódł wzrokiem do góry i w swoje lewo, tam gdzie znajdowała się analityczna część mózgu i kryły wspomnienia a nie w prawo, w kierunku części kreatywnej, skąd brały się kłamstwa. Tego między innymi Ray nauczył się podczas zajęć poświęconych prowadzeniu przesłuchań.

Vinnie odpowiedział w końcu:

- W tym roku Halloween przypadło w piątek. Pomyśleliśmy, że dużo będzie się działo. I mieliśmy rację.

- Czyj to był pomysł?

Oczy Vinniego znowu powędrowały w górę i na lewo, wyławiając informację z zakamarków pamięci.

- Tony powiedział, że przyda nam się dodatkowa gotówka.

„Bingo” - pomyślał Ray i powiedział:

- To Tony to wszystko zorganizował. I to przez niego zginął twój chłopak.

- Gówno prawda - wrzasnął Vinnie, kierując wzrok na nocny stolik.

- Sam pomysł, Vinnie. Kto tak naprawdę upierał się, żebym to ja zajął się tą sprawą? - były to tylko domysły, ale Ray mógł wyczytać z wyrazu, jaki nagle przybrała twarz Vinniego, że były słuszne. - Kiedy pomyśleliśmy, że Hector może coś wiedzieć, Tony go zastrzelił. Kiedy zacząłem namierzać tych czterech typów, okazało się, że wszyscy już są martwi, zanim do nich dotarłem - „No, poza Dylanem Sylwestrem. On akurat jeszcze żył, kiedy się u niego zjawilem. Ale to już inna historia” - pomyślał i dodał: - I masz rację, dałeś mi pracę i dobrze mi płacisz. Nie mam powodów ani do narzekań, ani do tego, żeby nadużyć twojego zaufania.

Vinnie gapił się przed siebie, jakby pogrążony w myślach.

- Pieniądze to wystarczający powód - wymamrotał, ale brzmiało to raczej, jak odruchowa odpowiedź. - Wszyscy potrzebują pieniędzy.

Ray przypomniał sobie słowa Tony'go o kłopotach finansowych Vinniego. O tym, że nie stać go nawet na grillowaną kanapkę z serem.

- Tony ustawił to wszystko tak, żeby wyglądało, jakbym ja to zrobił, a potem wodził mnie za nos, aż zacząłem myśleć, że to ty.

- Ja?!

- Powiedział mi, że szkoła Petera i zakupy twojej żony pochłonęły wszystkie twoje pieniądze. Powiedział, że jesteś praktycznie spłukany.

- Gówno prawda!

- A kto wpadł na pomysł, by pominąć kilka furgonetek?

- Tony powiedział, że przenoszenie worków z pieniędzmi, kiedy w klubie kręci się tylu ludzi, to zbyt wielka pokusa. Że prosilibyśmy się o kłopoty. Więc odesłaliśmy parę tamtej nocy.

- W związku z tym w licznarni znalazło się dużo więcej gotówki.

Vinnie przytaknęła.

- Próbował wrobić w to nas obu.

- Ale dlaczego miałby zrobić coś takiego?

Ray zastanawiał się, czy Vinnie naprawdę jest aż tak głupi, że nie zauważa, jakie ambicje ma ten pieprzony sukinsyn, który dla niego pracuje.

- On chce prowadzić Dom. Przynajmniej na razie. A później, kto wie...

- Ale Tony należy do rodziny - odparł Vinnie bez przekonania.

Ray skierował wzrok na puste miejsce w łóżku.

- Mówiłeś, że twoja żona gra w brydża?

Vinnie skinął głową.

- Dwa razy w tygodniu.

- Cholernie często.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Vinnie ściszym, niepewnym głosem.

Ray zerknął na telefon na stoliku, myśląc o zwłokach w chacie Starego. Telefon może zadzwonić w każdej chwili. Nie miał ochoty być tutaj, kiedy Vinnie dowie się o śmierci brata.

- Muszę już iść, Vinnie.

- A gdzie ty, kurwa, chcesz iść?

Ray wiedział, że Vinnie powiedział mu prawdę. Tony nabrał ich obu. Ale teraz musiał się stąd wynosić. Jeśli uda mu się gdzieś zaszyć, dopóki nie rozniesie się informacja o Carlosie i Priscilli i gliniarze nie zaczną ścigać Tony'ego za morderstwo, będzie mógł wrócić. Przekazałby wtedy Vinniemu torbę z pieniędzmi, mówiąc, że znalazł ją w mieszkaniu

Sylvestra. Vinniemu nie przyjdzie raczej do głowy analizować, dlaczego Tony miałby zostawić pieniądze u ćpuna, który wziął udział w skoku. Odzyska przecież całą forszę i okaże się, że jest nowym bossem Nowego Orleanu. Ale najpierw Ray musiał się stąd wydostać i zniknąć, tylko na parę godzin, dopóki burza nad jeziorem St. Catherine nie ucichnie.

- Wydaje mi się, że mogę odzyskać te pieniądze - powiedział Ray.

Oczy Vinniego zwężyły się podejrzliwie.

- Jak?

- Po prostu mi zaufaj.

Vinnie spojrzał na stolik, ale Ray nie był w stanie stwierdzić, czy patrzy na telefon czy szykuje się, by sięgnąć do szuflady po pistolet.

- Vinnie?

Vinnie podniósł wzrok.

- Jesteś tego wszystkiego pewien, Ray?

- Odezwę się do ciebie do południa. Masz moje słowo.

Vinnie potrząsnął głową.

- Mówię o Tonym.

- Jestem pewien.

- Traktowałem go jak rodzinę, jak własnego... nawet lepiej niż mojego własnego syna.

Nagle zza pleców Raya dobiegł głos Tony'ego.

- No, muszę przyznać, że nie doceniłem cię, Shane.

Ray odwrócił się gwałtownie. Tony wszedł do sypialni, mierząc w twarz Raya z pięciostrzałowej trzydziestkiósemki. Przyciskając lufę do czoła Raya, oklepał go w poszukiwaniu broni. Wyciągnął smith & wessona zza pasa spodni Raya.

- Tony, co ty tu, kurwa, robisz? - spytał Vinnie.

Tony ważył w dłoni ciężki pistolet.

- Jest takie słowo, którego używa się w polityce. Zmiana reżimu.

Jakby nigdy nic Tony wycelował smith & wessona i strzelił Vinniemu prosto w twarz, rozbryzgując jego krew i mózg na ścianie.

- Carlos wpadnie w rozpacz, gdy dowie się, że zabiłeś jego brata - powiedział Tony, wżynając lufę swojej trzydziestkiósemki w czoło Raya. - Ale z drugiej strony, nigdy nie byli ze sobą zbyt blisko. W każdym razie, na pewno ucieszy się na wieść o tym, że zjawiłem się tu kilka sekund później i wpakowałem ci kulkę w głowę.

Ray uderzył Tony'ego w prawy nadgarstek, krawędzią dłoni. Trzydziestkaósemka spadła na podłogę. Następnie ścisnął oburącz lewy nadgarstek Zello. Smith & wesson powędrował w górę, ale Ray zdołał

utrzymać lufę z dala od siebie. Tony pociągnął za spust, posyłając kulkę tuż obok głowy Raya. Ray huknął Tony'ego czołem w twarz. Smith & wesson wylądował z brzękiem na podłodze.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Następnie Ray posłał pięść w nos Tony'ego. Ten gruchnął na ziemię jak wór mokrego cementu i zastygł w bezruchu. Ray sięgnął po smith & wessona. Nagle zatrzymał się, z dłonią oddaloną od niego tylko o kilka cali. Na pistolecie widniały odciski palców Tony'ego. Rayowi przyszło coś do głowy. Podniósł trzydziestkę ósemkę i wetknął ją sobie do kieszeni. Następnie odwrócił się w stronę łóżka.

Vinnie leżał jak długi na plecach. Kula trafiła go tuż pod lewym okiem. Tył głowy był zdeformowany w miejscu, gdzie pocisk kalibru czterdzieści śmignął na wylot, rozwalając mu tył czaszki. Jedwabna piżama Vinniego i jedwabna pościel pod nim spływały krwią.

Ray chwycił najbliższą poduszkę. Było na niej tylko kilka plamek krwi. Zdjął jedwabną poszewkę. Następnie włożył w nią rękę i sięgnął po smith & wessona czterdziestkę. Podniósł go, używając poszewki jak rękawiczki. Potem wywrócił ją na drugą stronę, wciągając do środka pistolet, aż opadł na dno poszewki, jak na dno worka.

Tony jęknął. Ray zaserwował mu kopniaka w głowę, pograżając go z powrotem we śnie. Potem wyszedł na korytarz, niosąc poszewkę ze smith & wessonem. Przy schodach kręcili się Joey i Rocco. Gdy tylko zobaczyli Raya, zaczęli człapać w jego kierunku. Ray wyszarpnął z kieszeni trzydziestkęósemkę i strzelił na oślep w ich stronę. Dwóch półgłówków rzuciło się na boki, kryjąc się przed ostrzałem. Po chwili pojawił się Joey z pistoletem w dłoni. Gdy tylko strzelił, Ray, mierząc w jego stronę, opróżnił magazynek trzydziestkiósemki, a następnie skierował się do wyjścia ewakuacyjnego kilka stóp dalej, na końcu korytarza. Pchnął ciężkie drzwi i wyszedł na zewnątrz. Pokryta rdzą drabinka pożarowa biegła z boku budynku. To właśnie wtedy Ray wspinał się na dach każdego poranka, żeby obejrzeć wschód słońca. Tym razem musiał zejść na dół.

Wsunął trzydziestkęósemkę i poszewkę ze smith & wessonem za pas spodni. Wskoczył na drabinkę i szybko dostał się dwa piętra niżej, do podestu przy pierwszym piętrze. Tutaj drabina kończyła się, choć ślady rdzy na ścianie poniżej świadczyły o tym, że kiedyś ciągnęła się do samego dołu. Ray zerknął w dół przez metalową poręcz. Do uliczki pod nim zostało jakieś dziesięć stóp.

W pobliżu znajdowała się rynna, biegnąca od dachu aż do samej ziemi. Ray przeszedł przez poręcz i sięgnął w jej kierunku. Rynna

przymocowana była do ściany cienkimi metalowymi obręczami, rozmieszczonymi co pięć czy sześć stóp. Całość pokryta była rdzą. Ray chwycił rynnę oburącz. Oparłszy na ścianie jedną stopę, odbił się drugą od podestu. Jego ręce ześlizgnęły się nieco po powierzchni rynny, ale udało mu się utrzymać. Niepewnie zrobił krok w dół. Potem kolejny. W drodze na ziemię przesuwiał stopy po ścianie, a ręce przekładał jedna pod drugą, coraz niżej.

W połowie drogi nagle jedna ze stóp ześlizgnęła mu się i huknęła kolanem o cegły. Puścił rynnę i spadł, po czym wylądował na metalowym kontenerze na śmieci. Odbił się, przekoziółkował i runął na brudną nawierzchnię alejki. Żebra wyły mu z bólu. Podciągnął się i spojrzał w górę. Podest na trzecim piętrze stał pusty, drzwi wciąż były zamknięte. Joey i Rocco pewnie już znaleźli Tony'ego na podłodze i martwego, odzianego tylko w piżamę Vinniego. Dwaj sterydożercy nie potrafili za bardzo działać na własną rękę. Będą musieli więc poczekać, aż Tony odzyska przytomność i spytać go, co robić dalej.

A w międzyczasie Ray musiał stąd spieprzać. Pokuśtykał do końca alejki i skręcił w Canal Street.



Na parterze parkingu, tuż przy drzwiach windy, wisiał automat telefoniczny. Ray podniósł słuchawkę i wrzucił dwudziestopięciocentówkę. Zadzwoił na informację. Kiedy otrzymał potrzebny mu numer, komputer połączył go automatycznie.

Po paru sygnałach nagrany głos podziękował mu za to, że zadzwonił do American Airlines. Ray wcisnął zero i połączył się z pracownicą linii. Zarezerwował lot, informując, że zapłaci przy okienku w czasie odprawy.

- Jeśli zyczy pan sobie, byśmy obciążyli opłatą za bilet pańską kartę kredytową, możemy zająć dla pana miejsce.

- Zapłacę gotówką.

- Och - powiedziała. Linie lotnicze nie za bardzo chciały obracać gotówką. W świecie po jedenastym września ludzie kupujący bilety w ostatniej chwili i to za gotówkę wzbudzali podejrzliwość. I właśnie na to Ray liczył. Po prawie minucie stukania w klawiaturę, pracownica linii powiedziała:

- Dla potwierdzenia, rezerwuje pan lot w jedną stronę, odlatujący z Nowego Orleanu jutro o pierwszej dwadzieścia pięć po południu, przylatujący do Miami o czwartej dziesięć po południu.

Czy chciałby pan numer potwierdzenia?

- Nie mam przy sobie długopisu - powiedział Ray.
- Wobec tego, czy jeszcze w czymś mogę panu pomóc?
- Nie, to wszystko.
- Dziękuję więc za wybranie American Airlines i życzę przyjemnego lotu, panie Zello.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Ray wjechał windą po samochód.

Było tuż po dziewiątej rano. Musiał zaczekać, aż grupka pijusów świeżo po męskiej nocy w kasynie wgramoli się do swojego terenowego auta i odjedzie. Otworzył bagażnik mustanga i rozsunał torbę Tony'ego. Rozejrzał się po parkingu, upewniając się, że jest sam. Wyciągnął większą część pieniędzy i upchnął je pod zapasową oponą. W torbie zostało na oko z pięćdziesiąt tysięcy. Ray dorzucił do środka pokrwawioną poszewkę i smith & wessona i zaciągnął zamek. Wyjął torbę z bagażnika i zatrzasnął pokrywę.

Po upływie dziesięciu minut znalazł się przy parkingu Shorty'ego na Decatur, ściskając w dłoni rączki skórzanej torby. Zielony lincoln Tony'ego stał zaparkowany na tyłach parkingu. Shorty pracował w ciągu dnia, a jego dwudziestoletni bratanek o imieniu Milo - w nocy. Twarz Mila jarzyła się w ciemności budki światłem, bijącym z telewizyjnego ekranu.

Ray przeszedł się po parkingu, mijając samochód Tony'ego, zaparkowany na miejscu numer piętnaście. Kiedy wrócił do budki, Milo wciąż gapił się w telewizor. Ray zapukał w szybę. Dzieciak podskoczył.

- Mogę w czymś pomóc? - wydukał.

- Przyszedłem odebrać samochód, ale zauważyłem przy okazji lexusa mojego kumpla, o tam - Ray wskazał na zaparkowanego kawałek dalej sedana w kolorze kości słoniowej. - Wygląda na to, że ktoś go stuknął.

Milo podniósł się. Sunąc niespiesznie w stronę auta, kręcił głową. Ray został przy budce. Gdy Milo obrócił się przez ramię, Ray wskazał znowu na samochód.

- O tam, na błotniku, tuż nad tylną, prawą oponą.

Milo zlustrował lexusa z odległości dwunastu stóp.

- Ja nic tu nie widzę.

- Ten mój kumpel łatwo się wkurza. Wolę nie myśleć, co by zrobił, gdyby ktoś puknął jego auto.

Mówiąc to, Ray sięgnął do wnętrza budki po kluczyki wiszące na

haczyku numer piętnaście. Powłócząc nogami w kierunku samochodu, Milo wymamrotał:

- Na pewno nikt nie stuknął żadnego samochodu, kiedy ja tu byłem.

Dzieciak miał na sobie za duże dzinsy, które zwisały mu z tyłka, ukazując światu czerwono-białe bokserki i sprawiając, że poruszał się, drecząc jak kaczką. Gdy doszedł do lexusa, opadł na jedno kolano i dokładnie obejrzał tylny błotnik. Po kilku sekundach, krzyknął:

- Nie widzę ani jednej ryski.

Ray trzymał już kluczyki w jednej dłoni, a torbę Tony'ego w drugiej, idąc znów w stronę lincolna.

- Och, to przepraszam - wskazał głową umieszczoną na słupie halogenową lampę oświetlającą parking - pewnie światło mnie zmyliło.

Milo pokręcił głową, wlokąc się z powrotem w kierunku budki.

- Człowieku, przez ciebie przegapię program.

Ray przystanął obok niebieskiego mercury'ego zaparkowanego dwa miejsca od samochodu Tony'ego i zerknął ukradkiem na Mila.

Chłopak stał przed budką, obserwując go. Ray położył skórzaną torbę na masce mercury'ego i zaczął udawać, że szuka czegoś w kieszeniach. Po chwili dzieciak przestał się nim interesować. Wrócił do budki i telewizora.

Ray otworzył bagażnik lincolna i wrzucił do środka torbę Tony'ego. Pięćdziesiąt tysięcy w bagażniku bez wątplenia wyglądało tak, jakby ktoś miał zamiar nawiać. Pistolet miał związek z czterema morderstwami: Dylana Sylvestra, Carlosa i Vinniego Messinów oraz żony Tony'ego. Oprócz tego został użyty w trakcie skoku na Dom. Strzelono z niego do Raya, co wykluczało jego udział w tym wszystkim.

Kiedy Ray podszedł pod budkę, twarz Mila znowu tonęła w blasku telewizora. Chłopak znowu podskoczył, gdy Ray zapukał w szybę.

- Człowieku, chcesz żebym dostał przez ciebie zawału?

Ray odsunął Mila przedramieniem. Potem sięgnął za plecy chłopaka i odwiesił kluczyki Tony'ego na miejsce.

- Zapomniałem czegoś - powiedział. - Odbiorę samochód niedługo.

- Klientom nie wolno dotykać półki z kluczykami. Tak naprawdę, to nikt oprócz mnie nie ma wstępu do budki.

Ray zrobił kilka kroków wstecz, unosząc ręce.

- Przepraszam. Więcej tego nie zrobię. Obiecuję.

- Na którym haczyku powiesiłeś swoje kluczyki? - spytał Milo, odwróciwszy się do niego plecami. - Chcę sprawdzić, czy odwiesiłeś je w dobre miejsce.



Ray obrócił się na pięcie i odszedł, rzucając jeszcze przez ramię:

- Moje stałe miejsce.

- No, ale które to miejsce? - wrzasnął za nim Milo.

Dokładnie naprzeciwko parkingu znajdował się bar ze striptizem pod nazwą Rhapsody's. Ray przeszedł na drugą stronę ulicy i wolnym krokiem skierował się do skrzyżowania, mijając po drodze bar. Skręcił za róg i obszedł budynek dookoła. Nie chciał, żeby Milo widział, gdzie idzie. Spacer dał mu też trochę czasu, by się zastanowić, co dalej.

Kiedy wrócił w to samo miejsce, Milo siedział znów z twarzą przyklejoną do ekranu małego telewizora. Ray zniknął szybko za drzwiami klubu ze striptizem.

Za barem widniała wąska scena, na której tańczyła chuda biała dziewczyna. Podłoga pod barem kleiła się. Ray zamówił budweisera. Kiedy barman postawił przed nim piwo, Ray dał mu pięć dolców, po czym udał się do stolika przy drzwiach, z którego mógł zerkać na zewnątrz. Samochód Tony'ego wciąż stał na parkingu.

Po chwili do jego stolika przywędrowała dziwka w przesadnie wysokich szpilkach. Przystawiła sobie krzesło i opadła na nie tak blisko Raya, jak się dało. Pociągając dłonią jego udo, spytała, czy nie byłby zainteresowany prywatnym tańcem na osobności. Ray powiedział: - Nie, dzięki.

Była druga nad ranem, gdy Ray dopił swoje piwo. Przy męskiej toalecie znalazł automat telefoniczny. Wrzucił kilka monet i zadzwonił na komisariat dystryktu ósmego. Recepcjonistka połączyła go z wydziałem dochodzeniowo-śledczym. Jak każda inna dochodzeniówka, ta z dystryktu ósmego zajmowała się zwyczajowo gwałtami, napadami i morderstwami, ale ponieważ zlokalizowana była w morzu nieładu, znanym pod nazwą French Quarter, dodatkowo rozpracowywała też przestępczość zorganizowaną. A przestępczość zorganizowana była konikiem oficera Carla Landry'ego, ponieważ dzięki niej mógł dobierać się do nieuczciwych gliniarzy.

Landry wciąż pracował nocami.

- Czego chcesz, Shane? - wrzasnął do słuchawki.

- Czy ktoś szuka może Tony'ego Zella?

- A co?

- Nic, mam tylko takie przecucie.

- Przecucie to mają gliniarze. A ty to możesz mieć co najwyżej gazy.

- Dobra, zapomnij.

- Czekał - krzyknął Landry. - O co chodzi?

- Pieprz się.  
- Nie zachowuj się jak dupek, Shane. Sam do mnie zadzwoniłeś.  
Gadaj.

Ray przeczekał chwilę, przeciągając milczenie.

- No więc? - spytał Landry.

- Wydaje mi się, że Tony chce prysnąć z miasta - odpowiedział.

- A dlaczego tak sądzisz? - w głosie Landry'ego pobrzmiwało zainteresowanie. Ray domyślił się, że trafił już do niego raport wstępny o ciałach znalezionych nad jeziorem St. Catherine.

- Tony zachowuje się dziwnie. Trochę mnie to stresuje - powiedział. - Mamy konflikt od pewnego czasu i po prostu martwię się, że zanim wyjedzie, zechce wyrównać rachunki.

- Wiem o twojej dziewczynie i tym konflikcie, ale czemu wydaje ci się, że chce uciec z miasta?

- Od kilku godzin dziwnie się zachowuje.

- Dziwnie to znaczy jak?

- Jakby się czymś denerwował. Usłyszałem przypadkiem, jak rozmawiał z kimś przez telefon o rezerwacji lotu.

- Dokąd?

- Nie wiem. Tego nie dostyszałem.

- I dlaczego mnie o tym wszystkim informujesz?

Minęła go striptizerka w drodze do kibla. Próbowwała szepnąć mu coś do ucha, ale zasłonił słuchawkę i odgonił ją gestem ręki.

- Shane? - niecierpliwiał się Landry.

Ray odsłonił słuchawkę.

- Dzisiaj przekazałeś mi informację, która wyjaśniła coś, co chodziło mi po głowie parę lat. Teraz chcę po prostu oddać ci przysługę.

- Ty chcesz mi wyświadczyć przysługę? - w głosie Landry'ego pobrzmiwał sceptycyzm.

- No tak.

- Zawsze tak pilnujesz Tony'ego?

- Tylko ostatnio. Nie chcę, żeby mnie czymś zaskoczył.

- Kiedy ma zamiar wyjechać?

- Nie wiem. Ale pewnie niedługo. Chwilę temu widziałem, jak wychodził ze swojego biura, niosąc torbę. Wyglądała na podróżną. Skierował się na zewnątrz, więc też postanowiłem wybrać się na spacer.

- Poszedłeś za nim?

- Nie nazwałbym tak tego.

- Przestań pieprzyć.

Ray nic nie odpowiedział.

- Co zobaczyłeś? - nalegał Landry.

- Wsadził torbę do bagażnika swojego samochodu, tego wielkiego zielonego lincolna. Potem wyciągnął zza spodni pistolet i też wrzucił go do bagażnika. Może do torby, nie jestem pewien.

- Co to był za pistolet?

- Byłem po drugiej stronie ulicy - skłamał Ray. - Ale wyglądał mi na jakiś spory pistolet samopowtarzalny.

- Kiedy to było?

- Mniej więcej godzinę temu. Dlaczego?

- A ty gdzie byłeś?

- Poszedłem sobie, jak tylko zobaczyłem, że chowa do bagażnika pistolet - ciągnął dalej. - Jak już mówiłem, on niezbyt za mną przepada. Więc kiedy widzę, że dziwnie się zachowuje i ma przy sobie broń, zabieram zabawki i spadam do domu.

- Ale teraz nie jesteś w domu - powiedział Landry. - Słyszysz muzykę. Gdzie jesteś, w barze?

- Co się dzieje, Carl?

Ze słuchawki dobiegło jakieś szuranie, potem stłumione głosy w tle. Landry zasłonił słuchawkę ręką i z kimś rozmawiał. Po paru sekundach Ray spytał:

- Landry, ciągle tam jesteś?

Landry zabrał rękę z telefonu.

- Co mówiłeś?

- Spytałem, co się dzieje. Może coś, o czym powinienem wiedzieć dla własnego bezpieczeństwa.

- Gdzie dokładnie znajdował się samochód Tony'ego?

- Na tym parkingu przy Decatur, dwie przecznice od Domu.

- Ciągle tam jest?

- O ile mi wiadomo, to tak.

- A na ile jesteś pewny, że broń, którą Tony włożył do bagażnika samochodu, to pistolet samopowtarzalny?

- Na sto procent. A co? O co chodzi?

- Rutynowa praca policji. Nic, co dotyczy ciebie - powiedział Landry, a potem się rozłączył.

Ray spojrzął na telefon w dłoni.

- Co za dupek - stwierdził z uśmiechem.

Dziesięć minut po rozmowie Raya z Landrym facet w garniturze, który wyglądał Rayowi na oficera z dystryktu ósmego, pojawił się przy parkingu Shorty'ego. Przeszedł przez ulicę i przystanął dwa lokale od klubu ze striptizem, skąd miał zamiar obserwować parking. Ray wystawił głowę zza drzwi i zobaczył jeszcze jednego policjanta stojącego przy latarni, niecałe dwie przecznice dalej.

Tuż po trzeciej nad ranem nieoznakowany samochód policyjny podjechał pod krawężnik naprzeciwko parkingu Shorty'ego. Siedząc przy stoliku w barze, Ray zobaczył, jak wysiada z niego dwóch funkcjonariuszy. Nie wyglądało na to, że gdzieś im się spieszy. Zdawali się w ogóle nie interesować autem Tony'ego.

Kwadrans później kolejny nieoznakowany radiowóz zatrzymał się przy pierwszym z piskiem opon. Zza kółka wyskoczył sam Carl Landry, a z siedzenia pasażera wygramolił się jeszcze jeden policjant. Wyciągnęli z tylnego siedzenia Tony'ego Zella. Ray dostrzegł, że jest zakuty w kajdanki.

Landry wręczył Tony'emu jakąś kartkę papieru, która wyglądała Rayowi na nakaz przeszukania. Jeden z oficerów chwycił kluczyki z budki Shorty'ego. Następnie wszyscy pomaszrowali na tylną część parkingu. Mimo obitej gęby Tony'emu udało się zachować pewność siebie, kiedy kuśtykał u boku gliniarzy.

Landry nie marnował czasu. Zaczął od bagażnika. Nawet z drugiej strony ulicy Ray dostrzegł, jak twarz oficera nagle się rozjaśnia. Wyciągnął ze środka torbę i otworzył ją. Wewnątrz tkwiła broń, przy użyciu której dokonano morderstwa oraz pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce; identyfikator bagażowy informował, że właścicielem jest Tony Zello.

Tony zaczął oddalać się, kręcąc z niedowierzaniem głową. Dwóch policjantów pchnęło go na jego samochód i założyło mu kajdanki z tyłu. Nie przestawał kręcić głową, wrzeszcząc coś, czego Ray nie był w stanie dosłyszeć.

Ray obserwował, jak gliniarze obfotografowują samochód i wnętrze bagażnika. Umieścili smith & wessona czterdziestkę w plastikowej torbie na dowody, żeby zabezpieczyć odciski. Zapakowali też gotówkę. Uwadze Raya nie umknęło to, że Landry trzymał się w pobliżu pieniędzy, jakby martwiąc się, że część mogłaby nagle zniknąć.

Ray dał barmanowi znak, żeby przyniósł mu jeszcze jedno piwo.

Pół godziny później Ray udał się do mieszkania Jenny. Na ulicy nie było jej samochodu. Zadzwoił do drzwi wejściowych. Kiedy nikt nie otworzył, wsunął między zęby papierosa i odszedł. Sięgając po zapalniczkę, uświadomił sobie, że żadnej nie ma. Ostatnio cały czas korzystał z pozłacanej zapalniczki Tony'ego Zella, która teraz znajdowała się w rękach policji.

Ray wcisnął lucky strike'a z powrotem do prawie pełnej paczki i już miał ją włożyć do kieszeni, gdy jego uwagę przykuła stojąca na chodniku śmietniczka. Zatrzymał się. Z boku kwadratowego śmietnika widniał napis: „Nie zaśmiecaj Nowego Orleanu”.

Ray spojrzał na paczkę papierosów w dłoni. Potem ponownie na śmietniczkę. Jeszcze raz przeczytał slogan. Palił już od czasów liceum. I co z tego miał? Jenny powiedziała coś ważnego. Coś, czego Ray był teraz pewny: „Ludzie mogą się zmienić”.

Podszedł do śmietnika i wrzucił do środka paczkę lucky strike'ów.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ray obudził się o drugiej po południu następnego dnia. Znajdował się w Double Tree, wielopoziomowym hotelu na Canal Street, dzielnicę dalej od kasyna. Hotel był niemal luksusowy w porównaniu z norą na Chef Menteur Highway. Tutaj rankiem przed drzwiami kładli darmową gazetę, a wieczorem miętówki na poduszce.

Nagłówki gazet wrzeszczały: „Bossowie mafii - bracia zastrzeleni! Carlos i Vincent Messina nie żyją! Rzekomy żołnierz mafii aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstw!”.

Ray włączył telewizor. Na CNN i Fox News trąbiono o tym samym. W aktualizacji poinformowano, że zabójstwo braci Messinów ma związek ze śmiercią dwóch kolejnych osób: na przedmieściach Nowego Orleanu, w Kenner, jeszcze jeden rzekomy żołnierz Messinów został znaleziony martwy wraz ze swoją żoną.

Ray próbował dodzwonić się do Jenny parę razy, ale bez powodzenia. Zadzwoił więc do Carla Landry'ego.

- Jeśli spodziewasz się nagrody - burknął policjant - to żadnej nie dostaniesz.

- Muszę z tobą pogadać.

- To gadaj.

- Osobiście.

- Nie mam czasu.

Takiej odpowiedzi Ray się nie spodziewał.

- Landry, właśnie zafundowałem ci najważniejsze aresztowanie w twojej karierze. Wszystkie kanały pokazują, jak konwojujesz Tony'ego. Proszę tylko o kilka minut - jesteś mi to dłużny.

Spotkali się w barze naprzeciwko Double Tree. Ray nie chciał, by Landry wiedział, gdzie się zatrzymał. Zamówił Jamesona z lodem, Landry - szklanek wody z plastrem cytryny.

- Nie przeszkadza ci - powiedział Ray - że Jimmy LaGrange wciąż jest w policji?

Landry pociągnął łyk aromatyzowanej cytryną wody.

- A co, tobie to przeszkadza? - odpowiedział, odstawivszy szklankę na stolik.

- Może.

- Może mi też - powiedział Landry.

- Wspomniałeś, że jest chroniony immunitetem.

Landry przytaknął.

- Jakiego rodzaju to immunitet?

- Wszystko, do czego się przyznał, zostało spisane i każdy się przy tym podpisał. Nie można go teraz tknąć za jakąkolwiek z rzeczy umieszczonych na liście. A jest to długa lista.

- Niezła umowa.

- Sięgnął całkiem daleko - ciągnął Landry. - Jeszcze do czasu sprzed obyczajówki. Kiedy federalni obiecują ci, że jeśli się do czegoś przyznasz, nie będą cię za to ścigać, w twoim własnym interesie leży, żeby grzebać głęboko.

Ray upił łyk whisky.

- A czy umowa obejmowała morderstwo?

Landry otworzył szerzej oczy.

- Nie, tego nie obejmowała.

- On udusił dziewczynę w Rose Motel.

Przez kilka sekund Landry milczał, wpatrując się w stojące za barem rzędy butelek.

- Najwyraźniej to jego ulubiona miejscówka.

Ray skinął głową.

- Kilka razy go stamtąd wyciągałem.

- Kiedy to się stało?

- Dwa lata przed moim aresztowaniem.

Landry sączył swoją wodę.

- Skąd o tym wiesz?

- Sam mi powiedział.

- To było siedem lat temu. Nie ma ciała, nie ma sprawy.

- Ja wiem, gdzie ona jest.

- Co takiego?

- Na cmentarzu Saint Louis Number Three.

Oficer zmarszczył brwi.

- I wydaje ci się, że sędzia wyda zgodę na ekshumację, wierząc tobie na słowo?

- Nigdy jej nie pochowano. Przynajmniej nie zrobiono tego oficjalnie.

- Tak?

- Leży w grobowcu rodzinnym Underwoodów, ale nie należy do tej rodziny.

- Możesz mówić jaśniej?

Ray przepłukał gardło kolejnym łykiem whisky.

- Jest tuż za komisariatem dystryktu trzeciego.

- Dobrze wiem, gdzie znajduje się Saint Louis Number Three - w głosie Landry'ego dźwięczało zniecierpliwienie.

- Chodzi mi o grobowiec. Underwoodowie leżą tuż przy komisariacie, zaraz za ogrodzeniem, przy tylnym parkingu.

- I LaGrange powiedział ci ze szczegółami, gdzie ukrył ciało.

Ray dopił drinka jednym haustem. Jeśli to miało się udać, musi pójść na całość i powiedzieć całą prawdę.

- Nie - odpowiedział. - Pomogłem mu ją tam zakopać.

Oficer odsunął swoją szklankę i wyprostował plecy.

- Wobec tego będę musiał poinformować cię o twoich prawach.

Ray przysunął się do Landry'ego.

- Kogo ty wolisz, Carl - warknął. - Byłego gliniarza i byłego więźnia, za to, że tego nie zgłosił czy ciągle pracującego glinę, który zadusił gołymi rękoma nastoletnią dziewczynę?

Carl Landry potrząsnął głową.

- Poplecznictwo to przestępstwo. A to łamie zasady twojego zwolnienia warunkowego.

„Sukinsyn, zawsze według podręcznika” - pomyślał Ray i powiedział:

- Beze mnie nic nie masz.

- Mogę ją wykopać - powiedział Landry. - LaGrange pęknie w ciągu dziesięciu minut. I pewnie zrzuci całą winę na ciebie. Już tak zresztą kiedyś zrobił.

- Nie możesz przełknąć tej umowy Jimmy'ego z federalnymi, co? Mogłeś tylko przyglądać się, jak twój ojciec idzie do więzienia, podczas gdy to ścierwo, Jimmy LaGrange, zostaje na wolności i utrzymuje się w policji.

Twarz Landry'ego zalała się czerwienią. Chwycił Raya za przód koszuli i przyciągnął do siebie, tak że ich twarze niemal się stykały.

- Mój ojciec to nie twój pieprzony interes - syknął, tryskając Rayowi w twarz kropelkami śliny. - Ty pieprzony śmieciu, nie mam zamiaru się z tobą dogadywać w żadnej sprawie.

A więc Landry nie zawsze był taki opanowany. Najwyraźniej i on miał mroczną stronę. Ray odepchnął ręce policjanta.

- Kiedy ją zabił, zadzwonił do mnie roztrzęsiony i pomogłem mu



pozbyć się ciała dziewczyny.

- Więc przyznajesz się do popełnienia.

Ray przytaknął.

- Ale pomoc po przestępstwie przedawnia się po siedmiu latach.

Landry zacisnął usta tak mocno, że zmieniły się w jedną czerwoną kreskę.

- Nie możesz się powstrzymać, co? - spytał Ray.

- Niby od czego?

- Tak cholernie mocno trzymasz się prawa, że miałbyś problem, gdybyś chciał skrócić w lewo.

- Prawo to nie jest jakieś tam widzimię, Shane. Nie nagina się go w zależności od potrzeby.

- Gówny prawda - odpowiedział Ray. - Pracując w policji, czasem trzeba ubrudzić ręce. Czasem trzeba przymknąć oko.

- Ja nie pracuję w taki sposób.

- Nie? A jak określisz umowę, którą zawarłeś z LaGrange'em? Jeśli to nie jest przymknięcie oka, to ja nie wiem, jak to inaczej nazwać.

- Ale to nie była moja decyzja.

- Ale na nią przystałeś, prawda?

Landry odwrócił się. Ray wpatrywał się w niego kilka sekund.

- Dręczy cię to, co? Od pięciu lat zżera cię od środka. Myślenie o tacie...

- Mój ojciec zasłużył sobie, żeby pójść do więzienia.

- Tak samo jak Jimmy LaGrange.

Carl Landry przywołał barmana. Zamówił kolejne dwa drinki, Jamesona dla Raya i wódkę z tonikiem dla siebie. Kiedy drinki zostały zaserwowane, spojrzał na Shane'a.

- Opowiedz mi o tej dziewczynie.

- A nie przeczytasz mi najpierw moich praw?

- Pieprz się.

Ray pociągnął łyk whisky.

- Nie mam pojęcia, co tam się zdarzyło, zanim dotarłem na miejsce. Zadzwoił do mnie około północy, roztrzęsiony jak cholera, mówiąc, że potrzebuje mojej pomocy. Kiedy tam przyjechałem, dziewczyna nie żyła. Jimmy twierdził, że to był wypadek.

- Wypadek? Ray wzruszył ramionami.

- Jimmy'ego kręciły dziwne rzeczy.

- Jakiego rodzaju dziwne rzeczy?

- Podduszanie, wiązanie, sadomaso.

- Kim ona była?
- Narkomanka na gigancie. Dziwka. Ale miała tylko z piętnaście lat.
- Mówiłeś, że ją udusił.
- Jedynymi śladami, jakie dostrzegłem, oprócz tych po strzykawce na ramionach, były siniaki i zadrapania wokół szyi. Jimmy kompletnie ześwirował. Wrzeszczał coś o więzieniu, straszył, że się zabije. Chwył leżący na stole pistolet i włożył go sobie w usta. Musiałem mu go siłą zabrać.

Ray upił whisky i pomyślał, jak inaczej wszystko mogło się ułożyć, gdyby tamtej nocy nie udał się do Rose Motel. Wyobraził sobie, jak sprzątaczką znajduje rano LaGrange'a z mózgiem na ścianie, obok martwej dziwki.

- Nie powinienem był go powstrzymać.
  - Co się później stało?
  - Chciał ją wsadzić do mojego samochodu. Powiedziałem mu, że nie ma, kurwa, takiej możliwości, żeby martwa prostytutka wylądowała w moim samochodzie.
  - I co zrobił?
  - Wsadziliśmy ją do jego bagażnika.
  - A dlaczego wybraliście cmentarz?
  - Kto szukałby ciała na cmentarzu?
- Landry przytaknął.
- Czyj to był pomysł?
  - Jimmy'ego.
  - Cmentarze są zamknięte po piątej.
  - Dlatego pojechaliśmy na komisariat dystryktu trzeciego. LaGrange zaparkował przy ogrodzeniu. Pożycziliśmy trochę narzędzi od sierżanta dyżurnego.

- Od kogo konkretnie?

Ray potrząsnął głową.

- On nie miał z tym nic wspólnego. LaGrange powiedział mi, że szykujemy się do obserwacji i musimy przedostać się przez ogrodzenie. Po prostu pożyczyl nam narzędzia.

Gestem ręki Landry kazał mu mówić dalej.

- Jimmy wyciął w ogrodzeniu otwór. Przelazł przez niego, wciągając za sobą ciało. Ja poszedłem za nim - Ray uniósł szklankę i opróżnił ją jednym haustem, czując jak bursztynowy płyn spływa mu po gardle, paląc jak ogień. - Znaleźliśmy grób w rzędzie tych tanich, tuż za komisariatem.

- Tanich?

- Tak, podwójny rząd niewielkich grobów rodzinnych, zaraz za ogrodzeniem.

Carl Landry przyglądał się uważnie swojej wódce z tonikiem, podczas gdy Ray mówił. W końcu upił trochę. Ray pomyślał, że był to pewnie jego pierwszy w życiu drink na służbie.

- Jimmy wybrał grób, który wyglądał na pełny.

- A niby po czym to poznał?

- Był mały, miał nie więcej niż sześć czy siedem stóp długości i około cztery i pół stopy szerokości. Na marmurowym nagrobku widniało już z osiem nazwisk. Wyglądało na to, że raczej nie zmieści się tam nikt więcej - przerwał na kilka sekund, rozmyślając o tej nocy sprzed siedmiu lat.

- Ciepło po mniej więcej roku spopiela zwłoki - wciął się Landry. - Tak naprawdę nie ma żadnego limitu, ile ciał można tam włożyć.

- Wtedy tego nie wiedzieliśmy - opowiedział Ray. Jak żywy stanął mu przed oczami fragment tamtej nocy: on i Jimmy, niosący nagie ciało martwej dziewczyny. Kiedy położyli ją na trawie obok grobu, Ray wymiotował. - Pamiętam nazwisko tej rodziny: Underwood, wygrawerowane drukowanymi literami na płycie nagrobka.

- Jak umieściliście ciało wewnątrz?

- Użyliśmy śrubokrętu.

- To znaczy?

- Ten marmurowy kamień - nagłówek, nagrobek czy jak to się tam zwie - przymocowany był tylko dwiema długimi śrubami. Wszystko, co jest ci potrzebne, żeby dostać się do środka, to śrubokręt, a my zaopatrzyliśmy się wcześniej w skrzynkę z narzędziami.

- I odkręciliście go?

Ray przytaknął.

- Ale resztą Jimmy zajął się sam.

- W porządku. Więc co zrobił?

- W grobie było ciemno jak cholera. Jimmy poprosił, żebym pomógł mu ją wnieść do środka. Powiedziałem, że nie mam zamiaru tam wchodzić. To on narobił tego syfu i on musiał go posprzątać.

- Więc zostałeś na zewnątrz, a on wszedł do środka?

- Jimmy chwycił ją pod ramiona i wciągał ją, idąc tyłem, ale nie trafił w jeden schodek i runął do środka, lądując na plecach. Ona spadła na niego. Prawie się posrał ze strachu i zaczął wrzeszczeć. Musiałem go kopnąć, żeby się zamknął.

- A gdzie stałeś, kiedy go kopnąłeś? Byłeś wewnątrz grobu?

Ray potrząsnął głową.

- Jego nogi wystawały na zewnątrz, tak samo jak nogi dziewczyny. Kopnąłem go w spód stopy, żeby go uciszyć.

- Gdzie dokładnie ją położył?

- Nie wiem. Jak już mówiłem, było ciemno jak cholera. Nigdy wcześniej nie byłem w takim miejscu i nie mam pojęcia, jak to wygląda od środka - Ray miał ochotę na kolejnego drinka. - Ale nigdy nie widziałem takiej ciemnicy, jak w tym grobie. Kiedy Jimmy znalazł się wewnątrz, wyglądało to tak, jakby ciemność go połknęła. Kiedy wyszedł, pocił się jak świnia, ale nie wiem, czy z wysiłku czy ze strachu. Ja też splotywałem potem, ale wiem, że było to ze strachu.

- Co się później stało?

- Nic. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Udawaliśmy po prostu, że to nigdy nie miało miejsca.

- Więc dlaczego teraz zdecydowałeś się o tym powiedzieć?

Ray poprosił gestem ręki o kolejnego drinka.

- Dlaczego mnie o to pytasz? Sam to nakręciłeś.

- O co ci chodzi?

- Powiedziałeś mi o umowie Jimmy'ego z federalnymi. Chciałeś, żebym wyrównał rachunki. Chciałeś, żebym to ja odwalił za ciebie brudną robotę.

Kiedy Ray dostał swojego drinka, Landry odpowiedział:

- Będziesz musiał zeznawać.

Ray pomyślał o wypchanym pieniędzmi worku na śmieci w pokoju hotelowym po drugiej stronie ulicy. Schował tam około dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. - Po tym, co zrobił, nie będzie to dla mnie żaden problem.

- Mówisz o tym, co zrobił tobie czy tej dziewczynie?

- A co obstawiasz? - odpowiedział Ray. - O ile prokurator okręgowy zapłaci za mój bilet, mogę wrócić i zeznawać.

- Wyjeżdżasz?

Ray przytaknął, delektując się drinkiem.

- Dokąd?

- Jeszcze nie wiem. Jeśli będziesz potrzebował się ze mną skontaktować, poproś o namiary mojego kuratora. On będzie wiedział, gdzie jestem.

- I co zamierzasz robić?

Ray wzruszył ramionami.

# Rozdział trzydziesty

Następnego ranka Ray wstał wcześniej. Najadł się do syta w hotelowej restauracji oferującej bufet śniadaniowy typu „zjedz tyle ile zdołasz”, po czym wrócił do swojego pokoju i zatelefonował do Jenny. Ciągle nie odbierała, więc zdecydował się do niej przejść.

Mieszkanie Jenny znajdowało się kilka przecznic dalej. Próbował wymyślić coś mądrego, co mógłby jej powiedzieć. Jakieś przeprosiny. Nieważne. Jej samochodu i tak nie było przed domem.

Przypomniał sobie, jak mówiła, że chciałaby pojechać do Kalifornii. Naciskał dzwonek przy głównych drzwiach przez dobrych trzydzieści sekund, aż na drugim piętrze otworzyło się z impetem okno i młody długowłosa mężczyzna wystawił przez nie głowę, krzycząc:

- Kurwa, stary, skończysz wreszcie?

Ray nie znał go. Ugryzł się w język, powstrzymując się od pierwszej odpowiedzi, która przyszła mu na myśl i tylko pomachał facetowi, odkrzykując: - Przepraszam - po czym odszedł.

Po powrocie do hotelu zauważył, że na telefonie miga czerwona lampka. Nikomu nie zdradził, gdzie się zatrzymuje. Podniósł słuchawkę. Odsłuchał nagranych powiadomienia informującego go, by pilnie skontaktował się z recepcją. Z duszą na ramieniu wykręcił odpowiedni numer. Dziewczyna, która odebrała telefon spytała tylko, czy zamierza zostać na kolejną noc. Ray odpowiedział, że zostanie przynajmniej na jeszcze jedną. Wydawanie nie swoich pieniędzy sprawiało mu przyjemność. Jako że płacił gotówką, musiał uregulować rachunek na dole.

Wyciągnął z szafki worek na śmieci, w którym trzymał pieniądze, odliczył dwie stowy i udał się w kierunku holu. Wychodząc, upewnił się, że tabliczka „Nie przeszkadzać” wciąż jest na swoim miejscu. Nie chciał, żeby obsługa wyrzuciła jego plastikową torbę razem ze śmieciami.

Zapłaciwszy za kolejną noc, Ray wrócił do pokoju i spędził następne dwie godziny, gapiąc się na film dostępny na zasadzie pay-per-view <sup>[28]</sup>.

Kiedy film dobiegł końca, Ray uświadomił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, o czym był. Zamiast oglądać, spędził ostatnie dwie godziny zastanawiając się, co ma dalej zrobić ze swoim życiem.

Nie zdołał podjąć żadnej decyzji.

Miał już dość rozmyślania, wyciągnął więc pieniądze i przeliczył je. Dwieście czterdzieści siedem tysięcy, trzysta siedemdziesiąt cztery dolary, nie licząc drobiazgu w kieszeni. Wybrał się do pobliskiego sklepu z pamiątkami i wyłudził od sprzedawcy trzy torby na zakupy w rodzaju tych sztywnych, kwadratowych, z rączkami ze sznurka. Do dwóch włożył po sto tysięcy, a resztę umieścił w trzeciej.

O czwartej po południu ponownie zadzwonił do Jenny, ale wciąż nie odbierała. Głęboko w jego żołądku narastało przeczucie, że odeszła na dobre.

Ray załadował trzy torby do bagażnika mustanga i pojechał do mieszkania Jenny. Jej samochodu wciąż nie było nigdzie widać. Tym razem nawet się nie zatrzymał. Przy sklepie na Esplanade Avenue przystanął i zadzwonił z automatu do Domu.

Odebrał nieznamy głos. Nie, powiedziała osoba po drugiej stronie, Jenny Parker nie ma w pracy. Jak tylko się rozłączył, Ray znienawidził siebie za to, że tam zadzwonił. Powiedziała przecież, że z Domem koniec, a Jenny nie miała w zwyczaju rzucać słów na wiatr. Warto było się tego od niej nauczyć.

Ray udał się autostradą w stronę Metairie. Przy hotelu, w którym się zatrzymali jakiś czas temu okrążył parking, wypatrując jej firebirda. Nigdzie go nie było. Wszedł do budynku, gdzie spytał recepcjonistę, czy Jenny Porter się wymeldowała. Recepcjonista, młody Pakistańczyk, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym spytał:

- Mam przyjemność z panem Shanem?

Ray przytaknął.

- Z panem Rayem Shanem? - dopytywał się swym melodyjnym akcentem.

Ray poczuł nieodpartą chęć, by sięgnąć nad kontuarem, złapać gnojka za szyję i wydusić z niego trzewia. Powstrzymał się jednak, odpowiadając uprzejmie:

- Tak, proszę pana, nazywam się Ray Shane.

Chłopak sięgnął pod kontuar i wręczył Rayowi kopertę z logo hotelu i adresem zwrotnym w lewym górnym rogu. Na przedzie napisano długopisem: „Ray Shane”. Ray rozpoznał charakter pisma Jenny. Więc przynajmniej zostawiła mu list.

Ray wymamrotał podziękowanie. Powlókł się przez hol i usiadł na sofie. Koperta była zaklejona i nie wyglądało na to, że ktoś przy niej majstrował. Otworzył ją za pomocą swojego szwajcarskiego scyzoryka.

Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka z hotelowej papeterii. Na niej widniały napisane ręką Jenny słowa „Zadzwoń do mnie” i numer telefonu, gdzieś w centrum miasta.

W głębi holu, tuż przy toaletach, znajdował się telefon na monety. Ray rozmienił dolara u pakistańskiego recepcjonisty i wybrał numer.

Po drugiej stronie powitał go również recepcjonista hotelowy. Ray poprosił, by połączyć go z Jenny Parker. Połączono go z jej pokojem. Jenny odebrała już po pierwszym sygnale.

- Słucham - spytała ostrożnie.

Ray poczuł ulgę.

- Dostałem twoją wiadomość.

Znajdowała się w hotelu, przecznicę od Double Tree. Z gazet i telewizji dowiedziała się o wszystkim, co zaszło. Nie czuła się bezpiecznie ani w hotelu w Metairie, ani w swoim mieszkaniu. Zostawiła liścik na wypadek, gdyby jednak zdecydował się jej szukać.

Ray udał się do jej hotelu. Ledwo wszedł do pokoju, a rzucili się sobie w ramiona. Spod drzwi przeszli w pośpiechu na łóżko, zrzucając po drodze ubranie. Wszystkie emocje, które ostatnio nagromadziły się w Rayu - strach, gniew, tęsknota - eksplodowały w jednej chwili, pozostawiając oboje bez tchu i u kresu sił.

- Uff- powiedziała Jenny. - Co u diabła w ciebie wstąpiło?

Ray musiał złapać oddech, zanim był w stanie odpowiedzieć.

- Nie mam pojęcia. Ale już nie pamiętam, kiedy czułem się tak świetnie - spojrzał na nią. - A co?

- Tak tylko pytam - posłała mu uśmiech podszyty odrobiną figlarności. - Myślisz, że byłbyś w stanie to powtórzyć?

Ray uśmiechnął się szeroko.

↓

- Myślisz, że tu jest bezpiecznie? - spytała Jenny.

- Carlos i Vinnie nie żyją, a Tony siedzi w więzieniu - odpowiedział Ray. - My nic ich nie obchodzimy. Nie będą nas szukać.

Tak naprawdę nie miał całkowitej pewności, czy nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Został jeszcze przecież Rocco. Ray wiedział, że przydupas Tony'ego na pewno tak szybko go nie zapomni, ale nie było sensu się tym zamartwiać.

Wciąż przebywali w pokoju Jenny. Słońce właśnie wschodziło. Prawie nie zmrużyli oka. Przez całą noc opowiadał jej wszystko, co się stało. Jeśli naprawdę mieli zacząć od nowa, musiał być z nią całkowicie szczerzy. Ale była jeszcze jedna kwestia, której nie poruszył. Nie powiedział jej, ile pieniędzy podłożył w samochodzie Tony'ego. Nie wspomniał też, że wciąż miał blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów upchane w torbach na zakupy w bagażniku mustanga.

Jednak myśl o pieniądzach nie dawała mu spokoju. Będąc w ich posiadaniu, nie czuł się w porządku. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej gryzło go takie uczucie. Bo jak można czuć się w porządku, mając w kieszeni prawie ćwierć miliona?

W którymś momencie w nocy Jenny przysnęła na chwilę, a Ray oparł się na łokciu i po prostu na nią patrzył. Leżała na plecach, odkryta od pasa w górę, z nagimi piersiami. Ray czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Kiedy weszło słońce, spytał, czy miałyby ochotę wybrać się na wycieczkę.

- Ale dokąd? - spytała.

- Wiem, że podoba ci się Kalifornia, ale co powiesz na Florydę?

Odpowiedziała, że Floryda to świetny pomysł.

Po południu pojechali mustangiem do jej mieszkania. W dziesięć minut udało jej się spakować wszystko, czego potrzebowała.

Kiedy była na górze, Ray czekał w samochodzie. Wróciła, taszcząc miękką torbę podróżną i torebkę z kosmetykami. Ray pomógł jej zapakować wszystko na tylne siedzenie. Nie chciał, żeby otwierała bagażnik.

- A co z moim samochodem? - spytała.

- Zostaw go.

- Sprzedajmy go. Jest już spłacony, a my potrzebujemy pieniędzy.

Dziewczyna myślała praktycznie.

Wrócili do hotelu. Poszła po swojego firebirda, a potem udali się z Rayem do komisji samochodowej na Canal Street, tuż za Clairborne. Sprzedali jej samochód za gotówkę.

Ray spędził w swoim mieszkaniu pięć minut. Wrzucił do torby sportowej przybory do golenia i parę ubrań. Następnie rzucił torbę na tylne siedzenie, na walizkę Jenny. Ciągłe nie chciał otwierać bagażnika.

Po wizycie w jego mieszkaniu pojechali Robert E. Lee Boulevard aż do Canal Boulevard, potem kierując się w stronę rzeki, minęli cmentarz, a następnie skręcili w Canal Street.

Jenny stwierdziła:



- Wydawało mi się, że jedziemy na Florydę.
- Muszę jeszcze zatrzymać się w jednym miejscu.
- Gdzie? - spytała.
- U twoich przyjaciół.

Kilka minut później Ray skręcił z Canal na Rampart Street.

Zaparkował przy krawężniku, naprzeciwko Catholic Children's Home.

- Co ty robisz, Ray?
  - Pamiętasz, jak widzieliśmy tę zakonnice z dziećmi?
- Jenny skinęła głową. Przez jej twarz przemknął cień podejrzliwości.
- Siostrę Claire?
  - To jest szkoła, którą prowadzi, tak?
  - Tak.

Ray sięgnął do schowka i wcisnął przycisk, otwierający bagażnik.

- Chodź.

Poszła za nim. Wyciągnął ze środka dwie najcięższe torby na zakupy.

- Mam coś dla niej.

Jenny otworzyła jedną z toreb i zajrzała do środka. Jej oczy rozpromieniły się.

- O mój Boże! - zajrzała do drugiej torby. - O mój Boże! - powtórzyła.

Weszli do budynku i spytali siedzącą na recepcji zakonnice, czy mogą mówić z siostrą Claire. Po pięciu minutach wiekowa zakonnica pojawiła się w przedsionku. Jej twarz emanowała łagodnością.

- W czym mogę pomóc? - spytała.

- To dla siostry - powiedział Ray. Czuł się nieco niezręcznie, stawiając dwie torby na zakupy na podłodze, przy stopach zakonnicy.

- Coś dla dzieciaków.

Kiedy Siostra Claire nachyliła się i otworzyła jedną z toreb, zaniemówiła ze zdumienia. Jej usta poruszyły się co prawda, ale nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Ray i Jenny odwrócili się i pospieszyli w stronę drzwi, słysząc za plecami, jak siostra z trudem wyjąkała podziękowania.

Dziesięć minut później jechali już autostradą w stronę Florydy.

Jenny nie mogła oderwać od Raya oczu.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Nie był w stanie wyczuć po tonie jej głosu, czy jest szczęśliwa czy wściekła.

- To znaczy?

Wyciągnęła z torebki chusteczkę i delikatnie otarła nią oczy.

- To najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.
  - Po prostu nie czułbym się dobrze, zatrzymując te pieniądze.
  - Ile tam było?
  - Dwieście tysięcy dolarów.
  - Masz pojęcie, co ona będzie w stanie zrobić dzięki tym pieniądzom?
  - Mam nadzieję, że dużo.
  - Ile wsadziłeś do samochodu Tony'ego?
  - Nie liczyłem, ale około pięćdziesięciu patyków.
- Wskazała kciukiem w kierunku tyłu samochodu.
- A co jest w tamtej torbie?
  - Której torbie?
  - No tej trzeciej torbie, w bagażniku.
- Uśmiechnął się.
- Trochę zatrzymałem. Na początek nowego życia.
- Odpowiedziała mu uśmiechem.



Trzy tygodnie później Ray siedział na niewielkim tarasie domu, który właśnie wynajęli razem z Jenny. Byli na plaży, po drugiej stronie Highway 98, około sześćdziesięciu mil na wschód od Destin, w miasteczku zamieszkanym głównie przez emerytów. Na szklanym blacie stolika śniadaniowego leżała poranna gazeta. Ray wpatrywał się przez balustradę w Zatokę Meksykańską.

- A co powiesz na sklepik spożywczy na rogu?
- Co z nim? - zawołała z kuchni Jenny.

Do jego nozdrzy dotarł zapach bekonu i jajek. Pani Jenny Porter-Shane gotowała diabelnie dobrze.

- Zastanawiam się, czy by takiego nie kupić. Ten kawałek dalej jest na sprzedaż. Z tyłu jest niewielki bar i parę pomp benzynowych.

- Czy to oznacza, że jedzenie i gaz będę mieć za darmo?

Nie był w stanie stwierdzić, czy się z nim droczy czy mówi poważnie.

- Nie, nie byłyby za darmo, Jenny.

Wyszła na taras, niosąc śniadanie na tacy.

- Ale przecież będę żoną właściciela - postawiła tacę na stoliku, całując go w policzek. - Czy to nie upoważnia mnie do zniżki?

Przyciągnął jej twarz i pocałował w usta.

- No dobra, dam ci zniżkę.

Po śniadaniu Ray pozbierał wszystko z powrotem na tacę i odniósł do kuchni. Minutę później Jenny zawołała go rozemocjonowanym głosem.

- Ray, Ray, chodź szybko. Popatrz na to.

Ray wyszedł na taras. Wpatrywała się w trzymaną przed sobą otwartą gazetę.

- Co to jest? - spytał.

Jenny wskazała palcem artykuł na drugiej stronie.

Nagłówek krzyczał: „Mafioso zadżgany w więzieniu”.

Jak informowała Associated Press, poprzedniego dnia Anthony znany jako Tony Zello, domniemany żołnierz w zorganizowanej grupie przestępczej pod wodzą rodziny Messinów, został znaleziony pod prysznicem w więzieniu w Orleans, martwy od dźgnięcia nożem. Zello został aresztowany bez możliwości wyjścia za kaucją, za zamordowanie żony Priscilli Zello, domniemanego bossa mafii Carlosa Messiny oraz jego brata Vincenta Messiny, również wysokiego rangą członka mafii. Pracownik biura szeryfa, który chciał zachować anonimowość, powiedział, że Zello został ugodzony nożem kilkanaście razy.

Ray wciąż jeszcze nie zapalił papierosa.

---

[1] French Quarter, nazywana także Vieux Carré, to najstarsza dzielnica Nowego Orleanu.

[2] Galon - jednostka objętości używana w krajach anglosaskich, równa 3,785 litra (galon amerykański).

[3] *Public Integrity Bureau* - sekcja zajmująca się wykrywaniem nieuczciwych praktyk wśród funkcjonariuszy policji.

[4] Królowa z ang. *queen*. Słowo *queen* to, poza dosłownym znaczeniem, wulgarnie określenie homoseksualisty, inaczej: ciota.

[5] Angola - potoczna nazwa więzienia stanowego w Luizjanie.

[6] Z ang. *made man* - oficjalny członek mafii, mianowany podczas ceremonii inicjacyjnej.

[7] Krak (z ang. *crack*) - krystaliczna forma kokainy przeznaczona do palenia.

[8] Gik (z ang. *geek*) - kujon, mól książkowy, maniak komputerowy; człowiek zafascynowany naukami ścisłymi, nowinkami technologicznymi, pochłonięty zgłębianiem wiedzy, niedbający jednocześnie o swój wygląd zewnętrzny.

[9] IBIS (z ang. *Integrated Ballistics Identification System*) - Zintegrowany System Identyfikacji Balistycznej.

[10] ATF (z ang. *Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives*) - Biuro ds. alkoholu, tytoniu, broni palnej oraz materiałów wybuchowych; agencja federalna, zajmująca się przestępstwami związanymi z obszarami wymienionymi w nazwie.

[11] W oryginale: *The luck of the Irish*. Według niektórych interpretacji oznacza to, iż Irlandczyków cechuje wrodzone szczęście. Według innych *luck* znaczy „los”, który może być albo sprzyjający, albo płać figle i tym samym przynosić szczęście lub pecha. Istnieją również opinie, że wyrażenie to należy rozumieć ironicznie, wówczas *luck* oznacza *bad luck*, czyli pecha.

[12] W mafii kapitan, czyli *capo* (*caporegime*) to dowódca drużyny składającej się z żołnierzy (*soldati*), stojący w hierarchii wyżej od żołnierza.

[13] Funt - jednostka masy stosowana obecnie w krajach anglosaskich, równa 0,4536 kg.

[14] Lupara - krótka dwulufowa strzelba ładowana przez tzw. łamanie lufy; ulubiona broń sycylijskich gangsterów.

[15] Kudłaty i Scooby to bohaterowie popularnej kreskówki o gadającym psie Scoobym Doo, produkowanej w Stanach Zjednoczonych od 1969 roku.

[16] Jungle Room - jeden z pokoi w Graceland, posiadłości Elvisa Presleya, w której obecnie znajduje się muzeum.

[17] Uncja - jednostka masy stosowana w krajach anglosaskich, równa 1/16 flinta, wynosząca 28,35 g.

[18] po-boy (od ang. *poor boy* - biedny chłopiec) - tradycyjna kanapka z Luizjany, ze smażonymi owocami morza lub mięsem, serwowanymi w bagietce.

[19] Lucky Dogs - sieć sprzedająca z wózków gastronomicznych jedzenie typu fast food.

[20] Powerball - loteria amerykańska.

[21] New Orleans Police Department - policja z Nowego Orleanu

[22] Koryncką skórą, z ang. *Corinthian leather* to termin wymyślony w latach siedemdziesiątych na potrzeby kampanii reklamowej luksusowych samochodów marki Chrysler.

[23] Program Oprah - mowa o programie talk-show *The Oprah Winfrey Show* zaliczanym do najbardziej znanych audycji telewizyjnych w USA.

[24] 911 - w Stanach Zjednoczonych numer alarmowy, pod którym można uzyskać pomoc w nagłych wypadkach (pożar, napad, wypadek itp.).

[25] *I shot the sheriff* (ang.) - dosł. „zastrzeliłem szeryfa”.

[26] Jard - jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 0,9144 m.

[27] GQ - *Gentlemen's Quarterly*, miesięcznik adresowany do mężczyzn, traktujący o modzie, stylu i kulturze; męski odpowiednik *Vogue*.

[28] *Pay-per-view*, czyli *płacisz-za-to-co-oglądasz*, to płatna usługa oglądania wybranych programów.